

# Kroniki Majipooru

Silverberg Robert

Książka II z Majipoor



calibre 0.9.43



# **Kroniki Majipooru**

**(Przełożył: Krzysztof Sokółowski)**

*KIRBY'emu,*

*którego wprowadzie mogło*

*doprowadzić to na dno rozpacz,*

*lecz który z pewnością dotarł*

*przynajmniej do krawędzi*

# PROLOG

W czwartym roku po odzyskaniu władzy przez Koronała Lorda Valentine'a w sercu pewnego chłopca imieniem Hissune, który był urzędnikiem w Domu Kronik w Labiryncie Majipooru, zagnieździł się wielki niepokój. Przez ostatnie sześć miesięcy Hissune zajmował się inwentaryzowaniem zachowanych sprawozdań poborców podatków. Przekopywał się przez rosnące w zastraszającym tempie góry papierów, doskonale wiedząc, że z jego pracy nikt nigdy nie skorzysta - a wyglądało na to, że może mu ona zająć jeszcze rok albo dwa, może trzy. To było bezsensowne zajęcie, a przynajmniej on nie widział w nim najmniejszego sensu. Kogo w ogóle obchodzić mogły raporty prowincjonalnych poborców podatków z czasów Lorda Dekkereta, Lorda Calintane'a, a nawet z pradawnych czasów Lorda Stiamota? W dokumentach panował bałagan; oczywiście nigdy ich nie przeglądano, bo i po co, a teraz złośliwy los najwyraźniej wybrał Hissune<sup>^</sup>, by je uporządkował. Hissune nie widział w tym żadnego sensu. No, może tylko podciągnie się w geografii, uświadomi sobie oszałamiającą wielkość Majipooru. Tyle krain! Tyle miast! Trzy wielkie kontynenty podzielone na prowincje, prowincje podzielone na regiony, a te z kolei na tysiące podregionów. Gdy Hissune pochylał się nad zakurzonymi dokumentami, w głowie wirowały mu nazwy: Pięćdziesiąt Miast Zamkowej Góry, wielkie metropolie Zimroelu, tajemnicze pustynne osiedla Suvraelu, miasta, miasta i jeszcze raz miasta, szaleńczy hołd złożony tysiącom lat płodności Majipooru: Pidruid, Narabal, Ni-moya, Alaisor, Stoiem, Piliplok, Pendiwane, Amblemorn, Minimool, Thologhai, Kangheez, Natu Gorvinu... nazwy, nazwy i jeszcze raz nazwy. Miliony nazw! Lecz młody, zaledwie czternastoletni chłopak jest w stanie znieść lekcje geografii tylko do pewnego momentu, a potem tęskni za jakąś odmianą. Hissune pragnął więc odmiany. Ciekawość, zawsze obecna, ukryta niezbyt głęboko pod powierzchnią jego natury, teraz

niepowstrzymanie wyrывała się na zewnątrz.

W pobliżu ciasnego, pokrytego kurzem Domu Kronik, w którym Hissune przekopywał się przez góry raportów podatkowych, znajdowało się znacznie ciekawsze miejsce: Rejestr Dusz, zamknięty dla wszystkich z wyjątkiem upoważnionych urzędników - a upoważnionych było podobno bardzo niewielu. Hissune dobrze wiedział, czym jest Rejestr Dusz. Znał dobrze Labirynt, nawet te miejsca, do których zwykli ludzie nie mają dostępu. Właściwie to najlepiej znał te właśnie miejsca, gdyż bowiem od ósmego roku życia nie zarabiał na życie na ulicach tej wielkiej podziemnej stolicy, oprowadzając oszołomionych turystów po labiryntach Labiryntu; czyż nie używał całego sprytu, by tu i tam zarobić koronę? “To Rejestr Dusz - opowiadał turystom. - Jest tam sala, w której miliony obywateli Majipooru pozostawiło nagrania swych przeżyć. Bierze się kapsułę, wkłada w czytnik i nagle jest tak, jakby było się osobą, która pozostawiła nagranie i człowiek wydaje się, jakby żył za rządów Lorda Confalume'a albo Lorda Siminave'a, albo jakby walczył z Metamorfami w czasach Lorda Słamota - ale oczywiście niewielu jest ludzi upoważnionych do korzystania z Rejestru Dusz.” Oczywiście! Ale czy tak trudno byłoby mi - myślał Hissune - dostać się do pomieszczenia z Rejestrem pod pretekstem, że potrzebuję danych do badań nad raportami podatkowymi? A potem żyć życiem milionów ludzi w milionach różnych przeszłości, w pełnych chwały, najwspanialszych okresach historii Majipooru...

Tak! Z pewnością łatwiej byłoby mu znieść pracę, gdyby od czasu do czasu mógł się rozerwać, zaglądając do Rejestru Dusz.

Uświadomił to sobie i zaczął działać natychmiast. Przygotował wymagane przepustki - wiedział, gdzie w Domu Kronik trzyma się właściwe stemple - i oto pewnego dnia, późnym popołudniem, Hissune szedł jasno oświetlonymi, krętymi korytarzami, w gardle miał sucho, czuł się niepewnie, cały aż drżał z podniecenia.

Dawno już nie był aż tak podniecony. Kiedy jeszcze żył na ulicy i wszystko zawdzięczał wyłącznie sobie, czuł nieustanne podniecenie, ale już nie włóczył się po ulicach, oni ucywilizowali go, dali mu pracę. Pracę! Oni! A kim są ci oni? Oni to sam Koronał, ni mniej ni więcej! Ten zbieg okoliczności nadal go zdumiewał. Kiedy wygnany z Zamku, pozbawiony ciała i tronu przez uzurpatora, Barjazida, Lord Valentine podczas wędrówki po Majipoorze przybył do Labiryntu, to właśnie Hissune został jego przewodnikiem. Udało mu się jakoś rozpoznać prawdę i to właśnie spowodowało jego upadek. Bowiem nim zdołał pojąć, co się właściwie dzieje, Koronał ruszył już z Labiryntu na Zamkową Górę, by odzyskać utraconą koronę, obalił uzurpatora, a potem Hissune otrzymał zaproszenie na ponowną koronację. Jedna Bogini wie, dlaczego wezwano go na uroczystości w Zamku Lorda Valentine'a! Jakież to było wspaniałe! Nigdy przedtem nie opuścił Labiryntu na dłużej, nie widział dziennego światła, a oto podróżował w latającym ślizgaczu władcy doliną Glayge, widział miasta, których nazwy powtarzał w snach, a przed nim wznosiła się Zamkowa Góra, pięćdziesięciokilometrowy szczyt sterczący w Kosmos jak osobna planeta. Dotarł wreszcie na Zamek, poważny, dziesięcioletni chłopiec, stał obok Koronała, żartował z nim - tak, było wspaniale, ale zaskoczyło go to, co zdarzyło się potem. Koronał uznał, że Hissune to obiecujący dzieciak! Koronał zażyczył sobie, by przygotowano go do pełnienia poważnych obowiązków państwowych! Korona! podziwiał jego dowcip, energię i śmiałość! Świetnie! Hissune został protegowanym Koronała! Świetnie, doskonale! A więc z powrotem do Labiryntu... i do Domu Kronik! To już gorzej. Przez całe swe krótkie życie Hissune nienawidził biurokratów, tych zamaskowanych durni ślęczących nad papierami w trzewiach Labiryntu, a teraz, dzięki łasce samego Koronała, stał się jednym z nich. No cóż, nigdy nie wątpił, że kiedyś w końcu musi zacząć jakoś zarabiać na życie, nie można zawsze oprowadzać odwiedzających Labirynt, ale żeby tak! Raport poborcy podatków Jedenastego

Dystryktu prowincji Chorg, prefektura Bibiroon, jedenasty rok pontyfikatu Pontifexa Kinnikena, Koronał Lord Ossier... - nie, tylko nie to. A to właśnie było to, i tak do końca życia! Miesiąc, pół roku, rok spokojnej cichej pracy w spokojnym, cichym Domu Kronik - powtarzał sobie, pełen nadziei - a potem Lord Valentine przyśle po mnie, każe mi przenieść się na Zamkową Górę, oferuje mi stanowisko doradcy i wtedy przynajmniej życie stanie się ciekawsze! Ale Koronał najwyraźniej o nim zapomniał; w końcu - można było się tego spodziewać! Musi rządzić trzydziestoma czy czterdziestoma miliardami obywateli; cóż w porównaniu z nimi znaczy jeden mały chłopak z Labiryntu? Hissune podejrzewał, że ma już za sobą swoją chwilę chwały, którą przeżył tam, w czasie krótkiego pobytu na Zamkowej Górze, a teraz złośliwy los zmienił go w urzędnika Pontyfikatu, który do końca życia będzie tylko przekładał papiery z miejsca na miejsce.

Ale może przynajmniej odwiedzić Rejestr Dusz!

Zapewne nigdy już nie opuści Labiryntu, lecz -jeśli nie da się złapać - będzie żyć życiem milionów dawno zmarłych ludzi: podróżników, odkrywców, żołnierzy, a nawet Koronatów i Pontifexów. To w końcu jakaś pociecha, prawda?

Hissune wszedł więc do niewielkiej salki i przedstawił przepustkę siedzącemu w niej, tępoookiemu Hjortowi. Przygotował sobie mnóstwo argumentów: specjalne zlecenie Koronała, ważne badania historyczne, konieczność sprawdzenia danych demograficznych, zdobycia dodatkowych informacji... Och, Hissune potrafił być bardzo przekonywający, już otwierał usta, by wypowiedzieć wszystkie te kłamstwa, ale Hjort spytał tylko:

- Wiesz, jak obchodzić się ze sprzętem?

- Od dawna nie miałem z nim do czynienia. Być może mógłby pan mi przypomnieć?

Wstrętna tłusta istota o pokrytej brodawkami twarzy, której podbródki prawie wylewały się jej na pierś, wstała powoli i zaprowadziła Hissune'a do zamkniętej sali,

otwieranej jakimś sprytnym zamkiem rozpoznającym dotknięcie kciuka. Hjort pokazał mu ekran i rząd przycisków.

- To konsola kontrolna - powiedział. - Wyszukaj potrzebną ci kapsułę. Włączasz je tu. Kwituj odbiór wszystkiego, z czego korzystasz. A kiedy skończysz, nie zapomnij zgasić światła.

I to wszystko! Też mi skomplikowany system bezpieczeństwa. Też mi strażnik!

Hissune został sam na sam z zapisami pamięci wszystkich ludzi, którzy żyli niegdyś na Majipoorze. W każdym razie - niemal wszystkich ludzi. Takich, którzy umarli nie troszcząc się o zostawienie zapisu pamięci były niewątpliwie miliardy. Ale każdy obywatel Majipooru, który skończył dwadzieścia lat, miał prawo co dziesięć lat zostawić zapis deponowany w Rejestrze i Hissune wiedział, że chociaż kapsuły są małe, prawdziwe drobinki danych, na magazynowych poziomach Labiryntu ich zbiór ciągnął się kilometrami. Położył dłonie na klawiszach. Drżały mu palce.

Od czego zacząć? Chciał wiedzieć wszystko. Wraz z pierwszymi odkrywcami pragnął przemierzać lasy Zimroelu, pragnął walczyć z Metamorfami, żeglować po Wielkim Morzu, zabijać smoki morskie na Archipelagu Rodamaunt, pragnął... pragnął... Aż drżał z pożądania.

Od czego zacząć? Obejrzał dokładnie klawiaturę. Mógł wybrać datę, miejsce, tożsamość... ale miał do wyboru czternaście tysięcy lat... nie, raczej osiem, dziewięć tysięcy - wiedział, że nagrania rozpoczęto dopiero w czasach Lorda Stiamota lub może nieco wcześniej. I jak tu się zdecydować? Minęło dziesięć minut, a on tylko siedział jak sparaliżowany, niczego jeszcze nie wymyślił!

Zdał się na przypadek. Jakieś wczesne nagranie, pomyślał. Kontynent Zimroel za czasów Koronata Lorda Barholda, rządzącego jeszcze przed Lordem Stiamotem... A osoba? Wszystko jedno!



W szczelinie pojawia się mała, błyszcząca kapsuła. Drżąc ze zdumienia i zachwytu Hissune wsunął ją do urządzenia odtwarzającego i włożył hełm. Usłyszał trzaski. Pod zamkniętymi powiekami zobaczył przemykające pasma zieleni, błękitu, purpury. Czy to działało? Tak! Czuł obecność innego umysłu. Ktoś zmarł dziewięć tysięcy lat temu i jego umysł -jej umysł, to kobieta, młoda kobieta - wypełniał teraz umysł Hissune'a. Już nie był pewien, czy jeszcze jest Hissunem z Labiryntu, czy może już tą... tą Thesmą z Narabalu... Z lekkim, radosnym jękiem Hissune uwolnił się od swej osobowości, z którą żył przez czternaście lat, i pozwolił, by opanowała go dusza obcego człowieka.

## **THESMA I GHAYROG**

Już od pół roku Thesma mieszkała sama we własnoręcznie skleconej chacie w gęstej tropikalnej dżungli jakieś dziesięć kilometrów na wschód od Narabalu. Nie docierały tu chłodne wiatry znad morza; ciężkie, wilgotne powietrze przylegało do skóry jak mokre futro. Thesma nigdy przedtem nie mieszkała sama i na początku zastanawiała się, jak sobie z tym poradzi, ale przedtem także nigdy nie wybudowała własnoręcznie chaty. Chata wyszła jej całkiem nieźle - ścięła smukłe młode sijaneele, zdarła z nich złotą korę, śliskie, ostre końce wbiła w wilgotną ziemię i oplotła konstrukcję pnączami, za dach posłużyło zaś pięć związanych wielkich niebieskich liści vrammy. Nie było to bynajmniej arcydzieło architektury, ale deszcz nie padał jej na głowę, a o chłody mogła się nie martwić. Wystarczył miesiąc, by sijaneele, choć przycięte i okorowane, wypuściły korzenie oraz młode skórzaste liście przy wierzchołkach, tuż pod dachem; pnącza także żyły, wyrastały z nich coraz to nowe odnóża, grube i czerwone, które szukały, aż wreszcie znalazły żyzną ziemię. Teraz więc dom Thesmy kwitł, z dnia na dzień był coraz trwalszy i bezpieczniejszy, liany z wiekiem stawały się mocniejsze, sijaneele wrastały w ziemię, a Thesmie bardzo się to podobało. W Narabalu nic nie pozostawało martwe przez dłuższy czas, powietrze było zbyt ciepłe, słońce zbyt jasne, deszcze zbyt obfite; wszystko bezustannie zmieniało się w coś innego z szaloną, nieopanowaną, radosną łatwością tropików.

Samotność także okazała się łatwa do zniesienia. Thesma bardzo pragnęła uwolnić się od Narabalu. Życie w miasteczku uległo zmianie; zbyt wiele w nim było niepokoju, zbyt wiele wewnętrznej niepewności, przyjaciele stawali się obcy, kochankowie zmienili się we wrogów. Miała już dwadzieścia pięć lat, potrzebowała oddechu, chciała przyjrzeć się wszystkiemu spokojnie, bez pośpiechu, zmienić rytm życia, nim zginie zalana jego falą. Dżungla nadawała się do tego idealnie. Thesma wstawała wcześniej, kąpała się w

jeziorku, które dzieliła ze starym, oślizgłym gromwarkiem i ławicą maleńkich, przezroczystych czicziborów, zrywała na śniadanie owoce thokki, wędrowała, czytała, śpiewała, pisała wiersze, sprawdzała, co złapało się w zastawione przez nią sidła, wspinała się na drzewa, opalała się w hamaku z lian na ich szczytach, drzemała, pływała, rozmawiała sama ze sobą i szła spać o zachodzie słońca. Kiedyś myślała, że nie będzie miała wystarczająco wiele do roboty, że szybko się znudzi, ale jakoś się nie nudziła; czas wypełniony miała pracą i zawsze coś jeszcze pozostawało do zrobienia na następny dzień.

Myślała też, że będzie chodziła do Narabalu mniej więcej raz na tydzień, na zakupy, po nowe książki i kubiki rozrywkowe, na koncert, do teatru, może nawet odwiedzić rodzinę oraz tych spośród przyjaciół, których miała jeszcze ochotę widywać. Rzeczywiście, przez jakiś czas odwiedzała miasteczko regularnie. Ale droga w upale zabierała jej niemal pół dnia i sprawiała, że wracała brudna i spocona; przy tym, w miarę jak przyzwyczajała się do samotności, miasteczko wydawało się jej coraz bardziej hałaśliwe, coraz bardziej irytujące; denerwowało ją, a nie miało niemal nic do zaoferowania. Ludzie się na nią gapili. Wiedziała, że mają ją za dziwaczkę, może nawet za wariatkę; zawsze była dzika, a teraz przekroczyła już granice rozsądku, mieszka sama w dżungli i pewnie jeszcze huśta się na lianach, przelatując z drzewa na drzewo! Więc wyprawy do Narabalu stawały się coraz rzadsze. Szła tam tylko wtedy, kiedy absolutnie nie mogła już tego uniknąć. W dniu, w którym znalazła rannego Ghayroga, od jej ostatniego tam pobytu upłynęło ponad pięć tygodni.

Tego ranka przedzierała się przez podmokłe łąki, kilka kilometrów na północny wschód od chaty, zbierając słodkie żółte grzybki, znane jako kalimboty. Wypełniła nimi worek i właśnie zamierzała zawrócić, kiedy kilkaset metrów dalej dostrzegła coś dziwnego; jakąś postać o błyszczącej metalicznie szarej skórze i grubych, gładkich członkach, leżącą w nienaturalnej pozie pod wielkim sijaneelem.

Przypominała drapieżnego gada, którego jej ojciec i brat zabili kiedyś w kanale

Narabal: smukłe, długie, powolne stworzenie o wygiętych szponach i pełnej kłów szerokiej paszczy. Lecz gdy się zbliżyła, dostrzegła, że ta istota jest nieco podobna do człowieka: ma wielką okrągłą głowę, długie ramiona, mocne nogi. Sprawiała wrażenie martwej, ale gdy

Thesma podeszła bliżej, stwór poruszył się słabo i powiedział:

- Coś sobie uszkodziłem. Byłem głupi i zapłaciłem za głupotę.

- Możesz poruszyć rękami i nogami?

- Rękami tak. Jedna noga jest złamana; możliwe, że także kręgosłup. Pomożesz mi?

Przykucnęła i przyjrzała się istocie. Rzeczywiście, było w niej coś gadziego:

błyszcząca łuska i gładkie, twarde ciało. Włosy miała dziwne, gęste, grube i czarne; wiły się powoli, same z siebie. Jej język był językiem węża: jaskrawoczerwony, rozwidlony, drżał bezustannie między cienkimi wargami.

- Kim jesteś? - spytała.

-Jestem Ghayrogiem. Wiesz coś o nas?

- Oczywiście - powiedziała, ale tak naprawdę wiedziała bardzo niewiele. W ciągu ostatnich stu lat na Majipoorze pojawiło się mnóstwo nieludzkich istot, prawdziwa menażeria.

Zaprosił je Koronal Lord Melikand, bo ludzi było zbyt niewiele, by zasiedlić gigantyczną

planetę. Thesma słyszała i o tych czwororęcznych, i o tych dwugłowych, i o malutkich

istotkach z mackami, i oczywiście o tych gadzich z językami i włosami jak węże, ale żaden

obcy nie dotarł jeszcze do Narabalu, miasteczka na końcu świata, tak oddalonego od

cywilizacji, jak to tylko możliwe. A więc to jest Ghayrog? Dziwna rasa, pomyślała, kształt

ciała niemal jak u człowieka, ale zupełnie nieludzkie szczegóły budowy. To przecież potwór

rodem z koszmaru, choć niezbyt przerażający. W rzeczywistości współczuła raczej biednemu

Ghayrogowi. Wędrowiec, niewątpliwie zabłąkany z dala od rodzinnego świata, oderwany od

wszystkiego, co ma jakieś znaczenie na Majipoorze. I w dodatku ciężko ranny. Co właściwie powinna teraz zrobić? Życzyć mu szczęścia i pozostawić go na lasce losu? Raczej nie. Pójść do Narabalu? Zorganizować wyprawę ratunkową? Zajęłoby to jakieś dwa dni - nawet gdyby znalazł się ktoś chętny. Pomóc mu dotrzeć do chaty, opiekować się nim, aż wyzdrowieje? Zapewne tak właśnie powinna uczynić, tylko co stanie się z jej wymarzoną samotnością, z jej prywatnością? A w ogóle, to jak należy opiekować się Ghayrogiem i czy ona sama pragnie wziąć na siebie tę odpowiedzialność? Jest też w tym pewne ryzyko - w końcu ma do czynienia z obcym i nie wie, czego można się po nim spodziewać.

-Jestem Vismaan - powiedział Ghayrog.

Czy to imię, tytuł, czy też może opis stanu, w jakim się znajduje?

Nie zapytała o to. Powiedziała tylko:

-Ja mam na imię Thesma. Mieszkam w dżungli, godzinę marszu stąd. Jak mogę ci pomóc?

- Pozwól mi oprzeć się na tobie. Spróbuję wstać. Jak myślisz, jesteś wystarczająco silna?

- Chyba tak.

-Jesteś kobietą, prawda?

Thesma miała na sobie wyłącznie sandały. Uśmiechnęła się, dotknęła piersi i brzucha.

-Jestem kobietą - przytaknęła.

- Tak sądziłem. Ja jestem mężczyzną i mogę być dla ciebie za ciężki.

Mężczyzną. Między nogami był gładki, bez oznak płci, jak maszyna. Pewnie organy płciowe znajdują się u Ghayrogów w innym miejscu. A jeśli to gad, nie mógł rozpoznać jej płci po piersiach. Mimo wszystko to dziwne, że musiał o to zapytać.

Uklękła obok niego, zastanawiając się, jak ma zamiar wstać i iść ze złamanym

kręgosłupem. Oparł ramię na jej karku. Dotyk skóry obcego zaskoczył ją: była sucha, zimna, sztywna i gładka, jak gdyby nosił zbroję, nie miała w sobie jednak nic odrażającego, wywoływała tylko wrażenie obcości. Ghayrog pachniał -jego zapach był gorzki, wilgotny, jakby z domieszką miodu. Ciekawe, że nie poczuła go wcześniej, choć był tak dziwny i mocny. Uznała, że nieoczekiwane spotkanie zbyt ją zaskoczyło. Kiedy jednak raz zdała sobie sprawę z jego istnienia, nie potrafiła przestać go czuć. Najpierw wydawał się jej obrzydliwy, ale po chwili do niego przywykła.

- Spróbuj się nie ruszać. Oprę się o ciebie i wstanę - powiedział obcy.

Przyklękła, opierając się o ziemię dłońmi i kolanami. Zdumiewające, ale rzeczywiście zdołał wstać, dziwnie, jakby się wił, wbił ją niemal w ziemię, przez chwilę opierał się na jej plecach, aż westchnęła z wysiłku. Stał chwiejąc się i czepiając pnącz. Gotowa była złapać go, gdyby zaczął padać, ale się nie przewrócił.

- Noga jest strzaskana - stwierdził. - Kręgosłup mam uszkodzony, ale chyba nie złamany.

- Czy bardzo cię boli?

- Boli? Nie, my prawie nie odczuwamy bólu. To problem funkcjonowania. Nie jestem w stanie oprzeć się na nodze. Możesz mi znaleźć mocny kij?

Thesma zaczęła szukać czegoś, czego mógłby użyć jako kuli, i po chwili znalazła mocny korzeń pnącza zwieszającego się z wierzchołka drzewa. Był gruby i sztywny, zginała go kilkakrotnie, aż zdołała odłamać ze dwa metry. Vismaan chwycił go mocno, oparł się na jej ramieniu, ostrożnie przeniósł ciężar ciała na nie uszkodzoną nogę i z wysiłkiem zrobił krok, a po nim drugi i trzeci, ciągnąc za sobą złamaną kończynę. Thesma miała wrażenie, że zapach jego ciała zmienił się; był teraz ostrzejszy, więcej w nim było octu, mniej miodu. Pewnie z powodu wysiłku. I ból był prawdopodobnie większy, niż chciał przyznać. W

każdym razie udawało mu się jakoś posuwać naprzód.

- Co ci się właściwie stało?

- Wspiąłem się na drzewo, żeby zobaczyć drogę przed sobą. Gałąź się pode mną złamała.

Skinieniem głowy wskazał smukły, lśniący pień sijaneela. Najniższa gałąź, wyrastająca z pnia na wysokości jakichś dwunastu metrów, rzeczywiście była złamana i wisiała na cieniutkim pasemku kory. Zdumiało ją, że przeżył upadek z tej wysokości; po chwili zaczęła się także zastanawiać, jakim cudem w ogóle zdołał wspiąć się tak wysoko po gładkim pniu.

- Chciałem osiedlić się w okolicy. Uprawiać ziemię. A ty, czy masz farmę?

- W dżungli? Nie, po prostu tu mieszkam.

- Z towarzyszem?

- Sama. Wychowałam się w Narabalu, ale potrzebowałam samotności.

Doszli do wypełnionego kalimbotami worka, który upuściła, gdy po raz pierwszy dostrzegła obcego; teraz przewiesiła sobie bagaż przez ramię.

- Możesz ze mną zostać, póki noga nie wydobrzeje. Ale zanim dojdziemy do chaty będzie wieczór. Jesteś pewien, że możesz iść?

- Przecież idę.

- Powiedz, kiedy będziesz chciał odpocząć.

- Za jakiś czas. Jeszcze nie.

Rzeczywiście. Jeszcze niemal pół godziny szedł kulejąc i najwyraźniej walcząc z bólem, nim wreszcie poprosił o odpoczynek, który zresztą spędził stojąc, oparty o drzewo.

Wyjaśnił, że nie wydaje mu się najmańdrzejszym pomysłem powtarzać od początku cały trudny proces wstawania. Wydawał się bardzo spokojny, nie sprawiał też wrażenia

szczególnie cierpiącego, choć oczywiście nie sposób było odczytać czegoś z jego nieruchomej twarzy i nie mrugających oczu; tylko nieustanne, błyskawiczne ruchy rozwidlonego języka stanowiły dostrzegalne świadectwo tego, co przeżywał, ale Thesma nie wiedziała, jakie jest ich znaczenie. Po kilku minutach ruszyli przed siebie. Powolne tempo marszu męczyło ją, podobnie jak ciężar Vismaana, spoczywający niemal w całości na jej ramieniu; mięśnie bolały, chwytaly ją kurcze. Przedzierałi się przez dżunglę niemal nie rozmawiając. Ghayrog skupiony był najwyraźniej na tym, jak podporządkować sobie zranione ciało, ona koncentrowała się na wyborze drogi, szukała skrótów, myślała, jak uniknąć przepraw przez strumienie, ominąć obszary najgęstszej poszycia i inne przeszkody, z którymi mogliby sobie nie poradzić. W połowie drogi zmoczył ich ciepły deszcz, a kiedy przeszedł, otoczyła ich lepka mgła i tak doszli do chaty. Gdy ją wreszcie dostrzegli, Thesma była niemal całkowicie wyczerpana.

- To nie żaden pałac - powiedziała - ale nie potrzebuję pałacu. Sama ją zbudowałam.

Położ się. - Pomogła mu ułożyć się na posłaniu z zani. Vismaan wydał z siebie cichy syk, najwyraźniej odgłos ulgi.

- Chcesz coś zjeść? - spytała jeszcze.

- Nie teraz.

- Napijesz się? Nie? Z pewnością chciałbyś odpocząć. Wyjdę, żeby ci nie przeszkadzać. Śpij.

- To nie jest pora snu - powiedział Vismaan.

- Nie rozumiem.

- Sypiamy tylko w określonych sezonach. Zazwyczaj w zimie. - I czuwacie przez resztę roku?

- Tak - powiedział. - Porę snu mam już za sobą. Rozumiem, że z ludźmi jest inaczej.



- Zupełnie inaczej - odrzekła. - W każdym razie zostawię cię samego. Odpoczywaj.

Musisz być strasznie zmęczony.

- Nie wyrzucam cię z twojego domu.

- Nic nie szkodzi - stwierdziła Thesma wychodząc.

Znów zaczęło lać - znajomy, niemal wyczekiwany deszcz, który padał tu codziennie przez kilka godzin. Położyła się na miękkim, sprężystym jak guma mchu i leżała, a krople deszczu spłukiwały zmęczenie z jej obolałych pleców i ramion.

Mam gościa, powiedziała do siebie. A w dodatku - kto by pomyślał - obcego!

Ghayrog nie wydawał się szczególnie wymagający; sprawiał wrażenie chłodnego, dalekiego, niewzruszonego nawet w nieszczęściu. Z pewnością był ciężiej ranny, niż chciał się przyznać i nawet ten stosunkowo krótki marsz przez dżunglę stanowił dla niego wielki wysiłek. Nie ma mowy, by w tym stanie doszedł do Narabalu. Miała wrażenie, że mogłaby pójść do miasteczka sama i załatwić, by ktoś przyjechał po niego ślizgaczem, ale ta myśl nie sprawiała jej przyjemności. Przede wszystkim nikt nie wiedział, gdzie mieszka, nie zamierzała także wskazać nikomu drogi do swej chaty. Nieco tym zaniepokojona, zdała sobie sprawę, że nie ma też ochoty oddać Ghayroga, że chce, by z nią został, pragnie opiekować się nim, póki nie wyzdrowieje całkowicie. Wątpiła, by ktokolwiek w Narabalu skłonny był udzielić schronienia obcemu i sprawiało jej to jakąś perwersyjną radość, bo świadczyło o jeszcze jednej różnicy między nią a obywatelami miasteczka. Przez ostatni rok, a może nieco dłużej niż rok, słyszała przecież plotki o obcych, którzy przybywają osiedlić się na Majipoorze. Ludzie bali się i nienawidzili gadzich Ghayrogów, gigantycznych włochatych Skandarów, małych cwaniaczków z mackami, Vroonów - chyba tak, Vroonów - wraz z całą resztą tej niesamowitej menażerii; i choć obcy nie dotarli jeszcze tak daleko, już mieli tu zdeklarowanych wrogów. To w sam raz pasuje do tej dzikuski i dziwaczki Thesmy,

pomyślała, przygarnąć jakiegoś Ghayroga, wycierać mu pot z płonącego gorączką czoła, dawać mu lekarstwa i gotować zupę czy co tam gotuje się Ghayrogowi ze złamaną nogą. Nie miała pojęcia, jak powinna się nim opiekować, ale w niczym jej to nie przeszkadzało. Nagle uświadomiła sobie, że przez całe życie o nikogo się nie troszczyła, bo nie miała ochoty ani okazji, była najmłodsza w rodzime i nikt nigdy nie pozwolił jej na przyjęcie za kogokolwiek odpowiedzialności; nie wyszła za mąż, nie urodziła dziecka, nie miała nawet swojego ulubionego zwierzątka, a w trakcie licznych burzliwych przygód miłosnych nigdy nie przyszło jej nawet do głowy, by odwiedzić któregoś z kochanków podczas choroby. Powiedziała sobie, że może właśnie dlatego tak gorąco zapragnęła nagle zatrzymać Ghayroga w chacie. W końcu uciekła z Narabalu w dżunglę właśnie po to, by zmienić swe życie, by w sposób symboliczny odrzucić co bardziej egoistyczne uczynki dawnej Thesmy. Zdecydowała, że rankiem uda się do miasta, dowie się, jeśli to tylko możliwe, jak opiekować się Ghayrogiem, kupi właściwą żywność i lekarstwa.

Po dłuższej chwili wróciła do chaty. Vismaan leżał, jak go zostawiła, płasko na wznak, z rękami wyciągniętymi nieruchomo po bokach. Miała wrażenie, że wcale się nie poruszył, tylko włosy wiły mu się powoli, rytmicznie. Śpi? Po tym, jak opowiadał jej, że nie potrzebuje snu? Podeszła i spojrzała na dziwną, wielką postać spoczywającą w jej łóżku. Dostrzegła otwarte oczy, Ghayrog wodził za nią spojrzeniem.

-Jak się czujesz? - spytała.

- Niedobrze. Ten marsz przez las był trudniejszy, niż się spodziewałem. Położyła mi dłoń na czole. Twarda jak łuska skóra wydawała się chłodna. Absurdalność tego gestu kazała się jej uśmiechnąć. Jaka jest normalna temperatura ciała Ghayroga? Czy w ogóle może mieć gorączkę? A jeśli tak, to jak ją rozpoznać? Przecież Ghayrogi są gadami, prawda? Czy chore gady mają gorączkę? Nagle cały ten pomysł, ta idea opiekowania się istotą z innego świata, wydała się jej śmieszna.

- Dlaczego dotknęłaś mego czoła?

- Robimy tak z ludźmi, kiedy są chorzy. Żeby sprawdzić, czy mają gorączkę. Nie mam tu żadnych lekarskich instrumentów. Czy wiesz, co mam na myśli, mówiąc o gorączce?

- Nienormalna temperatura ciała. Wiem. Moja jest teraz znacznie podwyższona.

- Czujesz ból?

- Bardzo nieznaczny. Ale mój organizm jest zdezorganizowany. Mogłabyś przynieść mi trochę wody?

- Oczywiście. Nie jesteś głodny? Co jadacie w normalnych warunkach?

- Mięso. Gotowane. Owoce i warzywa. Potrzebuję dużo wody. Przyniosła mu wodę.

Usiadł z trudnością - w ogóle wydawał się

znacznie słabszy niż podczas marszu przez dżunglę, niewątpliwie była to opóźniona

reakcja na kontuzję - i wypił ją trzema wielkimi łykami. Zafascynowana wpatrywała się w błyskawiczne ruchy jego rozwidlonego języka.

-Jeszcze - powiedział, więc ponownie podała mu miseczkę. Worek na wodę był już niemal pusty; wyszła więc i napełniła go w strumieniu. Z pnącz zerwała kilka owoców thokki, przyniosła mu je, a on przytrzymał jeden w wyciągniętej dłoni, jakby tylko w ten sposób potrafił skupić na nim wzrok, po czym obmacał go palcami. Dłonie miał niemal ludzkie, zauważyła Thesma, choć u każdej wyrastał dodatkowy palec i brakowało paznokci, tylko przy dwóch pierwszych kostkach widać było skórzaste zgrubienia.

-Jak się nazywa ten owoc? - spytał.

- Thokka. Rośnie na pnączach wszędzie wokół Narabału. Jeśli będzie ci smakować, mogę ich przynieść, ile tylko zechcesz.

Spróbował thokki z wielką ostrożnością, a potem jego rozwidlony język zaczął poruszać się szybciej; wręcz pożarł owoc i wyciągnął rękę po następny. Dopiero teraz Thesma przypomniała sobie, że owoce thokki uważane są powszechnie za afrodyzjak; spojrzała w bok ukrywając uśmiech i postanowiła nic mu o tym nie mówić. Vismaan nazwał się mężczyzną, więc Ghayrogi najwyraźniej mają pojęcie o różnicy płci, tylko czy robią z tej różnicy jakiś użytek? Nagle okiem wyobraźni dostrzegła męskich Ghayrogów przyskajających spermą z ukrytych narządów do zbiornika, do którego wchodzi żęńskie Ghayrogi i w którym zostają zapłodnione. Skuteczne, ale niezbyt romantyczne, pomyślała, zastanawiając się jednocześnie, czy tak jest u nich rzeczywiście, zapłodnienie na odległość, zupełnie jak u ryb czy u węży.

Przygotowała mu posiłek z owoców thokki, smażonych kalimbotów i wielonogich, delikatnych i bardzo smaczných hiktiganów, które wyłowila siecią ze strumyka. Nie miała już wina, ale ostatnio nauczyła się robić coś w rodzaju sfermentowanego soku z czerwonych

owoców, których nazwy zapomniała, więc dała mu ten sok do picia. Wydawało się, że ma apetyt jak ktoś całkiem zdrowy. Kiedy zjadł, spytała, czy może obejrzeć jego nogę. Zgodził się.

Złamał ją w górnej części - tam, gdzie udo było najgrubsze. Podobna do łuski skóra była sztywna, ale Thesma miała wrażenie, że widzi ślad opuchlizny. Delikatnie położyła na niej palce i nacisnęła. Vismaan syknął, ale w żaden inny sposób nie dał jej odczuć, że sprawiła mu ból. Miała wrażenie, że coś się w jego ciele poruszyło. Końce złamanej kości? Czy Ghayrogi w ogóle mają kości? Tak mało wiem o Ghayrogach, pomyślała rozpaczliwie, o sztuce uzdrawiania, o wszystkim!

- Gdybyś był człowiekiem - powiedziała - użylibyśmy jednego z naszych urządzeń, by obejrzeć miejsce złamania, a potem połączylibyśmy kość i unieruchomili, póki by się nie zrosła. Czy u was postępuje się podobnie?

- Kość zrosnie się sama - odpowiedział. - Połączę jej obie części za pomocą nacisku mięśni, mięśnie unieruchomią ją, póki nie wydobrzeje. Ale przez kilka dni muszę leżeć niemal bez ruchu, inaczej rozejdzie się pod moim ciężarem. Nie przeszkodzi ci, jeśli zostanę tu tak długo?

- Możesz zostać, jak długo zechcesz. Jak długo będziesz potrzebował.

-Jesteś bardzo uprzejma.

-Jutro pójdę do miasta. Muszę uzupełnić zapasy. Czy potrzebujesz czegoś?

- Masz kubiki? Muzykę? Książki?

- Kilka znajdę tutaj. Mogę przynieść więcej.

- Bardzo proszę. Noce są takie długie, a ja muszę teraz leżeć bez ruchu i nie śpię.

Moja rasa uwielbia sztukę i wszelkie rozrywki, rozumiesz?

- Przyniosę, co tylko znajdę - obiecała mu.

Dała mu trzy kubiki: przedstawienie, symfonię i kompozycję kolorystyczną, po czym zabrała się za sprzątanie. Zapadła noc - tu, w pobliżu równika, jak zwykle wczesna. Usłyszała dźwięk padających na liście kropel - na dworze znów lał deszcz. Zazwyczaj czytała, póki nie zrobiło się ciemno, a potem szła spać, lecz tej nocy wszystko było inaczej. W jej łóżku spoczywała tajemnicza gadzia istota, musiała zatem przygotować sobie nowe posłanie na podłodze. Sama rozmowa, pierwsza od tyłu tygodni, sprawiła, że w głowie aż huczało jej od nowych wrażeń. Vismaan wydawał się pochłonięty treścią kubików. Wyszła, nazrywała liści dmuchacza, przyniosła ich tyle, ile zdołała objąć ramionami, wróciła po więcej i rozpostarła je na podłodze przy wejściu do chaty. Potem podeszła do Ghayroga, by zapytać, czy czegoś mu potrzeba; nie odrywając się od oglądanego właśnie kubika, tylko lekko potrząsnął głową. Powiedziała mu więc "dobranoc" i położyła się do zaimprovizowanego naprędce łóżka. Okazało się całkiem wygodne, wygodniejsze niż się spodziewała. Ale sen nie nadchodził. Thesma przewracała się z boku na bok, sztywna i obolała, a obecność obcej istoty, odległej o kilka zaledwie metrów, sprawiała, że jej umysł wydawał się boleśnie pulsować. W dodatku wszędzie unosił się ten zapach - mocny, przenikliwy. Nie czuła go jakoś podczas kolacji, ale teraz, kiedy leżała w ciemności z nerwami wyczulonymi, napiętymi do granic możliwości, był dla niej niczym nieustający dźwięk trąb. Od czasu do czasu siadała i patrzyła w mrok w stronę Vismaana, leżącego cicho i nieruchomo. Jednak w którymś momencie zasnęła głęboko, kiedy bowiem ranek zaczął się od znajomych dźwięków, szumu drzew i śpiewu ptaków, a przez otwór wejściowy wpadł pierwszy promień światła, obudziła się zdezorientowana, jak zwykle ktoś, kto zasnął w obcym miejscu. Minęło kilka chwil, nim przypomniała sobie, kim jest i gdzie się znajduje.

Vismaan przyglądał się jej uważnie.

- Miałaś niespokojną noc. Moja obecność zakłóciła ci odpoczynek.

- Przywyknę. Jak się czujesz?

- Szttywny. Obolały. Ale chyba zaczynam się już regenerować. Czuję, że całe moje ciało pracuje.

Przyniosła mu wodę i miskę owoców, później zaś wyszła w ciepły, mglisty ranek i szybko wykapała się w jeziorze. Kiedy wróciła, panujący w chacie zapach uderzył ją z nową siłą. Kontrast między świeżym powietrzem a kwaśną atmosferą wnętrza był uderzający, ale niebawem znów przestała zdawać sobie z niego sprawę.

Ubierając się powiedziała:

- Nie wrócę z Narabalu przed zmrokiem. Poradzisz tu sobie sam?

- Jeśli zostawisz mi jedzenie i wodę w zasięgu ręki. I coś do czytania.

- Niewiele mam do czytania. Zdobędę więcej. Obawiam się, że czeka cię bardzo nudny dzień.

- Może będę miał jakichś gości?

- Gości!?! - krzyknęła, zaniepokojona. - Kogo? Jakich gości? Tu nikt nie przychodzi!

Masz na myśli jakiegoś Ghayroga, który podróżował z tobą i będzie cię szukał?

- Ależ nie, nie, nikogo ze mną nie było. Myślałem, że może jacyś twoi przyjaciele...

- Nie mam przyjaciół - oznajmiła dobitnie Thesma.

W chwili, kiedy to mówiła, słowa już zabrzmiały głupio w jej uszach - były melodramatyczne, jakby użalała się nad sobą. Ale Vismaan zostawił je bez komentarza, nie dając jej szansy ich odwołania, chcąc więc ukryć zażenowanie zaczęła się pracowicie pakować.

Milczał, póki nie była gotowa do wyjścia, a potem zapytał:

- Czy Narabal jest bardzo piękny?

- Nie widziałeś go?

- Podróżowałem łodem z Til-omon. W Til-omon powiedzieli mi, że Narabal jest bardzo piękny.

- Narabal jest niczym - stwierdziła Thesma. - Rudery. Błotniste ulice. Nic tylko pnącza i pnącza, rozsadzają domy w rok po ich postawieniu. Tak ci powiedzieli w Til-omon? Żartowali sobie. Ludzie z Til-omon nienawidzą Narabalu. Jesteśmy dla nich konkurencją, wiesz? Dwa główne porty w tropikach. Jeśli ktoś w Til-omon powiedział ci, jak piękny jest Narabal, to albo kłamał, albo bawił się twoim kosztem.

- Ale dlaczego?

Thesma wzruszyła ramionami.

-A skąd mam wiedzieć? Może chcieli jak najszybciej się ciebie pozbyć? W każdym razie nie spodziewaj się wiele po Narabalu. Za tysiąc lat pewnie coś z niego będzie, ale na razie to tylko brudne pograniczne miasteczko.

- Mimo wszystko mam nadzieję, że kiedyś je odwiedzę. Czy zabierzesz mnie do Narabalu, kiedy moja noga się wzmocni?

- Oczywiście - powiedziała. - Czemu nie? Ale rozczarujesz się, ręczę ci. A teraz muszę już iść. Chcę dotrzeć tam przed godzinami najgorszego upału.



Idąc rażno w kierunku Narabalu Thesma wyobrażała sobie, jak pewnego dnia wkroczy do miasta z Ghayrogiem u boku. Jak by się to im wszystkim podobało? Czy obrzuciliby kamieniami i błotem ją i Vismaana? Czy ludzie wskazywaliby ich palcami, czy kpiliby i odwracali się, słysząc jej pozdrowienia? Najprawdopodobniej tak. To ta szalona Thesma - mówiliby między sobą. Ściąga nam na głowę obcych, pokazuje się wszędzie z tym wężowatym Ghayrogiem, pewnie robią tam, w dżungli, wszystkie te nienaturalne rzeczy... Tak! Thesma uśmiechnęła się. Zabawnie będzie przejść się po Narabalu z Vismaanem. Wybiorą się tam, gdy tylko jego noga będzie w stanie znieść dłuższą wędrówkę przez dżunglę.

Do miasteczka prowadziła droga, a właściwie niedbale wykarczowana ścieżka, w wielu miejscach zarośnięta, oznaczona wypalonymi na pniach drzew znakami, a z rzadka kupką kamieni. Ale Thesma nauczyła się chodzić po lesie i rzadko kiedy błądziła. Późnym rankiem znalazła się wśród otaczających Narabal plantacji, a wkrótce przed jej oczami rozpostarło się miasteczko, wspinające się na wzgórze niepewnym łukiem i schodzące w stronę morza jego drugim zboczem.

Nie miała pojęcia, dlaczego komukolwiek przyszło do głowy zbudować tu miasto - tak daleko od cywilizacji, na najbardziej wysuniętym na południe cyplu Zimroelu. Wymyślił to Lord Melikand, ten sam Koronal, który zaprosił obcych na Majipoor, by zachęcić ich do kolonizacji zachodniego kontynentu. W czasach Lorda Melikanda na Zimroelu były tylko dwa miasta, całkowicie od siebie odizolowane, prawdziwe geograficzne pomyłki popełnione u początku kolonizacji Majipooru, nim jeszcze stało się jasne, że życie skupi się na innych kontynentach planety. Na północnym zachodzie znajdowało się Pidruid ze swym cudownym klimatem i wspaniałym naturalnym portem, a na wschodnim wybrzeżu był Piliplok, baza

łowców polujących na wędrowne morskie smoki. Ostatnio nad brzegiem wielkiej rzeki pojawiła się także włoska nazwana Ni-moya, a na zachodnim wybrzeżu, na granicy strefy tropików, zaczęto budować Til-omon. Jakież osady wyrastały także w górach, podobno Ghayrogowie budowali swe miasto jakieś tysiąc pięćset kilometrów na wschód od Pidruid. Do nowych osiedli należał także Narabal na wilgotnym, południowym wybrzeżu, położony na cyplu, niemal całkowicie otoczony przez ocean. Kiedy stanęło się na brzegu Kanału Narabal i patrzyło w morze, czuło się ciężar wiedzy o tym, że tysiące mil dżicy, a dalej tysiące mil oceanu, dzielą człowieka od Alhanroelu, na którym znajdowały się prawdziwe miasta. Kiedy Thesma była młodsza, z prawdziwym strachem myślała, iż mieszka tak daleko od centrów cywilizacji, że równie dobrze mogłaby żyć na innej planecie. Kiedy indziej zaś Alhanroel ze swymi pulsującymi życiem metropoliami wydawał się jej miejscem wręcz mitycznym, Narabal zaś był prawdziwym środkiem wszechświata. W życiu nie zobaczy niczego innego, nie miała na to najmniejszej nadziei. Odległości były zbyt wielkie. Jedynym miastem, do którego docierało się bez kłopotu, było Til-omon, a ci, którzy je odwiedzili, twierdzili, że niczym właściwie nie różni się od Narabalu, tylko deszcz pada tam rzadziej, a słońce zawsze stoi na niebie jak wielkie, nudne, bezustannie wpatrzone w człowieka zielone oko.

Oczy wpatrujące się w nią bezustannie były także i w Narabalu. Ludzie gapili się, jakby weszła do miasta nago. Wszyscy ją znali -dziką Thesmę, która uciekła w dżunglę. Uśmiechali się, machali do niej i wypytywali, jak się jej powodzi, a pośród tych trywialnych grzeczności dostrzegła wpatrzone w nią oczy, napięte, wrogie, przesywające; szukały jej duszy, szukały ukrytych prawd o jej życiu. “Dlaczego nami pogardzasz? Czemu od nas uciekłaś? Dlaczego dzielisz swój dom z jakimś obrzydliwym węzem?” A ona uśmiechała się, odmachiwała im, powtarzała: “Miło cię widzieć”, a w duszy odpowiadała oczom: “Nikogo

nie nienawidzę. Musiałam uciec przed sobą. Pomagam Ghayrogowi, bo już pora, bym komuś pomogła, a on akurat znalazł się na mojej drodze”. Ale oni nigdy tego nie rozumieją.

W domu jej matki nie było nikogo. Weszła do swojego dawnego pokoju, napelniła worek książkami i kubikami, wyszperała w apteczce środki, które mogłyby jakoś pomóc Vismaanowi - lekarstwa na opuchliznę, na gorączkę, wzmacniające i inne, wszystkie prawdopodobnie bezużyteczne dla przedstawiciela obcej rasy, ale powiedziała sobie, że warto przecież spróbować. Wędrowała po domu, który wydawał się jej coraz bardziej obcy, choć mieszkała w nim niemal całe życie. Drewniane parkiety zamiast liści... prawdziwe przezroczyste okna... drzwi na zawiasach... czyszczarka, autentyczna mechaniczna czyszczarka z rączkami i guzikami!... Wszystkie te cywilizacyjne gadzety, miliony drobiazgów, które ludzkość wymyśliła wiele tysięcy lat temu na innej planecie, a które ona porzuciła bez wahania, by żyć w dusznej małej chatce, z której ścian wyrastały gałęzie i...

- Thesmo?

Odwróciła się zaskoczona. To była jej siostra Mirifaine, w pewnym sensie bliźniaczka, ta sama twarz, te same długie, szczupłe ręce i nogi, te same proste kasztanowate włosy, lecz dziesięć lat starsza, dziesięć lat dłużej poddawana ciśnieniu przyjętych życiowych wzorów, ciężko pracująca, żona i matka. Widok Mirifaine zawsze przygnębiał Thesmę - jakby widziała w lustrze samą siebie na starość.

- Potrzebowałam paru drobiazgów - wyjaśniła.

- Miałam nadzieję, że zdecydowałaś się wrócić do domu.

- Po co?

Mirifaine miała zamiar jej odpowiedzieć - pewnie znowu tym nudnym kazaniem o normalnym życiu, potrzebie dopasowania się do społeczeństwa, bycia jego użyteczną częścią i tak dalej, i tak dalej - ale Thesma dostrzegła, jak zmienia zdanie, pozostawiając te słowa nie

wypowiedziane. Odezwała się tylko:

- Tęsknimy za tobą, kochanie.
- Robię to, co muszę zrobić. Miło było mi cię widzieć, Mirifaine.
- Nie zostałabyś przynajmniej na noc? Mama wkrótce wróci... taka byłaby szczęśliwa, gdybyś zjadła z nami kolację...
- Czeka mnie jeszcze długa droga powrotna. Nie mogę zostać.
- Świetnie wyglądasz, wiesz? Taka zdrowa, opalona. Zdaje się, że dobrze robi ci to pustelnicze życie, Thesmo.
- Tak. Robi mi bardzo dobrze.
- Nie przeszkadza ci, że mieszkasz samotnie?
- Uwielbiam mieszkać samotnie - stwierdziła i poprawiła wiszący na ramieniu worek.
- A co u ciebie?

Odpowiedziało jej wzruszenie ramion.

- Bez zmian. Może wyjadę na trochę do Til-omon.
- Masz szczęście.
- Tak, chyba tak. Nie miałabym nic przeciwko zrobieniu sobie małych wakacji poza strefą tropików. Holthus pracuje w Til-omon od miesiąca - wielki projekt, budują w górach nowe miasta... domy dla tych obcych, którzy zaczęli do nas przybywać. Chce, żebym odwiedziła go z dziećmi, więc pewnie pojadę...
- Obcych? - spytała Thesma.
- Nic o nich nie wiesz?
- Opowiedz mi.
- No, ci z innych planet, którzy mieszkali na północy i ostatnio zaczęli się tu pojawiać.

Niektórzy wyglądają jak jaszczurki z ludzkimi rękami i nogami, i chcą zakładać w górach

farmy...

- Ghayrogowie?

- Ach, więc o nich słyszałaś? Są i inni, grubi, cali w brodawkach, mają szarą skórę i przypominają żaby. Holthus mówił mi, że w Pidruid zajęli prawie wszystkie rządowe posady, są celnikami, urzędnikami na bazarze i w ogóle... No, tu się też ich ściąga i Holthus twierdzi, że jakaś spółka założona przez ludzi z Til-omon planuje wybudowanie dla nich domów w górach...

- Żeby nie zasmradzali nam wybrzeża?

- Co? No, może... nikt przecież nie wie, jak się do nas dopasują... ale przede wszystkim chodzi o to, że w Narabalu może zabraknąć kwater dla tylu imigrantów i zdaje się, że tak samo jest w Til-omon, więc...

- Tak, rozumiem - powiedziała Thesma. - No, świetnie, pozdrów wszystkich ode mnie. Muszę już wracać. Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawić w Til-omon.

- Thesmo, proszę...

- Prosisz? O co?

- Dlaczego jesteś taka szorstka, taka daleka, taka chłodna? -powiedziała Mirifaine ze smutkiem. - Nie widziałam cię od kilku miesięcy, a ty zaledwie tolerujesz moje pytania, patrzysz na mnie z takim gniewem... Za co się na mnie gniewasz, Thesmo? Czy kiedykolwiek cię zraniłam? Czy kiedykolwiek dałam ci do zrozumienia, że cię nie kochani? A rodzina? Jesteś taka tajemnicza, Thesmo!

Thesma wiedziała, że nie ma najmniejszego sensu jeszcze raz wyjaśniać wszystkiego od początku. Nikt jej nie rozumiał, nikt jej nigdy nie zrozumie, a już z pewnością nie zrozumieją jej ci, którzy powtarzają, jak bardzo ją kochają. Starając się nadać głosowi łagodny ton, powiedziała:

- Nazwij to spóźnionym buntem okresu dojrzewania, Miri. Wszyscy byliście dla mnie zawsze bardzo dobrzy. Ale nic nie układało się tak, jak powinno, i musiałam uciec. -

Czubkami palców musnęła lekko ramię siostry. - Być może wrócę tu pewnego dnia.

- Mam nadzieję.

- Tylko nie spodziewaj się mnie jutro. Pozdrów wszystkich ode mnie.

I Thesma odeszła.

Szła przez miasteczko spieszenie, niepewna siebie, napięta, bojąc się, że natknie się na matkę, na jakichś swoich przyjaciół, a już najbardziej bała się spotkania z którymś z dawnych kochanków -i kiedy tak niemal biegła przed siebie, rozglądała się wokół czujnie jak złodziej, kilka razy skręcając nawet w boczne uliczki, by uniknąć ludzi, których chciała uniknąć.

Wystarczająco wyprowadziło ją z równowagi spotkanie z Mirifaine. Nie zdawała sobie z tego sprawy, dopiero Mirifaine musiała jej uświadomić, ile jest w niej gniewu, ale Miri miała rację

- tak, Thesma nadal czuła w sobie resztki wściekłości. Ci ludzie, ci zwykli szarzy ludzie ze

swoimi zwykłymi szarymi ambicjami, swoimi zwykłymi szarymi obawami, zwykłymi szarymi przesądami, żyjący bez sensu dzień za dniem, ci ludzie doprowadzali ją do

wściekłości! Opanowali Majipoor jak zaraza, wdzierali się w dzikie lasy, patrzyli na wielki,

niemożliwy do przekroczenia ocean, w oszałamiająco pięknych miejscach budowali ohydne

miasteczka z gliny i nigdy nie zadawali pytań o sens tego wszystkiego... To właśnie

wydawało się jej najgorsze - godzili się na wszystko, taką już mieli naturę. Czyżby nigdy nie

spojrzeli w gwiazdy i nie zadali sobie pytania, jaki to ma sens, po co ta inwazja ze Starej

Ziemi, to odtwarzanie macierzystej planety na tysiącach podbitych planet? Czyżby w ogóle

ich to nie obchodziło? A jeśli już o tym mowa, Majipoor równie dobrze mógłby być Starą

Ziemią, tylko że Stara Ziemia jest jałowym, całkowicie wyeksploatowanym i zapomnianym,

zagubionym w przestrzeni okruchem, a Majipoor mimo tysięcy lat ludzkiego osadnictwa

zachował jeszcze swe piękno. Jednak dawno temu Stara Ziemia była bez wątpienia równie piękna jak Majipoor teraz, a za pięć tysięcy lat Majipoor będzie wyglądał jak Ziemia dziś - gdziekolwiek spojrzysz, miasta rozciągające się na setki kilometrów, ruch, brudne rzeki, wymordowane zwierzęta, biedni oszukani Zmiennokształtni, mieszkający gdzieś w rezerwatach, wszystkie błędy powtórzone w tym dziewiczym świecie. Thesma gotowała się z wściekłości tak gwałtownej, że aż ją to zaskoczyło. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, że jej spór ze światem ma aż tak ogromne wymiary. Myślała, że jest on tylko konsekwencją nieszczęśliwych przygód miłosnych, nadwrażliwości i niemożności znalezienia sobie celu w życiu, nie zaś tego dogłębnego rozczarowania dokonaniaami ludzkości, które ją naszło tak nagle. Lecz wściekłość nie ustępowała. Miała ochotę sięgnąć i jednym gestem zepchnąć Narabal do morza. Tego nie była jednak w stanie zrobić, niczego nie może zmienić, nawet na chwilę nie zdoła powstrzymać naporu tego, co oni nazywali cywilizacją, może tylko uciec, uciec do swej dżungli, do splątanych pnączy, mgły i dzikich zwierząt z bagien, uciec z powrotem do chaty, do kulawego Ghayroga, bo choć przecież był on częścią fali zalewającej jej świat, mogła się o niego troszczyć, być może nawet go wyleczyć. Inni przedstawiciele jej rasy nie lubią obcych, a nawet nienawidzą ich, więc użyje Vismaana jako sposobu na odróżnienie się od nich, a poza tym on jej potrzebuje, a jeszcze nikt nigdy jej nie potrzebował. Bolała ją głowa, bolały zastygłe w grymasie mięśnie twarzy. Nagle zdała sobie sprawę, że idzie zgarbiona, jakby wyprostowanie się było dowodem poddania się życiu, którym pogardzała. Po raz kolejny uciekła z Narabalu tak szybko, jak tylko mogła, ale dopiero gdy już od dwóch godzin maszerowała przez dżunglę, kiedy dawno znikł najmniejszy nawet ślad miasteczka, poczuła ulgę. Przystanąła przy jezioru, o którego istnieniu wiedziała wcześniej, zdjęła ubranie i wykapała w jego chłodnej głębi, by splukać z siebie najmniejszy ślad miejskiego kurzu, a potem, z "miejskim" strojem niedbale przewieszonym przez ramię,

radosna i naga, ruszyła dżunglą w stronę swej chaty.



Vismaan leżał w łóżku; miała wrażenie, że podczas jej nieobecności nawet się nie poruszył.

- Lepiej się czujesz? - spytała. - Poradziłeś sobie jakoś beze mnie?

- To był bardzo spokojny dzień - odparł. - Noga chyba spuchła mi jeszcze trochę.

Dotknęła jej delikatnie. Opuchlizna wydawała się większa i drgnął, kiedy ją obmacywała, co mogło oznaczać, że sprawa jest poważna. Twierdził przecież, że Ghayrogowie prawie nie odczuwają bólu. Pomyślała, że może warto byłoby sprowadzić go na kurację do Narabalu... ale Vismaan nie wydawał się szczególnie zaniepokojony, a ona sama wątpiła, czy miejscowi lekarze wiedzą cokolwiek o fizjologii Ghayrogów. A poza tym pragnęła, by pozostał w chacie. Wyciągnęła przyniesione z miasta lekarstwa i dała mu te przeciwko gorączce i stanowi zapalnemu, a potem przygotowała kolację z owoców i warzyw.

Nim zrobiło się całkiem ciemno, sprawdziła zastawione najbliżej od chaty sidła. Znalazła w nich kilka zwierząt: młodego sigimoina i parę mintunów. Z wprawą ukręciła im głowy - kiedyś okropnie to przeżywała, ale nie potrafiła obejść się bez mięsa, a w tej dzicy najwyraźniej nie było nikogo, kto by mógł zrobić to za nią -a następnie oprawiła je i przygotowała do pieczenia. Po rozpaleniu ogniska wróciła do chaty. Vismaan odtwarzał jeden z kubików, które przyniosła, ale oderwał się od niego, gdy tylko weszła.

- Nie powiedziałaś nic o swej wizycie w Narabalu - zauważył.

- Zaraz stamtąd uciekłam. Wzięłam wszystko, czego potrzebujemy, porozmawiałam z siostrą i odeszłam. Byłam zdenerwowana i przygnębiona. Poczułam się lepiej, gdy tylko znalazłam się w dżungli.

- Tak bardzo nienawidzisz tego miasteczka?

- Mam powody. Okropni, nudni ludzie, obrzydliwe niskie, małe domki... -

Potrząsnęła głową. - Och, prawda, siostra powiedziała mi, że w górach budują jakieś nowe osiedla dla zaświatowców, bo tylu ich ruszyło na południe. Głównie Ghayrogowie, ale są też inni, z brodawkami, o szarej skórze...

- Hjortowie - powiedział Vismaan.

- Nieważne. Powiedziała, że lubią pracować jako celnicy. Buduje się im osiedla w głębi lądu, chyba dlatego, że nikt ich nie chce w Til-omon i Narabalu.

- Nie czułem, że ludzie mnie odrzucają - stwierdził Ghayrog.

- Doprawdy? Może po prostu tego nie zauważyłeś? Moim zdaniem na Majipoorze jest mnóstwo uprzedzeń.

- Nie wydaje mi się to takie oczywiste. Oczywiście, nigdy nie byłem w Narabalu; może tu ludzie myślą inaczej. Z pewnością na północy nie ma żadnych kłopotów. Nie byłeś na północy?

-Nie.

- Ludzie w Pidruid powitali nas bardzo serdecznie.

- Naprawdę? Słyszałam, że Ghayrogowie budują sobie miasto, ładny kawałek drogi na wschód od Pidruid, nad Wielkim Kanionem. Jeśli wszystko tam układało się tak cudownie, to czemu osiedlacie się gdzie indziej?

- To my nie czujemy się najlepiej wśród ludzi - powiedział spokojnie Vismaan. -

Żyjemy innym rytmem. Weźmy na przykład sen. Trudno nam mieszkać w mieście, w którym na osiem godzin zamiera życie, kiedy my w tym czasie czuwamy. Są także inne różnice.

Więc budujemy Dulorn. Mam nadzieję, że pewnego dnia je odwiedzisz. To cudownie piękne miasto, całe zbudowane z białego kamienia świecącego wewnętrznym blaskiem.

Jesteśmy z niego bardzo dumni.

- Więc czemu tam się nie osiedliłeś?

- Czy kolacja się przypadkiem nie przypalała? - spytał. Poczerwieniała i wybiegła;

ledwie zdążyła zdjąć mięso z rożna.

Pocięła je i podała wraz z owocami thokki i winem, które kupiła w Narabal. Cały czas sprawiała wrażenie ponurej i obrażonej. Vismaan, nieco niezdarnie, usiadł i zabrał się do jedzenia. Po dłuższej chwili powiedział:

- Przez wiele lat mieszkałem w Dulornie. Ale to prawie pustynia, a ja na swojej planecie żyłem w miejscu ciepłym i wilgotnym, jak Narabal. Więc przyjechałem tutaj, szukając żyznej ziemi. Moi dalecy przodkowie byli farmerami, postanowiłem pójść w ich ślady. Kiedy usłyszałem, że w tropikalnej strefie Majipooru zbiera się plony sześć razy do roku, że nie brakuje nie zajętej ziemi, postanowiłem zobaczyć to na własne oczy.

-Jesteś sam?

- Tak. Nie mam towarzyszy, choć z pewnością znajdę jakąś, gdy tylko się osiedlę.

- Będziesz uprawiał zboża i sprzedawał je w Narabalu?

- Tak to sobie zaplanowałem. Na mojej rodzinnej planecie nie ma już prawie ziemi uprawnej. Większość żywności importujemy. Majipoor jest dla nas bardzo atrakcyjny - taka wielka planeta, bardzo rzadko zaludniona, mnóstwo dziewiczych terenów nadających się pod uprawę. Jestem bardzo szczęśliwy, że się tu znalazłem. Moim zdaniem mylisz się twierdząc, że ludzie nas tu nie chcą. Wy, mieszkańcy Majipooru, jesteście łagodnym i spokojnym ludem, cywilizowanym, szanującym prawa, lubiącym porządek.

- Być może, ale gdyby ktokolwiek wiedział, że mieszkam tu z Ghayrogiem, byłby zaszokowany.

- Zaszokowany? Czemu?

- Ponieważ jesteś obcy. Ponieważ jesteś gadem. Vismaan parsknął dziwnie. Czy to był śmiech?

- Nie jesteśmy gadami! Jesteśmy ciepłokrwieńcami, wychowujemy młode...  
- Więc jesteście podobni do gadów. Przypominacie gady.  
- Być może, z wyglądu. Ale twierdzę, że jesteśmy niemal równie dobrymi ssakami jak ty.

- Niemal?

-Jedyna różnica, to że składamy jaja. Ale są też ssaki, które tak się rozmnażają.

Popelniasz wielki błąd, jeśli...

- To nie ma żadnego znaczenia. Ludzie uważają was za gady, a my nie czujemy się najlepiej w towarzystwie gadów, więc stosunki między ludźmi i Ghayrogami nigdy nie ułożą się dobrze - właśnie z tego powodu. To tradycyjna niechęć wywodząca się jeszcze z prehistorycznych czasów na Starej Ziemi. A poza tym... - powstrzymała się w ostatniej chwili; właśnie miała wspomnieć o jego zapachu -...poza tym - skończyła niezręcznie - wyglądasz przerażająco.

- Bardziej przerażająco niż wielki włochaty Skandar? Bardziej przerażająco niż dwugłowy Su-suher?

Vismaan obrócił się i spojrzał na nią swymi niesamowitymi oczami bez powiek.

- Mam wrażenie, iż mówisz mi, że ty sama nie czujesz się dobrze w towarzystwie Ghayroga, Thesmo.

- Ależ nic takiego!

- Nigdy nie spotkałem się z dowodem uprzedzeń, o których wspomniałaś. Dziś po raz pierwszy usłyszałem o tym, że istnieją. Czy niepokoję cię, Thesmo? Czy powinienem odejść?

- Nie, nie! Źle mnie zrozumiałeś. Chcę, żebyś tu został. Chcę ci pomóc. Nie boję się ciebie, nie czuję niechęci, żadnych negatywnych emocji. Chciałam ci tylko opowiedzieć...

chciałam ci wyjaśnić, jacy są ludzie w Narabalu, co czują albo co sądzą, że czują... - Wypiła

wielki łyk wina. - Nie wiem, jak doszło do tej rozmowy. Przepraszam. Wolałabym porozmawiać o czymś innym.

- Oczywiście.

Miała jednak wrażenie, że go zraniła, a w każdym razie sprawiła mu przykrość. Na swój chłodny, nieludzki sposób wydawał się bardzo wrażliwy. Może nawet miał rację, może dała wyraz swoim uprzedzeniom, swoim niepokojom. Nie umiała współżyć z ludźmi. Najprawdopodobniej nie umiem współżyć z nikim, pomyślała, ani z człowiekiem, ani z obcym. Zapewne nieświadomie na wiele sposobów dała do zrozumienia Vismaanowi, że jej gościnność to świadomy akt woli, że jest sztuczna, wymuszona, ukrywająca niechęć, jaką budziła w niej jego obecność. Czy było tak rzeczywiście? Wyglądało na to, że im robiła się starsza, tym gorzej rozumiała motywy swych działań. Lecz niezależnie od tego, gdzie leżała prawda, Thesma nie chciała, by Vismaan czuł się w jej domu jak intruz. Zdecydowała, że w ciągu najbliższych dni okaże mu w jakiś sposób, iż to, że przyjęła go do siebie i postanowiła się nim opiekować, nie było jakąś powierzchowną zachcianką.

Tej nocy spała lepiej niż poprzedniej, choć nie przyzwyczała się jeszcze do snu na podłodze, na liściach dmuchacza, a także do tego, że w jej domu mieszka ktoś obcy, więc budziła się co kilka godzin. A kiedy się budziła, patrzyła na Ghayroga i za każdym razem widziała, jak pogrążony jest bez reszty w studiowaniu zawartości któregoś z kubików. Nie zwracał na nią uwagi. Zastanawiała się, jak to jest - spać bez przerwy przez trzy miesiące, a resztę roku spędzać aktywnie. Pomyślała, że to właśnie wydaje się w nim najbardziej obce. Jak to jest, leżeć nieruchomo, nie móc spać, nie móc wstać, czuć cały czas niewygodę związane z raną, używać każdego możliwego sposobu zabicia czasu - niewiele tortur wydawało się jej gorszych od takiego życia. A jednak Vismaan nie narzekał, przez cały czas był spokojny, cichy, uprzejmy. Czy wszyscy Ghayrogowie są właśnie tacy? Czy nigdy się nie

upijają, nie tracą cierpliwości, nie wdają w uliczne bójki, nie skarżą na los, nie kłócą z towarzyszkami czy towarzyszami życia? Jeśli Vismaan jest typowym przedstawicielem swego gatunku, to brak im ludzkich słabości. Ale, przypomniawszy sobie Thesma, Ghayrogowie nie są przecież ludźmi.

Rano umyła Vismaana gąbką, aż jego łuski błyszcząły, a także zmieniła mu posłanie. Nakarmiła go, po czym na cały dzień poszła jak zwykle do lasu, ale czuła się winna spacerując samotnie, podczas gdy on leżał unieruchomiony w chacie. Zastanawiała się nawet, czy nie powinna raczej zostać przy nim - opowiadać mu jakieś ciekawe historie, wciągać go w rozmowę, bronić przed nudą. Lecz wiedziała doskonale, że gdyby nie rozstawali się ani na chwilę, szybko wyczerpaliby wspólne tematy i najprawdopodobniej zaczęliby działać sobie na nerwy, a tak przynajmniej przed nudą chroniło go kilkanaście kubików. Być może wołał nawet, by pozostawiała go w samotności, kiedy to tylko możliwe. W każdym razie ona sama potrzebowała samotności, zwłaszcza teraz, kiedy ktoś z nią wreszcie zamieszkał, więc wybrała się na długą wyprawę, zbierając po drodze korzenie i owoce na kolację. W południe padało; przykucnęła pod drzewem yramma, którego szerokie liście doskonale ją osłoniły. Siedziała nie przyglądając się niczemu szczególnemu, opróżniła umysł z wszelkiego poczucia winy, wątpliwości, wspomnień i strachów; nie myślała o Ghayrogu, o rodzime, o byłych kochankach, o nieszczęściach, o samotności. Spokój, który ogarnął ją całą, przetrwał aż do późnego popołudnia.

Przyzwyczajała się do tego, że Vismaan z nią mieszka. Nadal był bardzo spokojny, nadal nie wymagał niczego, nadal zajmował się głównie kubikami i bardzo cierpliwie znosił konieczność pozostawania nieruchomo w łóżku. Rzadko pytał ją o coś lub zaczynał rozmowę, ale kiedy to ona odezwała się do niego, był przyjacielski i chętnie opowiadał o swym rodzinnym świecie - szarym i straszliwie przeludnionym, jak wynikało z jego opowieści - i o swoim życiu tutaj, o marzeniach, by osiedlić się na Majipoorze, o podnieceniu, kiedy po raz pierwszy ujrzał piękno planety, o której śnił. Thesma próbowała wyobrazić sobie, jak okazuje podniecenie. Może jego wężowe włosy zamiast więc się powoli zaczynają drgać? A może

wyraża uczucia zmianą zapachu?

Czwartego dnia po raz pierwszy wstał z łóżka. Wyprostował się, oparty o Thesmę, stanął na zdrowej nodze podparty kulą i z wahaniem dotknął ziemi drugą nogą. Poczwała, jak jego woń staje się ostrzejsza - coś w rodzaju zapachowego skrzywienia - i zdecydowała, że jej teoria musi być słuszna. Ghayrogowie wyrażają uczucia zmianą zapachu.

- No i jak? - spytała. - Noga wyzdrowiała?

- Nie utrzyma jeszcze ciężaru ciała, ale proces zrastania kości przebiega prawidłowo.

Za kilka dni pewnie będę mógł już na niej stanąć. Proszę, pomóż mi zrobić kilka kroków.

Ciało mi zeszywniało od tego leżenia!

Oparł się na niej; wyszli na dwór, przeszli do jeziora i z powrotem. Kuśtykał powoli, z wahaniem, lecz ten kroki spacer najwyraźniej bardzo go odświeżył. Thesma ze zdumieniem stwierdziła, że zasmucił ją fakt, iż tak szybko dochodzi do zdrowia, oznaczało to bowiem, że wkrótce - za tydzień czy dwa tygodnie - będzie już wystarczająco silny, by odejść. A ona nie chciała, żeby ją opuścił. Myśl ta wydała się jej tak dziwna, że aż niewiarygodna. Tęskniła za swym dawnym, samotnym życiem, za wygodą spania we własnym łóżku, za wyprawami do lasu, podczas których nie musiałyby się martwić, czy gość nie nudzi się pod jej nieobecność i tak dalej. Pod pewnymi względami obecność Ghayroga irytowała ją coraz bardziej. A jednak... jednak czuła się smutna i niespokojna, bo Vismaan miał wkrótce pójść swoją drogą. Jakie to dziwne, pomyślała, jak bardzo to podobne do tej dziwaczki Thesmy.

Zabierała go na spacer kilka razy dziennie. Nadal nie mdgł opierać się na złamanej nodze, ale o kuli chodził coraz zręczniejszy, twierdził też, że opuchlizna znika i że kość najwyraźniej zrasta się prawidłowo. Zaczął mówić o swej farmie i o tym, jak ją zorganizuje, co będzie uprawiał, jak wykarczkuje dżunglę.

Pewnego popołudnia, pod koniec ich pierwszego wspólnego tygodnia, wracając z



wyprawy po kalimboty Thesma zatrzymała się, chcąc sprawdzić sidła zastawione na łące, na której w swoim czasie znalazła Ghayroga. Większość pułapek była pusta, w inne złapały się, jak zwykle, niewielkie stworzenia, ale w jednym z dołów niedaleko jeziora coś szarpało się bardzo gwałtownie. Kiedy zbliżyła się do pułapki, odkryła, że udało się jej złapać bilantoona - największe zwierzę, jakie kiedykolwiek wpadło w jej sidła. Bilantoony zamieszkiwały całą zachodnią część Zimroelu - wdzięczne, poruszające się błyskawicznie, niewielkie stworzenia o ostrych kopytkach, smukłych nogach, krótkich, uniesionych, puchatych ogonkach - lecz gatunek spotykany w okolicach Narabalu był olbrzymi, dwukrotnie większy od znacznie popularniejszego, spotykanego na północy. Jego przedstawiciele dorastali dorosłemu mężczyźnie do pasa, a ich mięso, delikatne i wonne, było bardzo wysoko cenione. Pierwszym odruchem Thesmy było uwolnić to śliczne zwierzę; wydawało się jej zbyt piękne, by pozbawić je życia - no i, oczywiście, zbyt duże. Nauczyła się już zabijać zwierzęta, które mogła podnieść jedną ręką, ale to przecież zupełnie inna sprawa: bilantoon był wielki, inteligentny, o szlachetnym wyglądzie, z pewnością bardzo pragnął żyć, miał jakieś nadzieje i pragnienia, a może też czekającą gdzieś na niego towarzyszkę? Thesma wytłumaczyła sobie jednak, że to głupota. Drole, mintuny i sigimoiny najprawdopodobniej także bardzo chciały żyć, co najmniej tak bardzo jak ten bilantoon, a jednak zabijała je bez wahania. Wiedziała również, że nie można traktować zwierząt tak jak ludzi - zwłaszcza gdy było się kiedyś osobą cywilizowaną i z chęcią jadło mięso zwierząt zabitych przez kogoś innego. Myśl o samotnej towarzysze jakiegoś bilantoona nie odbierała jej wówczas apetytu.

Kiedy podeszła bliżej, stwierdziła, że przerażony bilantoon złamał jedną z delikatnych nóg. Przez chwilę pragnęła wyleczyć ją i zatrzymać go przy sobie, lecz ten pomysł wydał się jej jeszcze bardziej nonsensowny. Nie może przecież adoptować każdego biednego kaleki, którego znajdzie w dżungli. Bilantoon nigdy nie uspokoi się, na czas wystarczająco długi, by

mogła obejrzeć mu nogę, a jeśli nawet jakimś cudem udałoby się jej go wyleczyć, to i tak uciekłby z pewnością przy pierwszej okazji. Wstrzymując oddech podeszła więc do niego od tyłu, chwyciła za miękki pysk i skręciła mu długą, pełną wdzięku szyję.

Oprawienie go okazało się pracą trudniejszą i bardziej krwawą, niż oczekiwała.

Zaciskając zęby patroszyła go, jak się jej zdawało, całymi godzinami. Vismaan zawołał wreszcie z chaty pytając, co właściwie robi.

- Przygotowuję kolację! - odkrzyknęła.

- Niespodzianka! Królewskie danie, pieczony bilantoon!

Zachichotała cicho. Gdy tak klęczała, naga, od stóp do głów wysmarowana krwią, tnąc żebra i wnętrzności, pomyślała, że do leżącego w jej łóżku, czekającego na kolację gada odezwała się jak dobra, posłuszna żona.

W końcu było już po wszystkim, obrzydliwa praca została zakończona, mięso piekło się nad dymiącym ogniskiem; wykąpała się więc w jeziorku i zajęła zbieraniem thokki, gotowaniem korzeni ghumba i otwieraniem butelek młodego narabalskiego wina, które jej jeszcze zostały. Kolacja była gotowa o zmroku, a Thesma czuła wyjątkową dumę z powodu swych osiągnięć.

Spodziewała się, że Vismaan zje bez komentarzy, na swój zwykły flegmatyczny sposób, lecz nie - wydawało się jej, że po raz pierwszy rozpoznała ślad uczucia w wyrazie jego twarzy. Może oko mu zabłysło, może rozwidlony język poruszał się w innym rytmie? Pomyślała, że pewnie z czasem coraz łatwiej potrafi dostrzec takie zmiany. W każdym razie Ghayrog łapczywie pożerał bilantoon, chwalił delikatność mięsa i jego smak, raz po raz prosząc o dokładkę. Ilekroć dokładała mu, dokładała i sobie, aż nic już nie mogła zmieścić; otepiała z przejedzenia jadła dalej, tłumacząc sobie że to, czego nie zjedzą, i tak zepsuje się do rana.

- Do mięsa najlepsza jest thokka - stwierdziła, wrzucając do ust kolejny biało-niebieski owoc.

- Tak. Ja też poproszę.

Spokojnie i powoli jadł wszystko, co przed nim postawiła. Thesma dotarła w końcu do kresu swych możliwości, nie potrafiła już nawet patrzeć na jedzącego Vismaana. Przysunęła mu wszystko, co pozostało, wypiała reszkę wina i roześmiała się, kiedy kilka kropel ściekło jej po brodzie na piersi. Padła na swe posłanie z liści. Kręciło się jej w głowie. Leżała na brzuchu, z palcami wbitymi w ziemię, słuchając odgłosów gryzienia i żucia wciąż dobiegających z bliska. W końcu nawet Ghayrog się najadł i wszystko ucichło. Thesma czekała na sen, ale sen nie nadchodził, tylko coraz bardziej wirowało jej w głowie, aż zaczęła się obawiać, że w końcu potężna siła odśrodkowa przez ścianę chaty wyrzuci ją w dżunglę. Jej ciało wydawało się płonąć, sutki miała twarde, nadwrażliwe. O wiele za dużo wypiałam, pomyślała, i zjadłam za wiele thokki razem z nasionami, wtedy działają najmocniej. Było tego przynajmniej kilkanaście owoców, ich sok rozpałał krew krążącą w jej żyłach. Nie chciała spać sama, na podłodze.

Z przesadną ostrożnością uklękła, złapała równowagę i z wolna popełzła do łóżka.

Spojrzała w kierunku Ghayroga, ale obraz był zamazany, widziała tylko niewyraźny zarys jego ciała.

- Śpisz? - szepnęła.

- Przecież wiesz, że nie mogę spać.

- Oczywiście. Jestem taka głupia.

- Czy stało się coś złego, Thesmo?

- Złego? Nie, nic złego się nie stało. No... tylko... - zawahała się - upiłam się, rozumiesz? Czy wiesz, co to znaczy upić się?

-Tak.

- Nie chcę spać na podłodze. Czy mogę położyć się obok ciebie? -Jeśli tego chcesz?

- Muszę być bardzo ostrożna. Nie chcę urazić twojej złamanej nogi. Pokaż mi, która to.

-Już niemal się zrosła, Thesmo. Nie obawiaj się. No, już. Możesz się położyć.

Dłoń zamknęła się na jej nadgarstku; Vismaan pociągnął ją mocno. Pozwoliła się unieść i ułożyć u jego boku. Na ciele, od piersi do bioder, poczuła nacisk jego dziwnej, sztywnej jak skorupa skóry, chłodnej i gładkiej. Nieśmiało przesunęła po niej dłonią. Jak jakaś ekskluzywna torebka, pomyślała naciskając ją palcami; pod twardą powierzchnią wyczuła mocne mięśnie. Jego zapach zmienił się na ostry, przenikliwy.

- Lubię, kiedy tak pachniesz - powiedziała.

Położyła mu głowę na piersi, przyłgnęła do niego mocno. Nie miała nikogo w łóżku od miesięcy, niemal od roku; dobrze było czuć go tak blisko. Dobrze jest czuć kogoś tak blisko, pomyślała, nawet Ghayroga. Wystarczy kontakt, bliskość. To takie miłe.

Dotknął jej.

Tego się nie spodziewała. Stałą cechą ich wzajemnych stosunków było przecież to, że ona o niego dba, a on obojętnie przyjmuje jej troskę. A tu nagle jego dłoń - chłodna, twarda, gładka - przesunęła się po jej ciele. Delikatnie dotknęła piersi, posunęła się w dół po brzuchu, zatrzymała na udach. Czy to właśnie to? Czy będzie się z nią kochać? Pomyślała o jego gładkim ciele, przypominającym maszynę. Nadal ją gładził. Jakie to dziwne, pomyślała.

Nawet biorąc pod uwagę, że przytrafiło się to Thesmie - powiedziała do siebie -to jednak bardzo dziwna rzecz. Nie jest człowiekiem. A ja... Jestem tak samotna... Jestem tak pijana...

- Tak, proszę - szepnęła. - Proszę.

Myślała, że nadal będzie ją tylko gładził. Ale on objął ją pod ramiona i podniósł;

łagodnie, bez wysiłku, umieścił na sobie, opuścił delikatnie; na udzie poczuła dotyk twardej męskości. Co? Czyżby gdzieś, pod łuskami ukrywał członek i wysuwał go w miarę potrzeby? Czyżby miał zamiar...

Tak!

Najwyraźniej wiedział, co robić. Może i był przedstawicielem obcej rasy, niepewnym przy pierwszym spotkaniu, czy ma do czynienia z mężczyzną czy z kobietą, ale mimo to najwyraźniej pojmował teorię ludzkich kontaktów seksualnych. Na moment, gdy już w nią wchodził, Thesma przestraszyła się, poczuła szok i obrzydzenie, pomyślała, że ją zboli, że to coś groteskowego, coś potwornego, stosunek człowieka z Ghayrogiem - coś, co pewnie nie zdarzyło się jeszcze w historii wszechświata. Zapragnęła uwolnić się, uciec w noc, lecz była zbyt pijana, zbyt kręciło się jej w głowie, nie mogła się nawet poruszyć... i nagle zdała sobie sprawę, że to wcale nie boli, że Vismaan wślizguje się w nią i wyslizguje z niej jak jakaś potężna, niezmordowana maszyna; poczuła, jak całe jej ciało ogarnia narodziła pomiędzy udami rozkosz, a ona drży, szłocha, jęczy, przytula się do jego gładkiego, twardego ciała...

Pozwoliła, by to się stało, krzyknęła ostro w chwili największej rozkoszy, a potem leżała skulona, z głową na jego piersi, drząc, jęcząc cichutko, uspokajając się powoli. Wytrzeźwiała. Wiedziała, co się przed chwilą zdarzyło; zdumiewało ją to, ale jeszcze bardziej bawiło. I co na to powiesz, Narabalu! Mam kochanka Ghayroga. Sprawił mi tak wielką, tak niedościgłą rozkosz. A czy on miał z tego jakąś przyjemność? Nie ośmieliła się zapytać. Jak stwierdzić, czy Ghayrog miał orgazm? Czy oni w ogóle mają orgazmy? Czy zrozumiałby to pojęcie? Zastanawiała się, czy kochał się kiedyś z ludzką kobietą. O to także nie ośmieliła się zapytać. Zrobił to tak dobrze - nie to, że szczególnie wymyślnie, ale nie miał wątpliwości, co należy uczynić i wykonał to pewniej od wielu mężczyzn, których znała. Czy jednak udało mu

się to dlatego, że miał już do czynienia z ludźmi, czy też dlatego, że jego chłodny, analityczny umysł z łatwością przeanalizował konieczności natury anatomicznej, nie wiedziała - i wątpiła, czy dowie się kiedykolwiek.

Milczała. Tuląc się do Vismaana zapadła w końcu w sen - głębszy, niż zdarzało się to w ciągu wielu ostatnich tygodni.

Rano czuła się dziwnie, ale nie żałowała niczego. Nie rozmawiali o tym, co zdarzyło się w nocy. Vismaan odtwarzał swoje kubiki, ona poszła rankiem wziąć kąpiel, co zmniejszyło nieco dokuczliwy ból głowy, a potem posprzątała resztki bilantona, zrobiła im śniadanie, poszła na długi spacer w kierunku północnym, do małej zarośniętej mchem jaskini, i przesiadła w niej niemal do południa, wspominając dotyk jego ciała na swoim ciele, jego dłoń na swych udach i dziki spazm rozkoszy, którego doświadczyła. Nie, nie w tym rzecz, by uznała go za atrakcyjnego w jakimkolwiek sensie tego słowa. Rozwidlony język, włosy jak żywe węże, ciało pokryte łuską... nie, nie, nie... To, co zdarzyło się w nocy nie miało nic wspólnego z pociąganiem fizycznym - zdecydowała. Więc czemu w ogóle się zdarzyło? Wino i thokka - powiedziała sobie - i samotność, i gotowość, by na każdym kroku buntować się przeciw konwencjonalnym wartościom, czczonym przez obywateli Narabalu. Oddać się Ghayrogowi było najwspanialszym sposobem, by okazać pogardę temu, w co wierzyli ci ludzie. Lecz, oczywiście, ten akt buntu nie będzie miał najmniejszego znaczenia, póki ludzie się o nim nie dowiedzą. Zdecydowała więc, że zabierze Vismaana do Narabalu, gdy tylko będzie zdolny dotrzeć tam o własnych siłach.

Dzielili łóżko każdej nocy - spać dalej na ziemi wydawało się jej nonsensem - lecz nie kochali się ani drugiej, ani trzeciej, ani czwartej; leżeli obok siebie nawet się nie dotykając, nawet nie rozmawiając. Thesma gotowa była oddać się mu, gdyby po nią sięgnął, lecz on tego nie zrobił, a ona nie chciała przejąć inicjatywy. Zapanowało żenujące ją milczenie, które bała się przerwać z obawy przed usłyszeniem czegoś, czego nie chciałyby usłyszeć - że nie spodobał mu się tamten miłosny akt, że uznał go za obsceniczny i nienaturalny, że zrobił to, bo mu się narzuciła, albo że zdał sobie sprawę, iż Thesma tak naprawdę wcale go nie pożąda, lecz używa go jako broni w walce z konwenansami. Pod koniec tygodnia, uginając się pod

ciężarem niepewności, Thesma przytuliła się do niego, gdy tylko znalazła się w łóżku, dbając oczywiście, by sprawiało to wrażenie czegoś najzupełniej przypadkowego, a on objął ją chętnie i swobodnie, bez wahania zamykając ją w uścisku. Po tym kochali się w niektóre noce, a w inne nie i było to zawsze coś przypadkowego, spontanicznego, zwykłego, niemal trywialnego - coś, co robiło się przed zaśnięciem, coś pozbawionego tajemnicy i magii. Za każdym razem odczuwała wielką rozkosz. Wkrótce przestała zwracać uwagę na obcość, inność jego ciała.

Vismaan poruszał się już bez kuli, z dnia na dzień spacerował coraz dalej i dalej.

Najpierw z Thesma, a potem sam, szukał w dżungli nowych ścieżek, chodząc najpierw ostrożnie, a potem coraz śmielej, prawie już nie kulejąc. Pływanie najwyraźniej dobrze mu robiło, bowiem godzinami chlapał się w jezioru Thesmy, strasznie denerwując gromwarka, mieszkającego w błocie przy brzegu. Powolne, leciwe już stworzenie widząc go wyłaziło z ukrycia i układało się na brzegu, nieruchome jak jakiś stary, porwany, porzucony worek; przyglądało się Ghayrogowi ponuro i nie wracało do wody, póki ten nie skończył pływać.

Thesma próbowała wynagrodzić mu niewygody młodymi zielonymi roślinkami, zbieranymi w górze strumienia, daleko poza zasięgiem jego małych, wyposażonych w przyssawki nóżek.

- Kiedy zabierzesz mnie do Narabalu? - spytał ją Vismaan pewnego deszczowego wieczoru.

- Może jutro? - rzuciła.

Ruszyli o świcie. Drobnutki deszczyk wkrótce przestał padać, pogoda zrobiła się

piękna. Początkowo Thesma szła powoli, lecz wkrótce doszła do przekonania, że Ghayrog

jest już najzupełniej zdrowy i przyspieszyła kroku. Vismaan szedł obok niej, nie mając

najmniejszych kłopotów z utrzymaniem tempa. Mówiła do niego szybko, bez przerwy -

wymieniała nazwy roślin i napotykanych po drodze zwierząt, opowiadała fragmenty historii



miasteczka, mówiła

O braciach, siostrach i ludziach, których znała. Tak bardzo chciała, by zobaczyli ich oboje - patrzcie, to mój kochanek z dalekiej planety, to jest ten Ghayrog, z którym sypiam! - więc kiedy znaleźli się wśród otaczających miasteczko farm, pilnie rozglądała się wokół, spodziewając się spotkać kogoś znajomego, ale na polach nie było prawie nikogo, a ludzi, których widziała, nie znała.

- Widzisz, jak się na nas gapią? - szepnęła, kiedy znaleźli się na gęściej zabudowanej ulicy. - Boją się ciebie. Myślą, że stanowisz przednią straż jakiejś inwazji obcych. I zastanawiają się, co ja z tobą robię, dlaczego traktuję cię jak kogoś równego sobie.

- Wcale tego nie widzę - stwierdził Vismaan. - Tak, są mną zaciekawieni, oczywiście, ale nie odczuwam strachu ani wrogości. Czy to dlatego, że nie potrafię interpretować wyrazu ludzkiej twarzy? A ja myślałem, że nauczyłem się już tego dość dobrze!

- Tylko zaczekaj - powiedziała mu Thesma, ale musiała przyznać sama przed sobą, że przesadziła troszkę, a może nawet bardziej niż troszkę. Znaleźli się już niemal w centrum Narabalu, niektórzy ludzie przyglądali się Vismaanowi. Zaskoczeni i zainteresowani -tak, ale wzrok im szybko łagodniał, a inni po prostu kiwali głowami

I uśmiechali się, jakby było rzeczą najzwyczajszą w świecie, że jakiś obcy z innej planety wędruje uliczkami ich miasteczka. Prawdziwej wrogości nie odkryła ani za grosz i to ją zezłościło. Ci łagodni, mili ludzie, ci zwykli, sympatyczni ludzie nie mieli zamiaru reagować tak, jak się spodziewała. Nawet kiedy w końcu spotkała znajomych: Khanidora, najlepszego przyjaciela swego najstarszego brata, Hennimota Sibroya, właściciela niewielkiej gospody na nabrzeżu i kobietę z kwiaciarni, wszyscy zareagowali bardzo serdecznie, kiedy Thesma oznajmiła im:

- To Vismaan. Mieszka ze mną od jakiegoś czasu.

Khanidor uśmiechnął się, jakby nigdy nie miał wątpliwości, że Thesma należy do tego rodzaju ludzi, którzy muszą zamieszkać z przedstawicielem obcej rasy, po czym poruszył temat nowych osiedli dla Ghayrogów i Hjortów, które planował zbudować mąż Mirifaine. Szynkarz jowialnie uścisnął dłoń Vismaana i zaprosił go na szklaneczkę (na koszt firmy), a kwiaciarka powtarzała tylko Jakie to ciekawe! Jakie to ciekawe! Mamy nadzieję, że podoba się panu nasze miasteczko!” Thesma poczuła się poniżona ich serdecznością. Miała wrażenie, że zachowują się nienaturalnie, byle tylko nie dać po sobie poznać, że ich zaszokowała, jak gdyby uważali, że Thesma ma całkowite prawo do dzikich zachowań i jakby nic, co robi, nie mogło ich zdziwić - przyjmą wszystko bez problemu, bez komentarza, jako coś najzupełniej zwyczajnego. Być może nie rozumieli natury ich związku, brali Ghayroga za jej lokatora? Czy zareagowaliby tak, jak tego pragnęła, gdyby powiedziała im wprost, że są kochankami, że jego ciało było w jej ciele, że robili to, co jest nie do pomyślenia między człowiekiem a obcym? Prawdopodobnie nie. Prawdopodobnie gdybyśmy nawet kochali się na ziemi na Placu Pontifexa, nikt by się szczególnie nie zgorszył, pomyślała wściekła.

Czy Vismaanowi spodobało się ich miasteczko? Jak zawsze trudno było wyczuć jego reakcję emocjonalną. Szli uliczką, skręcali w inną uliczkę, mijali przypadkowo rozplanowane place, nędzne sklepiki i małe domki na zboczach wzgórz, każdy z zarośniętym ogrodem, a Vismaan milczał. Wyczuła w tym jego milczeniu rozczarowanie i niechęć, i choć sama nie lubiła Narabalu, miała teraz ochotę go bronić. W końcu miasteczko jest jeszcze młode, jest osiedlem na dalekim krańcu drugorzędnego kontynentu, jego mieszkańcy żyją tu dopiero od kilku pokoleń.

- Co o tym myślisz? - spytała w końcu. - Niezbyt ci się tu spodobało, prawda?

- Ostrzegałaś mnie, że bym nie spodziewał się zbyt wiele. - Jest jeszcze gorzej niż mówiłam, prawda?

- Narabal jest mały. Taki zwykły. Kiedy widziało się Pidruid lub choćby...

- Pidruid liczy sobie tysiące lat!

- ...Dulorn - mówił dalej. - Dulorn jest wyjątkowo piękny nawet teraz, choć dopiero zaczęliśmy go budować. Ale, oczywiście, kamień, którego tam używamy...

- Tak, oczywiście. Narabal także powinniśmy budować z kamienia, bo klimat tu jest tak wilgotny, że drewniane domy po prostu się rozpadają, ale na to nie mieliśmy jeszcze czasu. Kiedy liczba ludności się zwiększy, utworzymy kamieniołomy w górach i wybudujemy tu coś pięknego - za pięćdziesiąt lat, za sto, jeśli będziemy mieli odpowiednio wielu robotników. Może gdybyśmy mogli zatrudnić tu kilkuset z tych czwororęcznych gigantów...

- Skandarów - wtrącił Vismaan.

- Tak, Skandarów. Dlaczego Koronal nie przyśle nam dziesięciu tysięcy Skandarów?

- Ciało mają pokryte gęstym włosiem. Trudno będzie im żyć w tym klimacie. Lecz Skandarowie osiedlą się tu niewątpliwie, i Vroonowie, i Su-Suherowie, i Ghayrogowie z tropików, tacy jak ja. Wasz rząd jest bardzo wspaniałomyślny, zapraszając do siebie tak wielu osadników z obcych światów. Inne planety nie rozdają ziemi tak hojnie.

- Inne planety nie są takie wielkie - powiedziała Thesma. - Chyba słyszałam gdzieś, że nawet z naszymi gigantycznymi oceanami masa lądowa Majłpooru jest trzy czy cztery razy większa niż jakiegokolwiek innej zamieszkałej planety. No, coś w tym rodzaju. To wielkie szczęście, że jesteśmy tak ogromnym światem, jednak z grawitacją umożliwiającą życie ludziom i innym rasom człekopodobnym. Płacimy za to wysoką cenę, żadnych pierwiastków ciężkich, ale mimo... Cześć!

Głos Thesmy zmienił się gwałtownie; ucichła, wydawała się zmieszana. Szczupły,

bardzo wysoki młody mężczyzna o jasnych falujących włosach niemal zderzył się z nimi,

wychodząc z banku na rogu i stał teraz nieruchomo, gapiąc się na nią, a ona z kolei gapiła się na niego. Mężczyzna nazywał się Ruskelorn Vulvan i przez cztery miesiące - tuż przed ucieczką w dżunglę - był kochankiem Thesmy, a także osobą, z którą najmniej pragnęła się teraz spotkać. Lecz skoro do spotkania doszło, zamierzała je wykorzystać, więc po pierwszej chwili zakłopotania natychmiast przejęła inicjatywę.

- Doskonale wyglądasz, Ruskelorn.

- Ty również. Życie w dżungli najwyraźniej świetnie ci służy.

- A tak, służy mi doskonale. To było najszcześniejszych siedem miesięcy w moim życiu. Ruskelorn, pozwól przedstawić sobie mojego przyjaciela, Vismaana. Kilka tygodni temu zamieszkał u mnie. Miał wypadek, kiedy szukał terenu pod farmę blisko miejsca, w którym mieszkam, spadł z drzewa, więc się nim zaopiekowałam.

- Najwyraźniej bardzo troskliwie - powiedział spokojnie Ruskelorn Vulvan. - Wydaje się całkowicie zdrowy. Miło mi pana poznać -zwrócił się do Ghayroga, tak jakby rzeczywiście powiedział to, co myśli.

- Na swojej planecie zamieszkiwał strefę, której klimat bardzo przypomina Narabal. Powiedział mi, że w ciągu następnych kilku lat wielu jego rodaków osiedli się tu, w tropikach.

-Ja też o tym słyszałem. - Ruskelorn uśmiechnął się i dodał: -Szybko pan odkryje, że to nieprawdopodobnie wręcz żyzna ziemia. Wystarczy zjeść rano thokkę i wyrzucić pestki, a wieczorem pnącze jest już wysokie jak dom. Wszyscy tak mówią, więc musi to być prawda. Rozwścieczył ją lekki, przyjazny ton Yulvana. Czy on nie zdaje sobie sprawy, że ten pokryty łuską stwór, ten obcy, ten Ghayrog zastąpił go w jej łóżku? Czy nie potrafi czuć zazdrości czy też po prostu nie rozumie sytuacji? Bezsłownie, z całą mocą próbowała przekazać mu tę prawdę w najbardziej obrazowy sposób, wyobrażając sobie siebie samą w

ramionach Vismaana, ukazując dłonie obcego pieszczące jej piersi i uda, rozwidlony język liżący jej powieki, sutki, dół brzucha. To mój kochanek, myślała, wchodzi we mnie, sprawia, że mam orgazm za orgazmem, nie mogę się doczekać, by znowu być w dżungli i pójść z nim do łóżka - a przez cały ten czas Ruskelorn Vulvan, uśmiechnięty, rozmawiał po przyjacielsku z Vismaanem, dyskutując z nim możliwość uprawiania tu niyku, gleinu i stajji, a może też nasion lusavenderu, tam gdzie ziemia jest bardziej wilgotna. Rozmawiali tak sobie przez dłuższą chwilę, a potem Vulvan zwrócił się znów do Thesmy i zapytał - tak spokojnie jakby pytał, jaki właściwie jest dzień tygodnia - czy ma zamiar zamieszkać w dżungli na zawsze. Spojrzała na niego wściekle.

- Na razie bardziej podoba mi się tam niż w mieście. O co ci chodzi?

- Zastanawiałem się po prostu, czy nie braknie ci komfortu, który może zapewnić tylko nasza wspaniała metropolia.

- Do tej pory niczego mi nie zabrakło. Nigdy nie byłam szczęśliwsza.

- Świetnie. Bardzo się cieszę, że jesteś szczęśliwa. - Kolejny promienny uśmiech. -

Miło było mi spotkać cię tak nieoczekiwanie, Thesmo. Miło mi było poznać pana - powiedział do Ghayroga i odszedł.

Thesma aż trzęsła się z wściekłości. Nic go to nie obchodziło, w ogóle go nie obeszło; mogła sobie żyć z Ghayrogiem albo Skandarem, mogła sobie żyć nawet z gromwarkiem z jeziora, było mu zupełnie wszystko jedno! Chciała go zranić, a przynajmniej zaszokować - a on nie był ani zaszokowany, ani zraniony, tylko zwyczajnie uprzejmy! Uprzejmy! Z pewnością, jak wszyscy inni, nie zrozumiał tego, co naprawdę zaszło między nią a Vismaanem - ci ludzie nie potrafili po prostu pojąć, że kobieta ofiaruje swe ciało gadziemu obcemu, więc nie mieściło im się w głowie... nie byli w stanie zrozumieć...

- Naoglądałaś się już Narabalu? - spytała Ghayroga.

- Widziałem wystarczająco wiele, by przekonać się, że nie ma tu nic do oglądania.

-A jak noga? Jesteś gotów do powrotu?

- Nie masz tu nic do załatwienia?

- Nic ważnego - powiedziała. - Chciałabym wrócić.

- Więc wracajmy.

Miała wrażenie, że noga sprawia mu jednak pewne kłopoty -mięśnie miał prawdopodobnie zeszywniałe, przeszli drogę trudną nawet dla kogoś w doskonałej kondycji, a Vismaan od czasu, kiedy wstał z łóżka, chodził na znacznie krótsze spacery - ale na swój zwykły, spokojny sposób, nie skarżąc się, szedł za nią w stronę leśnej ścieżki. Wybrali najgorszą porę dnia na powrót do domu, słońce stało w zenicie, powietrze było duszne i brzemienne deszczem, który miał spaść wczesnym popołudniem. Szli powoli i często się zatrzymywali, choć Ghayrog ani słowem nie wspomniał, że jest zmęczony. To Thesma się zmęczyła; udawała, że tu chce pokazać mu dziwną formację geologiczną, tam znów niezwykłą roślinę, byle tylko mieć jakąś okazję do odpoczynku. Nie chciała się do tego przyznać, że trudno jej iść dalej. I tak najadła się dziś wstydu.

Wyprawa do Narabalu zakończyła się dla niej całkowitą klęską. Dumna, niepokorna, zbuntowana, gardząca małomiasteczkowymi konwencjami, zaciągnęła do miasta swego kochanka Ghayroga, by zademonstrować go zwykłym szarym obywatelom, a zwykłych szarych obywateli w ogóle to nie obeszło! Czy byli aż tak durni, że nie domyślili się prawdy? Czy też może natychmiast przejrzeliby jej intencje i zdecydowali nie dać Thesmie najmniejszej nawet satysfakcji? Niezależnie od wszystkiego, była wściekła, ponizona, pokonana - i czuła się jak idiotka. Co z szowinizmem, który niegdyś wydawał się jej tak charakterystyczną cechą narabalczyków? Czyżby nie czuli się zagrożeni napływem obcych? Tacy byli czarujący wobec Vismaana, tacy przyjacielscy. Być może, pomyślała ponuro, wydawało mi się tylko, że

są uprzedzeni, źle rozumiałam usłyszane od innych wzmianki o obcych, a w takim razie byłam kretynką, oddając się Ghayrogowi -niczego to nie załatwiło, nie zarysowało fasady narabalskiej kultury, nic nie pomogło w mojej małej prywatnej wojnie z tymi ludźmi. Było to dla nich tylko dziwne, interesujące, groteskowe zdarzenie.

Prawie nie rozmawiali w trakcie długiej, powolnej, uciążliwej drogi przez dżunglę.

Kiedy doszli do chaty, Vismaan natychmiast wszedł do środka, a ona - bez szczególnych efektów - zajęła się sprzątaniami, sprawdzaniem siodeł, zbieraniem owoców z pnączy, przekładaniem rzeczy z miejsca na miejsce i zapominaniem, gdzie je położyła.

Po pewnym czasie weszła do chaty i powiedziała do Vismaana:

- Sądzę, że równie dobrze możesz już odejść.

- Doskonale. Powinienem już ruszyć w drogę. -Jeśli chcesz, oczywiście zostań na noc.

Ale rankiem...

- Dlaczego mam nie wyruszyć teraz?

- Wkrótce będzie ciemno. Przeszedłeś dzisiaj taki kawał drogi...

- Nie chciałbym sprawiać ci kłopotu. Chyba odejdę zaraz.

I znów nie potrafiła odczytać jego uczuć. Czy był zaskoczony? Rozgniewany? Czy go dotknęła? Nic nie okazywał. Nie pożegnał się z nią nawet gestem, po prostu odwrócił się i równym krokiem ruszył w głąb dżungli. Thesma odprowadziła go spojrzeniem - w gardle jej zaschło, serce biło mocno - aż znikł wśród lian. Wszystko, co mogła zrobić, to powstrzymać się, by za nim nie pobiec. Znikł jej z oczu wśród drzew, a wkrótce zapadła ciemna tropikalna noc.

Zdołała przygotować sobie coś w rodzaju kolacji, ale zjadła bardzo niewiele, za to dużo myślała. Vismaan siedzi gdzieś tam w ciemności, czekając na wschód słońca. Nawet się nie pożegnali. Mogła choć zażartować, ostrzec go, żeby trzymał się z dala od sijaneeli, a on

mógłby chociaż podziękować jej za wszystko, co dla niego zrobiła, ale nie zamienili nawet słowa, tylko ona go wyrzuciła, a on odszedł -jak zwykle milcząc, spokojnie. To obcy, pomyślała, i zachowuje się jak obcy. A jednak, gdy leżeli w jednym łóżku, kiedy jej dotykał, kiedy ją przytulał i sadzał na sobie...

Ta noc okazała się długa i trudna. Thesma leżała skulona na prymitywnym łóżku z zania, które jeszcze tak niedawno dzielili, słuchała deszczu padającego na wielkie niebieskie liście tworzące dach i po raz pierwszy od chwili, kiedy zamieszkała w dżungli, czuła się samotna. Aż dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo cieszyła ją ta parodia domu, który sobie stworzyli, a teraz wszystko się skończyło - była sama, nawet bardziej sama niż przedtem i znacznie bardziej odcięta od życia w Narabalu niż przedtem, on zaś siedział gdzieś tam w ciemności, nie śpiąc, nie mając gdzie skryć się przed deszczem. Zakochałam się w obcym - powiedziała sobie Thesma i zdumiała się. Zakochałam się w pokrytym łuską czymś, co nie szepcze w ucho czułych słówek, nie zadaje pytań i porzuca mnie, nie mówiąc ani "dziękuję", ani "do widzenia". Mijały godziny, leżała nie śpiąc, tylko od czasu do czasu szlochała. Ciało miała napięte, obolałe od długiego marszu i przeżytych tego dnia rozczarowań. Podciągnęła kolana do piersi, a potem włożyła dłoń między uda i zaczęła się pieścić, -aż w końcu przyszedł moment wyzwolenia, westchnienie i cichy jęk, a wreszcie także i sen.



Rankiem wykapała się, sprawdziła pułapki, zrobiła sobie śniadanie i obeszła wszystkie tak dobrze sobie znane ścieżki koło chaty. Nie znalazła nawet śladu Ghayroga. W południe humor wyraźnie się jej poprawił, a wieczorem była już prawie wesoła; chociaż z nadejściem zmierzchu, w trakcie samotnej kolacji, znów ogarnął ją ponury nastrój. Jakoś go jednak zniosła. Odtwarzała kubiki, które przyniosła dla Vismaana z miasteczka, i w końcu zasnęła. Następnego dnia było jej lepiej, następnego jeszcze lepiej, a potem przyszedł kolejny dzień. I kolejny. Powoli życie Thesmy wróciło do normy. Nie znalazła ani śladu Vismaana, zaczęła o nim zapominać. Tygodnie mijały jeden za drugim; znów odkryła radość samotności albo tak się jej przynajmniej wydawało, zdarzały się bowiem chwile, kiedy wspomnienia o Vismaanie wracały wyraźne i bolesne - na widok bilantona wśród leśnego poszycia, drzewa sijaneel z ułamaną gałęzią, gromwarka siedzącego ponuro na krawędzi jeziora - i wtedy zdawała sobie sprawę, że za nim tęskni. Przeszukiwała dżunglę, zapuszczając się coraz dalej i dalej, nie bardzo wiedząc, dlaczego to robi, aż w końcu musiała przyznać się przed sobą, że go szuka. Znalazła go po trzech miesiącach. Na południowym wschodzie natrafiła na oznakę, że ktoś tam zamieszkał: porębę widoczną ze szczytu odległego wzgórza, z rozchodzącymi się od niej promieniście nie istniejącymi przedtem ścieżkami. Po pewnym czasie ruszyła więc w tamtym kierunku, przeprowiła się przez dużą rzekę, o istnieniu której nie miała nawet pojęcia, i dotarła do poręby, za którą trafiła na nową farmę. Okrążyła ją, kryjąc się, póki nie zobaczyła Ghayroga - była pewna, że to Vismaan - orzącego urodzajną czarną ziemię. W duszy poczuła strach, nogi się pod nią ugięły, drżała. A może to jakichś inny Ghayrog? Nie, nie, była całkowicie pewna, że to on, wydawało się jej nawet, że lekko kuleje. Schowała się, przestraszona, nie śmiejąc się do niego zbliżyć. Co ma mu powiedzieć? Jak usprawiedliwi fakt, że przeszła tak długą drogę tylko w tym celu, by go zobaczyć - po tym, gdy tak chłodno

usunęła go ze swego życia? Cofnęła się w krzaki, niemal gotowa już odejść, ale w końcu zebrała resztki odwagi i krzyknęła jego imię.

Zatrzymał się jak wrośnięty w ziemię i obejrzał.

-Vismaan? Tu jestem! To ja, Thesma!

Policzki jej płonęły, serce waliło jak młotem. Przez jedną straszną chwilę była przekonana, że to jakiś obcy Ghayrog, już szukała słów, którymi ma go przeprosić za wtargnięcie na jego ziemię, lecz kiedy się zbliżyła, nabrała pewności, że nie popełniła pomyłki.

- Dostrzegłam polankę i pomyślałam sobie, że to musi być twoja farma - powiedziała wychodząc z gęstych krzaków. -Jak się masz!

- Zupełnie wspaniale. A ty?

Wzruszyła ramionami.

-Jakoś sobie radzę. Dokonałeś prawdziwego cudu, Vismaan. Przecież minęło zaledwie kilka miesięcy, a to...

- Tak - przyznał. - Ciężko pracowaliśmy. -My?

-Mam towarzyszkę. Chodź, przedstawię cię jej, no i pokażę, czego dokonaliśmy.

Te spokojne słowa sprawiły, że uleciało z niej całe podniecenie. Być może do tego zmierzał - zamiast okazywać urazę lub gniew z powodu tego, jak się go pozbyła, mścił się w sposób bardziej diaboliczny, ze spokojem i opanowaniem. Ale jest znacznie bardziej prawdopodobne, pomyślała, że on nie czuje gniewu i nie widzi konieczności, by się mścić. Najprawdopodobniej to, co się między nimi zdarzyło, widział w sposób zupełnie inny niż ona. Pamiętaj, że on nie jest człowiekiem, powiedziała sobie.

Ruszyła łagodnym zboczem, razem przekroczyli rów melioracyjny, obeszlili małe, najwyraźniej dopiero co obsiane pole. Na szczycie wzgórza, na wpół ukryty we wspaniałym

sadzie, stał niewielki domek z drzewa sijaneel, niewiele różniący się od jej chaty, lecz większy i o nieco bardziej harmonijnych proporcjach. Widać było z niego całą farmę, zajmującą trzy zbocza pagórka. Thesmę zdumiało, jak wiele Vismaan zdołał dokonać - wydawało się jej niemożliwe, by w tym krótkim czasie wykarczował drzewa, wybudował dom, przygotował ziemię pod uprawę, ba! - zaczął już ją uprawiać. Pamiętała, że Ghayrogowie nie śpią, lecz czyżby także nie odpoczywali?

- Turmone! - krzyknął Vismaan. - Turmone, mamy gościa! Thesma całą siłą woli narzuciła sobie spokój. Zrozumiała teraz, że szukała Ghayroga, bo już nie chciała być sama, że piastowała nie do końca świadome marzenie, że mu pomoże w prowadzeniu farmy, będzie dzielić z nim nie tylko łóżko, lecz i życie, pozna go prawdziwie, dogłębnie; przez jedną krótką chwilę widziała nawet siebie i jego na wakacjach na północy, w Dulorn, kiedy spotykają się z jego współplemieńcami. Zdawała sobie sprawę, że to głupota, ale był w tych marzeniach cień jakiegoś szalonego prawdopodobieństwa aż do chwili, kiedy oznajmił jej, że ma towarzyszkę. Teraz Thesma musiała się opanować, musiała być miła, przyjazna, nie dać po sobie w żaden sposób poznać, że przez jeden szalony moment uważała się za rywalkę...

Z domku wyszedł Ghayrog niemal tak wysoki jak Vismaan, pokryty podobną lśniącą zbroją łuski, z identycznymi wijącymi się włosami; była między nimi tylko jedna widoczna i bardzo dziwna różnica, bowiem od szyi do brzucha Ghayrog-kobieta pokryta była rzędami małych piersi w kształcie dzwoneczków; było ich dwanaście lub więcej, każda zakończona zielonkawą sutką. Thesma zadrżała. Vismaan powiedział jej, że Ghayrogowie są ssakami, teraz miała na to niezbity dowód, lecz podobieństwo tej kobiety do gada dzięki piersiom było jeszcze bardziej nieodparte; sprawiały one, że wydawała się nie ssakiem, lecz jakąś dziwną, niepojętą hybrydą. Thesma patrzyła to na jedno, to na drugie stworzenie, czując się bardzo niepewnie.

- To kobieta, o której ci mówiłem - powiedział Vismaan. - Znalazła mnie, kiedy zламаłem nogę i opiekowała się mną, aż wróciłem do zdrowia. Thesmo, to moja towarzyszka Turmone.

-Jesteś tu mile widziana - powiedziała uroczyście Turmone.

Thesma zdołała wydukać jeszcze kilka komplementów dotyczących ogromu pracy włożonej w farmę. Pragnęła już tylko uciec, ale nie miała jak, złożyła towarzyską wizytę sąsiadom z dżungli, a sąsiedzi postanowili zachowywać się tak uprzejmie, jak wymagały tego okoliczności. Vismaan zaprosił ją do środka. Co dalej? Filiżanka herbaty, thokki i min tum z rusztu? W domku nie było prawie mebli, jakiś stół, kilka poduszek, dziwny wysoki pojemnik stojący na trójnożnym stołku. Thesma obrzuciła go szybkim spojrzeniem i natychmiast odwróciła wzrok; wiedziała, choć nie wiedziała, skąd wie, że nie powinna zdradzać ogarniającej ją ciekawości, ale Vismaan wziął ją za łokieć i powiedział:

- Chodź. Pokażę ci.

Był to inkubator. Na podkładzie z mchu spoczywało kilkanaście okrągłych, skórzastych jaj, zielonych w duże, czerwone plamy.

- Nasze pierworodne wyklują się przed upływem miesiąca.

Nagle strasznie zakręciło się jej w głowie. Ta manifestacja obcości z jakiegoś powodu oszołomiła ją znacznie bardziej niż wszystko inne, bardziej niż chłodne spojrzenie pozbawionych powiek oczu Vismaana, wicie się jego włosów, niż dotyk jego rąk na jej nagiej skórze, niż zdumiewające uczucie, kiedy poruszał się w jej ciele. Jaja! Miot! A piersi Thurmone już przepełnione są mlekiem, którym będzie karmić młode! Thesma zobaczyła w wyobraźni kilkanaście małych jaszczurek wiszących u licznych piersi tamtej kobiety i znieruchomiła pod wpływem panicznego strachu; przez jedną nie kończącą się chwilę stała, nawet nie oddychając, a później obróciła się, zbiegła ze szczytu wzgórze, przeskoczyła rów

melioracyjny i na przełaj - z czego zbyt późno zdała sobie sprawę - przez świeżo zasiane pole dotarła nareszcie i skryła się w dusznej, parnej dżungli.

Nie wiedziała, ile minęło czasu do momentu, gdy u wejścia do jej chaty pojawił się Vismaan. Dni upływały mierzone jedzeniem, spaniem i płaczem, może był to tylko jeden dzień, może dwa, może tydzień - i nagle on tam był, wsadził głowę do chaty i zawołał jej imię.

- Czego chcesz? - spytała nie wstając.

- Porozmawiać. Chcę ci coś powiedzieć. Dlaczego opuściłaś nas tak nagle?

- A czy ma to jakieś znaczenie?

Ukląkł przy łóżku. Dłoń położył lekko na jej ramieniu.

- Thesmo, powinienem cię przeprosić.

- Za co?

- Kiedy odchodziłem, zapomniałem podziękować ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

Wraz z moją towarzyszką rozmawialiśmy o tym, dlaczego uciekłaś i ona powiedziała, że pewnie jesteś na mnie zła, a ja nie rozumiałem, dlaczego miałabyś się złościć. Więc wspólnie rozważyliśmy wszystkie możliwe powody i kiedy opisałem jej, jak się pożegnaliśmy,

Turmone spytała, czy powiedziałem, że jestem ci wdzięczny za pomoc, a ja przyznałem, że nie powiedziałem, bo nie wiedziałem, że powinienem to powiedzieć. Więc teraz do ciebie przychodzę i mówię: “Wybacz mi, Thesmo, moją niegrzeczność. Moją ignorancję”.

- Wybaczam ci - powiedziała stłumionym głosem. - Czy teraz odejdziesz?

- Spójrz na mnie, Thesmo.

- Nie mam ochoty.

- Proszę. Spójrz na mnie.

Pociągnął ją za ramię. Obróciła się niechętnie.

- Masz spuchnięte oczy.

- Musiałam zjeść coś niedobrego.

- Nadal jesteś zła. Dlaczego? Musisz zrozumieć, że nie chciałem zachować się

nieuprzejmie. Ghayrogowie nie wyrażają wdzięczności w taki sposób jak ludzie. Robię to dopiero teraz. Moim zdaniem, Thesmo, uratowałaś mi życie. Okazałaś mi wiele dobroci. Do śmierci zapamiętam, co dla mnie uczyniłaś, kiedy byłem ranny. Źle się stało, że nie powiedziałem ci tego wcześniej.

- Źle się stało, że tak po prostu wyrzuciłam cię z domu - powiedziała cicho Thesma. -

Nie prosz, żebyś wyjaśniła, dlaczego tak zrobiłam. To bardzo skomplikowane. Wybaczę ci, że mi nie podziękowałaś, jeśli ty wybaczysz mi, że zmusiłam cię do odejścia.

- Nie muszę ci niczego wybaczać. Noga wyzdrowiała, powinienem zatem odejść, jak sama powiedziałaś. Odszedłem więc i znalazłem teren odpowiedni na farmę.

- A więc było to takie proste?

- Tak, oczywiście.

Podniosła się i stanęła wyprostowana, patrząc mu prosto w oczy.

- Vismaan, dlaczego się ze mną kochałeś?

- Miałem wrażenie, że tego potrzebujesz.

- To wszystko?

- Byłaś nieszczęśliwa i chyba nie chciałaś sama spać. Spodziewałem się, że ze mną będzie ci lepiej. Chciałem okazać ci swą przyjaźń i współczucie.

- Ach! Rozumiem.

- Mam nadzieję, że sprawiło ci to przyjemność.

- Tak. To sprawiło mi przyjemność. Ale ty mnie nie pożądałeś, prawda?

Rozdwojony język zadrżał w rytmie, który uznała za wyraz zdziwienia.

- Nie. Jesteś ludzką istotą. Jak mógłbym czuć pożądanie wobec ludzkiej istoty? Tak

bardzo się ode mnie różnisz, Thesmo. Na Majipoorze moją rasę nazywa się obcymi, lecz dla mnie ty jesteś obca.

- Chyba tak.

- Ale bardzo się do ciebie przywiązałem. Życzę ci szczęścia. W tym sensie pożądałem czegoś dla ciebie. Czy to rozumiesz? Na zawsze zostanę twym przyjacielem. Mam nadzieję, że nas odwiedzisz, że przyjmiesz od nas część plonów z mojej farmy. Czy zrobisz to, Thesmo?

-Ja... tak, oczywiście. Zrobię to.

- Dobrze. Muszę iść. Ale najpierw...

Poważnie, z wielką godnością przyciągnął ją do siebie i przytulił, ścisnął w swych potężnych ramionach. Jeszcze raz poczuła dotyk dziwnej, twardej, obcej skóry, jeszcze raz rozdwojony język musnął jej powieki w całkowicie obcym pocałunku. Tulił ją przez dłuższą chwilę.

Kiedy wreszcie wypuścił ją z objęć, powiedział:

- Bardzo cię lubię, Thesmo. I nigdy cię nie zapomnę. -Ja także nigdy cię nie zapomnę.

Stała w drzwiach patrząc, jak znika jej z oczu za jeziorkiem. Jej duszę ogarnęło uczucie spokoju i ciepła. Wątpiła, by kiedykolwiek zdecydowała się odwiedzić Vismaana i Turmone oraz ich małe jaszczurki, ale nic nie szkodzi - Vismaan to zrozumie. Wszystko było już dobrze. Zebrała swoje rzeczy i spakowała w worek. Południe jeszcze nie nadeszło, miała dość czasu na dojście do Narabału.

Do miasta dotarła tuż po południowym deszczu. Od chwili, kiedy je opuściła, minął przeszło rok, a od ostatniej wizyty upłynęło kilka miesięcy. Zaskoczyły ją zmiany, które natychmiast spostrzegła. Panowała ogólna krzątanina, wszędzie coś budowano, kanał zapchany był statkami, na ulicach stały rzędy pojazdów. Miasto wyglądało tak, jakby uległo



inwazji obcych - zobaczyła setki Ghayrogów, było też mnóstwo przedstawicieli innych ras; widziała tych z brodawkami, prawdopodobnie Hjortów, i ogromnych czwororęcznych Skandarów. Był to istny cyrk, pełen dziwolągów kręcących się tu i tam, a przez ludzi traktowanych jako coś całkowicie normalnego. Z pewnymi trudnościami znalazła drogę do domu matki. Zastała w nim dwie spośród swych sióstr oraz brata, Dalkhana. Przyglądali się jej, zdumieni i chyba lekko przestraszeni.

- Wróciłam - powiedziała. - Wiem, że wyglądam jak dzikie zwierzę, ale wystarczy, że przytnę włosy, znajdę jakąś sukienkę i znów będę człowiekiem.

Kilka tygodni później zamieszkała z Ruskelornem Vulvanem, a pod koniec roku wzięli ślub. Przez jakiś czas myślała czy nie opowiedzieć mu o Ghayrogu, z którym się kochała, ale trochę się bała, a w końcu zdecydowała, że nie ma sensu się nad tym rozwodzić. Ruskelorn dowiedział się jednak wszystkiego kilkanaście lat później, kiedy jedli pieczonego bilantoona w jednej z tych nowych restauracji, które wyrosły w dzielnicy Ghayrogów.

Thesma wypijała o wiele za dużo mocnego złotego wina z północy; siła dawnych wspomnień okazała się zbyt wielka, by się jej oprzeć. Kiedy wreszcie skończyła swą opowieść, spytała:

- No i co, podejrzewałeś, że mogło być właśnie tak? A jej mąż powiedział:

- Kochanie, wiedziałem o wszystkim, kiedy tylko zobaczyłem cię z nim na ulicy. Ale jakież to miało znaczenie?

# CZAS OGNI

Przez kilka tygodni po tym zdumiewającym doświadczeniu Hissune nie śmiał powrócić do Rejestru Dusz. Wspomnienia były jeszcze zbyt ostre, zbyt świeże; potrzebował czasu, by przetrwać swoje doznania, przyswoić je sobie. Całe miesiące z życia Thesmy przeżył w ciągu godziny. Pamięć tego wciąż go paliła, a nowe niezwykle obrazy wstrząsnęły jego świadomością.

Przede wszystkim - dżungla. Hissune znał wyłącznie pozostający pod ścisłą kontrolą klimat podziemnego Labiryntu. Tylko raz, na krótko, zawitał na Górze, a nad jej klimatem, choć innym, sprawowano równie troskliwą pieczę. Tutaj zdumiewała go wilgoć, bujne poszycie, deszcze, śpiew ptaków i brzęczenie owadów, dotyk mokrej ziemi pod bosymi stopami. Lecz był to tylko drobiazg w porównaniu z całością tego fascynującego doświadczenia. Być kobietą - jakie to zdumiewające! Mieć obcego za kochanka - tego już Hissune nie potrafił wyrazić słowami; zdarzyło się po prostu coś, co stało się jego częścią, coś niezrozumiałego i nieodgadnionego. A kiedy zaczął się nad tym wszystkim zastanawiać, uświadomił sobie istnienie kolejnych tajemnic, wspaniałej pożywki dla rozważań: oto Majipoor - młoda planeta, która dopiero się rozwija. Grząskie uliczki Narabalu, drewniane domki -jakież to różne od swojskiego, uporządkowanego Majipooru z jego czasów! To był mroczny, nieznan, obcy świat. Hissune zastanawiał się nad tym godzinami, bezmyślnie przekładając raporty podatkowe z kupki na kupkę. Powoli dochodził do przekonania, że to, czego doświadczył w Rejestrze Dusz, zmieniło go nieodwracalnie. Nigdy już nie będzie dawnym Hissunem, ale w jakiś tajemniczy sposób na zawsze pozostanie Thesmą, która żyła i umarła dziewięć tysięcy lat temu na innym kontynencie, w gorącej, wilgotnej dżungli, której on sam nigdy nie zobaczy.

A potem zrodziła się w nim oczywiście chęć przeżycia nowego doświadczenia w

Rejestrze Dusz. Tym razem spotkał innego funkcjonariusza, małego Vroona z kwaśną miną i krzywo założoną maską. Szybko machnął mu przed nosem papierami. Powolni, leniwi urzędnicy nie mogą, rzecz jasna, sprostać jego błyskotliwemu umysłowi - oto Hissune siedzi już, w fotelu, zręcznie wpisując w system polecenia. Zdecydował, że przeniesie się w czasy Lorda Stiamota. Ostatnie dni wojny przeciw Metamorfom, pokonanym przez ludzkich osadników na Majipoorze. Niechaj będzie to żołnierz z armii Lorda Stiamota. Hissune wydaje polecenie mózgowi ukrytemu w magazynach labiryntu. Może uda mi się spotkać samego Lorda Stiamota!

Suche zbocza wzgórz od Milimornu do Hamifieu stały w ogniu i nawet tu, blisko sto kilometrów dalej na wschód, na szczycie Zygnor, gdzie mieścił się wysoko położony punkt obserwacyjny, pułkownik Eremoil czuł podmuchy gorącego wiatru i smak popiołu w powietrzu. Gęsta warstwa ciemnego dymu wisiała nad ziemią jak okiem sięgnąć. Za godzinę, może za dwie, podpalacze przeniosą ogień na linię łączącą Hamifieu i małe miasteczko u wylotu doliny, a jutro podpalą strefę aż do Sintalmondu. I wtedy stanie w ogniu cała prowincja. Biada Metamorfom, którzy w niej pozostaną!

- Już niedługo - powiedział Viggan. - Wojna już prawie skończona.

Eremoil podniósł wzrok znad mapy północno-zachodniej części kontynentu, a potem spojrzał w oczy swego zastępcy.

- Doprawdy? - spytał trochę tak, jakby odpowiedź nic go nie obchodziła.

- Trzydzieści lat. To chyba wystarczająco długo.

- Nie trzydzieści. Pięć tysięcy, sześć tysięcy - od dnia, w którym pojawili się tu pierwsi ludzie. Wojna trwała zawsze, Viggan.

- Przez długi czas nie wiedzieliśmy, że to jest wojna.

- Nie wiedzieliśmy - zgodził się Eremoil. - Nie rozumieliśmy. Ale teraz rozumiemy,

prawda?

Pochylił się nisko i znów wpatrzył w mapy skupionym wzrokiem. Przymrużone oczy łązały od unoszącego się w powietrzu tłustego dymu. Obraz cienką kreską rysowanych map rozmazywał się. Wolno przejechał wskazówką po liniach znaczących grzbiety wzgórz poniżej Hamifieu, sprawdzając w raportach nazwy miasteczek.

Wszystkie one leżały na mającej kształt łuku linii ognia i wszystkie zaznaczono na mapie. Przynajmniej miał nadzieję, że wszystkie. Jego żołnierze docierali do każdego osiedla, przynosząc wieść o pożarze. Źle będzie z nim i jego ludźmi, jeśli kartografowie nie zaznaczyli wszystkich osad. Lord Stiamot wydał rozkaz: żaden człowiek nie może zginąć w tych zmaganiach, ostrzeżenie musi więc dotrzeć do wszystkich osadników i każdy z nich powinien mieć czas na ewakuację. Zmiennokształtnych ostrzegano również. Nie o to chodzi, by po prostu usmażyć wroga żywcem - powtarzał przy każdej okazji Lord Stiamot - lecz o to, by mieć nad nim kontrolę. Ogień wydawał się najlepszym środkiem do osiągnięcia tego celu. Utrzymać, już po wszystkim, kontrolę nad ogniem, może być sprawą trudniejszą, pomyślał Eremoil, ale nie to było aktualnie największym problemem.

- Kattikawn, Bizfern, Domgrave, Byelk... tyle miasteczek... Dlaczego ludzie w ogóle się tu osiedlają? Jak myślisz, Viggan?

- Twierdzą, że ziemia jest żyzna. I klimat łagodny - jak na tak daleką północ.

- Łagodny? Możliwe, jeśli komuś nie przeszkadza trwająca pół roku susza! - Eremoil zakaszłał. Wyobraził sobie, że słyszy trzask ognia wśród wyschniętych, wysokich do kolan traw. Po tej stronie Alhanroelu lało całą zimę, za to latem w ogóle nie padało. Wielkie wyzwanie dla farmerów, można by powiedzieć - no, ale przecież podjęli je i zwyciężyli, jeśli zważyć, ile rolniczych osad wyrosło na zboczach wzgórz i w biegnących ku morzu dolinach. Był środek pory suchej, wojsko piekło się w bezlitosnych promieniach słońca. Susza - ziemia

ciemna, poryta i splekana, wyrosła zimną trawą była wyschła i krucha, krzewy o wielkich liściach stały przygięte w oczekiwaniu deszczu. Idealny czas dla ognia, czas, by zagnać zacieklego wroga na brzeg oceanu lub nawet wprost do oceanu! Lecz nikt nie może zginąć, nikt nie może stracić życia. Eremoil pracowicie czytał listę. Chimogę, Fualle, Danłup, Michimang... Znów oderwał wzrok od mapy i zwrócił się do swego zastępcy.

- Co masz zamiar robić po wojnie, Viggan?

- Mamy ziemię w dolinie Glayge. Wrócę na gospodarstwo. A pan?

- Pochodzę ze Stee. Byłem inżynierem - budowa akweduktów, odprowadzanie ścieków, tego rodzaju fascynujące zajęcia. Znów się tym zajmę. Kiedy ostatni raz odwiedziłeś rodzinne strony?

- Cztery lata temu.

- A ja pięć. Walczyłeś w bitwie o Treymone, prawda?

- Byłem ranny. Lekko.

- Zabiłeś kiedyś Metamorfa?

- Zabiłem, panie pułkowniku.

-Ja nie. Jeszcze nie. Dziewięć lat w wojsku i nigdy jeszcze nikogo nie zabiłem.

Oczywiście, jestem oficerem. Pewnie kiepski byłby ze mnie zabójca.

- Nikt z nas nie jest zabójcą. Ale kiedy nadchodzą, zmieniając kształty kilka razy na minutę... w jednej ręce nóż, w drugiej topór... kiedy wiesz, że zniszczyli ziemię twego brata, zamordowali rodzinę...

- Twoją rodzinę, Viggan?

- Nie, panie pułkowniku. Ale to się zdarzało. I to nie raz. Nienawiść... chyba nie muszę panu mówić, jak się rodzi nienawiść...

- Nie, nie musisz, Viggan. Jak się nazywa to miasteczko? Obaj pochylili się nad mapą.

- Singaserin, panie pułkownika. Litery są trochę zamazane, ale tak się właśnie nazywa, z pewnością. Proszę spojrzeć - o, tutaj. Zawiadomiliśmy ich dwa dni temu.

Eremoil ułożył mapy na stosie innych, odsunął je, znów patrzył na zachód. Istniała wyraźna granica między pogorzelskiem a nietkniętymi jeszcze przez płomień stokami wzgórz na południu. Ciemna zieleń, gęste liście. Lecz teraz liście były skurczone i pożółkłe, deszcz nie padał tu od miesięcy. Gdy ogień wybuchnie na zboczach wzgórz, będzie to niczym bombardowanie. Płomień dotrze wszędzie, od czasu do czasu widać już tu i tam języki ognia, drobne płomyki - może to zresztą tylko złudzenie, odblask? Może to odległość myli wzrok? Tak, to tylko sztuczka perspektywy! Eremoil doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Każdy z tych drobnych płomyków to pożar, to znak, że ogień zwycięża; wiatr niósł płomienie nawet tam, gdzie nie dotarli jeszcze żołnierze, lasy położone za Hamifieu ginęły w ogniu.

- Przybył kurier, panie pułkownika - odezwał się Viggan. Eremoil odwrócił się.

Wysoki, młody chłopak w przepoconym

mundurze zsunął się z wierzchowca. Stał tak, patrząc niepewnie na oficera.

- O co chodzi?

- Przysłał mnie kapitan Vanayle, panie pułkownika. Ma kłopot, tam w dolinie. Jeden z osadników nie chce się ewakuować.

- Niech się lepiej nie wygłupia. - Eremoil wzruszył ramionami. - W jakim miasteczku mieszka?

- Między Kattikawn i Bizfern. To ważny trakt handlowy. Ten człowiek właśnie tak się nazywa: Aibil Kattikawn. Powiedział kapitanowi Vanayle, że tę ziemię jego rodzina zajmuje z nadania samego Pontifexa Dvorna, że jego ludzie mieszkają tu od tysięcy lat i że nie zamierza...

Eremoil westchnął.

- Nic mnie to nie obchodzi. Może sobie mieć tę ziemię nawet z boskiego nadania. Ten rejon palimy jutro. Upiecze się!

- On o tym wie, panie pułkowniku.

- Więc o co mu chodzi! Ogień ma ominąć jego farmę? - Eremoil gwałtownie machnął ręką. - Ewakuujcie go siłą, jeśli zajdzie taka potrzeba!

-Już próbowaliśmy - oznajmił kurier. - On uzbroił swoich ludzi. Powiedział, że będzie walczył i że zabije każdego, kto chciałby go usunąć z jego ziemi.

- Zabije? Zabije! - Eremoil powtarzał to słowo, jakby nie miał pojęcia, co właściwie oznacza. - Kto tu mówi o zabijaniu ludzi. Ten człowiek oszalał! Wyślijcie pięćdziesięciu żołnierzy i usuńcie go siłą do strefy bezpieczeństwa.

-Jak mówiłem, panie pułkowniku, on zagroził użyciem broni. Już doszło do wymiany ognia. Kapitan Vanayle jest pewien, że nie obyłoby się bez strat. Prosi, żeby pan udał się na rozmowę z tym Kattikawnem.

- Co?! Ja mam...

Viggan przerwał mu. Powiedział cicho:

- Być może to najprostsze wyjście z sytuacji. Wielcy właściciele ziemscy bywają bardzo dumni.

- To niech Vanayle z nim rozmawia!

- Kapitan Vanayle już próbował pertraktacji, panie pułkowniku - oznajmił kurier. - Bez rezultatu. Kattikawn chce rozmawiać z Lordem Stiamotem. To oczywiście niemożliwe. Może pan...

Eremoil wahał się. To nonsens, by dowódca regionu podejmował się takiego zadania.

To Vanayle jest odpowiedzialny za oczyszczenie terenu, ale Vanayle najwyraźniej ma kłopoty, a wysyłając żołnierzy i używając siły, ryzykuje się co najmniej życiem tego farmera,

a może i nie tylko jego. Bzdura! Czemużby więc nie pojechać na spotkanie? Powoli skinął głową. Nie szlag trafi protokół! Jeszcze tego brakowało, żeby zaczął przejmować się dworskim ceremoniałem! Dziś po południu nie ma nic szczególnego do roboty. Viggan może doskonale wszystkiego przypilnować. Jeśli ma to ocalić życie człowieka... nawet upartego starca... to przejażdżka górską drogą...

- Podstawcie ślizgacz - rozkazał Vigganowi.

- Panie pułkowniku...

- Podstawcie ślizgacz, zanim się rozmyślę! Pojadę na to spotkanie.

- Przecież Vanayle...

- Przestań nudzić, Viggan. Wrócę niedługo. A na razie ty tu dowodzisz, choć nie sądzę, żebyś się miał napracować. Poradzisz sobie?

- Oczywiście, panie pułkowniku. - Viggan nie sprawiał wrażenia szczęśliwego.

Podróż okazała się dłuższa, niż Eremoil przypuszczał; niemal dwie godziny jazdy krętą drogą do bazy u stóp szczytu Zygnor ł w dół, pofalowanym płaskowyżem, do wzgórz otaczających nadbrzeżną równinę. Tu, na dole, powietrze było czystsze i cieplejsze, nie czuło się w nim dymu; rozedrgane i upalne - wywoływało przed oczami miraże, w których świat rozplątywał się, falował. Na drodze nie było ruchu, musieli jednak często zwalniać, zatrzymywani przez biegnące w panice dziwaczne zwierzęta, należące do gatunków, których nie potrafił nazwać. Uciekały przed ogniem. Cienie były już długie, gdy dotarli do osad na wzgórzach. Tu widać było płomienie, ich blask odbijał się na niebie jak drugie słońce. Eremoil czuł ciepło na policzkach, delikatny popiół osiadał mu na skórze i ubraniu.

Miejsca, będące do tej pory tylko nazwami z listy, stały się teraz nieprzyjemnie rzeczywiste. Byelk, Domgrave, Bizfern... wszystkie były bardzo do siebie podobne: w centrum stłoczone sklepy i budynki publiczne, wokół nich dzielnice domków, dalej krąg



farm; każde wciśnięte w dolinę, przez którą przepływał strumyk spadający z gór i niknący na równinie. Wszystkie były już puste lub niemal puste, tylko tu i ówdzie spotykało się nielicznych włóczęgów. Eremoil podejrzewał, że mógłby wejść do każdego z domów, zabrać książki, rzeźby, pamiątki po spędzonych niegdyś daleko stąd wakacjach, nawet zapomniane w pośpiechu domowe zwierzęta. Jutro zostanie po nich tylko popiół. Lecz przecież te właśnie ziemie najeżdżali Metamorfowie, tutejsi mieszkańcy przez stulecia żyli zagrożeni przez nieubłaganego przeciwnika, który pojawiał się jako przyjaciel, syn, kochanek - i mordował. Była to cicha wojna między wydziedziczonymi i tymi, którzy objęli ich dziedzictwo, nieunikniona od chwili, gdy pierwsze ludzkie osady na Majipoorze zmieniły się w miasta, a rozrastające się tereny rolnicze zaczęły zajmować ziemie należące do tubylców. Wrzód trzeba wypalić ogniem - w ostatniej, dramatycznej fazie wojny między ludźmi a Zmiennokształtnymi nie było na to rady. Byelk, Domgrave i Bizfern muszą zostać zniszczone, by skończyły się wreszcie te okrutne zmagania. Świadomość konieczności nie łagodzi jednak bólu, gdy płonie czyjś dom, nawet bólu tych, którzy go podpalają, myślał Eremoil, chyba że patrzy się na wszystko z oddali, z wygodnej perspektywy, zmieniającej ogień w strategiczną abstrakcję.

Za Bizfern wzgórze odbiegało daleko na zachód, a wraz z nimi wijąca się u ich stóp droga. Strumienie zmieniły się w niewielkie rzeki; była tu woda, mnóstwo wody, a tam, gdzie nie sadzono zbóż, rosły gęste lasy. Jednak nawet tu susza była sprzymierzeńcem ognia. Stosy opadłych liści, gałęzie, stare potrzaskane pnie...

- Dojechaliśmy, panie pułkowniku.

Eremoil dostrzegł zamknięty ogrodzeniem kanion - u wylotu wąski, dalej szeroki - którego środkiem płynął strumień. Wśród gęstniejących cieni widać było wspaniałą rezydencję - wielki biały dom kryty zieloną dachówką, a za nim rozległe pola. Wjazdu

pilnowali uzbrojeni strażnicy. Nie była to zwykła farma, lecz majątek kogoś, kto uważał się za księcia. Eremoil widział już zbliżające się kłopoty.

Wysiadł, podszedł do strażników, patrzących na niego zimno, trzymających w pogotowiu miotacze. Zwrócił się do tego, który wydał się mu najwyższy rangą:

- Pułkownik Eremoil pragnie zobaczyć się z Aibilem Kattikawnem.

- Kattikawn oczekuje Lorda Stiamota.

- Lord Stiamot jest bardzo zajęty. Dziś reprezentuję go ja. Jestem pułkownik Eremoil, ja tu dowodzę.

- Polecono nam wpuścić tylko Lorda Stiamota.

- Poinformujcie swego pana - w głosie Eremoila brzmiało zmęczenie - że Koronał pozdrawia go i prosi, by swe skargi raczył przekazać pułkownikowi Eremoilowi.

Strażnicy nie wydali się tym szczególnie poruszeni, lecz w końcu jeden z nich odwrócił się i poszedł w głąb kanionu. Eremoil obserwował go, idącego niespiesznie i znikającego za gęstym żywopłotem otaczającym plac przed rezydencją. Czas płynął, wiatr zmienił się, przynosząc ciepło ognia i smugi dymu szczypiącego w oczy i drapiącego w gardle. Eremoil wyobrażał sobie, jak warstwa drobnego ciemnego popiołu osiada mu w płucach. Lecz stąd, z ukrytej wśród wzgórz doliny, sam płomień był niewidoczny.

Strażnik wrócił w końcu, równie niespiesznie.

- Kattikawn zgadza się na spotkanie z panem - oznajmił. Eremoil skinął głową na kobietę - kierowcę i kuriera, który służył mu za przewodnika.

- Tylko z panem, panie pułkowniku.

Kobieta wydawała się zaniepokojona. Eremoil skinieniem głowy nakazał jej zostać.

Powiedział:

- Proszę tu na mnie poczekać. Nie sądzę, by miało to trwać długo. Poszedł za

strażnikiem w kierunku domu.

Spodziewał się, że od Aibila Kattikawna dozna podobnego, niezbyt przyjaznego przyjęcia jak od strażnika; nie docenił jednak grzeczności, jaką prowincjonalny arystokrata czuł się w obowiązku okazywać swym gościom. Kattikawn powitał go ciepłym uśmiechem, długim, grzecznym choć przenikliwym spojrzeniem, a także uściskiem, który sprawiał wrażenie szczerego i serdecznego. Zaprosił go do wielkiego domu, wprawdzie skąpo umeblowanego, lecz eleganckiego na swój własny, sztywny i surowy sposób. Nagie belki ciemnego drewna podtrzymywały sklezione stropy, wysoko na ścianach rozwieszane były myśliwskie trofea, masywne meble sprawiały wrażenie autentycznych antyków. Cały ten dom przesiąkł atmosferą starożytności - i w tym podobny był do jego właściciela.

Kattikawn okazał się wysoki, znacznie wyższy od drobnego Eremoila, barczysty - szerokość jego ramion podkreślało dodatkowo ubranie z futra stitmojów. Miał wysokie czoło, siwe, lecz gęste i mocne włosy, ciemne oczy, cienkie wargi. Był niewątpliwie postacią imponującą - i to pod każdym względem.

Napełnił kielichy bursztynowym winem. Kiedy obydwaj go skosztowali, przemówił:

- A więc spalicie moją ziemię?

- Musimy, niestety, spalić całą tę prowincję.

- Głupi sposób prowadzenia wojny. Być może najgłupszy w historii ludzkich wojen.

Czy w ogóle orientujecie się, jak ważna jest produkcja tego regionu, jak wiele pokoleń ciężko pracowało, by farmy mogły tu powstać?

- Strefa od Milimorn do Sintalmond i dalej stanowi główny obszar partyzanckiej

aktywności Mctamorfów; jedyny, jaki pozostał im na Alhanroelu. Korona! zdecydował, że należy wreszcie zakończyć tę brudną wojnę, a nie można dokonać tego inaczej niż przez wykurzenie Zmiennokształtnych z ich kryjówek na wzgórzach.

- Są inne sposoby.
- Wypróbowaliśmy wszystkie. Okazały się nieskuteczne.
- Wszystkie? Próbowaliście przeczesać lasy metr po metrze? Próbowaliście po prostu ich znaleźć? Próbowaliście ściągnąć tu wszystkich żołnierzy z Majipooru, by w tym pomogli? Oczywiście, że nie! To zbyt kłopotliwe. O wiele prościej jest zniszczyć tę ziemię, spalić ją.
- Walczymy już bardzo długo.
- 1 Koronal wreszcie się zniecierpliwił. Zwycięży moim kosztem.
- Koronal jest mistrzem strategii. Koronal pobił niebezpiecznego przeciwnika - przeciwnika, którego nie potrafimy nawet zrozumieć - i dziś po raz pierwszy w historii cały Majipoor jest bezpieczny dla ludzi, cały z wyjątkiem tego regionu.
- Radziliśmy sobie zupełnie nieźle, kiedy wokół nas kryli się Metamorfowie, pułkowniku. Nie zostałem zmasakrowany. Potrafiłem się jakoś obronić. Dla mnie samego i dla moich dóbr Metamorfowie nie okazali się nawet w przybliżeniu tak niebezpieczni jak mój własny rząd. Wasz Koronal, pułkowniku, jest głupcem!
- Eremoil zdołał się opanować.
- Przyszłe pokolenia uznają go za bohatera. Największego wśród naszych bohaterów.
- Bardzo możliwe. Ludzie tacy jak on zazwyczaj zostają bohaterami. Ja tylko twierdzę, że nie trzeba koniecznie palić całej prowincji, by podbić kilka tysięcy przebywających nadal na wolności tubylców. Twierdzę też, że jest to nierozważne i krótkowzroczne posunięcie znudzonego generała, któremu spieszno jest do uciech Zamkowej Góry.
- Niech i tak będzie. W każdym razie decyzja została podjęta. Ziemia między Milimorn i Hamificu już płonie.
- Zauważyłem.

- Ogień dochodzi do miasteczka Kattikawn. Być może już o świecie zagrożone będą granice pańskiej posiadłości. Jutro będziemy palić tu i na południe od Sintalmond.
- Tak, rozumiem. - Kattikawn zachował kamienny spokój.
- Rozpęta się piekło. Proszę się ewakuować, póki ma pan jeszcze czas.
- Postanowiłem zostać na mojej ziemi, pułkowniku. Eremoil westchnął.
- Jeśli tak, to nie możemy odpowiadać za pańskie bezpieczeństwo.
- Nikt oprócz mnie nie odpowiadał nigdy za moje bezpieczeństwo.
- Przecież tłumaczę, że umrzecie, zginiecie straszną śmiercią. Nie ma sposobu, by -  
raz wzniecony - ogień ominął pańską posiadłość.
- Rozumiem.
- A więc chce pan, abyśmy pana zamordowali?
- Ależ nic podobnego! Nie, nie chcę. Pan i ja nie zawieramy żadnego układu. Pan prowadzi swą wojnę, ja staram się utrzymać mój dom. Jeśli ogień, którym pan walczy, naruszy teren, który nazywam swoim, tym gorzej dla mnie, ale nie może być mowy o morderstwie. Żyjemy w różnych światach, panie pułkowniku Eremoil.
- To zdumiewający sposób rozumowania. Zginie pan wskutek podjętego przez nas ataku. Pana śmierć obciąży nasze sumienia!
- Ostrzeżliście mnie w porę. Zostaję tu z własnej woli. Ma śmierć obciąży wyłącznie moje sumienie.
- A pańscy ludzie? Przecież oni również zginą!
- Ci, którzy zdecydują się pozostać, owszem. Ostrzegłem ich, wiedzą więc, co im grozi. Trzech już uciekło na wybrzeże. Reszta zdecydowała się pozostać. Z własnej woli. I bynajmniej nie dlatego, by sprawić mi przyjemność. To nasza ziemia. Czy nalać panu jeszcze wina, panie pułkowniku?

Eremoil odmówił, lecz zaraz zmienił zdanie i podstawił swój kielich. Gdy pił,

Kattikawn zapytał:

- Czy nie ma możliwości, bym mógł pomówić z Lordem Stiamotem?

- Nie ma żadnej.

- Rozumiem, że Koronal jest w pobliżu?

- O pół dnia drogi stąd. Lecz w tych sprawach jest nieosiągalny.

- Chyba nie przypadkiem. - Kattikawn uśmiechnął się. - Myśli pan, że zwariował?

- Koronal!? Ależ skąd!

- Chociażby ten ogień - cóż za desperackie, idiotyczne posuniecie! Będzie musiał płacić odszkodowania, miliony rojali, skarb zbankrutuje, będzie to kosztowało równowartość jakichś pięćdziesięciu zamków tak wielkich jak ten, który zbudował sobie na Zamkowej Górze. I po co? Poradzilibyśmy sobie sami - w ciągu dwóch, może trzech lat.

- Albo pięciu, albo dziesięciu, albo dwudziestu. Musimy skończyć wojnę jak najszybciej, w tym roku. Ta ohyda, ten wstyd dla nas wszystkich; długi nocny koszmar, kładący się cieniem na naszych duszach...

- Och, więc pan też myśli, że ta wojna to pomyłka? Eremoil przecząco potrząsnął głową.

- Podstawową pomyłkę popełniono dawno temu, kiedy nasi przodkowie zdecydowali się osiedlić na planecie zamieszkannej przez istoty inteligentne. My nie mamy już wyboru.

Możemy tylko albo zmiażdżyć Metamorfów, albo opuścić planetę, a to ostatnie jest przecież niemożliwe.

- Oczywiście. Jak można opuścić dom, w którym mieszkało się tak długo, dom naszych przodków.

Eremoil zignorował ironię Kattikawna.

- Odebraliśmy planetę istotom, które jej oddać nie chciały. Przez tysiące lat próbowaliśmy żyć z nimi w pokoju, lecz zorientowaliśmy się, że taka koegzystencja jest niemożliwa. Narzucamy więc naszą wolę siłą, co oczywiście nie jest wyjściem idealnym. Ale alternatywa wydaje się znacznie gorsza.

- A co Lord Stiamot robi z Metamorfami, których trzyma w obozach internowanych?

Użyje ich jako nawozu na spalonych polach?

- Otrzymają ogromny rezerwat na Zimroelu. Pół kontynentu na własność - trudno to chyba nazwać okrucieństwem. Alhanroel będzie nasz.

Rozdzielili nas ocean. Tylko ten region nie jest jeszcze spacyfikowany. Lord Stiamot wziął na swe barki wielki ciężar, dźwiga odpowiedzialność za czyn bezlitosny, choć konieczny. W przyszłości imię jego będzie wymawiane z czcią.

- Wymawiam imię jego z czcią już dzisiaj. O mądry i sprawiedliwy władco, który w swej nieskończonej dobroci niszczysz mą ziemię, by świata nie niepokoili już garstka dzikusów, wałęsających się wolno po okolicy! Lepiej byłoby dla mnie, pułkownika, gdyby pański król-bohater miał duszę mniej szlachetną. A może szlachetniejszą, kto wie?

Wydawałby mi się wspanialszy i bardziej bohaterski, gdyby wybrał powolniejszą metodę zdobycia ostatnich kryjówek swych wrogów. Trzydzieści lat wojny... cóż znaczą te dodatkowe dwa, trzy lata?

- Dokonał wyboru. Płomienie zbliżają się do pańskiej posiadłości nawet teraz, podczas naszej rozmowy.

- Niech więc nadejdą. Pozostanę, by bronić mojej ziemi.

- Nie widział pan nigdy strefy ognia. Obrona nie potrwa nawet dziesięciu sekund.

Płomień pożre wszystko.

- Bardzo prawdopodobne. Ale spróbuję.

- Błagani pana.

- Błagam? Powiedział pan błagam, panie pułkowniku? Czy jest pan żebrakiem? A jeśli ja zacznę błagać? Błagani pana, by oszczędził pan mój dom.

- To nie leży w ludzkiej mocy. A ja błagam pana rzeczywiście, niech pan stąd uchodzi, niech pan ratuje życie swoje i swoich ludzi!

- Więc chce pan, bym uciekał, bym powlókł się drogą na wybrzeże, bym mieszkał w nędznym szałasie w Alaisor lub Bailemmone, bym podawał do stołu w gospodzie, bym zamiatał ulice albo wy-czesywał wierzchowce w stajni? Moje miejsce jest tu i wolę jutro zginąć w dziesięć sekund, niż żyć tysiąc lat na idiotycznym wygnaniu.

Mówiąc to, Kattikawn podszedł do okna.

- Robi się ciemno, panie pułkowniku - powiedział. - Czy będzie pan moim gościem na kolacji?

- Żałuję, lecz nie mogę zostać.

- Nudzi pana ta rozmowa? Możemy zmienić temat. Chciałbym, byśmy go zmienili.

Eremoil uścisnął jego twardą dłoń.

- Mam obowiązki w swojej kwaterze. Przyjęcie pańskiego zaproszenia byłoby dla mnie największą przyjemnością. Żałuję, że to niemożliwe. Czy wybaczy mi pan, że go opuszczę?

- Przykro mi, że odchodzi pan bez posiłku. Czy udaje się pan do Lorda Stiamota?

Eremoil nie odpowiedział.

- Czy nie mógłby pan uzyskać dla mnie audiencji?

- To nie leży w ludzkiej mocy. I nie warto nawet próbować. Proszę, niech pan opuści nocą dom. Zjedzmy wspólnie kolację i niech pan stąd wyjedzie.

- To mój dom i tu pozostanę. Życzę panu szczęścia, panie pułkowniku, i spokojnego



życia.

Przymknął oczy, lekko skłonił głowę. Było to grzeczne pożegnanie. Eremoil ruszył przez wielką sień. Gdy był u drzwi, dobiegły go słowa Kattikawna:

- Oficer, który odwiedził mnie przed panem, sądził, że zdoła wyrzucić mnie stąd siłą.

Pan był mądrzejszy. Żegnam, pułkowniku Eremoil.

Eremoil szukał odpowiednich słów; nie znalazł ich, więc tylko wyprostował się i zasalutował.

Strażnicy Kattikawna odprowadzili go do wylotu doliny. Kurier i kierowca grali w kości w cieniu ślizgacza. Poderwali się nerwowo na jego widok, więc gestem nakazał im, by się uspokoili. Spojrzał na wschód, na wysokie góry otaczające dolinę. Tak daleko na północy nawet teraz, późnym wieczorem, niebo było jeszcze jasne. Ciężka bryła szczytu Zygnor na de srebrnoszarego nieba wyglądała jak czarny mur. Na południu widać było wyraźnie jego bliźniaka, górę Haimon, gdzie znajdowała się kwatera główna Koronała. Eremoil stał przez chwilę, przyglądając się w milczeniu dwóm potężnym góróm, wzgórzom, kolumnie ognia i dymu wznoszącej się po ich drugiej stronie i dwóm księżycom, które właśnie wzeszły na niebie. Potrząsnął głową, obrócił się, spojrzał na dom Aibila Kattikawna, niemal niewidoczny w zapadającym mroku. Służąc w wojsku i zdobywając kolejne rangi miał okazję poznać książąt i diuków wielu wysoko urodzonych, których zwykły inżynier nie spotyka w codziennym życiu. Spędził mnóstwo czasu w towarzystwie samego Koronała, w kręgu jego najbliższych doradców. A jednak, pomyślał pułkownik Eremoil, nie spotkałem nigdy kogoś takiego jak ten Kattikawn. Najszlachetniejszy - czy też najbardziej nierozważny z ludzi? A może jedno i drugie?

-Jedziemy. Na szczyt Haimon!

- Na Haimon?

- Tak. Na spotkanie z Koronalem. Zdążysz przed północą?

Droga na południowy szczyt przypominała drogę na Zygnor, była tylko bardziej stroma i gorzej utrzymana. W ciemnościach serpentyny mogły być niebezpieczne przy prędkości, z jaką prowadził kierowca Eremoila, kobieta ze Stoiem, lecz czerwona poświata ognia, oświetlająca dolinę i wzgórza, zmniejszała ryzyko. Eremoil nie odezwał się ani słowem przez całą długą drogę. Nie miał nic do powiedzenia. Jakże bowiem kobieta-kierowca lub młodziutki kurier mogli zrozumieć naturę Aibila Kattikawna? On sam niewiele początkowo rozumiał. Słyszając, że jakiś farmer nie chce się ewakuować, sądził najpierw, że będzie miał do czynienia ze starym głupcem lub fanatykiem, ślepym na rzeczywistość i na swój los. Kattikawn był uparty; być może znaleźliby się nawet ludzie, którym wydałby się fanatykiem. Jednak żadne inne wyobrażenie o tego typu ludziach nie pasowało do tego człowieka, nie był nawet szalony, choć jego życiowa filozofia mogłaby się wydawać szalona każdemu, kto, jak Eremoil, postępował według innych zasad.

Zastanawiał się, co powie Koronatowi.

Nie ma sensu przygotowywać mowy. Słowa znajdą się same we właściwej chwili. A może nie? W drodze Eremoil pogrążył się w swego rodzaju śnie na jawie; umysł miał jasny, lecz nie myślał, nie analizował świata. Pojazd cicho i szybko wspinał się krętą drogą, wyjechał już z doliny na skalisty płaskowyż. O północy wciąż jeszcze byli poniżej szczytu Haimon, lecz nie kłopotał się tym - Koronał znany był z tego, że chodził spać późno, czasami nie sypiał w ogóle i Eremoil nie wątpił, że zdoła się do niego dostać.

Gdy wspięli się nieco wyżej, zasnął już prawdziwym snem. Był zaskoczony i zdziwiony, kiedy kurier potrząsnął nim delikatnie ze słowami: Jesteśmy w obozie Lorda Stiamota, panie pułkowniku”. Mrugając zaspanymi oczami, zdezorientowany Eremoil stwierdził, że siedzi wyprostowany w ślizgaczu, że zdrętwiały mu nogi i że bolą go plecy. Na

niebie świeciły księżycy; noc była czarna, tylko na zachodzie widać było łunę ognia.

Niezgrabnie wygramolił się z pojazdu.

Nawet teraz, w środku nocy, w obozie panował ruch, widać było biegających tu i tam gońców; w wielu zabudowaniach paliło się światło. Pojawił się adiutant; rozpoznał pułkownika i w sposób niezwykle formalny oddał mu honory.

- Pańska wizyta jest dla nas niespodzianką, panie pułkowniku.

- Dla mnie również, jeśli wolno mi tak rzec. Czy Lord Stiamot jest w obozie?

- Koronał prowadzi odprawę. Spodziewa się pana?

- Nie, lecz muszę z nim porozmawiać.

Adiutanta bynajmniej to nie zdumiało. Odprawa w środku nocy, komendanci dalekich placówek pojawiający się bez zapowiedzi... Czemu nie? W końcu jest wojna, a na wojnie protokół improwizuje się z dnia na dzień. Eremoil poszedł za żołnierzem przez obóz do ośmiokątnego namiotu, na którym widać było znak płonących gwiazd - symbol Koronała.

Sam namiot otoczony był pierścieniem strażników równie groźnych i poważnych jak ci, którzy bronili doliny Kattikawna. W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy czterokrotnie próbowano zamachu na życie Lorda Stiamota - lecz Metamorfowie atakowali daremnie.

Żaden Koronał Majipooru nie zginął dotąd gwałtowną śmiercią, ale żaden też nie prowadził wojny.

Adiutant rozmawiał z dowódcą straży, gdy nagle Eremoila otoczyli uzbrojeni żołnierze. W oczach mieli błysk szaleństwa; ich palce niczym kleszcze zacisnęły się na jego ramionach. Na moment zdumiał go ten atak, lecz pewność siebie po chwili wróciła.

- Co to znaczy? Jestem pułkownik Eremoil!

- Lub Zmiennokształtny.

-1 myślicie, że dowiecie się prawdy świecąc mi w oczy i miażdżąc ramiona?

- Mamy swoje sposoby. Eremoil roześmiał się.

- Nie ma skutecznych sposobów. Dobrze, sprawdźcie mnie, byle szybko. Muszę rozmawiać z Koronalem.

Sprawdzili go, bardzo dokładnie. Ktoś podsunął mu strzępek zielonego papierka i kazał go polizać - papierek zmienił kolor na pomarańczowy. Ktoś inny ściał pasmo włosów i podpalił. Eremoil rozglądał się wokół, zdezorientowany. Przez miesiąc nie było go w obozie, a przedtem nie stosowano jeszcze tych praktyk; może miała miejsce nowa próba zamachu, a może jakiś zwariowany profesor przekonał żołnierzy do swych sztuczek? O ile się orientował, nie było sposobu, by odróżnić Mctamorfa, który przybrał ludzką postać, od prawdziwego człowieka. Chyba że przez wykonanie sekcji, ale tego nie ośmielił się zasugerować.

- W porządku. Może pan wejść, panie pułkowniku.

A jednak poszli za nim. Oślepienie oczy Eremoila z trudem dostosowywały się do panujących w namiocie ciemności. Po chwili zdołał się jednak zorientować, że w głębi siedzi pół tuzina ludzi; dostrzegł pomiędzy nimi Lorda Stiamota. Modlili się chyba - słyszał ciche inwokacje i rytualne odpowiedzi, strzępy starych świętych zdań. Czy takie odprawy przeprowadza teraz Koronal? Eremoil podszedł i stanął niedaleko modlącej się grupy. Znał tylko jednego z towarzyszy Koronala, Damlanga z Bibiroon, uważanego powszechnie za drugiego lub trzeciego z kandydatów do władzy, inni nie wyglądali nawet na żołnierzy; starzy ludzie w cywilnych strojach, starcy z miasta, poeci, może tłumacze snów, z pewnością nie wojownicy. Lecz przecież wojna już się niemal skończyła.

Koronal spojrział w kierunku Eremoila, lecz chyba go nawet nie dostrzegł. Pułkownika zaskoczyły udręka i strach widoczne na twarzy władcy. Lord Stiamot postarzał się przez ostatnie trzy lata, a ostatnio proces ten uległ wyraźnemu przyspieszeniu. Koronal wyglądał staro: skurczony, bezbarwny, o suchej skórze, przytępionym wzroku. Mógł mieć nawet i sto

lat, a przecież to mężczyzna w kwiecie wieku, nie starszy od niego! Eremoil pamiętał dzień, w którym Stiamot wstąpił na tron, pamiętał jak złożył w tym dniu ślub, że zakończy szaleństwo nie wypowiedzianej wojny z Metamorfami, zgromadzi dawnych mieszkańców planety i usunie ich z terytoriów zajętych przez ludzi. Minęło zaledwie trzydzieści lat, a Korona! postarzał się niemal o sto, lecz przecież spędził te lata w polu -jak żaden władca przed nim i chyba żaden po nim - walcząc w dolinie Glayge, na upalnym południu, w gęstych lasach pomocnego wschodu, na bogatych równinach wzdłuż Zatoki Stoien... rok po roku osaczał Metamorfów swymi dwudziestoma armiami i zgarniał ich do obozów. Trudy jego panowania już się niemal kończyły, tylko partyzanci z północnego zachodu pozostali jeszcze na wolności. Walka - nic, tylko walka i krótkie powroty na Zamkową Górę, by zakosztować rozkoszy władzy. Wojna się przedłużała, Ercmoil czasem zastanawiał się, jak postąpi Lord Stiamot, gdy Ponifex umrze i on właśnie zostanie wezwany na inny, wyższy tron, a los zmusi go do zamieszkania w Labiryncie. Czy odmówi, zachowa koronę Koronala, by móc dalej dowodzić armią? Lecz wedle powszechnej opinii Pontifex cieszył się doskonałym zdrowiem, a przed nim siedział teraz Lord Stiamot, zmęczony, skurczony starzec, stojący nad grobem. I nagle Eremoil zrozumiał to, czego nie był w stanie pojąć Aibil Kattikawn. Zrozumiał, dlaczego Lord Stiamot tak bardzo chce zakończyć wojnę, jak najszybciej i za wszelką cenę.

Koronala przemówił:

- Kogo my tu mamy? Czy to Finiwain?

- Eremoil, panie. Dowodzę wojskami rozniecającymi ogień.

- Eremoil? Tak, Eremoil, pamiętam! Chodź do nas. Zanosimy dzięki Bogini za koniec wojny. Ci ludzie przybyli do mnie od mej matki, Pani Wyspy, która strzeże nas w snach. Spędzimy noc na modlitwach, pieśniach błogosławieństwa i dziękczynienia, bowiem rano zamknie się krąg ognia. Prawda, Eremoil? Podejdz, usiądź, śpiewaj z nami. Znasz pieśni,

które śpiewa się dla Pani? Znasz, prawda?

Eremoil przerażony, słuchał słabego, skrzekliwego głosu Koronala. Czy ten suchy, drżący głos to wszystko, co pozostało po pełnych majestatu mowach? Bohater, półbóg - znikł, zabiła go zbyt długa wojna. Nie pozostało z niego nic, tylko upiór, cień. Eremoil patrzył na Koronala i nie potrafił przypomnieć sobie, czy rzeczywiście był on kiedyś tym potężnym człowiekiem, którego obraz przechowała jego pamięć. Może zawsze miał do czynienia z mitem i propagandą, a Lord Stiamot był w istocie mniejszy niż jego stworzony na użytek ludu obraz.

Koronal skinął głową. Eremoil niechętnie podszedł bliżej. Zastanawiał się nad tym, co ma powiedzieć.

“Panie, na drodze płomieni znajduje się człowiek, który nie ucieknie i nie pozwoli się ewakuować, nie można go usunąć siłą nie narażając życia żołnierzy. Panie, ten człowiek jest zbyt wielki, by miał zginąć tak straszną śmiercią. Panie, proszę cię, wstrzymaj ogień, wymyśl inny sposób walki, byśmy mogli wyłapać uciekających Metamorfów, lecz nie walcz już za pomocą płomieni, bowiem...”

Nie!

Wiedział, że nie ma sposobu, by skłonić Koronala do przedłużenia wojny choćby o godzinę. Nawet gdyby miało to ocalić Kattikawna czyjego; nawet w imię Pani, matki Koronala, nie można było powstrzymać ognia, walka dobiegała bowiem kresu, a potężna wola władcy zmiatała wszystkie przeszkody stojące na drodze.

Eremoil mógł spróbować powstrzymać ogień, ale na własną odpowiedzialność. Nie mógł o to prosić Koronala.

Lord Stiamot znów na niego spojrzał.

- Co się stało? Coś pana martwi? Proszę, niech pan przy mnie usiądzie. Niech pan

śpiewa z nami. To pieśń dziękczynna.

Śpiewali hymn, którego Eremoil nie znał. Jednak starał się włączyć swój cichy głos w harmonię innych. Później śpiewali kolejną pieśń, i jeszcze jedną. Tę już znał, lecz głos miał słaby i bezdźwięczny. Świtało. Z wolna wycofał się w cień i wyszedł z namiotu. Widać już było słońce - jego pierwsze zielonkawe promienie padły właśnie na wschodnie zbocze Haimon. Minie jeszcze godzina, może dłużej, nim promienie oświetlą doliny południowego zachodu, których zagłada została już postanowiona. Eremoil marzył, by móc zasnąć i przez tydzień się nie obudzić. Spojrzał na adiutanta i spytał:

- Czy można wysłać wiadomość do mojego zastępcy na szczyt Zygnor?

- Oczywiście, panie pułkowniku.

- Proszę mu przekazać, że jest odpowiedzialny za następną fazę palenia i że ma postępować według przygotowanego schematu. Pozostanę tu przez cały dzień, na kwatere wrócę wieczorem. Chcę odpocząć.

- Tak jest!

Eremoil odwrócił się i spojrzał na zachód, ciągle jeszcze okryty mrokiem. Jasno było wyłącznie tam, gdzie kolumna ognia oświetlała niebo. Z pewnością Aibil Kattikawn zajęty był przez całą noc, pracowały pompy i węże, ziemia nasiąkała wodą. Nie ma nadziei; ogień tak potężny będzie płonął dotąd, póki starczy mu paliwa. Kattikawn musi zginąć, belkowany strop starego dworu zawali się i nic tego nie zmieni. Ocalić jego życie można tylko kosztem życia niewinnych żołnierzy, a i to bez pewności powodzenia. Ocalić mogłoby go także nieposłuszeństwo Eremoila, choć prawdopodobnie nie na długo. A więc zginie. Dziewięć lat jestem na wojnie - pomyślał Eremoil - i wreszcie zabiłem człowieka. Człowieka! Godzinę, może nieco dłużej, pozostał na stanowisku, zmęczony, ale niezdolny odejść. Dostrzegł wybuchy ognia na wzgórzach koło Bizfern, a może było to Domgrave, i wiedział, że znów

zaczęto podpalanie. Wojna skończy się wkrótce, powtarzał sobie, ostatni z naszych nieprzyjaciół uciekają teraz na bezpieczne wybrzeże, a tam zostaną internowani i wywiezieni za morze. Na świecie znów zapanuje pokój. Czuł ciepło słońca na plecach, a na policzkach żar ognia.

Na świecie zapanuje pokój, pomyślał, i poszedł poszukać sobie miejsca, w którym mógłby spać.

## **W PIĄTYM ROKU PODRÓŻY**

Tym razem Hissune czuł się zupełnie inaczej. Nie był tak wstrząśnięty i zdumiony; przeżył smutną i wzruszającą historię, lecz nie poruszyła ona go tak, jak akt miłosny kobiety i Ghayroga. Wiele jednak się z niej nauczył o naturze odpowiedzialności, o istocie konfliktów rodzących się między sprzecznymi siłami, z których każda ma swoje racje, i o tym, czym jest prawdziwy spokój ducha. Zrozumiał także w jakimś stopniu, jak się rodzą mity. W całej historii Majipooru nie było postaci bardziej przypominającej półboga niż Lord Stiamot, szlachetny władca-wojownik, który złamał opór złowrogich tubylców-Zmiennokształtnych; osiem tysięcy lat ubóstwienia zmieniło go w kogoś o nieprawdopodobnej wręcz sile i majestacie. Teraz mityczny Lord Stiamot nadal zajmuje ważne miejsce w pamięci Hissune'a, lecz nie jest to już miejsce centralne, to bowiem zajął Stiamot widziany oczami Eremoila; zmęczony, wynędzniały, wychudzony, przedwcześnie postarzały człowieczek, którego duch wypalił się w ciągu życia spędzonego na polu walki. Bohater? Z pewnością, choć pewno nie dla Metamorfów. Półbóg? Nie, raczej człowiek, bardzo ludzki, kruchy i zmęczony. Nie wolno mi tego zapomnieć - powiedział Hissune sam do siebie - i w tej właśnie chwili zdał sobie sprawę, że wykradane chwile spędzane w Rejestrze Duszy są jego prawdziwym uniwersytetem, na którym zdobywa doktorat z życia.

Minęło wiele dni nim zdecydował się odbyć kolejną wycieczkę. Kurz archiwów



zaczął jednak pokrywać jego duszę i Hissune zamarzył o odmianie, o przygodzie. A więc - z powrotem do Rejestru. Czekwały na zbadanie kolejne legendy. Kiedyś dawno, dawno temu statek z załogą szaleńców postanowił przepłynąć Wielkie Morze. Był to akt największej w historii Majipooru głupoty, lecz głupoty majestatycznej i wspaniałej. Hissune zdecydował się więc poszukać sobie miejsca na statku i sprawdzić, co stało się z jego załogą. W archiwum znalazł nazwisko kapitana, Sinnabora Lavona, urodzonego na Zamkowej Górze. Palce Hissune'a delikatnie dotykają klawiszy, wpisują datę, miejsce, nazwisko. Chłopiec czeka, napięty, ciekawy, gotów wyruszyć w morze.

W piątym roku podróży Sinnabor Lavon zauważył pierwsze pasma smoczej trawy, wijącej się w morzu wokół statku.

Oczywiście nie miał pojęcia, co to jest, nikt bowiem na Majipoorze nie widział przed nim smoczej trawy. Nikt nigdy jeszcze nie wypłynął tak daleko na Wielkie Morze. Lecz Sinnabor Lavon wiedział, że mija piąty rok podróży, jako że każdego ranka z dokładnością notował datę i pozycję statku w dzienniku okrętowym. Zapewniało to żeglarzom komfort psychiczny - nie mieli wątpliwości, w jakim punkcie wielkiego, monotonnego oceanu się znajdują. Wiedział, że mają dwudziesty rok pontyfikatu Dizimaule'a, że Lord Arioc jest Koronalem i że pięć lat temu "Spurifon" wypłynął z portu Til-omon w podróż dookoła świata.

Najpierw pomyślał, że ma do czynienia z rojem węży morskich, bowiem trawa wydawała się poruszać jakby pod wpływem jakiejś wewnętrznej siły; gięła się i prostowała, zwijała i rozwijała. Na de ciemnych spokojnych wód błyszczała wspaniałym bogactwem barw; każde jej pasmo świeciło: szmaragdowe, ciemnoniebiesko, pomarańczowo. Jedno jej skupisko dostrzegł przy sterburcie, inne nieco większe, pojawiło się przy bakburcie. Lavon przechylił się przez reling górnego pokładu i na pokładzie dolnym ujrzał trzy

sylwedu włochatych, czteroręcznych marynarzy - Skandarów. Reperowali sieci, a przynajmniej udawali, że je reperują. Spojrzeli mu w oczy z kwaśnymi, ponurymi minami. Jak większość załogi, już dawno znudzili się tą wyprawą.

- Hej, wy! - krzyknął. - Złapcie mi kilka tych węży! - Węży, kapitanie? Jakich węży?

- Tam! No, tam! Oślepiście?

Skandarzy spojrzeli w wodę, a później, z nieco pogardliwą, spokojną wyższością, popatrzyli na kapitana.

- Mą pan na myśli tę pływającą trawę?

Lavon przyjrzał się jej uważniej. Trawa? Statek minął już pierwsze skupisko, ale przed dziobem było ich dużo więcej. Zmrużył oczy, starając się wypatrzeć pojedyncze pasma.

Całość poruszała się tak, jak mogłyby poruszać się węże, lecz nie dostrzegł ani łbów, ani oczu. No, dobrze, może to i trawa. Niecierpliwie machnął ręką. Skandarowie, nie śpiesząc się, zaczęli rozkładać umieszczoną na bomie sondę, za pomocą której zbierano okazy biologiczne.

Kiedy Lavon zbiegł na dolny pokład, ociekająca wodą mała kupka trawy leżała już na pokładzie, a wokół niej zgromadziło się kilka osób z załogi: pierwszy oficer Vormecht, nawigator Galimoin, Joachil Noor i paru naukowców, oraz Mikdal Hasz, kronikarz. W powietrzu unosił się ostry zapach amoniaku. Trzej Skandarowie cofnęli się o krok, ostentacyjnie zatykając nosy i coś mrużąc, lecz inni marynarze, roześmiani, wskazywali trawę palcami, szturchali ją kijami i wydawali się tak podnieceni i poruszeni, jak im się to nie zdarzyło od kilkunastu tygodni.

Lavon ukląkł na pokładzie. Bez wątplenia był to jakiś rodzaj wodorostów; każde płaskie, mięsiste pasmo było długie na wzrost człowieka, miało szerokość męskiego ramienia i grubość palca. Pasma te drgały i zwijały się konwulsyjnie, jak marionetki na sznurkach, lecz w miarę, jak wysychały, ruchy ich wyraźnie słabły, a jaskrawe kolory blakły szybko.

- Wyłówcie jej jeszcze trochę - rozkazała Skandarom Joachil Noor. -1 umieście w pojemniku z morską wodą, żeby nie wyschła.

Skandarzy ani drgnęli.

- Smród... taki straszny smród... - powiedział jeden z nich.

Joachil Noor podeszła do nich - niewysoka, szczuplutka kobieta, przy włochatych gigantach wyglądająca jak dziecko - i stanowczym gestem kazała im zabrać się do pracy.

Wzruszając leniwie ramionami, Skandarzy powrócili do swej roboty.

-1 co pani o tym sądzi?- spytał ją Sinnabor Lavon.

- To algi. Jakiś nieznaną gatunek, ale tak daleko na pełnym oceanie wszystko jest nieznaną. Interesujące są te zmiany koloru. Nie wiem, czy powodem jest fluktuacja pigmentów, czy to tylko złudzenie optyczne, gra światła na powierzchniowej warstwie tkanki.

- A ruchy? Algi nie mają mięśni.

-Wiele roślin cechuje się zdolnością do ruchu. Minimalne oscylacje napięć elektrycznych powodują ruchy płynów tkankowych. Zna pan chyba sensitiwy z północno-zachodniego Zimroelu - krzyk powoduje, że się kulą. Woda morska jest znakomitym przewodnikiem, toteż te rośliny muszą odbierać całe mnóstwo impulsów elektrycznych.

Zbadamy je bardzo dokładnie. - Joachil Noor uśmiechnęła się. - Mówię panu, to jak dar od Bogini. Jeszcze tydzień na tym pustym morzu i wyskoczyłabym za burtę.

Przytaknął skinieniem głowy. On też to odczuwał - tę straszliwą, morderczą nudę, przerażające, duszące uczucie konieczności odbycia nie kończącej się wędrówki donikąd.

Nawet on, który poświęcił zorganizowaniu tej wyprawy siedem lat życia i gotów był na niej spędzić jego pozostałą część - nawet on, w piątym roku podróży, sparaliżowany bezczynnością, ogłupiały z apatii...

- Proszę o raport jeszcze dziś, dobrze? Wstępny raport. "Unikalny, nowy gatunek

wodorostów...”

Joachil Noor skinęła głową, Skandarzy podnieśli pojemnik z morską wodą i na swych rozłożystych barkach zanieśli go do laboratorium. Trzej biologowie ruszyli za nimi.

- Nie zabraknie nam okazów do studiowania - powiedział Vormecht wyciągając rękę.

- Niech pan spojrzy, panie kapitanie! Aż się kotłują w wodzie tam, przed nami!

- Chyba jest ich nawet zbyt wiele - stwierdził Mikdal Hasz. Sinnabor Lavon odwrócił się do kronikarza, mężczyzny o suchym głosie, z jednym ramieniem wyższym od drugiego.

- Co pan ma na myśli?

- Mam na myśli uszkodzenie silników, panie kapitanie, jeśli warstwa trawy zrobi się grubsza. Czytałem opowieści ze Starej Ziemi: o oceanach, gdzie wodorosty były wręcz nie do pokonania, unieruchamiały statki, załogi żywiły się rybami i krabami, a w końcu umierały z pragnienia, statki zaś dryfowały bez końca, przez setki lat, ze szkieletami na pokładach...

Pierwszy nawigator Galimoin parsknął.

- Legendy! Baśnie!

- A jeśli coś” takiego zdarzy się nam? - spytał Mikdal Hasz.

- Czy to prawdopodobne? - zainteresował się Vormech Lavon zdał sobie sprawę, że wszyscy patrzą na niego. On sam

spojrzał na morze. Tak, wodorosty wydawały się gęściejsze, zaczynały się zbijać w jedną masę, a ich rytmiczne, wijące się ruchy sprawiały, że spokojna dotąd woda pulsowała i wydymała się. Jednakże między kłębam alg wciąż widać było szerokie kanały. Czy to możliwe, by wodorosty powstrzymały statek tak sprawny jak “Spurifon”? Na pokładzie panowała cisza. Wydawało się to niemal komiczne: byli śmiertelnie zagrożeni przez rośliny; poważni oficerowie nie potrafili uzgodnić taktyki walki. Ostatnie słowo należało do kapitana. Miała to być decyzja, od której będzie zależało życie bądź śmierć załogi...

Prawdziwym zagrożeniem, pomyślał Lavon, są nie wodorosty, lecz nuda. Przez kilka ostatnich miesięcy podróż była tak spokojna, a dni tak puste, że trzeba było wypełniać je wymyślanymi naprędce rozrywkami. Każdego ranka nad Zimroelem wschodziło wielkie, brązowozielone tropikalne słońce, które w południe raziło ich z bezchmurnego nieba, a wieczorem zniżало się nad nieprawdopodobnie dalekim horyzontem, następnego zaś dnia wszystko powtarzało się od początku. Od wielu tygodni nie padał deszcz, pogoda w ogóle się nie zmieniała. Wielkie Morze wydawało się ich wszechświatem. Nie dotarli do żadnego lądu, tak daleko na oceanie nie było nawet skrawka wysepki, w powietrzu nie latały ptaki, w wodzie nie pływały ryby... w takim świecie nie znany wcześniej gatunek wodorostów był wspaniałą, radosną odmianą. Gwałtowny niepokój zżerał podróżników - tych samych entuzjastycznych, pełnych poświęcenia odkrywców, którzy niegdyś dzielili z Laronem wizję wielkiej wyprawy, a teraz ponuro znosili torturę świadomości, że zmarnowali życie w porywie romantycznej głupoty. Kiedy postanowili przepłynąć Wielkie Morze, zajmujące niemal połowę gigantycznej powierzchni planety, nie sądzili, że będzie to wyglądało właśnie tak. Wyobrażali sobie, że każdego dnia czeka ich nowa przygoda, że na każdym kroku spotykają będą fantastyczne, nieznane bestie, nie odkryte wyspy, że będą walczyć ze sztormami pod niebem ciężkim od chmur o niezwykłych kolorach. Nie spodziewali się tej strasznej monotonii i niezmienności następujących po sobie bez końca długich dni. Lavon brał już pod uwagę ryzyko buntu, bo miało upłynąć jeszcze wiele - może siedem, dziewięć, a może jedenaście lat -nim dotrą do brzegów dalekiego Alhanroelu. Wątpił, by jego ludzie mieli serce tak długo czekać na szczęśliwy koniec wyprawy. Większość marzyła zapewne o zawróceniu statku na Zimroel; były chwile, w których on sam o tym marzył. A więc szukajmy ryzyka, powiedział do siebie, a jeśli go nie znajdziemy, to musimy sami jakieś wymyślić. Przewyciężajmy niebezpieczeństwa, rzeczywiste lub urojone, na przykład groźbę

wodorostów. Choćby była tylko pozorna, wyrwie nas ze śmiertelnego letargu.

- Poradzimy sobie - oświadczył. - Naprzód!

Po godzinie zwątpił w słuszność tego twierdzenia. Ze swego miejsca na mostku uważnie przyglądał się coraz grubsze kożuchowi wodorostów. Formowały się z nich wysepki pięćdziesięcio- i stumetrowe, a kanały między nimi były coraz węższe. Powierzchnia morza poruszała się, drżąc i falując. Pod palącymi promieniami stojącego w zenicie słońca kolory alg stały się jeszcze bogatsze; zmieniały się szaleńczo, jakby słoneczna energia udzielała się roślinom. Dostrzegł poruszające się wśród tych gęstych splotów jakieś zwierzęta: wielkie, wielonożne, okrągłe, o nierównych zielonych skorupach, przypominające kraby, a także inne giętkie, długie jak węże lub ramiona ośmiornic. Pożerały inne stworzenia, zbyt małe, by Lavon mógł je dostrzec.

- Może zmienić kurs... - zasugerował nerwowo Vormecht.

- Cóż, może... Poślę kogoś na bocianie gniazdo, żeby nam powiedział, jak daleko się to ciągnie.

Nie podobał mu się pomysł zmiany kursu nawet o kilka stopni. Wytyczył statkowi tylko jeden kierunek i bał się, że nawet najdrobniejsza korekta skruszy jego stale słabnącą wolę. Nie był jednak szaleńcem, prącym przed siebie bez względu na ryzyko. Po prostu wiedział, jak niewiele potrzeba, by załoga "Spuiifona" straciła resztki wiary w powodzenie wielkiej misji, której się dobrowolnie podjęła.

Żyli w złotym wieku Majipooru, w czasach wspaniałych czynów i wielkich bohaterów. Organizowano ekspedycje wszędzie tam, gdzie warto było się wyprawić: na pustynie Suvraelu, w dżungle i bagna Zimroelu, na dziewicze wyrzeża Alhanroelu, na archipelagi i wysepki otaczające trzy kontynenty. Liczba mieszkańców planety zwiększała się gwałtownie, miasteczka zmieniały się w miasta, a miasta w nieprawdopodobnie wielkie

metropolie; osadnicy innych ras napływali masowo z pobliskich światów w poszukiwaniu szczęścia; wszędzie wyczuwało się podniecenie, wszystko zmieniało się i rosło. Sinnabor Lavon zdecydował się na najbardziej szaleńczą z wypraw - chciał przepłynąć Wielkie Morze! Nikt nigdy tego nie próbował. Z przestrzeni kosmicznej widać było, że ocean pokrywa połowę powierzchni planety i że kontynenty, choć olbrzymie, stłoczone są na jednej półkuli, resztę zaś zajmuje bezkresne morze. Mimo że upłynęło kilka tysięcy lat od chwili, gdy ludzie zaczęli kolonizować Majipoor, na lądach pozostało jeszcze mnóstwo pracy. Wielkie Morze zostawiono więc samemu sobie, oddając je we władanie flotyllom smoków morskich, niezmordowanie przemierzających je w masowych wędrówkach, których jeden etap mógł trwać dziesięciolecia.

Lecz Lavon kochał Majipoor i pragnął ogarnąć całą planetę. Przemierzył ją od Amblemornu u stóp Zamkowej Góry do Tilomon na przeciwległym brzegu oceanu, a potem, czując potrzebę domknięcia rozpoczętego kręgu, wszystkie swe siły i środki poświęcił wyposażeniu wspaniałego statku, samowystarczalnego niczym wyspa, na pokładzie którego - wraz z załogą równie jak on szaloną - zamierzał spędzić lat dziesięć lub więcej, badając te nie odwiedzone przez ludzi wodne obszary. Wiedział, i inni też prawdopodobnie zdawali sobie z tego sprawę, że zadanie, które sobie postawili, może być niewykonalne. Lecz jeśli im się uda, jeśli doprowadzą swą arkę szczęśliwie do portu na wschodnim brzegu Alhanroelu, gdzie nie widziano jeszcze nigdy oceanicznego statku, ich imiona będą pamiętane przez wieczność.

-Ahoj! - krzyknął nagle marynarz z bocianiego gniazda. -Smoki! Ahoj!

- Całe tygodnie nudy - mruknął Vormecht - i nagle wszystko naraz!

Lavin dostrzegł marynarza, ciemną figurkę na tle jaskrawego nieba, wskazującego wyciągniętą nieruchomo ręką na północno-północny zachód. Przesłonił oczy i spojrział w tym kierunku. Tak, rzeczywiście tam były - wielkie, giętkie ciała, zakończone grotem, uniesione

wysoko ogony, skrzydła albo przytulone do ciała, albo, u niektórych, wspaniale rozpostarte...

- Smoki! - krzyknął Galimoin. Kilkanaście głosów zawtórowało mu: - Spójrzcie, smoki!

“Spurifon” spotkał już przedtem dwa stada smoków; jedno po sześciu miesiącach podróży, pomiędzy wyspami, które ochrzcili archipelagiem Stiamota, i drugie dwa lata później, w tej części oceanu, którą nazwali Głębią Arioca. Oba stada były wielkie - setki gigantycznych stworzeń, wiele samic w ciąży - i oba trzymały się z dala od statku. Lecz te smoki wydawały się strażą przednią stada; było ich piętnaście, najwyżej dwadzieścia: kilka wielkich samców i młode, zaledwie około dwunastometrowej długości. Wijące się wodorosty przestały się liczyć wobec zbliżających się smoków.

Wydawało się, że cała załoga nagle wyległa na pokład, niemal tańcząc z podniecenia.

Lavon zacisnął dłonie na relingu. Pragnął ryzyka, by zwalczyć nudę - no to ma ryzyko. Rozzłoszczony dorosły smok morski z łatwością mógł uszkodzić statek, nawet tak doskonale zabezpieczony jak “Spurifon”. Wprawdzie stworzenia te rzadko atakowały nie sprowokowane, ale takie wypadki się zdarzały. Czy potraktują “Spurifona” jak statek łowców smoków? Co roku jakieś stado przepływało wodami między Piliplokiem a Wyspą Snu, gdzie polowania były dozwolone, i flota łowców zadawała mu wielkie straty. Pływające tu wielkie samce musiały zetknąć się z takimi polowaniami, a któż może znać ich uczucia? Na sygnał kapitana harpunnicy zajęli wyznaczone miejsca.

Lecz atak nie nastąpił. Wydawało się, że smoki są statkiem zainteresowane - i to wszystko. Ściągnęła je tu żywność. Kiedy dopłynęły do wodorostów, otwały swe wielkie paszcze i zaczęły pożerać algi wraz z krabami, ośmiornicami i wszystkim innym. Pasły się tak przez kilka godzin, a później, jakby na sygnał, zanurkowały i znikły.

“Spurifona” otaczał ogromny pierścień czystej wody.



- Musiały pożreć tego tony - mruknął Lavon. - Setki ton.

- A teraz mamy przed sobą wolną drogę - stwierdził Galimoin. Vormecht przecząco potrząsnął głową.

- Nie. Widzi pan, kapitanie? Tam daleko to smocza trawa. Jej warstwa jest coraz grubsza.

Lavon spojrział w dal. Wokół statku, na horyzoncie, widać było ciemną linię.

- Ziemia - zasugerował nawigator. Wyspy... atol...

- Ze wszystkich stron wokół nas? - W głosie Vormecha brzmiała wyraźna

dezaprobatą. - Nie, Galimoin. Wpłynęliśmy w środek obszaru smoczej trawy. Smoki nie utorowały nam drogi, to złudzenie. Jesteśmy w pułapce.

- To tylko wodorosty - stwierdził Galimoin. - Jeśli będzie trzeba, zrobimy sobie przejście.

99

Lavon z niepokojem przepatrywał horyzont. Zaczynał podzielać obawy Vormecha.

Parę godzin temu widzieli pojedyncze pasma lub maleńkie wysepki trawy, lecz teraz, choć statek płynął po czystej wodzie, wyglądało na to, że zawsządotoczeni są jej szczelnym pierścieniem. Czy jednak warstwa wodorostów może stać się tak gruba, by ich powstrzymać?

Słońce już zachodziło. Ciężkie, upalne powietrze nabrało odcienia różu, a potem szybko zrobiło się szare. Ze wschodu nadciągnęła ciemność, ogarniając żeglarzy.

- Rano wyślemy łodzie i zobaczymy wszystko, co jest do zobaczenia - oznajmił Lavon.

Po kolacji Joachil Noor przedstawiła wyniki badań nad trawą. Okazało się, że jest to gigantyczna alga, bardzo interesująca z biochemicznego punktu widzenia, warta dokładniejszego zbadania. Joachil rozwodziła się nad skomplikowanym wzorem zmian

kolorów i wielkimi zdolnościami ruchowymi. Cała załoga, nawet ludzie od całych tygodni pogrążeni w beznadziejnej depresji, tłoczyła się wokół naczynia z próbką smoczej trawy, żeby tylko jej dotknąć, porozmyślać i pogadać o niej. Sinnabor Lavon cieszył się w duchu, widząc, jak miejsce marazmu zajmuje ożywienie.

Tej nocy śnił, że tańczy na wodzie, z werwą wykonując solową partię w jakimś pełnym ognia balecie. Pod nogami miał grubą, twardą pokrywę smoczej trawy.

Na godzinę przed świtem obudziło go gwałtowne stukanie do drzwi kajuty. Walił w nie Skandar imieniem Skeen, który pełnił trzecią wachtę.

- Szybko... smocza trawa... kapitanie - wydyszał. Prawdziwe rozmiary nieszczęścia widać było nawet w słabym

świele rodzącego się dnia. "Spurifon" płynął przez całą noc, ale w ruchu była także trawa i teraz statek tkwił w jej gęstym kożuchu, który wydawał się rozciągać bez końca.

Widok, który ukazał się w pierwszych zielonych promieniach porannego słońca, sprawiał wrażenie obrazu ze snu: całe miliardy splecionych ze sobą pasm; pulsująca, wijąca się, falująca powierzchnia, która mieniła się pełną gamą głębokich kolorów. Wśród tej niesamowicie splecionej sieci widać było gdzieś jej mieszkańców, wślizgujących się w wodorosty i wyślizgujących z nich, pełzających, ukazujących się i znikających, szukających czegoś pracowicie, żerujących niezmordowanie. Wokół unosił się zapach tak przenikliwy, iż wydawało się, że atakuje bezpośrednio mózg. Jak okiem sięgnąć - ani śladu czystej wody.

"Spurifon" tkwił unieruchomiony, tak spokojny, jakby w ciągu nocy przeniósł się tysiąc kilometrów w głąb pustyni Suvraelu.

Lavon spojrział na swego pierwszego oficera. Vormecht, wczoraj tak wojowniczy i rozdrażniony, dziś sprawiał wrażenie spokojnego i zrezygnowanego. Popatrzył na nawigatora Galimoina, którego hałaśliwy optymizm ustąpił miejsca niepewności i napięciu, co łatwo było

odczytać z nieruchomego wzroku i mocno zaciśniętych warg.

- Wyłączyliśmy silniki - powiedział Vormecht. - Wsysały trawę przez tuleję. Rotory zatkały się niemal natychmiast.

- Można je oczyścić? - spytał Lavon.

- Właśnie próbujemy. Ale gdy tylko włączymy silniki, znów zapchają się trawą, wsysaną przez każdą najmniejszą szczelinę.

Lavon skrzywił się i spojrzał na nawigatora.

- Czy określił pan obszar zajmowany przez wodorosty?

- Za pomocą naszych instrumentów nie zdołaliśmy oznaczyć jego granic, kapitanie.

-A głębokość?

- Algi są jak trawnik. Nasze sondy go nie przebijają. Lavon powolutku wytchnął powietrze z płuc.

- Natychmiast spuścić łodzie. Musimy zbadać, z czym mamy walczyć. Vormecht, wyślij dwóch nurków, niech sprawdzą głębokość pokrywy wodorostów i znajdą jakiś sposób zamontowania osłony silników. I przyślij mi Joachil Noor.

Drobna pani biolog pojawiła się niemal natychmiast. Widać po niej było zmęczenie, lecz także jakąś przewrotną satysfakcję. Nim kapitan zdołał otworzyć usta, powiedziała:

- Całą noc badałam te algi. Żywią się metalami. Wykryłam wysoką koncentrację renu i wanadu w ich...

- Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, że się zatrzymaliśmy? Najwyraźniej wcale jej to nie zainteresowało.

- Właśnie zauważyłam.

- Wygląda na to, że znaleźliśmy się w jakiejś starodawnej baśni, w której statki zostają unieruchomione przez wodorosty i zmieniają się we wraki. Możemy zostać tu na dłuższy

czas.

- To da nam szansę dokładnego przestudiowania tego unikalnego ekosystemu,

kapitanie.

- Być może będziemy go studiować do końca życia.

- Tak pan naprawdę sądzi? - Joachil Noor wreszcie się ocknęła.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Lecz chciałbym, by zmieniła pani kierunek swych badań, przynajmniej na jakiś czas. Niech pani stwierdzi, co zabija te rośliny, oprócz, oczywiście, wystawienia ich na działanie powietrza. Jeśli w ogóle zamierzamy się stąd wydostać, być może będziemy zmuszeni wypowiedzieć im biologiczną wojnę. Potrzebuję jakiegoś środka, jakiejś metody, jakiegoś sposobu, który utrzyma je z dala od rotorów.

- Niech pan złapie dwa smoki - zaproponowała Noor - przywiąże je po obu stronach dziobu, to wygryzą nam wolną drogę.

Sinnabor Lavon nie uśmiechnął się.

- Proszę potraktować ten problem poważnie - powiedział. -I zgłosić się do mnie z raportem.

Obserwował, jak opuszczono dwie szalupy, każda z załogą czterech marynarzy. Miał nadzieję, że trawa nie zaszkodzi ich mechanizmom, ale rozczarował się - śruby zostały oplatanie niemal natychmiast i marynarze musieli odczepić wiosła, by za ich pomocą powoli, z wysiłkiem ruszyć naprzód, przy czym nieustannie przerywali pracę i pałkami odpędzali gigantyczne skorupiaki, wędrujące wśród smoczej trawy. Przez piętnaście minut lodzie oddaliły się od statku nie więcej niż na sto metrów. Tymczasem dwóch nurków w maskach, człowiek i Hjort, zanurzyło się tuż przy burcie statku, wykarczowawszy sobie przedtem drogę w głębinę. Kiedy po pół godzinie nie wrócili, Lavon spytał:

- Vormecht, jak długo człowiek może pozostać pod wodą w tej masce?

- Mniej więcej tyle, ile tam siedzą. Hjort może nieco dłużej, ale niewiele.

- Tak właśnie myślałem.

- Nie możemy posłać za nimi kolejnych nurków, prawda?

- Nie możemy - stwierdził ponuro Lavon. - Czy pana zdaniem nasza łódź podwodna przebije się przez tę trawę?

- Prawdopodobnie nie.

-Ja też w to wątpię. Ale musimy spróbować. Proszę ogłosić, że poszukujemy ochotników.

Na pokładzie "Spurifona" znajdowała się niewielka łódź podwodna przeznaczona do badań naukowych, nie używana od miesięcy. Przygotowania do zanurzenia zajęły ponad godzinę. Los obu nurków był już przypieczętowany i Lavon czuł, jak świadomość ich śmierci ściska mu duszę niczym stalowa obręcz. Nie znał wypadku, by ktoś umarł z jakiegokolwiek innego powodu prócz starości i trudno mu było pojąć, że śmierć może być przypadkowa.

Równie trudno było przyjąć do wiadomości fakt, że za tę śmierć to on ponosi odpowiedzialność.

Do łodzi podwodnej wsiadła załoga złożona z trzech marynarzy--ochotników, następnie spuszczone ją ze statku. Przez moment spoczywała na warstwie trawy, później załoga uruchomiła manipulatory i jak jakiś wielki, błyszczący krab łódź zaczęła przedzierać się w głąb. Szło to bardzo powoli, smocza trawa bowiem cały czas ją oplatywała, tworząc nową sieć niemal równie szybko, jak ulegała zniszczeniu stara, ostatecznie jednak łódź zanurzyła się pod wodę.

Galimoin krzyczał coś przez megafon z drugiego końca pokładu. Lavon spojrział w tamtym kierunku i dostrzegł szalupy, które wysłał na rekonesans, tkwiące wśród wodorostów niespełna kilometr od statku. Dochodziło południe - w blasku słońca trudno było zobaczyć, w

którą płyną stronę, ale wydawało mu się, że zawracają.

Samotny, milczący, czekał na mostku. Nikt nie ośmielił się do niego zbliżyć.

Spoglądał na pływający dywan trawy, na poruszające się wśród niego tu i ówdzie dziwne stwory, i myślał o dwóch nurkach, którzy utonęli, o załodze łodzi podwodnej, o marynarzach w szalupach i o reszcie swych ludzi, na razie bezpiecznych na pokładzie statku. Wszyscy oni wmieszani byli w tę groteskową przygodę. Jakże łatwo było jej uniknąć, pomyślał, i jak łatwo teraz snuć podobne myśli. I jakie to bezsensowne.

Nieruchomy, trwał milcząc na posterunku aż do popołudnia, w blasku, upale i smrodzie. Potem wrócił do kajuty. Nieco później zameldował się u niego Vormecht z informacją, że załoga łodzi podwodnej znalazła nurków uwięzionych w pobliżu unieruchomionych rotorów, owiniętych pasmami smoczej trawy, jakby świadomie uniemożliwiała im ona powrót na powierzchnię. Przyjął tę rewelację sceptycznie, oświadczając, że z pewnością po prostu się w nią zaplątali, ale mówił to bez wielkiego przekonania. Łódź podwodna także miała kłopoty, niemal zatarła silniki, próbując zanurzyć się na głębokość piętnastu metrów. Trawa, twierdził Vormecht, tworzy nieprzenikniony kożuch do głębokości około czterech metrów. "Co z szalupami?" - spytał Laron i bosman odparł, że ludzie z szalup powrócili bezpiecznie, choć byli śmiertelnie zmordowani pracą przy wiosłach. Przez cały ranek oddalili się od statku na niespełna dwa kilometry; nie dostrzegli ani granicy wodorostów, ani skrawka czystej wody. Jednego z wiosłarzy zaatakował stwór podobny do kraba, lecz marynarzowi udało się szczęśliwie wyjść z tej opresji zaledwie z kilkoma zadrapaniami.

W ciągu dnia sytuacja nie uległa zmianie. Smocza trawa uwięziła "Spurifona" i nie miała żadnego powodu, by go uwolnić - chyba że załozde udałoby się ją do tego zmusić, ale Lavon nie miał zielonego pojęcia, jak tego dokonać.

Poprosił kronikarza, Mikdala Hasza, by porozmawiał z załogą i ocenił jej nastrój.

- Ludzie są na ogół spokojni - powiedział mu nieco później Hasz. - Niektórzy trochę się denerwują. Dla większości to zdarzenie jest czymś dziwnie odświeżającym - wyzwaniem, odmianą po monotonii ostatnich miesięcy.

- A dla pana?

- Nie jestem wolny od strachu, panie kapitanie. Ale chcę wierzyć, że się wydostaniemy. Niespodziewaną przyjemność sprawia mi też podziwianie piękna tego niezwykłego krajobrazu.

Piękno? Lavon nie dostrzegał tu żadnego piękna. Ponuro przyglądał się kilometrom smoczej trawy, czerwonobrazowej w krwawym świetle zachodzącego słońca. Sponad wody podnosiła się czerwona mgła: pogrążone w oparach algi poruszały się gwałtownie, tak że zbudowane z nich "tratwy" drżały bezustannie. Piękno? Być może jest w tym jakieś piękno, zgodził się w duchu Lavon. Miał wrażenie, że "Spurifon" zamarł w środku wielkiego płótna, gigantycznego zwoju przedstawiającego miękkie, płynne kształty, senny świat bez punktów odniesienia, świat, którego powierzchnia składa się z wiecznie zmieniających się kształtów i kolorów. Jeśli tylko przestawał myśleć o smoczej trawie jak o wrogu, zdolnym zniszczyć wszystko, co pragnął osiągnąć, Lavon potrafił docenić urodę zmieniających się bezustannie form i barw.

Niemal całą noc przeleżał bezsennie, próbując bez skutku opracować taktykę walki z roślinnym przeciwnikiem.

Rankiem wodorosty znów zmieniły kolor; pod ponurym, pokrytym chmurami niebem były bladozielone i żółtawe. Na horyzoncie majaczyły sylwetki kilku kolosalnych smoków morskich, wyjadających sobie powoli przesmyk czystej wody. Jak to by było wspaniale, pomyślał Lavon, gdyby "Spurifon" mógł zrobić to samo.

Spotkał się ze swymi oficerami na naradzie. Oni także dostrzegli, że wśród załogi panuje spokój, a nawet pewna fascynacja. Stwierdzili jednak także, że tego ranka pojawiło się napięcie.

- Marynarze byli już zniechęceni i tęsknili za domem - powiedział Vormecht - a teraz mają jeszcze przed sobą perspektywę nowej zwłoki, która może potrwać dni, a nawet tygodnie.

- Albo miesiące, albo lata, albo wieczność. - Głos Galimoina był cienki, pełen napięcia. - Skąd pewność, że w ogóle się wydostaniemy?

Głos nawigatora drżał i łamał się, na jego grubej szyi wystąpiły żyły. Lavon już dawno wyczuł, że Galimoin jest niezbyt zrównoważony, lecz mimo wszystko nie był przygotowany na to, że załamie się tak szybko.

Vormecht także sprawiał wrażenie zdumionego.

- Sam nam przedwczoraj powiedziałeś: "To tylko wodorosty. Utorujemy sobie przez nie drogę!" Pamiętasz?

- Wtedy nie wiedziałem jeszcze, z czym walczymy - warknął Galimoin.

Lavon spojrział na Joachil Noor.

- Czy istnieje możliwość, że algi się przesuwają i że prędzej czy później to pole rozpadnie się, tak że będziemy wolni?

Biolożka potrząsnęła głową.

- Nic nie jest niemożliwe. Ale nie wiem, dlaczego mielibyśmy na to liczyć. Bardziej prawdopodobne jest, że to quasi-stabilny ekosystem. Prądy mogą przenosić go w inne części Morza Zewnętrznego, ale w takim wypadku zostaniemy przeniesieni wraz z nim.

- Widzicie? - spytał ponuro Galimoin. - Nie ma nadziei.

- Wręcz przeciwnie - stwierdził Lavon. - Vormecht, czy można by użyć łodzi



podwodnej do zamontowania osłon na otworach wlotowych?

- Można. Tak, to całkowicie wykonalne.

- Więc spróbuj. Trzeba natychmiast przygotować te osłony. Joachil Noor, jaka jest możliwość chemicznego zniszczenia wodorostów?

- Badamy ją. Nie mogę niczego obiecać.

Nikt nie mógł niczego obiecać. Mogli tylko myśleć, pracować, czekać i mieć nadzieję.

Opracowanie osłon na otwory wlotowe zajęło kilka dni, ich wyprodukowanie - kilka kolejnych. Joachil Noor cały czas poszukiwała chemicznych metod zniszczenia alg, jednak bez żadnego widocznego rezultatu.

Nie tylko "Spurifon", lecz i sam czas wydawał się stać w miejscu. Laron codziennie obliczał pozycję i codziennie wpisywał ją do dziennika okrętowego. Każdego dnia statek przesuwał się o kilka kilometrów na południowo-południowy wschód, lecz w stosunku do morza wodorostów trwał nieruchomo. By to sprawdzić, zabarwili rośliny wokół statku; mijał czas, lecz czerwone i żółte pasy nie zmieniły położenia. Tu, na Morzu Zewnętrznym, mogli dryfować z prądami przez wieczność, nie widząc śladu lądu.

Laron czuł, że słabnie. Z wysiłkiem utrzymywał swą zwykłą, wyprostowaną postawę; zaczynał się garbić, głowa robiła mu się coraz cięższa. Czuł się starszy, czuł się wręcz staro. Dręczyło go poczucie winy. On ponosił odpowiedzialność za to, że nie ominęli alg, gdy tylko niebezpieczeństwo stało się oczywiste. Wystarczyłoby zawrócić kilka godzin wcześniej, powtarzał sobie, ale dopuścił, by smoki morskie zaprzętnęły jego uwagę, dał się ponieść tej idiotycznej teorii, że odrobina niebezpieczeństwa doda blasku śmiertelnie nudnej podróży. Za to ganił się bezlitośnie i robił sobie wyrzuty, że pociągnął nieświadomych niczego ludzi na tę absurdalną i bezsensowną wyprawę. Dziesięcio- czy piętnastoletnia podróż znikąd donikąd. I po co? Po co?

A jednak starał się podtrzymać morale załogi. Racja wina -ograniczona, bowiem piwniczka statku musiała wystarczyć na całą podróż - została podwojona. Co wieczór organizowano jakąś zabawę, wszystkie grupy badawcze otrzymały polecenie uaktualnienia danych oceanograficznych. Nie był to czas, w którym ludzie mogli się bezpiecznie nudzić. Publikacje, które powinny zostać opracowane przed wieloma miesiącami, nawet przed laty, teraz miały zostać dokończone. Praca była najlepszym lekarstwem na nudę, frustrację i coraz wyraźniej widoczny strach.

Wkrótce pierwsze osłony były już gotowe. Grupa ochotników próbowała przyspawać je do kadłuba, nad wlotami, przez które woda dostawała się do silników. Praca ta, trudna nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach, była jeszcze trudniejsza przez to, że musiano ją wykonać używając wyłącznie manipulatorów łodzi podwodnej. Po śmierci dwóch nurków Lavon nie pozwalał nikomu schodzić pod powierzchnię - z wyjątkiem załogi chronionej pancerzem łodzi. Pod kierownictwem uzdolnionego mechanika, Duroina Klaysa, pracowano dzień za dniem, lecz - na razie - bez efektów. Masy smoczej trawy, uderzające o kadłub z każdą, nawet najmniejszą falą, bardzo często niszczyły delikatne spawy, postęp robót był więc niewielki.

Szóstego dnia pracy Duroin Klays podszedł do Lavona, trzymając w garści kilkanaście błyszczących fotografii. Widać było na nich pomarańczowe plamy rozrzucone na szarym gładkim kadłubie.

- A to co? - spytał Lavon.

- Korozja, panie kapitanie. Zauważyłem ją wczoraj i dziś pod wodą zrobiłem tę serię zdjęć.

- Korozja? - Lavon z wysiłkiem przywołał na twarz uśmiech.

- Przecież to niemożliwe. To muszą być gąbki albo małże, albo...

- Nie, panie kapitanie. Być może na zdjęciach nie widać tego tak dokładnie, ale z łodzi różnice można dostrzec bardzo wyraźnie. To nadżerki na powierzchni metalu. Jestem tego całkiem pewien.

Laron odesłał mechanika i przywołał Joachil Noor. Przyjrzała się uważnie fotografiom i w końcu stwierdziła:

- To całkiem prawdopodobne.

- Więc od smoczej trawy koroduje nam kadłub?

- Od paru dni podejrzewaliśmy taką możliwość. Niemal natychmiast odkryliśmy różnicę kwasowości między wodą tu i na otwartym oceanie. Siedzimy w kwasowej kąpieli, kapitanie, i jestem pewna, że to algi wydzielają ten kwas. Wiemy przecież, że syntetyzują one metale i że ich tkanki pełne są pierwiastków ciężkich. Normalnie źródłem metalu jest dla nich oczywiście woda; "Spurifon" musi się im wydawać wspaniale zastawionym stołem. Nie byłabym wcale zaskoczona gdyby okazało się, że algi ściągają tu z daleka, by tylko przyłączyć się do uczyty, i że dlatego otoczyły statek tak nagle i są takie gęste.

- W takim razie głupotą byłoby spodziewać się, że uwolnią nas same z siebie?

- Rzeczywiście.

Lavon przyglądał się jej, zdumiony.

- A jeśli pozostaniemy tu uwięzieni wystarczająco długo, wyjedzą nam w kadłubie dziury na wylot!

Biolog roześmiała się.

- To może im zająć setki lat. Bardziej bezpośrednią groźbą jest głód.

-Jak to?

- Ile czasu możemy przeżyć, jedząc wyłącznie zapasy z magazynów statku?

- Chyba kilka miesięcy. Wie pani, że zakładaliśmy, iż zawsze uda się nam coś złowić.

Czy chce pani powiedzieć...

- Tak, kapitanie. Rośliny i zwierzęta z otaczającego nas ekosystemu

najprawdopodobniej są dla nas trujące. Algi absorbują metale z oceanu. Ryby i mniejsze skorupiaki żywią się algami. Większe stworzenia zjadają mniejsze. Koncentracja soli metali staje się coraz większa i większa. A my...

- Nie przeżyjemy na diecie z renu i wanadu.

- I z molibdenu, i z rodu. Racja, kapitanie. Widział pan najnowsze raporty medyczne?

Epidemia mdłości, gorączki, problemy z krążeniem... jak pan się czuje, panie kapitanie? A to dopiero początek. W naszym organizmie nie odłożyły się jeszcze większe ilości trujących substancji. Ale za tydzień, dwa, trzy...

- Niech nas Pani broni! - westchnął Lavon.

- Błogosławieństwo Pani nie sięga tak daleko na zachód - stwierdziła Joachil Noor z chłodnym uśmiechem. - Radzę, byśmy natychmiast zaprzestali gromadzenia żywności i przeszli na zapasy, póki znowu nie znajdziemy się na otwartym morzu. I jak najszybciej trzeba skończyć pracę przy osłanianiu rotorów.

- Zgadzam się.

Kiedy biolożka odeszła, Lavon udał się na mostek, z którego przyglądał się nieruchomej pod warstwą alg wodzie. Dziś ich kolory były żywsze niż kiedykolwiek: ciemne umbry, sepie, rdzawa czerwień, indygo. Smocza trawa najwyraźniej kwitła w tym otoczeniu. Wyobrażał sobie jej pasma czepiające się kadłuba statku, korodujące metal za pomocą wydzielanych kwasów, spalające go molekuła po molekule, zmieniające "Spurifona" w jonową zupę, którą łapczywie wychłęptują. Zadrżał. Nie dostrzegał już piękna w skomplikowanych wzorach wodorostów. Gęsta, splątana masa, rozciągająca się aż po horyzont, oznaczała dla niego tylko smród i gnicie, niebezpieczeństwo i śmierć, gazy

rozkładu i zagładę. Z godziny na godzinę burty “Spurifona” stawały się coraz cieńsze, a on nadal tu tkwił, unieruchomiony, pozbawiony nadziei, otoczony przez wroga, który niszczył go powoli.

Próbował zapobiec rozprzestrzenieniu się wiadomości o nowym zagrożeniu. Było to oczywiście niemożliwe - w zamkniętym wszechświecie statku żadnego sekretu nie udawało się dłużej utrzymać. Wysiłki w celu utrzymania tajemnicy przyczyniły się przynajmniej do zapobieżenia otwartej dyskusji, która łatwo mogła przerodzić się w panikę. Wszyscy o tym wiedzieli i każdy udawał, że tylko on zna całą powagę sytuacji.

Mimo wszystko napięcie rosło. Ludzie łatwo się denerwowali, rozmowy przeradzały się w kłótnie, głosy stawały się niewyraźne, ręce drżały, upuszczano naczynia. Lavon trzymał się na uboczu - na tyle, na ile pozwalały mu na to jego obowiązki. Modlił się o wybawienie, szukał wskazówek w snach, lecz Joachil Noor miała chyba rację: podróżnicy byli poza zasięgiem kochającej Pani Wyspy, której rady przynosiły ulgę cierpiącym i mądrość zbłąkanym.

Tylko biolożka dostarczyła odrobiny nadziei. Podsunęła myśl, że można byłoby zakłócić system elektryczny smoczej trawy, puszczając przez wodę prąd. Nie wydawało się to szczególnie przekonujące, ale Lavon upoważnił ją do zatrudnienia kilku techników przy tym projekcie.

W końcu osłony zostały założone. Minęły trzy tygodnie od chwili, gdy zostali unieruchomieni.

- Włączyć rotory - rozkazał Lavon.

Silniki ruszyły i statek zadrżał, gdy wstąpiło weń nowe życie. Na mostku stali nieruchomi oficerowie: Lavon, Vormecht, Galimoin -cisi i milczący, wstrzymywali oddech. Po obu stronach dziobu zaczęły się formować maleńkie odkosy. “Spurifon” poruszył się!

Powoli, opornie, statek popłynął naprzód przecinając gęste, wijące się wodorosty. Nagle zadrżał, niemal stanął, znów ruszył, szum silników umilkł...

- Osłony odpadły! - krzyknął z rozpaczą Galimoin.

- Sprawdzić, co się stało! - rozkazał Vormechtowi Lavon. Zwrócił się do Galimoina, stojącego nieruchomo, jakby stopy

przyrosły mu do pokładu. Nawigator drżał, pocił się, mięśnie ust i policzków mu drżały, wykrzywił twarz. Kapitan powiedział łagodnym głosem:

- To z pewnością jakiś drobiazg. Chodź, napijemy się wina. Za chwilę statek ruszy znowu.

- Nie! - wrzasnął Galimoin. - Czuję, jak osłony się obrywają! Smocza trawa je pożarła!

Lavon mówił dalej z naciskiem:

- Osłony wytrzymają. Jutro o tej godzinie będziemy już daleko, a pan obliczy nam kurs na Alhanroel...

- Zginęliśmy! - krzyknął Galimoin; nagle machając rękami zbiegł z mostka i znikł im z oczu. Lavon zawahał się. Vormecht wrócił, ponury - osłony rzeczywiście się urwały, rotory znów oplatała trawa, statek był unieruchomiony. Lavon zachwiał się. Naraz rozpacz Galimoina wydała mu się zaraźliwa. Marzenie jego życia kończyło się fiaskiem, absurdalną katastrofą, kpina i farsą. Pojawiła się Joachil Noor.

- Kapitanie, czy wie pan, że Galimoin oszalał? Jest na pokładzie obserwacyjnym, skacze, wyje, krzyczy, wzywa do buntu?

- Pójdę po niego.

- Słyszałam, jak ruszają rotory. A potem... Lavon przytaknął skinieniem głowy

- Znów się zapchały. Osłony okazały się za słabe.

Kiedy schodził z mostku, usłyszał jeszcze, jak biolożka mówi coś o swym pomysle z elektrycznością, że jest gotowa do pierwszych prób. Odpowiedział, żeby zaczynała natychmiast i zgłosiła się do niego, jeśli rezultaty będą obiecujące, ale szybko zapomniał o tej wymianie zdań. Zajmował go wyłącznie problem Galimoina.

Pierwszy nawigator stał na platformie przy sterburcie, z której kiedyś przeprowadzał obserwacje, obliczając długość i szerokość geograficzną. Teraz zachowywał się jak bezrozumne zwierzę, biegał tam i z powrotem, machał rękami, krzyczał jakieś oderwane słowa, wyśpiewywał fragmenty żeglarskich piosenek, wołał, że Lavon jest głupcem, który umyślnie wpędził ich w tę pułapkę... Kilkunastu członków załogi zebrało się na pokładzie poniżej; słuchali nawigatora, niektórzy kpili, inni krzykiem dodawali mu odwagi; pojawiali się nowi - była to sensacja dnia, pozwalająca nie myśleć o ich obecnej sytuacji. Lavon z przerażeniem zauważył, że Miklas Hasz dostał się od tyłu na platformę obserwacyjną.

Kronikarz mówił coś cicho, gestykulował, spokojnie prosił Galimoina, by ten zszedł na dół; co kilka sekund nawigator przerywał, spoglądał na Hasza i wywarkiwał mu jakieś ostrzeżenia. Lecz Hasz podchodził bliżej. Dzielił ich już tylko metr, może dwa; kronikarz przemawiał łagodnie i uśmiechał się; wyciągnął przed siebie ręce, jakby chciał pokazać, że nie ma w nich broni.

- Wynoś się! - wrzasnął Galimoin. - Nie podchodź!

Lavon, również zbliżając się do platformy, gestem nakazał Haszowi, żeby trzymał się z daleka od nawigatora. Lecz było już za późno; w tej samej chwili szalejący Galimoin skoczył na kronikarza, chwycił go, podniósł jak piórko w górę i przerzucił ponad relingiem do oceanu. Wśród patrzących rozległ się pełen zdumienia krzyk. Lavon podskoczył do relingu wystarczająco szybko, by dostrzec machającego rękami Hasza, który uderzył o powierzchnię wody. Smocza trawa poruszyła się gwałtownie. Jej pasma wiły się jak oszalałe węgorce,

przez chwilę morze wydawało się gotować, a potem kronikarz znikł im z oczu.

Lavona ogarnęła straszna słabość. Czuł się tak, jakby serce wypełniło mu całą pierś i zmiądzżyło płuca; mózg wirował mu w głowie. Nigdy przedtem nie był świadkiem aktu przemocy. W całym swym życiu ani przez chwilę nie brał pod uwagę możliwości, by jeden człowiek mógł zabić drugiego. To, że na jego statku jeden oficer doprowadził do śmierci innego oficera, i to w obliczu poważnego zagrożenia, odczuł niczym śmiertelną ranę. Poruszając się jak we śnie podszedł do Galimoina, położył dłonie na jego potężnych, muskularnych ramionach i z siłą, której istnienia nigdy u siebie nie podejrzewał, bez wysiłku, nawet o tym nie myśląc, wrzucił nawigatora do morza. Usłyszał stłumiony okrzyk i plusk, spojrział w dół, zdumiony, i dostrzegł, jak po raz drugi morze gotuje się. Smocza trawa zasłoniła miotające się ciało.

Powoli, jak ślepiec, zszedł z platformy.

Czuł się oszołomiony, chory. Coś w nim pękło. Otoczyły go jakieś niewyraźne sylwetki. Powoli rozpoznawał oczy, usta, znajome twarze. Spróbował się odezwać, ale nie mógł mówić, tylko bełkotał. Osunął się, ale złapano go, nim uderzył o pokład. Ktoś podtrzymał go pod ramiona, ktoś dawał mu wino.

- Spójrzcie na jego oczy - powiedział jakiś głos. - Jest w szoku!

Dostał dreszczy. Nie był świadomy tego, że go niosą, ale w jakiś sposób znalazł się w swej kabinie. Vormecht pochylał się nad nim. Pierwszy oficer powiedział:

- Statek ruszył, kapitanie.

- Co? Co?... Hasz nie żyje. Galimoin zabił Hasza, a ja zabiłem Galimoina.

- Nie można było zrobić nic innego. Galimoin oszalał.

- Zabiłem go, Vormecht!

- Nie mogliśmy pozwolić sobie na trzymanie wariata na pokładzie przez następne



dziesięć lat, nawet pod kluczem. Był niebezpieczny dla nas wszystkich. Sam skazał się na śmierć. Pan miał do tego prawo. Postąpił pan słusznie.

- Nie zabijamy - powiedział Lavon. - Nasi barbarzyńscy przodkowie na Starej Ziemi zabijali się, ale my nie zabijamy. Ja nie zabijam. Niegdyś byliśmy bestiami, ale ta epoka minęła dawno temu, na innej planecie. Zabiłem go, Vormecht.

- Jest pan kapitanem. Miał pan rację. Zagroził ekspedycji.

- Sukcesowi ekspedycji?

- Statek znów płynie, kapitanie.

Lavon wytrzeszczył oczy, choć nadal był prawie ślepy.

- Co pan mówi?

- Proszę wstać i popatrzeć.

Otoczyły go cztery grube ramiona. Lavon poczuł ostry zapach futra Skandara. Wielki marynarz podniósł go, wyniósł na pokład i postawił delikatnie. Kapitan zachwiał się, ale u jego boku znaleźli się Vormecht i Joachil Noor. Vormecht wskazał ręką. Wzdłuż kadłuba "Spurifona" ciągnął się pas czystej wody.

Joachil Noor powiedziała:

- Spuściliśmy do wody kable i poraziliśmy algi prądem. To zakłóciło ich mechanizm ruchu. Te, które były najbliżej kadłuba, zginęły natychmiast, inne cofnęły się. Mamy przed sobą pas czystej wody, ciągnący się aż po horyzont.

- Ekspedycja jest uratowana! - oznajmił Vormecht. - Płyniemy dalej, kapitanie!

- Nie! - powiedział Lavon. Poczuł jak przytomnieje; znów mógł myśleć. - Kto jest nawigatorem? Każcie mu zawrócić statek na Zimroel. - Ale...

- Zawrócić statek. Wracamy na Zimroel. Gapili się na niego - oszołomieni, zdumieni.

- Kapitanie, pan jeszcze nie jest sobą. Żeby wydać taki rozkaz, teraz, kiedy wszystko

jest już dobrze... potrzebuje pan odpoczynku... za kilka godzin poczuje się pan...

- Podróż skończona, Vormecht. Wracamy. -Nie!

- Nie? Więc mamy bunt na pokładzie?

Oficerowie wpatrywali się w niego wzrokiem bez wyrazu. Twarze mieli nieruchome.

- Czy rzeczywiście chcecie kontynuować podróż? - spytał La-von. - Na pokładzie przeklętego statku, mając mordercę za kapitana? Byliście zmęczeni podróżą na długo przedtem, nim to wszystko się zdarzyło. Myślicie, że nie zdawałem sobie z tego sprawy?

Tęskniliście za domem. Po prostu nie mieliście odwagi tego powiedzieć. Cóż, teraz czuję to samo, co wy.

- Byliśmy na morzu pięć lat - zauważył Vormecht. - Pokonaliśmy może połowę odległości. Być może podróż skończyłaby się szybciej, gdybyśmy pożeglowali dalej, zamiast zawracać.

- A może żeglowalibyśmy przed siebie przez wieczność - powiedział kapitan. - To bez znaczenia. Nie mam serca do dalszej podróży.

-Jutro może pan zmienić zdanie.

-Jutro nadal będę miał krew na rękach, Vormecht. Nie było mi przeznaczone przepłynąć Wielkie Morze. Kupiliśmy nasze życie za cenę życia czterech ludzi, ale wyprawa jest zakończona.

- Kapitanie...

- Zawracamy - rozkazał Lavon.

Kiedy następnego dnia przyszli do niego błagając, by pozwolił im płynąć dalej, mówiąc, że u wybrzeży Alhanroelu czeka ich nieśmiertelna sława, Lavon spokojnie i cicho ponowił rozkaz powrotu. Płynąć teraz dalej - powiedział - byłoby niemożliwością. Więc spojrzeli tylko na siebie - zarówno ci, którzy nienawidzili tej podróży i marzyli, by się

wreszcie skończyła, jak i ci, którzy w euforii zwycięstwa nad smoczą trawą zmienili zdanie, a teraz zmieniali je jeszcze raz, ponieważ bez oparcia w niezwyciężonej woli Lavona nie mogli kontynuować wyprawy. Pożeglowali więc na wschód, nie wspominając już nic o przepłynięciu oceanu. W rok później przysły burze i uszkodziły statek, a w następnym roku smok morski zaatakował ich, uszkadzając rufę, lecz płynęli dalej i ze stu sześćdziesięciu trzech marynarzy, którzy opuścili Til-omon dawno, dawno temu, żyło ponad stu, w tym sam Lavon, gdy "Spurifon" powrócił do macierzystego portu, w jedenastym roku podróży.

## **OPOWIEŚĆ CALINTANE'A**

Po tym doświadczeniu Hissune przez dłuższy czas był bardzo przygnębiony. Wiedział oczywiście, że wyprawa zakończyła się kleską - żaden statek nigdy nie przepłynął Wielkiego Morza i żaden nigdy go nie przepłynie; sam pomysł był nie tylko absurdalny, ale najprawdopodobniej niemożliwy do zrealizowania. Jednak ponieść kleskę w taki sposób, dotrzeć tak daleko tylko po to, by zawrócić, i to nie z tchórzostwa, nie z powodu zarazy lub głodu, lecz zwykłych wyrzutów sumienia - Hissune'owi nie mieściło się to w głowie. On nigdy by nie zawrócił. Przez piętnaście lat swego życia zawsze parł przed siebie, zawsze zdobywał to, co chciał w danym momencie zdobyć, a tych, którym się nie udało, miał za bezmyślnych lub słabych. Lecz przecież nie jest Sinnaborem Lauonem; nigdy nie odebrał nikomu życia. Taki akt gwałtu może wstrząsnąć duszą każdego człowieka. W stosunku do kapitana Lauona czuł najpierw coś w rodzaju pogardy, wraz ze sporą dozą litości; potem, im dłużej o nim myślał, im bardziej się z nim utożsamiał, tym lepiej rozumiał, że był to nie słabeusz, lecz raczej człowiek o wielkiej sile moralnej. To zaskakujące. Uświadamiając sobie tę prawdę, Hissune uśmiechnął się. Uczę się nadal - stwierdził.

Mimo wszystko wyciągnął nagranie Sinnabora Lavona w poszukiwaniu przygody, a nie ponurej filozofii. I nie znalazł tego, czego szukał. Lecz wiedział, że w kilka lat później tu,

w Labiryncie, zdarzyło się coś, co miało wpływ na życie każdego obywatela Majipooru, co nawet po sześciu tysiącach lat nadal pamiętane było jako najdziwniejsze wydarzenie w historii planety. Więc gdy tylko pozwalały mu na to obowiązki, Hissune pogrążał się w badaniach historycznych, a po ich ukończeniu powrócił do Rejestru Dusz, by wcielić się w postać młodego urzędnika na dworze Pontifexa Arioca, który zdobył sobie reputację wyjątkowego dziwaka.

Rankiem nazajutrz po największym kryzysie, po szaleństwie nie mającym precedensu w historii Majipooru, Labirynt pogrążył się w przedziwnym spokoju, jak gdyby ludzie byli zbyt oszołomieni, by ze sobą rozmawiać. Zaczynano dopiero pojmować znaczenie wczorajszych niezwykłych wydarzeń, choć nawet naoczni świadkowie nie potrafili jeszcze w pełni w nie uwierzyć. Rozkazem Pontifexa wszystkie ministerstwa zostały zamknięte.

Urzednicy, od największych po najmniejszych, żyjący do tej pory w szalonym napięciu nerwowym, mogli je teraz odespać, podczas gdy nowy Pontifex i nowy Koronał - oszołomieni niespodziewanym obrotem losu, który w jednym mgnieniu obdarzył ich obu władzą - w swych pokojach zastanawiali się nad tą nieoczekiwaną transformacją. Dało to Calintane'owi okazję, by spotkać się z jego ukochaną Silimoor. Wprawdzie trochę się wahał, bo nie najlepiej traktował ją przez ostatni miesiąc, a Silimoor nie należała do tych, które szybko zapominają; mimo wszystko jednak wysłał do niej liścik: "Zdaję sobie sprawę, że ostatnio strasznie Cię zaniedbywałem, lecz może już zaczęłaś rozumieć, dlaczego. Spotkajmy się w kawiarni przy Dziedzińcu Kuł, o dwunastej, to wszystko Ci wyjaśnię."

Silimoor miała gwałtowny temperament w każdych, nawet najbardziej sprzyjających okolicznościach. Była to jej jedyna, lecz za to bardzo poważna wada. Calintane obawiał się wybuchów jej gniewu. Zostali kochankami przed rokiem, niemal zaręczony sobie nawzajem, że się zaręczą. Wszyscy wyżsi urzędnicy na dworze Pontifexa jednomyślnie

stwierdzili, że to będzie mądre posunięcie. Dziewczyna była śliczna, inteligentna, doskonale orientowała się w polityce i pochodziła z dobrej rodziny: wśród jej przodków było trzech Koronali, w tym słynny Lord Stiamot. Doprawdy, wspaniała z niej będzie towarzyszka życia dla młodego człowieka, przed którym stoi otworem wielka kariera! Mając zaledwie dwadzieścia parę lat Calintane dotarł już do zewnętrznych rejonów wewnętrznego kręgu doradców otaczających Pontifexa i dźwigał wielką, jak na jego młody wiek, odpowiedzialność. Cóż, właśnie to sprawiło, że nie mógł ostatnio ani spotkać się, ani nawet spokojnie porozmawiać z Silimoor. Co, jego zdaniem, miała mu za złe i co -jak się spodziewał, chód bez większych nadziei - w końcu zostanie mu wybaczone.

Przez kilka ostatnich bezsennych nocy Calintane powtarzał sobie długą przemowę, którą wygłosi, a która zaczynała się od słów: „Jak wiesz, zajmowałem się ostatnio sprawami wagi państwowej, zbyt delikatnymi by je tu omawiać, i...” Jadąc windą na wyższy poziom, na którym znajdował się Dziedziniec Kuł, powtarzał ją sobie w myśli. Otaczająca go zewsząd upiorna cisza sprawiała, że denerwował się coraz bardziej. Niższe poziomy, na których znajdowały się urzędy, wydawały się całkowicie opuszczone; na górnych od czasu do czasu widziało się kilka osób, małe grupki ludzi zgromadzonych w najciemniejszych kątach, szepczących między sobą o tym, że jakoby miał miejsce przewrót, który, w pewnym sensie, rzeczywiście nastąpił. Wszyscy się na niego gapili, niektórzy wskazywali go palcem.

Calintane zastanawiał się, jakim cudem rozpoznają w nim urzędnika Pontyfikatu, dopóki nie zdał sobie sprawy, że nadal ma na twarzy maskę - oznakę urzędu. Nie zdjął jej jednak, bo do pewnego stopnia osłaniała go przed światłami boleśnie rażącymi podrażnione oczy. Labirynt wydał mu się dziś ciasny i nienawistny. Marzył o tym, by wyrwać się z jego trzewi, z ułożonych jeden pod drugim poziomów spiralnie umieszczonych sal, biegnących w dół, wciąż w dół. W ciągu jednej nocy znenawidził miejsce, w którym żył.

Wysiadł z windy na poziomie, na którym znajdował się Dziedziniec Kuł i przecinając po przekątnej wielki plac, udekorowany tysiącami w niewidoczny sposób zawieszonych u sufitu sferycznych obiektów, doszedł do położonej na uboczu małej kawiarenki. Gdy wchodził, zegar właśnie bił dwunastą. Silimoor już na niego czekała. Wiedział, że przyjdzie pierwsza - używała punktualności jako broni, dając wyraz swej złości. Siedziała przy małym stoliku przy ścianie z polerowanego onyksu. Wstała, podając mu do ucałowania dłoni, nie usta - tego także się spodziewał. Uśmiechała się chłodno. Choć był tak strasznie zmęczony, jej uroda uderzyła go, jak zwykle - krótkie złote włosy uczesane w koronę, błyszczące turkusowe oczy, pełne usta, wysokie kości policzkowe: piękno i elegancja niemal trudne do zniesienia. Zwłaszcza dziś.

- Tęskniłem za tobą - powiedział ochryple.

- Oczywiście. Nie widzieliśmy się od tak dawna; nie rozumiem, jak zdołałeś to znieść.

- Jak wiesz, zajmowałem się ostatnio sprawami wagi państwowej, zbyt delikatnymi, by je tu dyskutować, i... - słowa te wydały mu się naraz strasznie głupie. Poczul ulgę, gdy przerwała mu gestem i powiedziała gładko:

- To może poczekać, kochanie. Napijemy się wina?

- Tak, oczywiście.

Podniosła dłoń. Hjort w liberii przyjął zamówienie i oddalił się powoli.

- Dlaczego nie zdejmiesz maski? - spytała.

- Maski? Ach, przepraszam. Te kilka ostatnich dni było takie straszne...

Zdjął kawałek jaskrawożółtego materiału, osłaniający nos i oczy - oznakę urzędu na dworze Pontifexa. Wyraz twarzy Silimoor zmienił się; radosna, czysta furia ustąpiła miejsca szczerzej trosce. Dopiero teraz dostrzegła jego twarz.

- Masz takie przekrwione oczy... jesteś taki blady, policzki ci zapadły...

- Nie spałem. Co za obłąd!

- Biedaku!

- Myślisz, że świadomie cię unikałem? Byłem częścią tego szaleństwa.

- Wiem. Widzę, w jakim musiałeś żyć napięciu.

Nagle zdał sobie sprawę, że Silimoor nie kpi z niego, że naprawdę mu współczuje i że prawdopodobnie będzie mu łatwiej, niż się spodziewał, wszystko jej wytłumaczyć.

- Problemem ludzi ambitnych - powiedział - jest to, że wplątują się w sprawy, nad którymi nie mają żadnej kontroli, a potem nie ma już wyboru, pozostaje tylko dać nieść się fali. Słyszałaś, co zrobił wczoraj Pontifex Arioc?

Z trudem powstrzymała wybuch śmiechu.

- Tak, oczywiście. To znaczy... słyszałam plotki. Wszyscy je słyszeli. Czy to prawda?

Czy to się naprawdę zdarzyło?

- Niestety, tak.

-Jakie to wspaniałe! Doprawdy wspaniałe! Ale coś takiego może przewrócić świat do góry nogami, prawda? Czyżby miało to źle się dla ciebie skończyć?

- Może się źle skończyć dla ciebie, dla mnie, dla wszystkich ludzi na świecie. -

Calantine machnął ręką, ogarniając tym gestem Dziedziniec Kuł, Labirynt i całą planetę, egzystującą poza jego klaustrofobiczną głębią, od szczytu Zamkowej Góry do najdalszych miast zachodniego kontynentu. - Dotyczy nas to w stopniu, którego nie potrafię jeszcze pojąć.

Ale pozwól, że zacznę od początku...

Być może nie zdawałaś sobie sprawy, że Pontifex Arioc zachowywał się dziwnie już od kilku miesięcy. Moim zdaniem, to ciężar władzy doprowadza ludzi do szaleństwa; a może trzeba być przynajmniej trochę szalonym, by w ogóle pragnąć władzy? Wiesz, że Arioc był Koronalem przez trzynaście lat, za pontyfikatu Dizimaule'a, Po-ntifexem zaś przez lat

dwanaście. To strasznie długo, biorąc pod uwagę ogrom władzy. Zwłaszcza gdy mieszka się tu, w Labiryncie. Każdy Pontifex marzy chyba od czasu do czasu, by wydostać się na świat, poczuć wiatr wiejący na Zanikowej Górze, zapolować na gihorna, albo po prostu popływać gdzieś w prawdziwej rzece - a tymczasem siedzi kilka kilometrów pod ziemią, dyrygując urzędnikami, odprawiając rytuały, i tak aż po kres jego dni.

Pewnego dnia, mniej więcej rok temu, Arioc zaczął nagle mówić o odbyciu wielkiego objazdu Majipooru. Tego dnia byłem na dworze wraz z księciem Guadeloomem. Pontifex kazał przynieść sobie mapy i zaczął planować podróż w dół rzeki Alaisor, na Wyspę Snu - by odprawić pielgrzymkę i odwiedzić Panią Wewnętrznej Świątyni - a potem na Zimroel, z postojami w Piliploku, Ni-moya, Pidruid, Narabalu - no wiesz, wszędzie. Trwałoby to chyba z pięć lat. Guadeloom spojrzał na mnie dziwnie i łagodnie przypomniał Ariocowi, że to Koronal odbywa objazdy po Majipoorze, nie Pontifex, i że Lord Struin skończył jeden z nich zaledwie przed kilku laty.

- Czyżby było to zakazane? - spytał Pontifex.

- Nie, nie zakazane, wasza dostojność, ale tradycja nakazuje...

- A więc jestem więźniem Labiryntu!

- Ależ nie więźniem, wasza dostojność, tylko...

- Lecz tylko z rzadka, jeśli w ogóle, wolno mi wyjść na światło dzienne?

I tak dalej. Muszę powiedzieć, że współczułem Ariocowi, ale pamiętaj, że w odróżnieniu od ciebie nie urodziłem się w Labiryncie, wezwały mnie tu obowiązki i życie pod ziemią wydaje mi się czasami nieco nienaturalne. W każdym razie Guadeloom zdołał przekonać Jego Dostojność, że nie ma mowy o żadnej pielgrzymce. Tylko ja dostrzegłem niepokój w oczach Pontifexa.

Niedługo potem Jego Dostojność zaczął się nam wymykać nocą i samotnie



spacerować po Labiryncie. Nikt nie wie, jak często wychodził, nim go złapaliśmy, jednak już wcześniej docierały do nas plotki o zamaskowanej postaci, bardzo przypominającej Pontifexa, widzianej nad ranem na Dziedzińcu Piramid lub w Sali Wiatrów. Uważaliśmy to za bzdurę, ale pewnej nocy jakiś dureń czuwający przed sypialnią Arioca wyobraził sobie, że usłyszał dzwonek, wszedł i zastał ją pustą. Być może pamiętasz tę noc, Silimoor - byliśmy razem, jeden z ludzi Guadelooma znalazł mnie i wyciągnął z łóżka, twierdząc, że zwołano pilne spotkanie doradców Pontifexa i moja obecność jest konieczna. Byłaś raczej zdenerwowana - nie, prawdę mówiąc, byłaś wściekła. Zebranie dotyczyło zniknięcia Ponufexa, choć ukryliśmy to i rozgłosiliśmy, że dotyczyło ono fali pływowej, która zniszczyła większą część Stoienzar. Znaleźliśmy Arioca cztery godziny po północy. Na Arenie - wiesz, w tej wielkiej, pustej sali, którą w chwili szaleństwa kazał wybudować Pontifex Dizimaule. Siedział po turecku pod ścianą, grał na zootibarze i śpiewał piosenki kilku obdartym chłopcom. Przyprawiliśmy go ze sobą. W kilka tygodni później znów się nam wyrwał i dotarł aż do Dziedzińca Kolumn. Guadeloom rozmawiał z nim na ten temat; Arioc twierdził, że to bardzo ważne, by monarcha zbliżył się do swego ludu i wysłuchał jego skarg, cytował nawet precedensy sięgające historii Starej Ziemi. Guadeloom bez zbędnego rozgłosu wystawił warty na korytarzach wokół jego komnat, pod pretekstem możliwego zamachu, ale kto chciałby dokonać zamachu na Pontifexa? Strażnicy mieli zapobiegać wyprawom Arioca. Lecz choć można go uznać za ekscentryka, Pontifex nie jest bynajmniej idiotą i - mimo strażników - zdołał nam uciec dwukrotnie w ciągu miesiąca. Sytuacja stała się krytyczna. Co się stanie, jeśli zniknie na tydzień? Co się stanie, jeśli w ogóle wyjdzie z Labiryntu i wybierze się na przechadzkę po pustyni?

-Jeśli nie potrafimy go powstrzymać - powiedziałem Guadeloomowi - to czemu nie damy mu do towarzystwa kogoś, kto wędrowałby razem z nim i pilnował, by nic mu się nie

stało?

- Wspaniały pomysł - odparł książę. - Zajmiesz się tym. Pontł-fex cię lubi, Calintane.

Jesteś wystarczająco młody i zręczny, by wydostać go z kłopotów, w które może wpaść.

Było to sześć tygodni temu, Silimoor. Z pewnością pamiętasz, jak nagle skończyły się nasze wspólne noce; opowiadałem o dodatkowych obowiązkach na dworze, no i zaczęliśmy się od siebie oddalać. Nie mogłem ci powiedzieć, jakie to obowiązki zatrzymywały mnie na całe noce; mam nadzieję, że nie podejrzewałaś mnie o zwrócenie swoich uczuć ku innej.

Dopiero teraz wolno mi powiedzieć, że zająłem pokój obok sypialni Pontifexa i spędzałem przy nim każdą noc. Zacząłem sypiać w dzień, o najdziwniejszych godzinach, potem, posłużwszy się kilkoma fortelami, stałem się towarzyszem nocnych wycieczek Arioca.

Nie była to łatwa praca. W rzeczywistości zostałem strażnikiem Pontifexa, ale musiałem uważać, by nie podkreślać tego faktu, narzucając mu swą wolę. Miałem chronić go przed nieodpowiednim towarzystwem i przed co ryzykowniejszymi wyprawami. Nie brak tu przecież łotrów, zdarzają się bójkki i kradzieże; nikt świadomie nie skrzywdzi Pontifexa, ale może on wejść między dwóch walczących ludzi. W krótkich chwilach snu szukałem pociechy i wskazówek u Pani Wyspy - niechaj spoczywa na łonie Bogini - a ona zesłała mi błogosławiony sen, w którym oznajmiła, że jeśli nie chcę być więziennym strażnikiem, muszę zostać przyjacielem Pontifexa. Jakież mamy szczęście, że tak łagodna matka czuwa nad naszymi snami! Zatem ośmieliłem się mu sugerować, dokąd moglibyśmy się wybrać.

“Chodźmy gdzieś dziś w nocy!” - mówiłem; krew z pewnością zastygłaby Guadeloomowi w żyłach, gdyby o tym wiedział. Miałem taki pomysł, by zabierać go na publiczne poziomy Labiryntu, spędzać z nim noce na bazarach i w gospodach... Oczywiście, byliśmy zamaskowani, nie do rozpoznania. Pokazywałem mu tajemnicze alejki, gdzie mieszkają gracze, ale gracze, których znałem, niegroźni. Pewnej nocy poprowadziłem go na szczególnie

śmiałą wyprawę poza mury Labiryntu. Wiedziałem, że tego pragnie szczególnie mocno, choć może boi się obrócić pragnienia w czyn, więc uczyniłem mu z tego sekretny podarek; wyszliśmy prywatną królewską drogą, kończącą się u Bramy Wody. Staliśmy razem prawie na brzegu Glayge, czuliśmy chłodny wiatr wiejący od Zamkowej Góry, patrzyliśmy na błyszczące gwiazdy.

- Nie byłem tu od sześciu lat - powiedział Pontifex. Drżał i -jak mi się wydawało - płakał pod maską, a ja, który od dawna także nie widziałem gwiazd, byłem poruszony niemal równie głęboko. Wskazał mi jedną, powiedział, że stamtąd przybyli Ghayrogowie; pokazał słońce Hjortów i maleńką, słabą gwiazdkę, będącą ponoć słońcem Starej Ziemi. W to wątpiłem, bo czego innego uczono mnie w szkole, ale Arioc był tak rozradowany, że mu nie zaprzeczyłem. Potem odwrócił się, złapał mnie za rękę, ścisnął ją i powiedział:

- Calintane, zostałem najwyższym władcą tego gigantycznego świata, a jednak jestem nikim, niewolnikiem, więźniem. Oddałbym wszystko, by uciec z Labiryntu i spędzić ostatnie lata życia tu, pod gwiazdami.

- Więc czemu nie abdykować? - spytałem, zaskoczony własną śmiałością.

Uśmiechnął się.

- Abdykacja byłaby tchórzostwem. Jestem wybrańcem Bogini, jak mógłbym zrzucić z ramion ten ciężar? Przeznaczenie kazało mi być jedną z Potęg Majipooru aż po kres moich dni. Musi istnieć jakiś honorowy sposób, by wyzwolić się od męki, jaką jest życie w podziemiu.

Zrozumiałem wtedy, że Pontifex nie jest ani słaby, ani kapryśny, lecz tylko samotny, pozbawiony nocy, gór, lasów i strumieni tego świata, który zmuszony był opuścić, przyjmując na swe barki ciężar rządów.

Wkrótce potem, przed dwoma tygodniami, dowiedzieliśmy się, że Pani Wyspy, matka

Lorda Struina i nas wszystkich, zachorowała i że jej choroba jest prawdopodobnie śmiertelna. Spowodowało to poważny kryzys konstytucyjny, jako że Pani jest oczywiście Potęgą równą rangą Koronalowi i Pontifex nie tak łatwo może znaleźć jej następczynię. Doniesiono nam, że sam Lord Struin wybiera się do Labiryntu na spotkanie z Pontifexem; zrezygnował z podróży na Wyspę, bowiem najprawdopodobniej i tak nie zdążyłby pożegnać się z matką. Tymczasem książe Guadeloom, najwyższy rzecznik Pontyfikatu i najwyższy urzędnik dworu, zaczął sporządzać listę osób odpowiednich na to stanowisko. Ową listę miał następnie porównać z listą Lorda Struina, by sprawdzić, czy są jakieś imiona powtarzające się na obu. Pontifex Arioc musiał w tym wszystkim uczestniczyć, myśleliśmy nawet, że przy obecnym chwiejnym stanie umysłu wciągnięcie go w problemy państwowe może mu pomóc. W końcu, przynajmniej formalnie, umierająca Pani była jego żoną, prawa sukcesji nakazywały, by adoptował Lorda Struina, gdy ten wybrany został Koronalem. Oczywiście Pani miała prawdziwego męża, mieszkającego gdzieś na Zamkowej Górze, ale rozumiesz przecież siłę obyczajów, prawda? Guadeloom uprzedził Pontifexa o zbliżającej się śmierci Pani i rozpoczęła się seria rządowych narad. Nie brałem w nich udziału, ponieważ nie zajmuję jeszcze odpowiednio wysokiego stanowiska.

Obawiam się, iż założyliśmy, że powaga sytuacji pozytywnie wpłynie na zachowanie Arioca i - być może nieświadomie - osłabiliśmy czujność. Tej samej nocy, kiedy dotarła do nas wiadomość o śmierci Pani, Pontifex znikł - samotnie, po raz pierwszy od dnia, w którym zacząłem się nim opiekować. Uciekł strażnikom, wymknął się mi, a także swym służącym. Znikł w sieci uliczek Labiryntu i nikt nie potrafił go odnaleźć. Umierałem z przerażenia - bałem się i o niego, i o moją karierę. W rozpaczy wysłałem nawet urzędników do każdej z siedmiu bram Labiryntu, by przeszukali ponurą i niegościnną pustynię; sam osobiście odwiedziłem każde z tych nędznych miejsc, do których go wcześniej prowadziłem. Ludzie

Guadeloome'a przeszukiwali nie znane mi części Labiryntu; w dodatku próbowaliśmy nie dopuścić do tego, by o zniknięciu Pontifexa ktoś się dowiedział -i to nam się chyba udało.

Znaleźliśmy go nazajutrz po zniknięciu, po południu, w domu stojącym w dzielnicy zwanej Zębami Stiamota, w zewnętrznym kręgu Labiryntu. Był przebrany w kobiece suknie. Pewnie nigdy byśmy go nie odszukali, gdyby nie wybuchła tam jakaś kłótnia o nie zapłacony rachunek; na miejscu zjawili się strażnicy, a ponieważ Pontifex nie mógł ujawnić swej tożsamości, gdy spod kobiecych sukien usłyszano męski głos, wykazali przynajmniej tyle rozsądku, że mnie wezwali. Wziąłem go pod opiekę. Arioc wyglądał przedziwnie w długich szatach, obwieszony bransoletami, lecz rozpoznał mnie i pozdrowił spokojnie, wymieniając moje imię. Zachowywał się normalnie, w pełni rozumnie. Wyraził nadzieję, iż nie przysporzył mi żadnych kłopotów.

Spodziewałem się nagany od Guadelooma, ale książę zdecydował się mi wybaczyć albo może zajmowały go poważniejsze sprawy, w każdym razie ani słowem nie wspomniał o tym, że pozwoliłem Pontifexowi uciec z sypialni.

- Lord Struin przyjechał dziś rano - poinformował mnie tylko. Sprawiał wrażenie zmęczonego, niewyspanego. - Oczywiście, od razu chciał spotkać się z Pontifexem, ale powiedzieliśmy mu, że Arioc śpi i że nie byłoby najmądrzej budzić go teraz. Mówiłem mu to, a w tym momencie połowa moich ludzi wciąż szukała Pontifexa. Boli mnie, że musiałem skłamać Koronatowi, Calintane.

- Pontifex rzeczywiście śpi teraz w swej sypialni - stwierdziłem. - Tak, oczywiście. I sądzę, że w niej zostanie.

- Zrobimy, co w naszej mocy, by tak się rzeczywiście stało.

- Nie to miałem na myśli - powiedział Guadeloom. - Pontifex Arioc najwyraźniej postradał zmysły. Ucieka z pokojów przez zsyp na brudną bieliznę, snuje się w nocy po

mieście, przebiera w kobiece stroje, nosi kobiecą biżuterię. Tak nie postępuje ekscentryczny władca, Calintane, lecz szaleniec. Kiedy wreszcie uporamy się ze sprawą Pani, zaproponuję, by mu ograniczyć swobodę poruszania się do komnat, które zamieszkuje - dla jego własnego dobra, Calintane, dla jego własnego dobra - i przekazać władzę radzie regencyjnej. Istnieje precedens. Kiedy Barhold był Pontifexem, zapadł na gorączkę bagienną, która rzuciła mu się na mózg i...

- Panie - powiedziałem - nie wierzę, by Pontifex był szaleńcem. Guadeloom zmarszczył brwi.

- A jak inaczej nazwiesz człowieka, który robi to, co on?

- Arioc zbyt długo był władcą i jego dusza buntuje się przeciw ciężarowi, który musi dźwigać. Ale poznałem go dobrze, panie, i ośmielę się twierdzić, że te wyprawy są dowodem mąk duszy, a nie szaleństwa.

Była to wspaniała przemowa, jeżeli wolno mi ją samemu ocenić, i odważne słowa - jeśli weźmiemy pod uwagę, że jestem tylko młodszym doradcą, a w owej chwili Guadeloom był trzecią najpotężniejszą osobą w królestwie, po Ariocu i Lordzie Struinie. Ale przychodzą chwile, kiedy trzeba odłożyć na bok ambicje, dyplomację i gierki, by po prostu powiedzieć prawdę; a pomysł skazywania nieszczęśliwego Pontifexa na areszt domowy jako wariata po prostu mnie przeraził. Guadeloom milczał przez dłuższą chwilę i chyba powinienem się przestraszyć i zastanawiać, czy w ogóle zwolni mnie ze służby, czy też tylko odeśle do archiwów, bym przez resztę życia przekładał papiery, ale oczekując jego odpowiedzi byłem spokojny, całkowicie spokojny.

Ktoś zapukał do drzwi. Był to posłaniec; przyniósł list zapieczętowany pieczęcią z gwiazdą, osobistą pieczęcią Koronala. Książę złamał pieczęć i przeczytał go raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz; nigdy w życiu, na niczym obliczu, nie widziałem wyrazu takiego

niedowierzania i przerażenia. Ręce mu się trzęsły, z twarzy odpłynęła krew.

Spojrzał na mnie i powiedział zdławionym głosem:

- Koronał napisał to własną ręką. Informuje mnie, że Pontifex opuścił swe pokoje, udał się na Plac Masek i tam wydał dekret tak nieprawdopodobny, że nie potrafię zmusić ust, by wymówiły te słowa. - Wręczył mi notatkę. - Chodź - dodał. - Sądzę, że powinniśmy jak najszybciej dotrzeć na Plac Masek.

Pobiegł, a ja pobiegłem za nim, po drodze rozpaczliwie próbując zerknąć na list. Lecz charakter pisma Lorda Struina jest niemal nieczytelny, a Guadeloom poruszał się z doprawdy niezwykłą szybkością, korytarze były kręte i kiepsko oświetlone, więc mogłem zaledwie domyśleć się znaczenia kilku oderwanych słów. Było tam coś o proklamacji, wyborze nowej Pani, abdykacji. Czyjej abdykacji, jeśli nie Pontifexa Arioca? A jednak Arioc oświadczył mi, w słowach płynących z głębi duszy, że byłoby tchórzostwem uciec przed przeznaczeniem, które uczyniło go jedną z Potęg Majipooru.

Bez tchu wpadłem na Plac Masek. Jest to część Labiryntu, która działa mi na nerwy nawet wtedy, gdy jestem w najlepszym humorze. Wszystkie te wielkie twarze o skośnych oczach, wyrastające ze lśniących marmurowych cokołów, sprawiają według mnie wrażenie czegoś wziętego prosto z koszmaru. Słyszałem echo pośpiesznych kroków Guadelooma i nakładające się na nie echo moich własnych kroków nieco z tyłu, jako że ksiązę, choć dwukrotnie ode mnie starszy, pędził niczym demon. Z przodu natomiast dochodziły mnie krzyki, śmiech i oklaski. A potem dostrzegłem grupę jakichś stu pięćdziesięciu obywateli Labiryntu, wśród których rozpoznałem kilku najważniejszych ministrów Pontyfikatu.

Wbiliśmy się klinem w tę grupę i zatrzymaliśmy dopiero na widok złoto-zielonych strojów ludzi z otoczenia Koronała. Był wśród nich sam Lord Struñ, sprawiający wrażenie jednocześnie wściekłego i oszołomionego, w kompletnym szoku.

- Nie ma sposobu, by go powstrzymać - powiedział ochryple.

- Wędruje z sali do sali, powtarzając tę swoją proklamację. Słuchajcie, znowu zaczyna.

I wtedy na czele grupy ludzi zobaczyłem Pontifexa Arioca, siedzącego na ramionach służącego, potężnego Skandara. Jego dostojność ubrany był w powiewne, kobiece szaty, obszyte wspaniałym brokatem, a na jego piersi wisiał klejnot, wielki i błyszczący.

- Ponieważ zabrakło jednej z Potęg Majipooru! - krzyknął Pontifex niesłychanie donośnym głosem. - Ponieważ pojawiła się konieczność zastąpienia Pani Wyspy Snu! Najszybciej i natychmiast! By mogła troszczyć się o dusze swego ludu! Pojawiając się w snach z radą i pomocą! I - ponieważ -jest mym największym marzeniem - złożyć ciężar Pontyfikatu, który dźwigałem na swych barkach przez dwanaście lat - postanowiłem - co następuje! Używając przywilejów mego urzędu, postanawiam i ogłaszam, że od dziś należę do płci żeńskiej! Jako Pontifex mianuję Panią Wyspy Arioca, dziś kobietę, dawniej mężczyznę!

- Szaleństwo - szepnął księżę Guadeloom.

- Słyszę to po raz trzeci i nadal nie wierzę własnym uszom -stwierdził Koronał Lord Struin.

- ...Jednocześnie zaś abdykuję jako Pontifex! Wzywam mieszkańców Labiryntu, by przygotowali dla Pani Arioc powóz, którym dojedzie do portu Stoien! Stamtąd uda się na Wyspę, by nieść ulgę swym poddanym!

W tej chwili Arioc spojrział mi w oczy. Twarz miał czerwoną z podniecenia, z czoła spływał mu pot. Rozpoznał mnie, uśmiechnął się i mrugnął; puścił do mnie oko na dowód radości i tryumfu! A potem tłum poniósł go dalej i Pontifex znikł.

- Trzeba go powstrzymać - powiedział Guadeloom. Lord Struin potrząsnął głową.



- Posłuchaj, jak krzyczą ci ludzie. Oni go kochają! Arioc przechodzi z poziomu na poziom, towarzyszący mu tłum jest coraz większy. Wyniosą go na ramionach do Bramy Ostrzy i jeszcze dziś przed wieczorem odtransportują do Stoien.

-Jesteś Koronalem, panie - powiedział Guadeloom. - Czy nic nie możesz zrobić?

- Mam obalić Pontifexa? Przysięgałem przecież, że wiernie wypełnię każdy jego rozkaz! Chcesz, żebym popełnił zdradę wobec setek świadków? Nie, nie, Guadeloomie, co się stało, to się stało i musimy pogodzić się z tym absurdem.

- Uczcijcie Panią Arioc! - krzyknął donośny głos.

- Niech żyje! Niech żyje Pani Arioc! Niech żyje! Niech żyje!

Z niedowierzaniem patrzyłem, jak procesja przechodzi przez Plac Masek, kierując się w stronę Sali Wiatrów lub ku Dziedzińcowi Piramid. Nie poszliśmy za nią - Guadeloom, Korona! i ja. Oszołomieni, milczący, nieruchomi obserwowaliśmy, jak znika tłum radosnych, krzyczących i gestykulujących ludzi. Zdumiewające, że w tak zawstydzającym momencie byłem samotny wśród tych wielkich naszego świata. Absurdalna, jak ze snu, była i abdykacja Pontifexa, i wybór nowej Pani. Omal ich to nie złamało.

W końcu Guadeloom powiedział z namysłem:

-Jeśli uznajecie, panie, tę abdykację za ważną, zatem nie jesteście już Koronalem i musicie się przygotować do zamieszkania w Labiryncie, właśnie bowiem zostaliście Pontifexem.

Słowa te przygniotły Lorda Struina jak spadające z wysoka wielkie głązy. W gorączce nie przemyślał sobie najwyraźniej nawet tej bezpośredniej konsekwencji czynu Arioca.

Otworzył usta, ale nie wypowiedział nawet jednego słowa. Łączył i rozłączał dłonie, niczym w hołdowniczym geście gwiazdy, składanym samemu sobie, lecz ja wiedziałem, że to tylko dowód zdumienia. Zadrzałem przerażony, ponieważ to wielka rzecz - być świadkiem

przekazania sukcesji, a Struin w ogóle nie był na nią przygotowany. Miał w kwiecie wieku pożegnać się z rozkoszami Zamkowej Góry, zmienić cudowne miasta i wspaniałe lasy na ponury Labirynt, odłożyć na bok gwiazdną koronę, a na jej miejsce założyć diadem -nie, tego w ogóle się nie spodziewał, a kiedy znaczenie słów Guadelooma w pełni do niego dotarło, twarz dotychczasowego Koronala przybrała barwę popiołu, a powieki zadrżały.

Po bardzo długiej chwili powiedział:

- Niech więc tak będzie. Jestem Pontifexem. A kto, panowie, zostanie po mnie Koronalem?

Było to retoryczne pytanie. Nic nie odpowiedziałem i nie odpowiedział książę Guadeloom. Gniewnym, schrypniętym głosem, Struin zapytał powtórnie:

- Kto zostanie Koronalem?! Patrzył w oczy Guadelooma.

Powiem ci prawdę: czułem się niemal zmiażdżony ciężarem tego, czego byłem świadkiem i co nie zostanie zapomniane nigdy, choćby nasza cywilizacja miała trwać kolejne dziesięć tysięcy lat. Lecz o ile mocniej musieli to odczuwać oni! Guadeloom zrobił krok wstecz, niezdolny wykrztusić słowa. Arioc i Struin byli jeszcze względnie młodzi, nie istniał najmniejszy powód do spekulacji w sprawie następstwa tronu i choć książę odznaczał się powagą i majestatem, wątpię, czy kiedykolwiek widział siebie na szczycie Zamkowej Góry, a już z pewnością nie śnił nawet, że dotrze tam w taki sposób. Gapił się na nas, jak zaskoczony gromwark, nie potrafił wykrztusić ani słowa i w końcu to ja zareagowałem pierwszy, padłem na kolana, w hołdzie uczyniłem gest gwiazdy i krzyknąłem zdławionym głosem:

- Guadeloom! Lord Guadeloom! Niech żyje Lord Guadeloom. Niech żyje!

Nigdy w życiu nie zobaczę już dwóch ludzi tak zaskoczonych, tak zmieszanych, tak napiętych jak dawny Lord Struin, obecnie Pontifex, i dawny książę Guadeloom, obecnie Koronal. Twarz Struina wyrażała wściekłość i ból, Lord Guadeloom wydawał się

nieprzytomny ze zdumienia.

Zapadła chwila ciszy, potem zaś Lord Guadeloom powiedział drżącym głosem:

-Jeśli jestem Koronalem, to zgodnie ze zwyczajem Panią Wyspy powinna zostać moja matka, czyż nie?

- Ile lat ma wasza matka? - spytał Struin.

- Sporo. Można powiedzieć, że jest staruszką.

- Tak. Nie ma ani przygotowania, by pełnić rolę Pani, ani siły, by podjąć jej obowiązki.

- To prawda - powiedział Lord Guadeloom.

- A poza tym - stwierdził Struin - mamy nową Panią, nie ma więc sensu wybierać kolejnej tak szybko. Sprawdźmy, jak Jej Dostojność Pani Arioc radzi sobie w Wewnętrznej Świątyni, nim zdecydujemy się zastąpić ją inną, dobrze?

- To szaleństwo - powiedział Lord Guadeloom.

- Istotnie, szaleństwo - zgodził się z nim Pontifex Struin. - No, chodźmy do Pani i dołożmy starań, by bezpiecznie dotarła na Wyspę.

Poszedłem wraz z nimi na górne poziomy Labiryntu. Już około dziesięciu tysięcy ludzi pozdrawiało Arioca, gdy on - lub ona - bosy, ale odziany we wspaniałe szaty, wsiadał do powozu mającego odwieźć go - lub ją - do portu w Stoien. Nie sposób było zbliżyć się do Pani Arioc, tak szczelny mur ciał ją otaczał.

- Szaleństwo - powtarzał bez przerwy Lord Guadeloom. - Szaleństwo. Szaleństwo.

Ale ja wiedziałem lepiej, bo spostrzegłem, jak Arioc mruga do mnie wesoło.

Doskonale go rozumiałem. To wcale nie było szaleństwo. Pontifex Arioc znalazł sposób na ucieczkę z Labiryntu, spełniając w ten sposób najgorętsze pragnienie swego serca. Jestem pewien, że przyszłe pokolenia uznają jego imię za synonim szaleństwa i głupoty, lecz ja

wiem, że był człowiekiem najzupełniej normalnym, człowiekiem, któremu korona sprawiała niezmiernie cierpienia, któremu honor nie pozwolił abdykować i wrócić do normalnego życia.

A więc, po wczorajszych zdumiewających zdarzeniach mamy nowego Koronała, nowego Pontifexa i nową Panią, w ciągu jednego dnia zmieniło się wszystko i teraz rozumiesz, ukochana Silimoor, to, co stało się z naszym światem.

Calintane skończył mówić. Pociągnął długi łyk wina. Silimoor patrzyła mu w twarz oczami, w których był żal, pogarda i miłość.

-Jesteście jak dzieci - powiedziała w końcu - z waszymi tytułami, dworskimi obyczajami i więzami honoru. Niemniej jednak rozumiem chyba, co przeszedłeś i jak wyprowadziło cię to z równowagi.

-Jest jeszcze jedna rzecz - powiedział Calintane.

-Tak?

- Koronał Lord Guadeloom, nim udał się na pokoje, by w pełni rozważyć znaczenie tych zmian, mianował mnie swym kanclerzem. W przyszłym tygodniu odjeżdża na Zamkową Górę. A ja, oczywiście, muszę być przy jego boku.

-Jakież to dla ciebie wspaniałe - stwierdziła chłodno Silimoor.

- Więc proszę cię, byś mi towarzyszyła i dzieliła ze mną życie w Zamku - dokończył Calintane tak spokojnie, jak tylko potrafił.

Jej błyszczące turkusowe oczy były jak lód.

- Urodziłam się w Labiryncie - powiedziała Silimoor. - I kocham życie w Labiryncie.

- Czy to odpowiedź?

-Nie. Odpowiedź otrzymasz później. Podobnie jak twój Pontifex i twój Koronał, potrzebuję czasu, by przyzwycząić się do zmian.

-Więc jednak odpowiedziałas!

- Później - oświadczyła, podziękowała mu za wino i opowieść, po czym odeszła od stolika. Calintane także w końcu wstał i jak upiór powędrował podziemiami Labiryntu, zmordowany tak, że nie czuł już zmęczenia. Słuchał ludzi, rozprawiających z coraz większym zapalem w miarę, jak wieść rozchodziła się coraz szerzej - Arioc jako Pani, Struin Pontifexem, Guadeloom Koronalem! - lecz ich rozmowy wydawały mu się tylko brzęczeniem owadów. Wrócił do swego apartamentu, próbował zasnąć, lecz sen nie nadchodził. Calintane snuł gorzkie rozważania, bojąc się, że okres rozłąki fatalnie wpłynął na ich miłość. Mimo iż jej słowa sugerowały co innego, Silimoor mogła odrzucić jego oświadczenia. Mylił się jednak, nazajutrz bowiem dziewczyna oznajmiła, iż jest gotowa wyruszyć na Zamkową Górę u jego boku i nadal była u jego boku wiele, wiele lat później, gdy to on zastąpił Lorda Guadelooma jako Koronał. Lord Calintane rządził krótko, lecz szczęśliwie, doprowadził do końca budowę wspaniałej drogi prowadzącej na szczyt Góry i nazwanej jego imieniem, a kiedy na starość powrócił do Labiryntu jako Pontifex, przyjął to bez zdziwienia, bowiem utracił zdolność zdziwienia się czemukolwiek tego dnia, dawno temu, gdy Pontifex Arioc ogłosił się Panią Wyspy.

## **PUSTYNIA SKRADZIONYCH SNÓW**

Hissune pojął teraz, że legenda Arioca przysłoniła prawdę o nim, tak jak to zdarza się często z legendami. Z perspektywy wielu stuleci Arioc jawił się wszak jako postać absurdalna, groteskowa, jako ogarnięty nagłym szaleństwem błazen. A przecież, jeśli świadectwo Lorda Calintane 'a miało jakąś wartość, wcale taki nie był. Udręczony człowiek, który pragnął swobody i znalazł niezwykły sposób jej osiągnięcia, ale nie błazen, nie szaleniec. Hissune, schwytyany w Labirynt jak w pułapkę, tęskniący za powiewem wiatru na otwartej przestrzeni, nieoczekiwanie znalazł w Pontifexie pokrewną duszę - duchowego brata sprzed tysięcy lat.

Przez dłuższy czas chłopiec nie odwiedzał Rejestru. Wrażenie, jakie wywarły na nim te nielegalne podróże w przeszłość, było zbyt potężne. W głowie kłębiły mu się różne doznania, wspomnienia Thesmy, Calintane'a, Sinnabora Lavona, pułkownika Eremoila... Czasami wszystkie te postacie naraz podnosiły zgiełk - i wówczas miał kłopoty z ustaleniem, gdzie w tym rozgardiaszu jest miejsce samego Hissune'a, a to doprawdy było okropne. Poza tym - był bardzo zajęty. Po upływie półtora roku zakończył wreszcie prace nad raportami podatkowymi. Znał już archiwa tak dobrze, że czekało go nowe zadanie: badanie rozmieszczenia tubylczej ludności na dzisiejszym Majipoorze. Wiedział, że Lord Valentine miał problemy z Metamorfami - w istocie to spisek Zmiennekształtnych stracił go z tronu podczas tych niezwykłych wydarzeń sprzed kilku lat - a z tego, co podsłuchał przebywając między wielkimi tego świata na Zamkowej Górze, zapamiętał, że Koronał planował włączyć Metamorfów w główny nurt życia na planecie, jeśli tylko będzie to wykonalne. Hissune podejrzewał, że te dane statystyczne, które miał teraz zbierać, odgrywają jakąś rolę w strategii Koronała - i to sprawiało mu osobistą przyjemność. Równocześnie wywoływało to na jego twarzy ironiczny uśmiech. Hissune posiadał wszak dość inteligencji, by dostrzec, co stało się z ulicznikiem, którym był tak niedawno. Ten sprytny, cwany urwis, który wpadł w oko Valentine'owi siedem lat temu, był teraz niemal dojrzałym urzędnikiem - zmienionym, okiełznanym, ucywilizowanym, spokojnym. Niech i tak będzie, myślał. Nie ma się czternastu lat przez całe życie, nadchodzi czas, kiedy trzeba zejść z ulicy i stać się użytecznym członkiem społeczeństwa. Lecz mimo wszystko żał mu było dzieciństwa, choć pozostało w nim coś z energicznego chłopaka, którym był niegdyś; niewiele, ale zawsze trochę. Łapał się na tym, że snuje poważne rozważania nad naturą społeczeństwa Majipooru, nad pojęciem władzy, która oznaczała odpowiedzialność, nad tym, że wszyscy obywatele tworzą społeczność planety dzięki zasadzie wzajemnych zobowiązań. W jaki sposób, zastanawiał się

Hissune, cztery wielkie Potęgi Królestwa: Pontifex, Koronal, Pani Wyspy i Król Snów, zdolne są tak doskonale ze sobą współpracować? Nawet w głęboko konserwatywnym społeczeństwie, w którym przez tysiąclecia zmieniło się tak niewiele, harmonia Potęg wydaje się czymś graniczącym z cudem; tę równowagę musieli chyba zainspirować bogowie!

Hissune'owi brak było formalnego wykształcenia, nie znał nikogo, kto wyjaśniłby mu tak skomplikowane problemy, ale miał przecież pod ręką Rejestr Dusz, tętniący minionym, lecz wciąż pozostającym w zawieszeniu życiem Majipooru, który za naciśnięciem guzika gotów był ujawnić całe swe bogactwo. Głupotą wydawało mu się pominięcie takiego źródła informacji przy poszukiwaniu odpowiedzi na gnębiące go pytania. Hissune zatem raz jeszcze sfalszował dokumenty, kolejny raz zręcznie oszukał głupkowatych strażników, ponownie siadł za konsolę, szukając już nie tylko zabawy, rozrywki i smaku zakazanego owocu, lecz także wyjaśnienia tego, jak ewoluowały instytucje polityczne na jego planecie. Cóż za poważnym młodym człowiekiem się stajesz - rzekł do siebie, gdy w głowie wybuchł mu gejzer kolorów i poczuł, jak jego duszę opanowuje mroczna obecność innego człowieka, dawno zmarłego, a zarazem beczasowego.

Suvrael leżał niczym błyszczący miecz wbity w południowy horyzont - w żelazną opaskę słabego, czerwonego światła, wysyłającego w niebo fale gorąca. Dekkeret, stojąc na dziobie statku, który poniósł go w tę długą, nudną morską podróż, czuł, jak serce zaczyna bić mu szybciej. Nareszcie! Oto Suwael. Przerazający i obrzydliwy, bezużyteczny, żaloszny kontynent oddalony jest zaledwie o kilka dni drogi. Kto wie, jakich potworności można po nim oczekiwać? Lecz Dekkeret był gotów na wszystko. Dekkeret wierzył, że cokolwiek mu się zdarzy, zdarzy się i tak. Na Suvraelu czy na Zamkowej Górze, co to za różnica? Miał dwadzieścia lat, był potężnie zbudowany - wysoki mężczyzna z krótką szyją i niesłychanie szerokimi ramionami. Mijał drugi rok wspaniałych rządów Lorda Prestimiona i władzy wielkiego Pontifexa Confalume'a.

Dekkeret zdecydował się na podróż na spalony słońcem, jałowy Suwael jako akt pokuty. Podczas polowania na bagnach Khyntoru, daleko na północy, zdarzył mu się haniebny uczynek - z pewnością nie dokonany świadomie; nie od razu też zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo był on haniebny - w rezultacie czego Dekkeret postanowił, że konieczna jest jakaś ekspiacja za to, co się zdarzyło. Jego gest jest w jakiś sposób romantyczny i bezsensowny, o czym wie doskonale, lecz jeśli nie wykona romantycznego, bezsensownego gestu mając lat dwadzieścia, to kiedy się nań zdobędzie? Z pewnością nie za lat dziesięć lub piętnaście, bowiem los skazał go na błyskawiczną, łatwą karierę na dworze Lorda Prestimiona i za dziesięć czy piętnaście lat Dekkeret będzie po prostu kolejnym z wielu dworaków. Teraz ma tę jedną, jedyną szansę. A więc w drogę na Suwael, oczyścić duszę - bez względu na konsekwencje!

Przyjaciół, mentor i towarzysza myśliwskiej wyprawy do Khyntoru, Akbalik, zupełnie nie potrafił go zrozumieć. Lecz oczywiście Akbalik nie jest romantykiem, a poza tym



dwadzieścia lat skończył bardzo dawno temu. Pewnej nocy, wczesną wiosną, w zwykłej gospodzie w górach, po kilku szklankach grzanego złotego wina Dekkeret wyjawiał mu swe zamiary. Jediną odpowiedzią, jakiej doczekał się od Akbalika, był wybuch kpiącego śmiechu.

- Suvrael? - krzyknął Akbalik. - Oceniasz się zbyt surowo. Nie ma grzechu tak ciężkiego, by go okupić aż podróżą na Suvrael.

Dekkeret, urażony, czując, że potraktowano go z góry, odparł:

- Zło tego, co uczyniłem, plami mą duszę. Wypalę ją do czysta pod słońcem pustyni.

-Jeśli już czujesz, że coś musisz zrobić, udaj się z pielgrzymką na Wyspę. Niech Błogosławiona Pani wyleczy twoją duszę.

- Nie. Tylko na Suvrael.

- Czemu?

- Chcę cierpieć. Chcę oddalić się od rozkoszy Zamkowej Góry, odwiedzić najmniej przyjemne miejsce na Majipoorze, pustynię przeraźliwych, suchych wiatrów i groźnych niebezpieczeństw. Chcę umartwić ciało, Akbaliku, okazać pokorę. Chcę świadomie narazić się na niewygodę i ból - czy ty w ogóle wiesz, czym jest ból? - aż sam zdołam sobie wybaczyć. Rozumiesz?

Uśmiechnięty Akbalik przesunął palcami po grubym płaszczu z khyntorskich futer, który miał na sobie Dekkeret.

- Doskonale. Lecz jeśli musisz umartwiać ciało, umartwiaj je dokumentnie. Zakładam, że nie zdejmiesz tego futra ani na chwilę, nawet pod słońcem Suvraelu.

Dekkeret zachichotał.

- Są granice niewygody, którą pragnę znosić - stwierdził i sięgnął po wino. Akbalik był od niego niemal dwukrotnie starszy i bez wątpienia uważał jego zapal za śmieszny. Sam

Dekkeret do pewnego stopnia podzielał to przekonanie, co jednak w niczym nie zmieniło jego postanowienia.

- Czy mogę raz jeszcze spróbować odwieść cię od tego? - Nie warto.

- Pomyśl, co tracisz - powiedział mimo to Akbalik. - Powinieneś zatroszczyć się o swą karierę. Twoje imię często słyszy się na Zamku. Lord Prestimion bardzo dobrze się o tobie wyraża. Obiecujący młody człowiek, ma przed sobą wielką przyszłość, silny charakter - tego typu rzeczy. Prestimion jest młody, będzie rządził długo i młodzi ludzie z jego otoczenia wyrosną wraz z nim. Tymczasem, zamiast być na dworze, ty zabawiasz się gdzieś w dziczy Khyntoru, a teraz planujesz jeszcze dalszą podróż. Zapomnij o tej bzdurze z Suvraelem, Dekkercie, wróć wraz ze mną na Górę. Rób, czego chce Koronał, zaimponuj mu swymi cnotami, zatroszcz się o przyszłość. Nastąpiły wielkie dni Majipooru i wspaniale byłoby znaleźć się teraz wśród tych, którzy dzierżą ster władzy, prawda? Czyż nie? Po co skazywać się na wygnanie na Suvrael? Nikt nic nie wie o tym twoim... grzechu... o krótkiej chwili słabości...

-Ja wiem.

-Więc postanów, że coś podobnego już nigdy się nie powtórzy i udziel sobie rozgrzeszenia.

- To nie takie proste - stwierdził Dekkeret.

- Zmarnować rok - czy kilka lat! - lub może nawet stracić życie w bezsensownej, bezużytecznej wyprawie...

- Nie bezsensownej. Nie bezużytecznej.

- Więc sensownej i użytecznej tylko na najbardziej osobistym poziomie...

- To nie tak, Akbaliku. Skontaktowałem się z ludźmi Pontifexa i dostałem od nich oficjalne zlecenie. Udaję się na Suvrael z misją. Czyż nie brzmi to wspaniale? Suvrael

eksportuje zbyt mało bydła i mięsa; mam zbadać, dlaczego tak się dzieje. Rozumiesz? Dbam o karierę nawet udając się w podróż, którą uważałeś za mój prywatny kaprys.

- Więc jesteś już gotów do drogi?

- Wyjeżdżam najbliższego Czwartego Dnia. - Dekkeret wyciągnął dłoń do przyjaciela.

- Nie będzie mnie przynajmniej dwa lata. Co powiesz, gdybyśmy się umówili? Karnawał w High Morpin, za dwa lata od najbliższego Dnia Zimy?

Spokojne szare oczy Akbalika trzymały na uwieży wzrok Dekkereta.

-Ja tam będę - powiedział w końcu Akbalik. - I modłę się, żebyś i ty dotarł na czas.

Rozmowa ta odbyła się przed zaledwie kilkoma miesiącami, lecz Dekkeretowi, czującemu, jak poprzez bladozielone wody Wewnętrznego Morza południowy kontynent wyciąga ku niemu rozgrzaną dłoń, miesiące te wydawały się latami, tak jak i sama podróż zdawała się trwać lata. Jej pierwsza część okazała się całkiem przyjemna -z gór do wielkiej metropolii Ni-moya i statkiem rzeką Zimr do Piliploku na wschodnim wybrzeżu. W Piliploku Dekkeret wsiadł na frachtowiec, najtańszy środek transportu, jaki zdołał znaleźć, płynący do portu Thologhai na Suvraelu, no a potem żeglowali już na południe, coraz dalej i dalej. Dostał małą kabinę tuż przy ładowni pełnej zasuszonych małych smoków morskich. Kiedy statek znalazł się w tropikach, dni zrobiły się gorące, upał był straszny, takiego nawet sobie nie wyobrażał, noce prawie nie przynosiły ulgi, załoga, złożona głównie ze Skandarów, śmiała się z niego i radziła, by cieszył się chłodem póki może, bo naprawdę ciepło będzie dopiero na Su-vraelu. Cóż, pragnął cierpieć i jego pragnienia już spełniły się z nawiązką, a miało być jeszcze gorzej. Nie skarżył się. Niczego nie żałował. Ale wygodne życie wśród młodych rycerzy na Zamkowej Górze nie przygotowało go na bezsenne noce, podczas których zapach smoków wbijał mu się w nozdrza jak sztylet, ani na upał, który zaczął się po kilku tygodniach od wypłynięcia z Piliploku, nie przygotowało go na nudę nie zmieniającego się obrazu morza.

Majipoor był tak niesamowicie wielki, w tym problem. Podróż trwała całą wieczność. Już sama wyprawa z rodzinnego Alhanroelu na zachodni kraniec Zimroelu wydawała się ogromnym przedsięwzięciem: statkiem rzeczonym od podnóży Góry do Alaisoru, potem morzem do Piliploku, później zaś w górę rzeki na bagna Khyntoru. Wtedy jednak miał przy sobie Akbalika, który dodawał mu ducha; czuł też podniecenie, związane z pierwszą w życiu daleką podróżą, podziwiał nowe miejsca, nowe potrawy, nowe języki. I czekał na rozpoczęcie wielkiego polowania. A teraz? Siedział jak w więzieniu na niewielkim trzeszczącym stateczku wypełnionym suchym, śmierdzącym mięsem. Mijał dzień za dniem, a wszystkie identyczne - bez przyjaciół, bez obowiązków, bez okazji do rozmowy. Gdyby tylko na horyzoncie pojawił się jakiś wielki morski smok i ożywił podróż odrobiną niebezpieczeństwa! Tak czasami myślał, ale nic z tego, wędrujące smoki gdzieś tam były, jedno stado podobno na zachodnich wodach koło Narabalu, inne w połowie drogi między Piliplokiem a Archipelagiem Rodamaunt, lecz on nie dostrzegł żadnej z tych gigantycznych bestii, nawet żadnego z pomniejszych i słabszych maruderów. Nuda wydawała mu się tym gorsza, że najwyraźniej nie miała oczyścić go z grzechu. Cierpiał, to prawda, i uważał, że cierpienie wyleczy rany jego duszy, lecz świadomość tego, jakiego strasznego uczynku dopuścił się tam, w górach, nie bladła. Cierpiał z powodu upału, nudy, znużenia i nadal czuł się winny, nadal torturował się myślami o tym, jak to Koronal Lord Prestimion chwalił go za siłę charakteru, podczas gdy on sam dostrzegał w sobie tylko słabość, tchórzostwo i głupotę. Być może do wyleczenia duszy trzeba czegoś więcej niż duchoty, znużenia i smrodu - zdecydował w końcu. W każdym razie dość miał nie kończącej się podróży na Suvrael i był już całkowicie gotów na dalszy etap swej pielgrzymki w nieznanie.

Każda podróż kiedyś się kończy - nawet ta pozornie nieskończona. Wiejący z południa gorący wiatr z dnia na dzień stawał się coraz gorętszy, aż nie sposób było chodzić po pokładzie i bosonodzy Skandarowie musieli zmywać go wodą co kilka godzin, a potem płonąca masa posępnego mroku na horyzoncie nagle stała się lądem i wejściem do portu. Przybyli wreszcie do Thologhai.

Cały Suvrael należy do tropików; jego środek niemal w całości zajmuje pustynia, nad którą stoi masa martwego, suchego, nieruchomego powietrza, a na jej obrzeżach szaleją cyklony. Lecz na wybrzeżu można - lepiej lub gorzej - żyć; wybudowano tam pięć miast, z których Thologhai jest największe i najściślej związane z resztą Majipooru więzami handlowymi. Kiedy statek wchodził do wielkiego portu, Dekkereta uderzyła obcość tego miejsca. W swym krótkim życiu widział wiele metropolii - kilkanaście z Pięćdziesięciu Miast na zboczach Zamkowej Góry, ogromny, wietrzny Alaisor, wielkie, oszałamiające Ni-moya, wspaniałe Piliplok - lecz nigdy jeszcze nie poznał miasta tak surowego, tajemniczego i nieprzyjaznego. Thologhai jak krab czepiało się niskich nadmorskich skał. Domy były płaskie, przysadziste; zbudowano je z suszonej pomarańczowej cegły, jako okna służyły wąskie szczeliny w ścianach. Wokół nie rosło niemal nic oprócz ponurych, pierzastolistnych palm, składających się wyłącznie z pnia i skąpego pióropusza na szczycie. W południe ulice tu były niemal puste. Gorący wiatr sypał piaskiem po spękanych chodnikach. Thologhai wydawało się Dekkeretowi czymś w rodzaju brudnego, okrutnego więzienia, miejscem spoza czasu, wybudowanym przez prehistorycznych przedstawicieli jakiejś zmilitaryzowanej i autokratycznej rasy. Dlaczego ludzie zdecydowali się stworzyć coś tak potwornego? Z pewnością z prostych praktycznych względów; brzydota podyktowana była wymaganiami klimatu, lecz mimo wszystko - pomyślał Dekkeret - warunki narzucone przez gorąco i suszę

dałoby się spełnić poprzez architekturę mniej odpychającą.

W swej naiwności był pewien, że natychmiast uda mu się zejść na brzeg, ale nie tak załatwiano tu sprawy. Statek stał na kotwicy ponad godzinę, nim pojawili się urzędnicy portowi: kilku ponurych Hjortów. Później długo przeprowadzano inspekcję sanitarną, grzebano w papierach i manifestach okrętowych, kłócono się o opłaty portowe; w końcu kilkunastu pasażerom pozwolono opuścić pokład. Tragarz, Ghayrog, chwycił bagaż Dekkereta i zapytał, do którego hotelu go dostarczyć. Kiedy Dekkeret oznajmił, że nie ma rezerwacji, przypominająca gada istota z rozwidlonym ruchliwym językiem i włosami poruszającymi się jak węże w gnieździe rzuciła mu chłodne, kpiące spojrzenie i spytała:

- Ile pan może zapłacić? Czy jest pan bogaty?

- Niezbyt. Co mogę dostać za trzy korony dziennie?

- Niewiele. Siennik. Pokój z łożącymi po ścianach robakami.

- Dobrze, zgoda.

Ghayrog wydawał się tak zaskoczony, jak tylko może wydawać się zaskoczony przedstawiciel jego rasy.

- Nie będzie pan z tego zadowolony, piękny panie. Sprawia pan wrażenie arystokraty.

- Może. Lecz zasoby mam niearystokratyczne. Zaryzykuję siennik i robaki.

W rzeczywistości gospoda wcale nie była taka zła, jak się spodziewał - okazała się stara, brudna i ponura, ale tym akurat nie różniła się od wszystkiego, co widział do tej pory, a po kajucie na statku pokój sprawiał wrażenie niemal pałacu. Nie śmierdziało w nim mięsem smoków morskich, czuć tylko było kwaśny zapach powietrza Suvraelu, które sprawiało wrażenie, jakby wypuszczono je z flaszki zamkniętej przez tysiąc lat. Dekkeret dał Ghayrogowi pół korony napiwku, nie doczekał się podziękowania, po czym zabrał się do rozpakowywania skromnego bagażu.

Późnym popołudniem wyszedł na dwór. Upał nie zelżał, ale gorący, ostry wiatr wydawał się jakby słabszy i na ulicach widziało się więcej ludzi. Mimo wszystko miasto nadal wyglądało ponuro. To było właściwe miejsce dla kogoś, kto pragnie odprawić pokutę. Dekkeret z obrzydzeniem i niechęcią patrzył na płaskie, pozbawione okien fasady budynków i cały ten martwy pejzaż; tęsknił za łagodnym, słodkim powietrzem swego rodzinnego Normorku, położonego nisko na stokach Zamkowej Góry. Zastanawiał się, kto i dlaczego zdecydował się tu żyć, kiedy tak łatwo można urządzić się w łagodniejszym klimacie. Czyżby to surowość ducha skłoniła kilka milionów obywateli Majipooru do zmagania z codziennymi trudami życia na Suvraelu?

Przedstawiciele Pontyfikatu urzędowali przy wielkim pustym placu naprzeciw portu. Instrukcje, które otrzymał, nakazywały mu się tam zgłosić. Choć godzina była późna, biura zastał otwarte; w tym upalnym klimacie mieszkańcy Thologhai przestrzegali południowej siesty, a interesy załatwiali do późnego wieczora. Kazano mu czekać chwilę w przedpokoju, udekorowanym wielkimi ceramicznymi portretami urzędujących monarchów; Pontifex Confalume był ukazany en face - promieniował wręcz łagodnym, lecz oszałamiającym majestatem; młody Lord Prestimion zaś z profilu - oczy błyszczały mu inteligencją i niezwalczoną energią. Będąc chłopcem Dekkeret widział Confalume'a, który jako Koronał przewodniczył sądowi we wspaniałym mieście Bombifale, wysoko na zboczach Góry - i aż chciało mu się płakać na widok spokoju tego człowieka i promieniującej z jego postaci siły. W kilka lat później Confalume został Pontifexem, przeniósł się w głębokie podziemia Labiryntu, a Koronalem wybrano Prestimiona, człowieka zupełnie odmiennego charakteru, wywierającego równie wielkie wrażenie, lecz niecierpliwego, impulsywnego, żywego. To właśnie on podczas procesji po miastach Zamkowej Góry odnalazł jakoś w Normorku młodego Dekkereta i -z charakterystyczną dla siebie impulsywnością - dołączył go do grupy

młodych arystokratów, przygotowujących się do dworskiego życia w Górnych Miastach.

Dekkeret miał wrażenie, że od tamtej chwili minęła cała epoka, tak wielkie zmiany nastąpiły w jego życiu. Mając osiemnaście lat pozwalał sobie na marzenia, jak to kiedyś sam zasiadł na tronie Koronala, lecz teraz, po owej nieszczęsnej wyprawie łowieckiej w górach Zimroelu, mając zaledwie lat dwadzieścia, siedział w zakurzonej sali ponurego biura w odpychającym mieście na wybrzeżu zapomnianego przez Boga Suvraelu i czuł, że nie ma przed sobą żadnej przyszłości, tylko nie kończący się szereg dni, miesięcy i lat, które czymś przecież trzeba będzie wypełnić. Pojawił się tęgi Hjort ze skwaszoną miną i oznajmił:

- Archiregimand Golator Lasgia przyjmie pana.

Tytuł brzmiał wspaniale, lecz okazało się, że nosi go smukła, ciemnoskóra kobieta niewiele od niego starsza. Przyjrzała mu się uważnie wielkimi, lśniącymi, poważnymi oczami, powitała niedbałym gestem dłoni - symbolem Pontyfikatu - i przyjęła listy polecające.

- Kandydat Dekkeret - mruknęła. - Misja zlecona przez władze Pontyfikatu w Khyntorze. Nie rozumiem, kandydacie. Służy pan Koronalowi czy Pontifexowi?

Dekkeret poczuł się nieco niepewnie.

- Należę do dworu Lorda Prestimiona, chód nie jestem tam nikim ważnym. Lecz potrzeba wysłania kogoś na Suyrael pojawiła się, gdy akurat byłem w Khyntorze. Kiedy urzędnicy Pontyfikatu dowiedzieli się, że ł tak się tu wybieram, kwestie ekonomiczne zdecydowały o zleceniu mi tej misji, choć nie należę do pracowników Pontifexa. Więc...

Golator Lasgia, uderzając papierami w blat stołu, spytała: - ł tak wybierał się pan na Suvrael? Czy mogę wiedzieć w jakim celu?

Dekkeret zarumienił się.

- To sprawa osobista, jeśli pani pozwoli. Nie rozwodziła się dłużej nad tym tematem.



- Cóż takiego na Suvraelu tak bardzo interesuje mych braci, urzędników

pontyfikalnych z Khyntoru? A może moja ciekawość i w tej sprawie jest nie na miejscu?

Dekkeret poczuł się jeszcze bardziej niepewnie.

- Dotyczy to zachwiania równowagi handlowej - powiedział, z trudnością

wytrzymując jej chłodne, przenikliwe spojrzenie. - Khyntor to centrum wytwórcze, wymienia

dobra na bydło z Suvraelu, ale od dwóch lat eksport wierzchowców i byków stale maleje, co

zakłóca funkcjonowanie ekonomiczne tej prowincji. Fabrykanci mają kłopot z udzielaniem

Suvraelowi kredytu.

- To dla mnie nie nowina.

- Poproszono mnie o odwiedzenie tutejszych hodowców, żebym stwierdził, czy w

najbliższym czasie można się spodziewać zwiększenia produkcji.

- Napije się pan wina? - spytała nieoczekiwanie Golator Lasgia. Zaskoczony, Dekkeret

zastanowił się przez chwilę, czy wypada

mu przyjąć tę propozycję. Nim podjął decyzję, jego rozmówczyni wyciągnęła skądś

dwie butelki złotego trunku, otworzyła je zręcznie i jedną z nich postawiła przed nim. Wziął

ją z uśmiechem wyrażającym wdzięczność. Wino było chłodne, słodkie, lekko musujące.

- Pochodzi z Khyntoru - powiedziała Golator Lasgia. - W ten sposób powiększamy

deficyt handlowy Suvraelu. Odpowiedź na pana wątpliwości jest prosta, kandydacie

Dekkeret. W ostatnim roku rządów Pontifexa Prankipina mieliśmy tu katastrofalną suszę.

Chce pan może spytać, jak na Suvraelu odróżniamy suszę od nie-suszy? Zapewniam pana, że

jest różnica, kandydacie, zdecydowana różnica. Najbardziej ucierpiały farmy hodowlane.

Ponieważ nie mogliśmy wyżywić stad, przeznaczaliśmy na rzeź tyle bydła, ile tylko był w

stanie przyjąć rynek, a resztę sprzedaliśmy hodowcom z zachodniego Zimroelu. Niedługo po

tym, jak władzę w Labiryncie objął Pontifex Confalume, susza się skończyła i trawa znów

zarosła nasze sawanny. Lecz odbudowa stad musi potrwać lata. A więc deficyt handlowy będzie występował jeszcze jakiś czas, a później zostanie wyrównany. -Uśmiechnęła się chłodno.

- Widzi pan? Oszczędziłam panu trudnej i niezbyt interesującej podróży w głąb kraju.

Dekkeret stwierdził nagle, że mocno się poci.

- Niemniej muszę ją odbyć, Archiregimandzie Golator Lasgio. -Nie dowie się pan niczego, czego nie usłyszałby już tu ode mnie.

- Nie chcę, by wyglądało to na brak szacunku, lecz mam wyraźne polecenie, by sprawdzić na własne oczy...

Golator Lasgia przymknęła swe oczy.

- Próba dotarcia na sawanny o tej porze roku wiąże się z wielkimi kłopotami, wyjątkową niewygodą, a być może nawet z poważnym ryzykiem. Gdybym była panem, pozostałabym w Thologhai, ciesząc się przyjemnościami, jakie można znaleźć w naszym mieście, załatwiłabym te sprawy osobiste, które tu pana przywiodły, a po odpowiednim czasie kontaktując się z moimi urzędnikami napisałabym raport i wróciła do Khyntoru.

Dekkeret natychmiast nabrał podejrzeń. Ta frakcja rządowa, której służyła Golator Lasgia, nie zawsze współpracowała z ludźmi Koronała i najwyraźniej pani Archiregimand niezbyt zręcznie próbowała ukryć przed nim coś, co dzieje się na Suvraelu. I chociaż misja, której się podjął, była tylko pretekstem do podróży na ten kontynent, a nie jej celem, Dekkeret musiał jednak pamiętać o swej karierze. Jeśli pozwoliłby się tak łatwo oszukać, z pewnością wypłynęłoby to kiedyś i poważnie mu zaszkodziło. Żałował, że przyjął wino z jej ręki. Lecz by ukryć zmieszanie, wypił go trochę z miną konesera i po dłuższej chwili powiedział:

- Honor nie pozwala mi na przyjęcie tak łatwego wyjścia.

- Ile ma pan lat, kandydacie Dekkeret?

- Urodziłem się w dwunastym roku rządów Lorda Confalume'a.

- A więc poczucie honoru ma prawo od czasu do czasu rządzić pańskimi krokami.

Niech pan podejdzie i rzuci okiem na tę mapę. - Wstała energicznie. Była wyższa, niż się spodziewał, niemal dorównywała mu wzrostem, jednak sprawiała wrażenie bardzo kruchej.

Jej ciemne, ciasno związane włosy pachniały mocno; czuł ich zapach przebijający się nawet przez woń mocnego wina. Dotknęła delikatnie ściany, na której pojawiła się jaskrawa, żółto-pomarańczowa mapa Suwaelu.

- Tu leży Thologhai - powiedziała, wskazując północno-zachodni kraniec kontynentu.

Sawanna jest tu - wskazała pas, zaczynający się jakieś tysiąc czy tysiąc sto kilometrów w głębi lądu i otaczający znajdującą się w sercu kontynentu pustynię. - Z Thologhai prowadzą tam trzy drogi. Ta jest pierwsza. Zaczęła się właśnie pora burz piaskowych, więc jest nie do użytku. To druga - w tej chwili mamy pewne problemy z bandami Metamorfów, więc została zamknięta. Trzecia droga prowadzi tędy, przez przełęcz Khulag, ale ostatnio rzadko jej używano i zaczęła ją zasypywać pustynia. Teraz pan rozumie?

Tak grzecznie, jak tylko potrafił, Dekkeret powiedział:

- Lecz jeśli Suvrael utrzymuje się z hodowli, a wszystkie drogi między rejonem pastwisk a portami zostały zablokowane, to czy można stwierdzić na pewno, że susza jest powodem zmniejszenia eksportu?

Golator Lasgia uśmiechnęła się.

- W tej sytuacji używamy innych portów.

- Więc gdybym dotarł do któregoś z nich, znalazłbym bezpieczną drogę na sawannę?

Znów wskazała mu mapę.

- Od zeszłej zimy centrum eksportowym jest port Natu Gorvinu. Znajduje się on tu, na wschodzie, na wysokości wybrzeża Alhanroelu, jakieś dziesięć tysięcy kilometrów stąd.

- Dziesięć tysięcy...

- Nie istnieją specjalne powody, by prowadzić interesy między Thologhai i Natu

Goryinu. Być może raz na rok jakiś statek płynie z jednego portu do drugiego. Jeśli chodzi o

podróż lądem, jest jeszcze gorzej, drogi bowiem, wiodące z Thologhai na wschód, są

utrzymywane wyłącznie do Kangheez... - wskazała miasto oddalone o jakieś dwa tysiące

kilometrów - ...a co dalej? Któż to wie? To bardzo rzadko zaludniony kontynent.

- A więc nie ma sposobu, by dostać się do Natu Goryinu? - spytał zdumiony Dekkeret.

- Ależ jest. Jeden. Statkiem z Thologhai do Stoien na Alhanroelu, a stamtąd do Natu

Gorvinu. Podróż taka zajęłaby niewiele ponad rok. Nim znów pojawi się pan na Suwaelu i

dotrze do wnętrza kontynentu, kryzys, którego naturę miał pan zbadać, prawdopodobnie już

się skończy. Napije się pan wina, kandydacie Dekkeret?

Przytaknął, oszołomiony. Te odległości po prostu go ogłupiały. Kolejna straszna

podróż przez Morze Wewnętrzne tylko po to, by przepłynąć je po raz trzeci i dotarłszy do

odległego zakątka Suvraelu dowiedzieć się, że drogi w głąb lądu zostały z jakiegoś powodu

zamknięte... nie! Jest coś takiego, jak przesada w pokutowaniu. Lepiej już zrezygnować niż

popęłnić takie głupstwo!

Widząc jego wahanie, Golator Lasgia zauważyła:

-Jest już dość późno, a pan musi poważnie się nad tym zastanowić. Czy ma pan jakieś

plany dotyczące kolacji, kandydacie Dekkeret?

Nagle, ku jego zaskoczeniu w jej poważnych oczach pojawił się błysk, który Dekkeret

znał bardzo dobrze.

W towarzystwie Archiregimanda Golator Lasgii Dekkeret odkrył, że życie w Thologhai niekoniecznie musi być tak bezbarwne, jak to przyjął, pobieżnie oglądając miasto po raz pierwszy. Podwiozła go do jego hotelu ślizgaczem - dostrzegł w jej twarzy niesmak, kiedy zorientowała się, gdzie mieszka - i przed rozstaniem powiedziała mu, żeby wypoczął, wykapał się i był gotów za godzinę. Miedzianoczerwone słońce właśnie zachodziło, gdy minęła godzina, niebo było już całkiem czarne, widniało na nim tylko kilka całkowicie mu nieznanych gwiazdozbiorów i cienki sierp jednego z księżyców, świecący nisko nad horyzontem. Przybyła bardzo punktualnie. Zamiast prostej urzędowej tuniki miała na sobie coś obcisłego, aksamitnego i niemal absurdalnie uwodzicielskiego. Dekkeret nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Oczywiście, nigdy nie skarżył się na brak powodzenia u kobiet, ale przecież, o ile wiedział, nie wyraził najmniejszego nią zainteresowania, tylko urzędowy szacunek, a jednak Golator Lasgia najwyraźniej szykowała się, by spędzić z nim noc. Dlaczego? Z pewnością nie zawdzięczał tego ani swej nieodpartej urodzie, ani błyskotliwemu intelektowi, nie mógł także w żaden sposób zwiększyć jej politycznych wpływów; najwyraźniej nie kierowała się żadnymi racjonalnymi motywami. Z jednym wyjątkiem: Thologhai to zapomniane przez bogów i ludzi miejsce na uboczu prawdziwego życia, nudne, prostackie, do którego przybywa młody człowiek, mogący młodej kobiecie dostarczyć rozrywki przynajmniej na jedną noc. Dekkeret poczuł, że jest wykorzystywany, choć w gruncie rzeczy nie dostrzegł w tym nic naprawdę złego. Po miesiącach spędzonych na morzu gotów był na niewielkie ryzyko w imię rozrywki. Kolację zjedli w prywatnym klubie na przedmieściu, w ogrodzie, w którym rosły cuda całego świata, łącznie ze słynnymi roślinostworami ze Stoienzaru. Dekkeret nie mógł oprzeć się pokusie obliczenia, ile ze skromnych zasobów wodnych Thologhai zużyto na utrzymanie tych wszystkich wspaniałości.

Przy innych, rzadko rozstawionych stolikach siedzieli miejscowi, elegancko ubrani obywatele. Golator Lasgia przywitała kilku z nich skinieniem głowy, ale nikt do nich nie podszedł, nikt też nie gapił się na niego. Z wnętrza budynku wiał chłodny, orzeźwiający wiatr, pierwszy, jaki poczuł do tygodni, jakby pracowała tam jakaś cudowna maszyna starożytnych, kuzynka tych, które stwarzały rozkoszny klimat na Zamkowej Górze. Kolacja okazała się wspaniała, jedli lekko sfermentowane owoce i soczyste kawałki jakiejś bladozielonej ryby, popijając wytrawnym winem prosto z Amblemornu, a więc niemal z samej Zamkowej Góry. Pili dużo, i on, i ona, oczy im się świeciły, ożywili się, zapomnieli o chłodnej uprzejmości, jaką starali się utrzymać podczas urzędowego spotkania. Dowiedział się, że Golator Lasgia jest od niego o dziewięć lat starsza, że urodziła się w wilgotnym, żyznym Narabalu na zachodnim kontynencie, że objęła służbę w urzędzie Pontifexa będąc jeszcze dziewczynką, że pracuje na Suvraelu od dziesięciu lat, a wraz z przejściem Confalume'a na tron Pontifexa awansowała na obecne wysokie stanowisko.

- Podoba ci się tutaj? - spytał. Wzruszyła ramionami.

- Można się przyzwyczaić - powiedziała.

- Wątpię, czyja zdołałbym się przyzwyczaić. Dla mnie Suvrael jest miejscem tortur, czymś w rodzaju czyśćca. Skinęła głową.

- Dla mnie też.

Dostrzegł, jak błysnęły jej oczy. Nie ośmielił się prosić o wyjaśnienie, ale coś powiedziało mu, że mają ze sobą wiele wspólnego.

Po raz kolejny napełnił kieliszki i pozwolił sobie na spokojny, wszystkowiedzący uśmiech.

- Więc szukasz czyśćca? - spytała Golator Lasgia. - Tak.

Wskazała gestem piękny ogród, puste butelki po winie, kosztowne dania, nie

dojedzone smakołyki.

- Zatem chyba nie najlepiej zacząłeś.

- Pani, kolacji z tobą nie było w moich planach.

- W moich także. Lecz musimy pogodzić się z wyrokami Bogini, prawda? - Pochyliła się ku niemu. - I co teraz zrobisz? Popłyniesz do Natu Gorvinu?

- Wydaje mi się to przedsięwzięciem zbyt trudnym.

- Więc zrób, jak mówiłam. Zostań w Thologhal, póki ci się nie znudzi, a potem wróć i napisz raport. W Khyntorze nikt się niczego nie domyśli.

- Nie. Muszę wyruszyć w głąb lądu. Spojrzała na niego kpiąco.

- Co za poświęcenie! Tylko jak to zrobisz? Drogi z miasta są zamknięte.

- Wspomniałaś o jednej, która prowadzi przez przełęcz Khulag; jest nie używana i zanedbana. Nie wydaje mi się tak groźna jak burze piaskowe czy bandy Metamorfów. Być może zdołam znaleźć przewodnika, który mnie poprowadzi.

- Przez pustynię? - Jeśli to konieczne.

- Pustynia jest nawiedzona - stwierdziła obojętnie. - Lepiej o tym zapomnij. Przywołaj kelnera, napijemy się jeszcze wina.

- Pani, chyba wypiliśmy już dość.

- Chodźmy więc. Pojedziemy gdzieś indziej.

Wyjście z klimatyzowanego, chłodnego ogrodu w suchy upał ulicy było wstrząsem, lecz po chwili siedzieli już w ślizgaczu, a w niedługim czasie znaleźli się w innym ogrodzie, otaczającym basen na tyłach jej oficjalnej rezydencji. Tu nie było maszyn chłodzących rozgrzane powietrze, ale ona знаła inny sposób ochłody; zrzuciła ubranie i wskoczyła do basenu. Jej smukłe, zgrabne ciało zabłysło na moment w świetle gwiazd i zanurzyło się w wodzie niemal bez plusku. Skinęła dłonią; Dekkeret dołączył do niej szybko.

Potem kochali się na krótko przyciętej, gęstej trawie o grubych źdźbłach. Był to w równym stopniu akt walki, jak akt miłosny, objęła go bowiem długimi silnymi nogami, próbowała unieruchomić ramiona, przetaczali się w tę i w tamtą stronę, śmiali się. Zdumiała go jej siła, żartobliwa gwałtowność jej ruchów. Lecz kiedy skończyły się te próby, poruszali się już bardziej harmonijnie i spędzili niemal bezsenłą noc.

Świt zdumiał go; słońce pojawiło się na niebie bez ostrzeżenia, nagle jak dźwięk trąby, rażąc ziemię strzałami gorących promieni.

Leżeli wyczerpani. Dekkeret zwrócił się ku Golator Lasgii - w okrutnym blasku porannego słońca wyglądała znacznie mniej dziewczęco niż pod gwiazdami - i poprosił nagle:

- Opowiedz mi o tej nawiedzanej pustyni. Jakie tam spotkam upiory?

- Jesteś taki uparty!

- Powiedz!

- Spotkasz duchy, które wkroczą w twe sny i ukradną je. Kradną z duszy radość i zostawiają w niej tylko strach. Za dnia śpiewają z daleka, zbijają z tropu, sprowadzają z właściwej ścieżki hałasem i muzyką.

- Mam w to wierzyć?

- Wielu z tych, którzy ostatnio wyruszyli na pustynię, zaginęło.

- Z powodu duchów kradnących sny?

- Tak mówią.

- Więc kiedy wrócę na Zamkową Górę, będę miał o czym opowiadać.

- Jeśli wrócisz - poprawiła go.

- Powiedziałaś, że nie wszyscy podróżujący po pustyni zginęli. Oczywiście, ktoś przecież musiał o tym opowiedzieć. Wynajmę przewodnika, stawię czoła upiorom.

- Nikt nie zgodzi się ci towarzyszyć.



- A więc stawię im czoła sam.

- I z pewnością umrzesz. - Poglaskała go po silnym ramieniu i mruknęła cicho, z zadowoleniem. - Czyżbyś chciał umrzeć? Tak wcześnie? Śmierć nie ma żadnej wartości. Niczego nie daje. Być może szukasz spokoju, ale z pewnością nie jest to spokój grobu. Zapomnij o pustyni. Zostań tu ze mną.

- Możemy pojechać razem. Roześmiała się na te słowa.

- Nie sądzę.

To szaleństwo, uświadomił sobie Dekkeret. Z niewiarą przyjął jej słowa o upiorach i skradzionych snach, chyba że to, co działo się na pustyni, było dziełem zbuntowanych tubylców, Metamorfów; a nawet jeśli tak, nadal w to wątpił. Być może wszystkie te opowieści o niebezpieczeństwie miały tylko zatrzymać go w Thologhai. Jeśli tak, to doczekał się komplementu, ale niewiele pomagało mu to w jego misji. Miała rację mówiąc, że śmierć to kiepski sposób odprawienia pokuty. Jeśli jego doświadczenia na Suvraelu mają zyskać jakieś znaczenie, to musi przeżyć.

Golator Lasgia pomogła mu wstać. Wykąpali się w basenie, a potem weszli do domu pełnego takiego przepychu, jaki do tej pory widział tylko na Zamkowej Górze. Poczęstowała go śniadaniem złożonym z owoców i suszonej ryby.

Kiedy zjedli, spytała nagle:

- Czy naprawdę musisz wyruszyć w głąb lądu?

- Wzywa mnie tam jakiś wewnętrzny głos.

- Doskonale. Jest w Thologhai pewien łotrzyk, który często przekraczał przełęcz

Khulag - tak przynajmniej twierdzi. Gdy mu dobrze zapłacisz, zostanie twoim przewodnikiem. Nazywa się Barjazid; jeśli nalegasz, mogę go wezwać i poprosić, by ci towarzyszył.

“Łotrzyk” wydawało się właściwym słowem na określenie Barjazida - szczupłego, podejrzanie wyglądającego małego człowieczka, niedbale ubranego w starą brązową szatę, schodzone skórzane sandały, noszącego antyczny naszyjnik z niedobranymi zębami smoka morskiego. Miał wąskie wargi, oczy świecące gorączkowym blaskiem; słońce pustyni spaliło mu skórę niemal na czarno. Patrzył na Dekkereta tak, jakby już oceniał zawartość jego mieszka.

- Jeśli mam zabrać cię ze sobą - powiedział głosem całkowicie bezdźwięcznym, a jednak silnym - musisz najpierw podpisać dokument, na wypadek twojej śmierci zwalniający mnie z odpowiedzialności wobec twoich spadkobierców.

- Nie mam spadkobierców - odpowiedział Dekkeret.

- A więc krewnych. Nie pozwolę, by ojciec czy twoja starsza siostra ciągnęli mnie po sądach Pontifexa dlatego, że zginąłeś na pustyni.

- A czyś ty kiedy zginął na pustyni?

Barjazid sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Co za absurdalne pytanie!

- A przecież podróżujesz po niej - stwierdził Dekkeret - i powracasz żywy. No cóż, jeśli znasz się na swej pracy, i tym razem powrócimy żywi - obaj. Będę robił to samo co ty, szedł tam, gdzie ty pójdiesz. Jeśli ja zginę, ty zginiesz także, i moja rodzina nie będzie miała kogo skarżyć.

- Potrafię stawić czoło potędze złodziei snów. Wiem o tym z aż nazbyt bogatego doświadczenia. Skąd ty wiesz, że zniesiesz to równie dobrze?

Dekkeret dolał sobie przygotowanej przez Barjazida herbaty, mocnego napoju parzonego z jakiejś rosnącej na piaskach rośliny. Obaj mężczyźni siedzieli na wyprawionych

skórach hagiusa w brudnym pokoiku na zapleczu sklepu należącego do syna brata Barjazida; najwyraźniej ich rodzina stanowiła potężny klan. Wypił gorzki, mocny napój, zastanawiając się nad odpowiedzią, i po chwili zapytał:

- Kim są ci złodzieje snów?

- Nic o nich nie wiem.

- Może to Zmiennokształtni? Odpowiedzią było tylko wzruszenie ramion.

- Nie uznali za właściwe zwierzyć się mi ze swego pochodzenia. Zmiennokształtni, Ghayrogowie, Vroonowie, zwykli ludzie... skąd właściwie mam wiedzieć? W snach wszystkie głosy brzmią podobnie. Z pewnością na pustyni żyją plemiona Zmiennokształtnych i często są to złe stwory, skłonne do bandytyzmu. Może umieją wnikać w cudze umysły, tak jak umieją zmieniać kształt własnych ciał - a może nie?

-Jeśli Zmiennokształtni odcięli dwie z trzech dróg wychodzących z miasta, to wojska Koronala mają tu sporo do zrobienia.

- To nie moja sprawa.

- Zmiennokształtni zostali pobici. Nie powinno się pozwalać, by zakłócali przebieg codziennego życia na Majipoorze.

- To ty zasugerowałeś, że złodziejami snów są Zmiennokształtni. Ja nic nie wiem - stwierdził ostro Barjazid. - A poza tym nie jest najważniejsze, kim są złodzieje snów. Najważniejsze jest to, że przez nich droga za przełęczą Khulag staje się niebezpieczna.

- Dlaczego więc tam podróżujesz?

- Z zasady nie odpowiadam na pytania, które zaczynają się od słowa "dlaczego".

Podróżuję, bo mani swoje powody. W odróżnieniu od innych wracam w dobrym zdrowiu.

- Czy wszyscy, prócz ciebie, którzy przeszli przełęcz zginęli?

- Nie sądzę. Nie mam pojęcia. Z pewnością ludzie ginęli, nim zaczęto mówić o

złodziejach snów. Nawet w najspokojniejszych czasach sama pustynia jest groźna. - Barjazid zamieszał herbatę. Sprawiał wrażenie, jakby nagle zaczął się czymś niepokoić. - Jeśli ze mną pojedziesz, będę cię chronił najlepiej, jak potrafię. Ale nie mogę zagwarantować ci bezpieczeństwa. I dlatego muszę otrzymać prawne zwolnienie od odpowiedzialności za twoją ewentualną śmierć.

- Podpisanie takiego dokumentu równałoby się podpisaniu wyroku śmierci -

powiedział Dekkeret. - Co mogłoby cię powstrzymać od zamordowania mnie piętnaście kilometrów za przełęczą, obrabowania moich zwłok i złożenia winy na złodziei snów?

- Na Panią, nie jestem mordercą! Nie jestem nawet złodziejem!

- Lecz dać ci dokument stwierdzający, że jeśli zginę w podróży jesteś wolny od odpowiedzialności - czy nie byłoby to pokusą trudną do zniesienia nawet dla uczciwego człowieka?

Oczy Barjazida rozbłysły powstrzymywaną furią. Machnął ręką, jakby uważał rozmowę za zakończoną.

- Trudna do zniesienia jest tylko twoja bezczelność - powiedział wstając i odtrącając kubek. - Znajdź sobie innego przewodnika, jeśli tak się mnie boisz.

Dekkeret, nadal siedząc, powiedział cicho:

- Żałuję tego, co powiedziałem. Proszę tylko, byś zrozumiał moją sytuację: jestem obcym, niedoświadczonym młodym człowiekiem w dalekim, niebezpiecznym kraju, człowiekiem zmuszonym szukać pomocy ludzi, których nie zna, celem dotarcia do miejsca, gdzie dzieją się rzeczy wręcz nieprawdopodobne. Muszę być ostrożny.

- Więc bądź jeszcze ostrożniejszy. Odpuść do Stoien najbliższym statkiem i wróć do spokojnego życia na Zamkowej Górze.

-Jeszcze raz proszę, byś został moim przewodnikiem. Za dobrą płacę... i bez

zwolnienia od odpowiedzialności za moje życie. Ile żądasz?

- Trzydzieści rojali - powiedział Barjazid.

Dekkeret stęknął, jakby otrzymał cios w dołek. Mniej kosztowała go podróż z

Piliploku do Thologhai. Trzydzieści rojali było rocznym zarobkiem kogoś takiego jak

Barjazid; żeby zdobyć tę sumę on sam musiałby podpisać drogi list kredytowy. Miał ochotę zareagować na to z królewską pogardą i zaoferować dziesięć rojali, ale zdał sobie sprawę, że sam podkopał swą pozycję w negocjacjach, protestując przeciw podpisaniu zobowiązania.

Gdyby teraz zaczął się kłócić także o cenę, jakiegokolwiek układy natychmiast by się skończyły.

Powiedział w końcu:

- Zgoda. Ale żadnych zobowiązań. Barjazid przyjrzał mu się kwaśno.

- Jak sobie życzysz. Żadnych zobowiązań.

- Ile i kiedy mam zapłacić?

- Połowę teraz, połowę rano w dzień wyjazdu.

- Dziesięć teraz, dziesięć w dzień wyjazdu i dziesięć w dniu powrotu do Thologhai.

- Jedna trzecia wynagrodzenia zależy od tego, czy przeżyjesz podróż. Proszę pamiętać, że nie mogę tego zagwarantować.

- Być może łatwiej będzie mi przeżyć, jeśli od tego zależeć będzie twoje wynagrodzenie.

- Po dworakach Koronala każdy spodziewa się arogancji i każdy ją ignoruje jako zwykłą manierę... do pewnych granic. Moim zdaniem granice te zostały przekroczone. -

Barjazid znów machnął ręką, przerywając rozmowę. - Nie ma między nami wystarczającego zaufania. Wspólna podróż nie wydaje mi się najlepszym pomysłem.

- Nie chciałem okazać braku szacunku.

- Zostawiasz mnie na łasce swych bliskich na wypadek własnej śmierci, najwyraźniej

traktujesz mnie jako mordercę - no, w najlepszym wypadku bandytę - i uważasz za konieczne w taki sposób zorganizować wypłatę mojego wynagrodzenia, by zmniejszyć ryzyko utraty życia z mojej ręki. - Barjazid niemal wypluł z siebie te słowa. - Odwrotną stroną arogancji jest grzeszność, mój jaśniepanie, a Skandar polujący na smoki okazałby mi więcej grzeszności od ciebie. To nie ja cię szukałem, pamiętaj. Nie mam zamiaru poniżyć się w twojej służbie. A teraz, jeśli pozwolisz...

- Proszę zaczekać.

- Mam dziś jeszcze inne sprawy do załatwienia.

- Piętnaście rojali teraz, piętnaście w dzień wyjazdu, tak jak zaproponowałeś, zgoda?

- Mimo że myślisz, iż zamorduję cię na pustyni?

- Stałem się zbyt podejrzliwy, ponieważ nie chciałem okazać się zbyt naiwny -

powiedział Dekkeret. - Było nieuprzejmością z mojej strony powiedzieć to, co powiedziałem.

Proszę, byś został moim przewodnikiem na uzgodnionych warunkach.

Barjazid milczał.

Dekkeret wyjął z torby trzy pięciorojalowe monety. Dwie z nich, stare, przedstawiały

Pontifexa Prankipina i Lorda Confalume'a. Trzecia była nowa, błyszcząca, z portretem

Confalume'a jako Pontifexa i Koronala Lorda Prestimiona na rewersie. Wyciągnął dłoń w

stronę Barjazida, a ten wybrał nową monetę i przyjrzał się jej z ciekawością.

- Takiej nigdy jeszcze nie widziałem - powiedział. - Może powinniśmy poprosić syna

mojego brata o opinię dotyczącą jej autentyczności?

Tego było już Dekkeretowi za wiele.

- Czy bierzesz mnie za fałszerza pieniędzy? - wrzasnął zrywając się na równe nogi.

Pochylił się nad niewysokim Barjazidem, niemal go już uderzył.

Lecz wyczuł, że przeciwnik bynajmniej się go nie lęka, że jego gniew nawet go nie

poruszył. W rzeczywistości nawet się uśmiechnął i wyjął pozostałe dwie monety z drżącej dłoni Dekkereta.

- A więc sam też nie lubisz bezpodstawnych oskarżeń, prawda, dostojny panie?-

Barjazid roześmiał się głośno. - Zawrzyjmy zatem układ. Ty nie będziesz się spodziewał, że zabiję cię natychmiast po przekroczeniu przełęczy Khulag, a ja nie wyślę monety do lichwiarzy, by ocenili jej autentyczność. Dobrze? Zgoda?

Dekkeret poczuł zmęczenie. Przytaknął skinieniem głowy.

- Niemniej ta podróż rzeczywiście jest niebezpieczna - powiedział Barjazid - i na twoim miejscu nie żywiłbym wielkich nadziei na szczęśliwy powrót. Wiele zależy od twojej własnej siły w chwili próby.

- Niech i tak będzie. Kiedy wyruszamy?

- W Dzień Piąty, o zachodzie słońca. Miasto opuścimy bramą Pinitor. Wiesz, gdzie to jest?

- Znajdę ją - powiedział Dekkeret. - A więc do Dnia Piątego. -I wyciągnął dłoń do małego człowieczka.

Do wyjazdu pozostały jeszcze trzy dni, jednak Dekkeret nie martwił się opóźnieniem, bowiem dawało mu ono możliwość spędzenia trzech nocy z Golator Lasgią. Na to przynajmniej liczył, lecz w rzeczywistości stało się inaczej. Wieczorem nie zastał jej w biurze na nabrzeżu, urzędnicy nie chcieli nawet przyjąć wiadomości dla niej. Niepokieszony, spacerował po nieprzyjaznym mu mieście długo po zachodzie słońca; w końcu zjadł prostą, niezbyt smaczną kolację w swym hotelu, cały czas spodziewając się, że jakimś cudem Golator Lasgia pojawi się i zabierze go gdzieś ze sobą. Nie pojawiła się jednak. Spał źle, płytko, dręczony myślami ojej gładkim ciele, małych, twardych piersiach, głodnych, chętnych ustach. Nad ranem nawiedził go sen, niewyraźny i niezrozumiały, w którym ona, wraz z Barjazidem i jakimiś Hjortami i Vroonami, tańczyła pomiędzy kamiennymi ruinami wśród piasków, a potem zasnął już głęboko i obudził dopiero w południe Dnia Morza. Miasto wydawało się całkowicie puste, lecz kiedy wieczorem nieco się ochłodziło, znów poszedł do biur Pontyfikatu i znów jej nie spotkał, i raz jeszcze sam spędził wieczór, równie bezsensowny jak poprzedni. Idąc do łóżka modlił się do Pani Wyspy prosząc, by przysłała mu Golator Lasgię. Lecz zadaniem Pani nie jest spełnianie takich zachcianek, więc tej nocy miał tylko dziwny, choć wesoły sen, być może Jej dar, a być może nie; w tym śnie mieszkał w chacie z gałęzi na wybrzeżu Wielkiego Morza niedaleko Til-omon, jadł słodkie fioletowe owoce, których sok ściekał mu po twarzy i szyi. Kiedy się obudził, zastał w hotelu Hjorta, urzędnika, który wezwał go do swej zwierzchniczki.

Zjedli późną kolację, pojechali do jej domu i kochali się gorączkowo, z pasją, przez całą noc, która całkowicie zatarła wrażenia tamtej pierwszej. Dekkeret nie zapytał, dlaczego unikała go wczoraj i przedwczoraj, lecz gdy jedli śniadanie z ostro przyprawionych gi-hornów, popijając je złotym winem, oboje świeży i rześcy pomimo nieprzespanej nocy,



Golator Lasgia powiedziała:

- Szkoda, że nie miałam dla ciebie więcej czasu, ale przynajmniej spędziliśmy razem twoją ostatnią noc w mieście. Udasz się teraz na Pustynię Skradzionych Snów z moim smakiem na ustach. Czy sprawiłam, że zapomniałeś wszystkie swe poprzednie kobiety?

- Przecież znasz odpowiedź.

- Dobrze. Doskonale. Być może nigdy już nie dotkniesz kobiety, ale ta ostatnia była jednocześnie tą najlepszą. Niewielu ma aż takie szczęście.

- Więc jesteś taka pewna, że zginę na pustyni?

- Niewielu z niej powraca. Szansę, że kiedyś jeszcze cię zobaczę, są nikłe.

Zadrżał lekko - nie, nie ze strachu, lecz dlatego, iż odkrył, jakimi kierowała się motywami. Przewrotność kazała jej trzymać się od niego z daleka przez dwie noce - po to, by trzecia była tym bardziej gorączkowa, tym intensywniejsza. Golator Lasgia głęboko wierzyła, że on wkrótce zginie; chciała więc sprawić sobie przyjemność i być jego ostatnią kobietą. To go zmroziło. Jeśli już ma umrzeć, to wolałby spędzić z nią także te dwie samotne noce, ale jej subtelny umysł najwyraźniej nie dopuszczał tak przyziemnych myśli. Pożegnał się z nią krótko, nie wiedząc, czy jeszcze się spotkają, nie wiedząc nawet, czy pragnie takiego spotkania - mimo jej piękności i wszystkich miłosnych talentów. Była zdecydowanie zbyt tajemnicza, a jej zachcianki wydawały się zbyt niebezpieczne.

Niedługo przed zachodem słońca pojawił się przy bramie Pinitor, na południowym krańcu miasta. Nie zaskoczyłoby go, gdyby Barjazid zerwał umowę, ale nie, ślizgacz czekał tuż za piaskowym łukiem starej bramy, a niewysoki przewodnik stał oparty niedbale o jego burtę. Było z nim trzech towarzyszy: Vroon, Skandar i smukły chłopiec o poważnych oczach, niewątpliwie jego syn.

Barjazid skinął głową. Wielki czteroręczny Skandar wziął z rąk Dekkereta dwie

solidne torby i niedbale wrzucił je do bagażnika.

- Ona nazywa się Khaymak Grań - przedstawił przewodnik. - Nie może mówić, ale nie jest bynajmniej głupia. Służy mi od wielu lat, od czasu, gdy znalazłem ją na pustyni niemal martwą, z odciętym językiem. Vroon to Serifain Reinaulion; często za wiele gada, ale zna pustynne ścieżki lepiej niż ktokolwiek w mieście. - Dekkeret i małe stworzenie z kończynami do złudzenia przypominającymi macki wymienili krótkie pozdrowienia. - Pojedzie także z nami mój syn, Dinitak - dodał Barjazid. - Dobrze wypocząłeś, kandydacie?

- Chyba tak. - Po bezsennej nocy Dekkeret przespał niemal cały dzień.

- Będziemy podróżowali nocą i spali w ciągu dnia. Jak rozumiem, mam przeprowadzić cię przez przełęcz Khulag i przez pustynię znaną jako Pustynia Skradzionych Snów aż na pastwiska wokół Ghyzyn Kor, gdzie masz we własnych celach spotkać się z pasterzami, a później z powrotem do Thologhai. Czy tak?

- Właśnie tak.

Barjazid stał nieruchomo przy ślizgaczu. Dekkeret zmarszczył brwi i nagle zrozumiał.

Wyjął trzy kolejne pięciorożalowe monety, dwie starsze, z Pontifexem Prankipinem i jedną lśniącą, nową, z Lordem Prestimionem. Wręczył je Barjazidowi, który wyłuskał nową monetę i rzucił ją synowi. Chłopiec przyglądał się jej podejrzliwie.

- Nowy Koronał - powiedział mu ojciec. - Zapamiętaj jego twarz. Nieraz ją jeszcze zobaczymy.

- Będzie wspaniałym władcą - oznajmił Dekkeret. - Przewyższy wielkością nawet Lorda Confalume'a. Na pomocnych kontynentach już żyje się lepiej, a przecież i przedtem żyło się tam doskonale. Lord Prestimion to władca energiczny i zdecydowany; ma bardzo ambitne plany.

Barjazid wzruszył ramionami.

- To, co się dzieje na kontynentach północnych, niewielkie ma tu znaczenie. Jest jakoś tak, że rozwój Alhanroelu i Zimroelu nic nie znaczy na Suvraelu. Ale radujemy się, że Bogini pobłogosławiła nas kolejnym wspaniałym Koronalem. Byle tylko przypominał sobie od czasu do czasu, że na Majipoorze są trzy lądy i że tu też mieszkają obywatele jego królestwa. No, jedziemy; już najwyższy czas.

Przejazd przez bramę Pinitor oznaczał natychmiastowe przekroczenie granicy między miastem i pustynią. Po jednej stronie stały niskie wille, ogrodzone kamiennymi murami i pozbawione okien, po drugiej zaś rozciągała się całkowicie martwa pustynia, której monotonii nie przerywało nic oprócz drogi - szerokiej, brukowanej, wnoszącej się łagodnie ku szczytom okalających Thologhai wzgórz.

Panował tu nieznośny wręcz upał. W nocy na pustyni było nieco chłodniej niż w dzień, ale nadal gorąco. I choć nie wypalało jej bezlitosne oko słońca, pomarańczowe piaski, wypromieniowujące ku niebu nagromadzone w ciągu dnia ciepło, szeleściły, drżały i grzały niczym rozpalony piec. Wiał silny wiatr - z nadejściem nocy, jak zauważył Dekkeret, zmieniał on kierunek, wiejąc od strony lądu ku morzu, ale nie robiło to żadnej różnicy. Niezależnie od kierunku był gorący, suchy, bezlitosny.

W czystym, pozbawionym odrobiny wilgoci powietrzu księżycy i gwiazdy wydawały się niezwykle jaskrawe. Ziemia świeciła także; nieregularne plamy na zboczach pagórków po obu stronach drogi fosforyzowały niesamowitym jaskrawozielonym światłem, co bardzo zaniepokoiło Dekkereta.

- To niektóre rośliny - wyjaśnił Vroon. - W ciemności świecą wewnętrznym blaskiem.

Ich dotknięcie jest zawsze bolesne, a w wielu przypadkach śmiertelne.

- Jak je rozpoznać za dnia?

- Wyglądają jak kawałki starego i słabego sznurka, wyrastającego z wybrzuszeń na skale. Nie każda z tak wyglądających roślin jest niebezpieczna, ale lepiej unikać wszystkich.

- A także innych - wtrącił Barjazid. - Rośliny pustyni umieją się bronić na wiele, czasem bardzo zaskakujących, sposobów. Co roku nasz ogród ma dla nas jakieś nowe paskudne niespodzianki.

Dekkeret skinął głową. Nie planował przechadzek po pustyni, lecz jeśli wybierze się na przechadzkę, będzie pamiętał, by niczego nie dotykać.

Ślizgacz był stary i powolny, a droga wznosiła się ostro w górę. Antyczny pojazd niespiesznie przebijał się przez upalną noc. Pasażerowie niemal nie rozmawiali. Prowadziła Skandarka, obok której siedział Vroon, rzucając od czasu do czasu kilka słów dotyczących drogi. Na tylnym siedzeniu obaj Barjazidowie milczeli, toteż Dekkeret miał okazję, by dokładnie obejrzeć rozciągający się wokół piekielny krajobraz. Zmasakrowana kanonadą słonecznych promieni, popękana ziemia wydawała się całkowicie jałowa. Wilgoć, którą nasiąkła podczas krótkiej zimy -jedynej, jaką znał ten kontynent - dawno już została z niej wyszana; pozostały tylko płytkie, nieregularne szczeliny. Smagające piaskiem wiatry, wiejące tu nieustannie, pozostawiły na niej bruzdy, a rośliny, niskie i rzadko rosnące, choć należały do wielu różnych gatunków, wydawały się do siebie bardzo podobne: skręcone niczym w męce, suche i węzłaste. Dekkeret powoli przyzwyczajał się do upału, upał wydawał się oczywisty, przylegał do ciała jak druga skóra i po pewnym czasie zaczynał sprawiać wrażenie czegoś najzupełniej normalnego, lecz dusza otępiała w nim wobec śmiertelnej brzydoty świata, który miał przed oczami, obojętności krajobrazu, szpiczastych sylwetek wzgórz i ostrych kolców roślin. Taki nienawistny pejzaż był w jego życiu czymś nowym, niesłychanie trudnym do zaakceptowania. Wszędzie, gdzie do tej pory podróżował, na całym Majipoorze, widział tylko piękno. Pomyślał o swym rodzinnym mieście, o Normorku, leżącym u podnóża Góry, o jego szerokich, pełnych łagodnych zakrętów bulwarach, cudownych kamiennych murach i ciepłych, padających o północy deszczach. Przypomniawszy sobie położone nieco wyżej gigantyczne Stee, gdzie kiedyś o świcie wędrował wśród drzew dorastających mu zaledwie do kostek i mających liście w odcieniu zieleni tak pięknym, że aż porażającym. Pomyślał o Wysokim Morpin, prawdziwym mieście cudów, poświęconym wyłącznie rozrywce, leżącym

niemal w cieniu ogromnego Zamku Koronala, wieńczącego Górę. O dzikich leśnych ostępach Khyntoru, olśniewających białych wieżach Ni-moya, pachnących słodko łąkach doliny Glayge... Jaki piękny jest ten nasz świat, pomyślał Dekkeret. Ileż na nim cudów, a w jakimż strasznym miejscu znalazłem się teraz!

Powiedział sobie, że musi zmienić system wartości i spróbować odkryć piękno pustyni, inaczej pustynia sparaliżuje jego ducha. Jakie piękno kryje się w ziemi pozbawionej kropli wilgoci, jakie może być piękno w groźnych, kanciastych kształtach, w brzdach wyrzeźbionych w skale przez piasek, jakie jest piękno w fosforyzujących zielonym blaskiem nędznych roślinach? Niech piękne będą kolce, niech piękna będzie pustka, niech piękna będzie odpychająca surowość. Bowiem czym jest piękno, pomyślał Dekkeret, jeśli nie wyuczoną reakcją na prawdziwy wygląd rzeczy? Mówią, że to jest piękne, co się komu podoba, więc lepiej zmień diametralnie swoje gusta, Dekkeret, albo brzydota pustyni cię zabije.

Spróbował więc zmusić się do jej pokochania. Wyrzucił z umysłu słowa takie jak: “odpychająca”, “brzydka”, “obrzydliwa”, jakby wrywał kły dzikiemu zwierzęciu, i rozkazał sam sobie zobaczyć ten świat w łagodnym, przyjaznym świede. Zmusił się, by podziwiać pocięte poziomymi liniami, rozłupane skały i rozciągające się między nimi wielkie, suche plamy piasku. Odkrywał urodę skręconych, wyschniętych krzaczków. Znajdował cechy godne podziwu w małych, nocnych zwierzątkach, od czasu do czasu przebiegających im drogę. Noc już się kończyła, gdy wreszcie przestał czuć nienawiść do pustyni; najpierw nabrał do niej stosunku całkowicie neutralnego, a na koniec wreszcie zorientował się, że zaczyna, dostrzegać jej urodę. Na godzinę przed świtem w ogóle przestał zaprzętać sobie tym głowę. Ranek nadszedł nagle - linia pomarańczowego ognia między wzgórzami zmieniła się w słońce, mniej żółte, a bardziej zielono-brązowe niż na północy, które unosiło się w niebo

jak balon. W chwili owego apokaliptycznego wschodu Dekkeret stwierdził ze zdumieniem, że myśli o Golator Lasgii, że zastanawia się, czy ona też obserwuje wschód słońca. Sprawilo mu to ból. Przez chwilę napawał się tym bólem, a potem odepchnął go od siebie. Spytał

Barjazida:

- Żadnych duchów? Ta pustynia ma być przecież nawiedzona!

- Prawdziwe kłopoty zaczynają się za przełęczą - odpowiedział przewodnik.

Wczesny ranek spędzili w drodze. Dinitak podał proste śniadanie: czerstwy chleb, kwaśne wino. Dekkeret spojrzął za siebie i zobaczył wspaniały widok: ziemia opadała stromo w dół jak wielki czerwony fartuch, rzucony niedbale, zmięty i pomarszczony; na jego granicy leżało miasto Thologhai, zaledwie widoczne, przycupnięte w dole, a za nim, na północy, rozciągał się aż po horyzont ogromny ocean. Na niebie nie było ani jednej chmurki; jego błękit, jeszcze bardziej intensywny w porównaniu z bezbarwną ziemią, sprawiał, że wyglądało to niemal jak drugie, przykrywające ich morze. Temperatura zaczęła się podnosić.

Wkrótce upał stał się nie do zniesienia, lecz jechali nadal, powoli wspinając się pod górę.

Dekkeret drzemał i budził się, ale w zatłoczonym pojeździe głębszy sen był niemożliwy.

Czyżby po całej nocy mieli jeszcze jechać cały dzień? Nie pytał o nic. Lecz gdy zmęczenie i niewygodna stały się już niemal nie do zniesienia, Khaymak Grań nagle skrzyła w lewo, w boczną, krótką dróżkę i zatrzymała ślizgacz.

- Tu będzie nasz pierwszy obóz - oznajmił Barjazid.

Przy końcu dróżki wznosiła się w niebo skała, osłaniając ich od palącego słońca.

Przed nią, w cieniu, rozciągała się piaszczysta niecka, najwyraźniej wielokrotnie używana przez podróżników. U podstawy skały Dekkeret ujrzał ciemną plamę, gdzie z tajemniczych przyczyn woda wydobywała się spod piasku; źródło nie było przesadnie obfite, ale z pewnością stanowiło skarb dla wysuszonych słońcem wędrowców. Idealne miejsce na postój.

Najwyraźniej podróż zaplanowano tak, by po pierwszym dniu zatrzymać się tu przed porą największego upału.

Skandarka i młody Barjazid wyciągnęli skądś maty i rozłożyli je na piasku. Podano drugie śniadanie: kawałki suszonego mięsa, konserwowane owoce, ciepłą skandarską zupę.

Następnie, bez słowa, obaj Barjazidowie, Skandarka i Vroon wyciągnęli się na matach i natychmiast zapadli w sen. Dekkeret został sam. Przez chwilę dłubał w zębach, pomiędzy którymi utkwiał kawałek mięsa. Teraz, kiedy mógł już zasnąć, odechciało mu się spać.

Podszedł do granicy obozu i popatrzył na wypaloną słońcem pustkę tuż za linią cienia. Nie dostrzegł żadnego żywego stworzenia; nędzne rośliny sprawiały wrażenie, jakby chciały się wcisnąć pod ziemię. Na południu w niebo wznosiły się góry - przełęcz musiała być już blisko.

A za nią? Co go tam czeka?

Próbował zasnąć. Przed oczami, niechciane, pojawiły się obrazy. Obok maty stanęła

Golator Lasgia - tak blisko, że na pozór wystarczyło tylko sięgnąć ręką, by przyciągnąć ją i przytulić, lecz ona tylko odsunęła się i znikła w drżącym z gorąca powietrzu. Po raz tysięczny zobaczył samego siebie na bagnach Khyntoru; wytropił zwierzynę, wycelował i nagle zadrzał.

Odpędził od siebie ten obraz; teraz niespodzianie pełził wzdłuż wielkiego muru w Normorku, oddychając słodkim, chłodnym powietrzem. Lecz nie były to sny, tylko pojawiające się i umykające, nie powiązane ze sobą obrazy, okruchy wspomnień. Sen nie chciał nadejść, a kiedy wreszcie nadszedł, był krótki, głęboki, bez marzeń.

Obudził go dziwny dźwięk: szum, daleki śpiew, niewyraźna melodia grana na jakichś instrumentach; dobiegające z oddali, lecz mimo to łatwe do rozpoznania odgłosy mijającej ich wielkiej karawany. Wydało mu się, że słyszy dzwonki i huczenie bębnów. Przez jakiś czas leżał nieruchomo, słuchając, starając się zrozumieć, a potem usiadł, zamrugał i rozejrzał się wokół siebie. Nadszedł zmierzch. Przespał najgorętszą część dnia, cień padał teraz na nich z



przeciwnej strony. Jego czterej towarzysze wstali już i pakowali maty. Dekkeret nadstawił ucha, szukając źródła dźwięków, lecz miał wrażenie, że dobiegają one zewsząd albo znikąd. Przypomniawszy sobie usłyszaną od Golator Lasgii opowieść o duchach pustyni śpiewających w dzień i wodzących na manowce podróżnych, których sprowadzają z właściwej ścieżki hałasami i muzyką.

- Co to za dźwięki? - spytał Barjazida.

- Dźwięki?

- Nie słyszysz ich? Głosy, dzwonki, tupot; odgłosy wielkiej karawany!

Przewodnik wydawał się rozbawiony.

- Masz na myśli głosy pustyni?

- To duchy?

- Może i duchy. A może podróżnicy schodzący z gór, dzwoniący łańcuchami i bijący w gongi. Co wydaje ci się bardziej prawdopodobne?

-Jedno i drugie jest nieprawdopodobne - stwierdził ponuro Dekkeret. - Na świecie, w którym żyję, nie ma duchów. Ale na tej drodze nie ma podróżnych, jeśli nie liczyć nas.

-Jesteś pewien, kandydacie?

- Że nie ma podróżnych, czy że nie ma duchów? -Jednego i drugiego.

Dinitak Barjazid, stojący z boku i do tej pory przysłuchujący się tylko wymianie zdań, podszedł i spytał Dekkereta:

- Boisz się?

- Nieznane niepokoi zawsze, lecz w tym momencie jestem raczej zaciekawiony niż przestraszony.

- A więc zaspokoję twą ciekawość. Gdy pod wieczór temperatura zaczyna opadać, skały i piasek oddają ciepło, a robiąc się coraz chłodniejsze kurczą się i wydają te dźwięki. To

właśnie dzwony i bębny, które słyszysz. Tu nie ma duchów.

Jego ojciec ostro machnął ręką. Chłopiec oddalił się spokojnie.

- Nie chciałeś, żeby mi to powiedział, prawda? - spytał Dekkeret. - Wolałbyś, abym myślał, że zewsząd otaczają nas upiory?

Barjazid odparł z uśmiechem:

- Mnie nie robi to żadnej różnicy. Wierz sobie w to, co uważasz za bardziej zabawne.

Po drugiej stronie przełęczy spotkasz duchów aż nadto, zapewniam cię.

Przez wieczór w Dniu Gwiazd wspinali się pracownicy krętą drogą na szczyt góry i przed północą dotarli na Przełęcz Khulag. Powietrze było tu chłodniejsze, znajdowali się przecież wysoko nad poziomem morza; chłodna bryza przynosiła wytchnienie od dusznego upału. Przełęcz okazała się szeroka, a także zdumiewająco głęboka; dopiero rankiem w Dniu Słońca osiągnęli jej kraniec i wjechali na wielką pustynię, zajmującą środek kontynentu.

Dekkeret, zdumiony, przyglądał się światu przed nimi. W jasnym świetle księżyców rozpościerał się widok takiej pustki i monotonii, że przy nim to, co widział po tamtej stronie przełęczy, wydawało się wręcz ogrodem. Tamta pustynia była skalista, ta zaś - piaszczysta, prawdziwy ocean wydm, między którymi z rzadka widniały obszary twardej, kamienistej ziemi. Prawie nie było tu roślin; kompletnie nic nie rosło na wydmach i jakieś żalosne chwasty na kamieniach. I ten upał! Z przykrywającej ich misy niebios padały na ziemię tak gorące promienie słońca, że wprawiało to w osłupienie; powietrze wydawało się całkowicie pozbawione tlenu, wypalone z jakiegokolwiek życia. Nie potrafił uwierzyć, że gdzieś wśród tego piekła znajdują się pastwiska. Próbował przypomnieć sobie mapę, którą widział w biurze Golator Lasgii: pastwiska otaczały pasem pustynię, lecz poniżej przełęczy Khulag pustynia sięgała dalej niż gdzie indziej. Gdzieś po przeciwnej stronie tego jałowego pustkowia rosła trawa i pasło się bydło - taką przynajmniej miał nadzieję i o to się modlił.

Wczesnym porankiem zjechali z gór na rozciągającą się przed nimi równinę. W świetle poranka Dekkeret zauważył w dole coś dziwnego: owalną plamę czerni, wyraźnie widoczną na tle jaśniejszej pustyni. Gdy podjechali bliżej, zorientował się, że jest to rodzaj oazy, porośniętej delikatnymi drzewami o długich gałęziach z maleńkimi zielonofioletowymi liśćmi. To miejsce wybrali na drugi obóz. Ślady na piasku wskazywały, że zatrzymywali się tu i inni; pod drzewami leżały kupki śmieci, a między drzewami zbudowano proste chaty z

kamieni, przykryte starymi suchymi gałęziami. Nieco z tyłu płynął kręty, mętny strumyk, kończący bieg w zarośniętym rzęsą stawku, a dalej Dekkeret dostrzegł inne jezioro, najprawdopodobniej zasilane przez podziemny strumień; woda nadawała się tam do picia. Pomiędzy jednym a drugim jeziorkiem stała dziwna konstrukcja: siedem okrągłych, kamiennych kolumn sięgających mu do piersi, połączonych podwójnymi łukami. Przyjrzał się im bliżej.

- Dzieło Zmiennokształtnych - powiedział Barjazid.

- Ołtarz Metamorfów?

- Całkiem prawdopodobne. Wiemy, że często odwiedzają tę oazę. Czasami coś po sobie zostawiają: pałeczki modlitewne, kawałki piór, małe plecione kubeczki.

Dekkeret niepewnie przyglądał się kępie drzew, jakby tylko czekał, kiedy zmienią kształt i staną się bandą groźnych krajowców. Do tej pory miał niewielki kontakt z rdzennymi mieszkańcami Majipooru, którzy, pokonani, rozproszyli się po lasach. Słyszał tylko plotki, wymysły zrodzone ze strachu, niewiedzy i poczucia winy. Zmienno-kształtni mieszkali niegdyś w wielkich miastach, tyle wiedziano na pewno. Na Alhanroelu odkryto ich ruiny, a w szkole Dekkeret oglądał zdjęcia największego z nich - wielkiego, kamiennego Velalisier, leżącego w pobliżu Labiryntu Pontifexa; miasta te jednak wyludniły się tysiące lat temu, a wraz z nadejściem ludzi i napływem innych ras Piurivarowie - jak Metamorfowie sami się nazywali - zostali wyparci na dzikie obszary planety, głównie do wielkiego leśnego rezerwatu na Zimroelu, gdzieś na południowy wschód od Khyntoru. On sam widział prawdziwych Metamorfów zaledwie dwa czy trzy razy w życiu - delikatne postacie o zielonkawej skórze i dziwnych, płaskich, pozbawionych indywidualnych cech twarzach, lecz oczywiście Metamorfowie z niezwykłą łatwością zmieniali postać i równie dobrze Zmiennokształtnym mógł być mały Vroon albo i sam Barjazid.

-Jak udaje się przeżyć - im lub komukolwiek innemu - na tej pustyni? - spytał

Dekkeret.

- Są mądrzy. Przystosowują się.

- Ilu ich tu żyje?

- A któż to wie? Spotkałem kilka grup, w sumie może pięćdziesięciu, sześćdziesięciu. Prawdopodobnie są i inni. A może byli to zawsze ci sami Metamorfowie, tylko inaczej wyglądający?

- Dziwne istoty. - Dekkeret machinalnie położył dłoń na gładkim kamieniu znajdującym się na szczycie jednej z kolumn. Z błyskawiczną szybkością Barjazid chwycił jego dłoń i szarpnął do tyłu.

-Nie dotykaj!

- Dlaczego? - zdumiał się Dekkeret.

- To święte kamienie.

- Masz je za świętość?

- Są świętością dla tych, którzy z nich to zbudowali - stwierdził surowo Barjazid. -

Szanujemy je. Szanujemy magię, która, być może, jest w nich zawarta. Na tej ziemi nikt bezmyślnie nie ściąga na siebie zemsty sąsiada.

Dekkeret, zdumiony, spojrzał na małego człowieczka, na kolumny, na stawek i

jeziorko, na rosnące wokół delikatne drzewa o ostrych liściach. Zadrżał mimo upału.

Popatrzył poza granice maleńkiej oazy, na otaczające ją zewsząd łagodne wydmy, na piaszczystą wstążkę drogi, znikającej gdzieś na południu, w nieznannej krainie. Słońce

wspinało się szybko po niebie, jego gorące promienie chłostały ziemię ł tych kilku

wędrowców, którzy ośmielili się tu zapuścić. Obejrzał się przez ramię na góry, które właśnie przebył; wielki, groźny mur odgradzający go od tego, co tu uchodziło za cywilizację. Czuł się

przerażająco samotny, słaby, zagubiony.

Pojawił się Dinitak Barjazid, uginając się pod ciężarem pojemników na wodę, które rzucił u stóp Dekkereta. Dekkeret pomógł mu napełnić je w czystym jeziorku - zabrało im to zdumiewająco wiele czasu. Spróbował wody - była chłodna, czysta, z dziwnym metalicznym posmakiem, pochodzącym, jak mu wyjaśnił chłopiec, z rozpuszczonych minerałów.

Kilkanaście razy przemierzali drogę między ślizgaczem i jeziorkiem, nim wszystkie pojemniki znalazły się na miejscu. Przez kilka dni - powiedział mu Dinitak - nie natrafią na inne źródło czystej wody.

Zjedli drugie śniadanie złożone ze skromnych zapasów, które zabrali ze sobą i gdy słońce dochodziło do południowego szczytu upału, ułożyli się do snu na matach. Trzeci już raz Dekkeret miał spać w dzień; powoli zaczynał się do tego przyzwyczajać. Zamknął oczy, powierzył duszę umiłowanej Pani Wyspy, świętej matce Lorda Prestimiona, i niemal natychmiast głęboko zasnął.

Tym razem pojawiły się sny.

Właściwie nie śnił od bardzo długiego czasu, niemal już nie pamiętał, jaki był jego ostatni sen. Dla samego Dekkereta, podobnie jak dla innych mieszkańców Majipooru, sny były centrum egzystencji - uspokajały, dodawały odwagi, uczyły, wyjaśniały, nagradzały i karały, a na tym bynajmniej nie kończyły się ich funkcje. Od urodzenia uczono dzieci, jak przygotowywać umysł na przyjęcie snów, jak je śnić i zapamiętywać, jak interpretować je we śnie i na jawie. Każdemu obywatelowi Majipooru towarzyszyła w życiu Pani z Wyspy Snu, pomagająca tłumaczyć działania duszy i za pośrednictwem swych przesłań przemawiająca bezpośrednio do miliardów istot żyjących na tej gigantycznej planecie.

We śnie Dekkeret widział samego siebie idącego górskim grzbietem, najwyraźniej tym, który właśnie przekroczył. Szedł sam, słońce było nieprawdopodobnie wielkie,

wypełniało niemal całe niebo, a jednak upał nie wydawał mu się dokuczliwy. Zbocze było tak strome, że mógł zajrzeć przez jego krawędź w dół, w głębię wydającą się mieć setki kilometrów, a w dole widział gotującą, ryczącą, dymiącą lawę, krater czynnego wulkanu pełnego czerwonej, plującej ogniem magmy. To niesamowite jądro podziemnych mocy nie przerażało go, lecz raczej w dziwny sposób pociągało, fascynowało; pragnął zanurzyć się w nim, pograżyć w jego głębi, pływać we wrzącej lawie. Zaczął schodzić, ślizgając się, biegł na dół, czasami odrywał się od ziemi i unosił się w powietrzu, szybując w dół gigantycznego zbocza, a kiedy znalazł się bliżej, wydało mu się, że wśród wrzącej lawy widzi twarze. Lord Prestimion, Pontifex, Barjazid, Golator Lasgią, a to - czyż to nie Metamorfowie, te dziwne, niemal niewidoczne, ukryte w cieniu twarze na skraju? Jądro wulkanu zajmowali ludzie potężni i Dekkeret biegł ku nim, wypełniony miłością, myśląc: "Przygarnijcie mnie do siebie, tu jestem, oto nadchodzę", a kiedy za tymi postaciami dostrzegł wielki biały dysk, w którym rozpoznał symbol ukochanej Pani Wyspy, duszę wypełnił mu głęboki, cudowny spokój, wiedział już bowiem, że otrzymał przesłanie, a minęło już wiele miesięcy od czasu, gdy łaskawa Pani po raz ostatni dotknęła jego umysłu.

Śpiący, lecz świadomy, obserwując tego Dekkereta, który znajdował się wewnątrz jego snu, czekał na spełnienie, na połączenie Dekkereta z marzeń ze śnioną Panią, całopalenia w wybuchu wulkanu, przynoszące jakieś objawienie prawdy, jakąś wiedzę wywołującą radość i szczęście. Lecz sen napotkał na dziwną przeszkodę, jakby ktoś przykrył go welonem. Kolory zbladły, twarze zaczęły się rozplýwać; biegł nadal, lecz tym razem potykał się i przewracał, ranił łokcie i kolana na ostrych kamieniach pustyni, gubił drogę, poruszał się wzdłuż zbocza, a nie w dół - i nie zbliżał się już do celu. Dotarł do granicy zachwytu, lecz zachwyty okazał się, z nieznanых powodów, poza jego zasięgiem i teraz już czuł tylko przygnębienie, niepewność, strach. Radość, którą, jak się wydawało, niósł w sobie jego sen,

zbladła. Jaskrawe kolory zmieniły się we wszechogarniającą szarość, wszystko ruch ustał. Stał na zboczu góry, nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w martwy krater, a widok tego martwego krateru sprawił, że Dekkeret zadrżał, przyciągnął kolana do piersi i leżał tak, szlochając, aż się obudził.

Zamrugał i usiadł. Serce biło mu mocno, wyschnięte spojówki piekły, mięśnie ramion i piersi miał boleśnie napięte. Ten sen różnił się od wszystkich innych, różnił się nawet od przerażających koszmarów. Skąd wzięło się uczucie choroby duszy, niepewności, strachu? Było jeszcze wczesne popołudnie, oślepiające słońce wisiało nad czubkami drzew. Obok Dekkereta leżała Khaymak Grań i Vroon, Serifain Reinaulion, a nieco dalej Dinitak Barjazid. Wszyscy wydawali się spać smacznie. Nigdzie nie dostrzegł starszego Barjazida. Dekkeret przewrócił się na bok, przyciskając policzek do ciepłego piasku z nadzieją, że w ten sposób pozbędzie się choć części dręczącego go napięcia. Coś złego stało się z tym snem, był tego pewien; jakaś mroczna siła wmieszała się weń, wykradła jego zawartość, a pustą skorupę wypełniła strachem. Więc to właśnie działo się na nawiedzonej pustyni? Tak wyglądała kradzież snów? Zwinął się w kłębek. Czuł się splamiony, wykorzystany, zdeptany! Zastanawiał się, czy będzie tak za każdym razem - w końcu zagłębiali się w tę pustynię coraz bardziej. Pomyślał, że pewnie będzie jeszcze gorzej.

Po pewnym czasie zasnął znowu. I znów śniły mu się jakieś fragmenty zamazanych obrazów bez związku. Zignorował je. Kiedy się przebudził, nadchodził wieczór. W uszach zabrzmiały mu odgłosy duchów, dźwięki pustyni, brzęczenie dzwoneczków, fragmenty rozmów, odległe śmiechy. Czuł się bardziej zmęczony, niż gdyby nie spał w ogóle.



Nie wyglądało na to, by ktoś z jego towarzyszy miał złe sny. Gdy Dekkeret wstał, zachowywali się normalnie: wielka Skandarka nie zwróciła na niego uwagi, mały Vroon zamruczał coś przyjaźnie wymachując mackami, Barjazidowie krótko skinęli głowami -jeśli w ogóle byli świadomi, że jeden z ich grupy przeżył męczarnie we śnie, to nawet o tym nie wspomnieli. Po śniadaniu starszy Barjazid odbył krótką naradę z Serifainem Reinaulionem dotyczącą drogi, którą mieli przemierzyć tej nocy, i znów ruszyli w mrok rozświetlony blaskiem księżyców.

Będę udawał, że nie stało się nic szczególnego, zdecydował Dekkeret. Nie dam po sobie poznać, że ich duchy znalazły do mnie przystęp.

Lecz rozwiązanie to okazało się skuteczne tylko na krótką metę. Kiedy ślizgacz płynął wśród wyschniętych jezior, z których dna wznosiły się tysiące szarych, kamiennych pagórków, Barjazid zwrócił się do niego nagle i spytał:

- Dobrze spałeś?

Dekkeret wiedział, że nie zdoła ukryć zmęczenia.

- Zdarzało mi się wypocząć lepiej - przyznał.

Błyszczące oczy Barjazida wpatrywały się nieruchomo w jego twarz.

- Mój syn mówi, że jęczałeś we śnie, że przewracałeś się z boku na bok, a w końcu ułożyłeś się zwinięty, z kolanami pod brodą. Czyżbyś poczuł dotknięcie złodziei snów, kandydacie?

- Poczułem we śnie obecność jakiejś mrocznej potęgi. Nie potrafię określić, czy byli to złodzieje snów.

- Opisz mi wrażenia, jakich doznałeś.

- A więc jesteś także tłumaczem snów, Barjazidzie? - krzyknął Dekkeret, nagle

zdenerwowany. - Dlaczego miałbym ci pozwolić grzebać w moim umyśle? Moje sny są moją własnością!

- Spokojnie, spokojnie, dostojny panie. Nie chciałem wtrącać się w nie swoje sprawy.

- A więc daj mi spokój.

- Jestem odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo. Jeśli demony pustyni sięgnęły w głąb twojej duszy, powinieneś mnie o tym poinformować we własnym, dobrze pojętym interesie.

- Więc teraz mają to być demony?

- Demony, duchy, upiory, zbuntowani Zmłennokształtni, nazwij to, jak chcesz. -

Barjazid wydawał się zniecierpliwiony. - Stworzenia, których łupem padają śpiący wędrowcy. Dopadli cię, czyż nie?

- Moje sny nie były przyjemne.

- Proszę, byś wyjaśnił mi, na czym to polegało. Dekkeret westchnął cicho.

- Czułem się tak, jakbym miał przesłanie od Pani, śniłem sen radości i spokoju. Ten sen zmienił stopniowo swą naturę, rozumiesz? Stał się mroczny i chaotyczny, znikła gdzieś jego radość, przebudziłem się bardziej zmęczony, niż gdy zasypiałem.

Barjazid pokiwał entuzjastycznie głową.

- Tak, tak, to właśnie te symptomy! Dotknięcie umysłu, zakłócenie snu, wrażenie niepokoju, utrata energii.

- Coś w rodzaju wampiryzmu? - zasugerował Dekkeret. - Jakież istoty czają się wśród pustki, by wyssać siłę życiową z nieostrożnych podróżnych?

Przewodnik uśmiechnął się.

- To twoje domysły. Ja nie bawię się w spekulacje, kandydacie.

- Czy czułeś kiedyś ich dotknięcie w swym śnie? Mały człowieczek spojrzał dziwnie

na Dekkereta.

- Nie. Nigdy.

- Nigdy? Czyżbyś był odporny?

- Najwyraźniej.

- A twój syn?

- Coś takiego zdarzyło mu się kilkakrotnie. Ale ma to miejsce bardzo rzadko, być może raz na pięćdziesiąt razy. Najwyraźniej odporność nie jest jednak dziedziczna.

- A Skandarka? Vroon?

- Także poznali dotyk złodziei snów. Ale odczuwają go sporadycznie. Dla nich to przykre, lecz do zniesienia.

- A przecież ludzie umierali od dotyku złodziei snów.

- To tylko jeszcze jedna hipoteza - powiedział Barjazid. - Większość podróżnych donosiła o dziwnych snach. Niektórzy z nich zgubili drogę i nie powrócili. Skąd mamy wiedzieć, czy istnieje jakiś związek między snami i zaginięciem na pustyni?

- Jesteś bardzo ostrożnym człowiekiem - powiedział Dekkeret. - Nie wyciągasz pochopnych wniosków.

- I dożyłem całkiem poważnego wieku, a wielu z tych bardziej niecierpliwych powróciło już do Źródła.

- Czy twoim zdaniem przetrwanie to największe osiągnięcie człowieka?

Barjazid roześmiał się głośno.

- Powiedziałeś to jak prawdziwy arystokrata z Zamkowej Góry, kandydacie. Nie.

Uważam, że życie to coś więcej niż proste unikanie śmierci. Ale najpierw trzeba przeżyć, prawda? Przeżycie to warunek wstępny dokonania tych wszystkich wspaniałych czynów.

Martwi niczego nie osiągną.

Dekkeret nie powrócił już do tego tematu. Systemów wartości arystokraty i człowieka pokroju Barjazida nie dało się pogodzić, a poza tym w argumentacji przewodnika było coś żywego, ulotnego - co sprawiało, że poczuł się powolny i tępy, a nie lubił tego uczucia. Więc przez chwilę milczał. Potem zapytał jeszcze.

- Czy sny stają się coraz gorsze w miarę, jak zapuszczać się w głąb pustyni?

- Tak wynika z opowieści, które słyszałem - odparł Barjazid.

Noc bladła. Zbliżał się czas kolejnego postoju. Dekkeret poczuł, że jest gotów - więcej, że pragnie! - stawić czoła upiorom. Zatrzymali się na pustyni, w dolince między wydmami, z której wiatry wywiały cały piasek aż do wyschłej, kamienistej ziemi. Suche powietrze powodowało tu powstawanie dziwnego dźwięku, przypominającego szum wiatru, jakby siła słonecznych promieni obierała to miejsce z cząsteczek materii. Do snu gotowi byli dopiero na godzinę przed południem. Dekkeret położył się spokojnie na swej macie ze słomy i bez strachu złożył swą niemal już śpiącą duszę w ofierze temu, co miało nadejść. W trakcie przygotowań przed otrzymaniem stopnia kandydata uczono go oczywiście, czym jest odwaga; spodziewano się, że nieustraszenie stawia czoła niebezpieczeństwom, ale do tej pory nie miał jeszcze okazji sprawdzenia skuteczności metod tego treningu. Na spokojnym Majipoorze trzeba było mocno się napracować, by stawić czoła poważnemu wyzwaniu, należało udać się w dzikie rejony planety, bowiem tam, gdzie dotarła cywilizacja, życie było wygodne i uporządkowane. Właśnie dlatego Dekkeret zdecydował się podróżować, ale nie zdał pierwszego swego egzaminu tam, w lasach na bagnach Khyntoru. Teraz los ponownie dawał mu szansę. Te obrzydliwe sny niosły w sobie coś w rodzaju obietnicy odkupienia.

Zasnął więc.

I niemal natychmiast zaczął śnić. Znów był w Thologhai, lecz Thologhai dziwnie zmienionym. Był w mieście alabastrowych willi bez okien i wspaniałych ogrodów, choć upał

pozostał nie zmieniony. Szedł bulwarami, podziwiając lekkość architektury i przepych roślinności. Miał na sobie tradycyjny złotozielony strój ludzi z otoczenia Koronała i spotykani obywatele miasta, spacerujący jak co wieczór alejami, kłaniali się w odpowiedzi na jego ukłony, układali palce w znak gwiazdy, oznaczający uznanie władzy Koronała. Naraz podeszła do niego smukła i piękna Archiregimand Golator Lasgia. Uśmiechnęła się, wzięła go za rękę i poprowadziła go do ogrodu pełnego fontann. W powietrzu unosiły się krople wody. Zdjęli ubrania, zażyli kąpieli, a potem wyszli z pachnącego słodko basenu i przeszli, stopami zaledwie dotykając ziemi, do ogrodu pełnego roślin o smukłych łodygach i lśniących, strzępiastych liściach. Bez słowa kazała mu iść za sobą alejkami zacienionymi przez gęsto posadzone rośliny. Szła tuż przed nim, piękna i jakby nieuchwytna, oddalona zaledwie na wyciągnięcie ręki, o kilka centymetrów, o metr. Najpierw miał wrażenie, że dosięgnie ją z największą łatwością, ale nie próbował jej dogonić; potem musiał już biec, by nie stracić jej z oczu. Jej ciemnooliwkowa skóra błyszczała w blasku księżyca; Golator Lasgia odwracała się często, promiennie uśmiechnięta, potrząsając głową i zachęcając go, by szedł za nią, by się pośpieszył. Lecz on nie potrafił już biec szybciej! Wyprzedzała go niemal o całą długość alejki. Rzucił się w rozpaczliwą pogoń, lecz ona oddaliła się jeszcze bardziej, znikając mu z pola widzenia, nie mógł już nawet rozpoznać gry mięśni pod jej nagą błyszczącą skórą. Kiedy skręcał z jednej ścieżki w drugą, zdał sobie nagle sprawę, że robi się coraz goręcej, że zmieniło się samo powietrze, jakby w środku nocy nagle wstało słońce, paląc mu plecy nieubłagany ogniem. Drzewa zwijały się i schły. Liście opadały na ziemię. Walczył, by utrzymać się na nogach. Dziewczyna stała się już tylko punkcikiem na horyzoncie, nadal kiwała na niego, nadal się uśmiechała, lecz jej postać robiła się coraz mniejsza i mniejsza, a słońce wspinało się na niebo i grzało coraz mocniej, wypalając wszystko, co znalazło się w jego zasięgu. Ogród zmienił się w cmentarz nagich gałęzi i wysuszonej na kamień, spalonej

ziemi. Nagle poczuł straszliwe pragnienie, ale w pobliżu nie było wody, więc kiedy dostrzegł istoty kryjące się za martwymi, suchymi drzewami - byli to Metamorfowie, zdradliwe stworzenia niezdolne utrzymać jednej postaci, zmieniające się nieprzerwanie w oszałamiającym tempie - zawołał do nich, prosząc o coś do picia, lecz do zwilżenia warg dostał tylko cichy, srebrzysty śmiech. Chwiejnie ruszył przed siebie. Okrutne, prażące z nieba promienie zaczynały go palić, czuł, jak jego skóra twardnieje, pęka, czernieje, schodzi płatami z ciała. Jeszcze chwila a zginie upieczony. Co się stało z Golator Lasgią? Gdzie podzieli się uśmiechnięci, kłaniający się, pozdrawiający go znakiem gwiazdy ludzie? Nie widział już ogrodu. Szedł połykając się, chwiejnie, po pustyni - po ziemi tak wyżarzonej, że nawet cień tu palił. Nagle ogarnął go prawdziwy strach, bowiem nawet śniąc czuł ból poparzonej skóry i ta część jego duszy, która obserwowała ów sen, poczuła niebezpieczeństwo; zastanawiał się czy potęga snu może być tak wielka, że zdolny jest on rzeczywiście zranić śniącego?

Opowiadano, że to możliwe, że byli ludzie, których zabiła siła wizji. Choć wszystko, czego uczono go od dzieciństwa, sprzeciwiało się przedwczesnemu przebudzeniu, choć wiedział, że w zwykłych okolicznościach powinien przetrwać znacznie gorsze chwile, by dotrzeć do objawienia, Dekkeret zdecydował się obudzić, po prostu dla bezpieczeństwa, ale gdy niemal się już ocknął, uznał, że byłoby to tchórzostwem; przysiągł sobie pozostać we śnie, nawet gdyby miało go to kosztować życie. Klęczał teraz, twarzą dotykając płonących piasków, patrząc na rysujące się z niezwykłą wyrazistością sylwetki drobnych, złotych stworzeń, maszerujących ku niemu gęsiego poprzez grzbiety wydm. Były to mrówki o wielkich cęgach, które po kolei wspinały się na jego ciało, wpijały się w każdy jego skrawek i tak zostawały; po chwili skórę pokrywały mu już tysiące owadów. Próbował je strzepnąć i nie mógł. Cęgi nie rozluźniały uchwytu; obrywał mrówkom głowy, piasek wokół niego poczerniał od bezgłowych ciał, lecz nadal był nimi pokryty niczym płaszczem. Próbował je strzepywać

coraz bardziej gorączkowo, ale kolejne wspinały się i wpijały w jego skórę. Zmęczył się w końcu. Pod płaszczem mrówek jest chłodniej, pomyślał. Okrywają mnie, chronią przed słońcem. I choć także gryzą, to jednak ranią mniej boleśnie niż słoneczne promienie. Czyż ten sen nigdy się nie skończy? Spróbował odzyskać nad nim kontrolę, zmienić rzekę atakujących go mrówek w strumień chłodnej, czystej wody, lecz nie udało mu się, koszmar powrócił i Dekkeret, zmęczony, poczołgał się z wolna po piasku.

Powoli zaczął zdawać sobie sprawę, że nie śni.

Między snem i jawą nie było granicy, którą mógłby wyczuć. W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że oczy ma otwarte i że dwa ośrodki jego świadomości - śniący Dekkeret i Dekkeret obserwujący śniącego Dekkereta - stały się jednym. Lecz nadal znajdował się na pustyni, pod palącym słońcem południa. Był nagi. Poparzona skóra łuszczyła się boleśnie. Po jego nogach, aż do kolan, pełzły maleńkie mrówki, które rzeczywiście wbijały cęgi w jego ciało. Zdumiony, zastanawiał się przez chwilę, czy nie znalazł się w jakiejś głębszej warstwie snu pod snem - ale nie, na tyle, na ile zdolny był osądzić, był rzeczywiście na jawie. To była prawdziwa pustynia, a on znalazł się w jej środku. Wstał, strzepując z siebie mrówki - jak w tamtym śnie, wpijały się w skórę nawet kosztem utraty głów - i rozejrzał się, szukając wzrokiem obozu.

Nie znalazł go. Śniąc powędrował w głąb rozgrzanej pustyni i zgubił się w niej. Niech nadal będzie to sen, pomyślał rozpaczliwie. Niech obudzę się z niego w cieniu ślizgacza Barjazida. Jednak nie było przebudzenia. Nagle Dekkeret zrozumiał, jak ludzie giną na Pustyni Skradzionych Snów.

- Barjazid! - krzyknął. - Barjazid!

Od strony dalekich wzgórz odpowiedziało mu echo. Zawołał znów, raz, drugi i trzeci; wsłuchiwał się w swój głos, lecz nie usłyszał odpowiedzi. Jak długo uda mu się przeżyć? Godzinę? Dwie? Nie miał wody, nie miał żadnego schronienia, był nagi, niczym nie okrytą głowę wystawiał na wściekłe promienie słońca. Nadeszła najgorętsza pora dnia. Otaczająca go pustynia wszędzie wyglądała tak samo, niezależnie od tego, w którą stronę patrzył: płaska, płytka misa przewiewana gorącym wiatrem. Szukał swoich śladów, lecz znalazł je na odcinku nie dłuższym niż kilka metrów; ziemia tu była twarda i skalista, toteż nie zostawił za sobą wyraźnego tropu. Obóz mógł leżeć wszędzie, ukryty przed jego wzrokiem za niewielkim wybrzuszeniem terenu. Znów zawołał o pomoc i znów odpowiedziało mu wyłącznie echo. Gdyby tylko znalazł jakąś wydmę, mógłby zakopać się w niej po szyję i tak przeczekać upalny dzień; w nocy być może znalazłby obóz po blasku ogniska. Nie dostrzegł jednak żadnej wydmy. Gdyby było tu jakieś wzgórze, wspiąłby się na nie i próbował wypatrzeć obóz ze szczytu, ale nie dostrzegł żadnego wzgórza. Co zrobiłby w takiej sytuacji Lord Stiamot albo Lord Thimin, lub też jakiś inny wielki wojownik z przeszłości? Co ma zamiar zrobić Dekkeret? Głupi sposób, by umrzeć, pomyślał. Bezsensowna, nieprzyjemna, wstrętna śmierć. Obracał się wypatrując jakiegoś znaku. Nie dostrzegł żadnego; nie było sensu w ogóle ruszać się z miejsca, jeśli się nie wiedziało, dokąd się idzie. Wzruszył ramionami i usiadł gdzieś, gdzie nie było mrówek. Nie przychodził mu do głowy żaden błyskotliwy pomysł ocalenia. Nie ujawniły się żadne wewnętrzne rezerwy, które wbrew wszelkiemu spodziewaniu pomogłyby mu uratować życie. Zgubił się we śnie i zginie, jak to zapowiedziała Golator Lasgia. To wszystko. Koniec. Pozostało mu tylko jedno: siła charakteru; umrze cicho, spokojnie, nie płacząc i nie wściekając się, nie zlorzeczając losowi. Będzie umierał może godzinę, może krócej. Ważne jest, by uczynić to z honorem, bo gdy śmierć jest



nieunikniona, nie ma sensu robić z niej wielkiej sprawy.

Czekał na śmierć.

Lecz zamiast śmierci - nie potrafił powiedzieć: po dziesięciu minutach, kilku kwadransach czy godzinie - pojawił się Serifain Reinaulion. Mały Vroon jak miraż zjawił się na wschodzie i zbliżał powoli, przygięty pod ciężarem dwóch pojemników z wodą. Kiedy podszedł na jakieś sto metrów, pomachał mackami i krzyknął: “Żyjesz?!”

- Mniej więcej. Nie jesteś złudzeniem?

- Nie jestem. Szukaliśmy cię przez całe przedpołudnie. - Wijące się, jakby były z gumy, kończyny Vroona wetknęły mu w ręce jeden z pojemników. - Masz. Pij powoli. Nie duszkiem! Jesteś tak odwodniony, że jeśli wypijesz za dużo, utopisz się!

Dekkeret powstrzymał odruch, by wypić zawartość pojemnika jednym długim łykiem.

Vroon miał rację. Pij powoli, z umiarem -umiara to najwyższa cnota - albo stanie ci się coś złego. Nabrał wody do ust, zwilżył spuchnięty język i w końcu, powoli, przełknął. Ach! I jeszcze raz. Kolejna mała porcja i wreszcie przyzwoity łyk. Trochę zakręciło mu się w głowie. Serifain Reinaulion gestem nakazał mu oddać flaszkę. Dekkeret potrząsnął głową, znów się napił i wtarł trochę wody w policzki i w wargi.

- Daleko do obozu? - spytał w końcu.

- Dziesięć minut drogi. Zdołasz dotrzeć tam o własnych siłach czy mam zawołać innych?

- Dojdę sam.

- Więc chodźmy. Przytaknął skinieniem głowy. -Jeszcze jeden mały łyczek...

- Nieś pojemnik. Pij, gdy tylko poczujesz się spragniony. Jeśli osłabniesz, powiedz.

Odpoczniemy. Pamiętaj, nie zdołam cię unieść!

Vroon ruszył powoli we wschodnim kierunku w stronę niskiego, piaszczystego

wzgórka, odległego o jakieś pięćset metrów. Osłabły i niezbyt przytomny Dekkeret podążył za nim i ze zdziwieniem stwierdził, że grunt wznosi się; wzgórek wcale nie był taki niski, tylko przez jakąś osobliwość oświetlenia sprawiał takie wrażenie. W rzeczywistości okazał się dwu lub nawet trzykrotnie wyższy od niego; wystarczająco wysoki, by przysłonić rozciągające się za nim dwa nieco niższe wzniesienia. Ślizgacz stał w cieniu tego drugiego. Barjazid jako jedyny pozostał w obozie. Spojrzał na Dekkereta, a w jego oczach był gniew i pogarda.

- Wybrałeś się na przechadzkę, co? W samo południe?

- Szedłem we śnie. Złodzieje snów mnie dopadli. Jakby ktoś rzucił na mnie czar. -

Dekkeret dostał dreszczy; to bezlitosne słońce rozregulowało mechanizm ciepły w jego organizmie. Padł na ziemię przy ślizgaczu i skulił się pod cienką szatą. - Kiedy się obudziłem, nie widziałem już obozu. Byłem pewien, że umrę.

-Jeszcze pół godziny i z pewnością byś umarł. I tak jesteś już pewnie w dwóch trzecich upieczony. Szczęście, że mój chłopak obudził się i zauważył, że zniknąłeś.

Dekkeret ciaśniej otulił się szatą.

- To tak umierają tu ludzie? Odchodząc we śnie w pustynię?

- Można umrzeć w ten sposób, owszem.

- A więc zawdzięczam wam życie.

- Zawdzięczasz mi życie od chwili, gdy przekroczyliśmy przełęcz Khulag. Gdybyś podróżował sam, umarłbyś już pewnie kilkadziesiąt razy. Jeśli masz komuś dziękować, dziękuj Vroonowi. To on cię odnalazł.

Dekkeret skinął głową.

- A gdzie twój syn? I Khaymak Grań? Oni też mnie szukali? -Już wracają - powiedział

Barjazid.

Rzeczywiście, Skandarka i chłopak pojawili się w chwilę później. Khaymak Grań

rzuciła się na matę nie zaszczycając go nawet spojrzeniem. Dinitak Barjazid uśmiechnął się drwiąco i spytał:

- Przechadzka była przyjemna?

- Nieszczerólnie. Żałuję, że sprawiłem wam tyle kłopotów.

- My również.

- Być może powinienem zacząć sypiać związany?

- Albo z ciężkim balastem na piersi - dodał Dinitak i ziewnął. - Staraj się pozostać na miejscu przynajmniej do zachodu słońca, dobrze?

- Nie zamierzam się nigdzie ruszać.

Lecz nie potrafił zasnąć. Ciało miał obolałe od ugryzień mrówek, a spalona skóra, mimo ochładzającej maści ofiarowanej przez Serifaina Reinauliona, sprawiała, że cierpiał jeszcze bardziej. W gardle czuł suchość, jakby najadł się kurzu, którego nie mogła spłukać żadna ilość wody. Piekły go oczy. Jakby grzebał w bolesnej ranie, nieustannie wspominał to, co się zdarzyło: sen, upał, mrówki, pragnienie, świadomość nieuniknionej śmierci. Szukał chwili, w której okazał się tchórzem, i nie potrafił jej znaleźć. Rozczarowanie - tak, gniew, żal, ale nie pamiętał paniki ani strachu. Dobrze. Doskonale! Najgorsze w tym wszystkim było nie pragnienie, nie upał, nie zagrożenie, lecz sen, mroczny niepokojący sen, sen, który po raz kolejny zaczął się radośnie i w połowie zmienił w coś złowrogiego. Człowiek, któremu odebrano pociechę zdrowych snów, to człowiek umarły za życia, pomyślał, i to śmiercią znacznie gorszą niż śmierć na pustyni, bowiem umiera się jedną chwilkę, a sny mają wpływ na całe życie. I jaką wiedzę oferowały mu te mroczne suvraelskie koszmary? Dekkeret doskonale wiedział, że przesłania Pani należy dokładnie przestudiować - jeśli to konieczne, nawet z pomocą tych, którzy praktykują sztukę tłumaczenia snów, bowiem zawierają one

informacje konieczne do właściwego pokierowaniem życiem - ale jego sny nie pochodziły od Pani, wydawały się raczej emanacją jakiejś innej ciemnej Potęgi, tajemniczej i złowrogiej siły, umiejącej brać, a nie dawać. Zmiennokształtni? Być może. Być może jakieś ich plemię wykradło jedno z urządzeń, których Pani Wyspy używa, by osiągnąć umysłów swych owieczek - i teraz, tu, w gorącym sercu Suwaelu, Metamorfofle polują na nierozważnych wędrowców, kradną im dusze, wysysają z nich siły życiowe w akcie tajemnej zemsty za kradzież ich świata.

Cienie wydłużały się już, kiedy poczuł, że zaczyna zasypiać. Walczył z sennością, bojąc się, że ta nieznana siła znów dotknie jego duszy. Rozpaczliwie próbował nie zamykać oczu; patrzył w ciemność i wsłuchiwał się w niesamowite szmery i pomruki pustyni, lecz nie udało mu się przezwyciężyć zmęczenia. Zapadł w lekką, niespokojną drzemkę, w której od czasu do czasu pojawiały się sny. Wyczuł, że nie pochodzą ani od Pani, ani od tej innej, tajemnej siły; że po prostu rodzą się przypadkowo w jego otępiałym umyśle; były to drobne epizody wyjęte z niedawnego wypadku oraz inne obrazy, po prostu niezrozumiałe. Nagle ktoś zaczął go budzić - Vroon, jak zorientował się Dekkeret. Myślał powoli, z największym trudem, był oszołomiony, usta miał spękane, plecy go bolały. Zapadła noc, jego towarzysze pracowali już przy zwijaniu obozu. Serifain Reinaulion podał mu kubek jakiegoś słodkiego, gęstego niebieskozielonego soku. Dekkeret wypił go jednym haustem.

- Wstań - powiedział Vroon. - Czas ruszać w drogę.

Pustynia zmieniła się znowu - tym razem sprawiała wrażenie okrutnej, złowrogiej.

Najwyraźniej kiedyś miało tu miejsce wielkie trzęsienie ziemi - i to więcej niż jedno; skały były popękane, spiętrzone, leżały opierając się o siebie pod nieprawdopodobnymi kątami; ogromne głazy spoczywały u stóp niskich, kamienistych pagórków. Przez tę strefę zniszczeń można było przejechać tylko w jeden sposób - szerokim, wijącym się łagodnie korytem dawno wyschniętej rzeki, której piaszczyste dno prowadziło między spękkanymi, piętrzącymi się jedne na drugich skałami. Było jasno niemal jak w dzień, świecił wielki księżyc w pełni, jego blask pozwalał ujrzeć najdrobniejsze szczegóły tej upiornej scenerii. Po kilku godzinach jazdy, podczas których krajobraz pozostawał niezmienny, jakby ślizgacz w ogóle się nie poruszał, Dekkeret zwrócił się do Barjazida i spytał: - Jak długo potrwa, nim osiągniemy Ghyzyn Kor?

- Ta dolina jest granicą między pustynią a sawanną. - Barjazid wskazał na południowy zachód; koryto rzeki znikало tam między dwoma wysokimi szczytami, wyrastającymi jak sztylety ze skał pustyni. - Dalej, za Szczeliną Munnerak, klimat zmienia się całkowicie. Po drugiej stronie gór powietrze znad morza napływa nocą z zachodu, ziemia zieleni się i doskonale nadaje na pastwiska. Zatrzymamy się jutro w pół drogi do Szczeliny, a przejedziemy ją pojutrze. Najpóźniej w Dniu Morza znajdziesz sobie nocleg w Ghyzyn Kor.

-A wy?

-Ja i mój syn mamy tu coś do załatwienia. Przyjedziemy po ciebie do Ghyzyn Kor...

po trzech dniach? Czy może po pięciu?

- Pięć dni powinno mi wystarczyć.

- Doskonale. A później wracamy.

- Tą samą drogą?

- Nie ma innej. Wyjaśniono ci wszak w Thologhai, że wszystkie drogi zostały odcięte z wyjątkiem jednej, wiodącej przez pustynię. Ale nie masz przecież powodu, by się jej obawiać. Sny wcale nie są takie straszne, prawda? Jeśli nie wybierzesz się na kolejny spacer, nic ci nie grozi.

Wydawało się to bardzo proste. Rzeczywiście, Dekkeret miał wrażenie, że potrafi przetrwać podróż, lecz wczorajszy sen stał się przyczyną takich cierpień, że bez entuzjazmu oczekiwał, co jeszcze może się zdarzyć. Kiedy rankiem rozbijali obóz, odkrył, że wcale nie ma ochoty zasypiać. Przez godzinę czuwał, słuchając metalicznych trzasków dobiegających spośród spiętrzonych głazów, rozszerzających się pod wpływem upału, aż wreszcie sen spadł na niego z zaskoczenia, jak wielka czarna chmura.

Po pewnym czasie zaczął śnić i od razu zorientował się, że będzie to przeżycie najstraszliwsze ze wszystkich dotychczasowych.

Najpierw pojawił się ból - ukłucie, dotknięcie, cios - a potem bez ostrzeżenia wewnątrz czaszki rozbłysło mu białe światło, aż jęknął i rękami chwycił się za głowę. Ten straszliwy spazm szybko minął i Dekkeret poczuł przy sobie słodką senną obecność Golator Lasgił, która uspokajała go, przytulając jego głowę do swych piersi. Kołysała go, szeptała, dodawała mu odwagi - aż otworzył oczy, usiadł, rozejrzał się wokół i zobaczył, że nie jest już na pustyni ani nawet na Suvraelu. Wraz z Golator Lasgią znajdowali się na jakiejś polance w lesie nieprawdopodobnie wysokich drzew o idealnie prostych gałęziach pokrytych żółtą korą. Było chłodno, a niemal u ich stóp, szemrząc wesoło, płynął po kamieniach bystry strumyk. Za strumykiem ziemia opadała gwałtownie w głęboką dolinę, a po drugiej stronie doliny wznosiła się ogromna, najeżona sterczącymi skałkami góra o szczycie przykrytym śniegiem. Dekkeret rozpoznał w niej natychmiast jeden z wielkich szczytów w pobliżu bagien Khyntoru.

- Nie - powiedział. - Nie chcę tu być.

Golator Lasgią roześmiała się; jej uroczy srebrzysty śmiech groźnie zabrzmiał mu w uszach, jak poranne dźwięki pustyni.

- To tylko sen, mój miły przyjacielu - powiedziała. - Musisz przyjąć wszystko, co przychodzi do ciebie we śnie.

- Potrafię rządzić swymi snami. Nie mam ochoty powracać na bagna Khyntoru. Patrz, wszystko się zmienia. Płyniemy rzeką Zimr, zbliżamy się do jej wielkiego zakrętu. Widzisz? Przed naszymi oczami pojawia się właśnie Ni-moya!

I rzeczywiście dostrzegł wielkie miasto, nieprawdopodobnie białe na tle zielonych wzgórz. Lecz Golator Lasgią tylko potrząsnęła głową.

- Nie ma tu żadnego miasta, kochany. Są tylko lasy północy. Czujesz ten wiatr?

Posłuchaj śpiewu strumienia. Uklęknij, dotknij opadłych igieł. Ni-moya jest bardzo, bardzo daleko, a my przyjechaliśmy tutaj na polowanie.

- Błagam cię, wróćmy do Ni-moya.

- Innym razem - powiedziała Golator Lasgia.

Nie potrafił się jej oprzeć. Magiczne wieże Ni-moya zadrżały i rozplynęły się w powietrzu, pozostały tylko drzewa o żółtych pniach, chłodny wiatr i odgłosy lasu. Dekkeret trząśł się. Był więźniem swego snu, pozbawionym szans ucieczki.

Pojawiło się przed nim pięciu myśliwych w surowych czarnych strojach ze skóry haigusa; pozdrowili go znakami mającymi wyrażać szacunek i podali mu broń: krótką rurę miotacza energii, krótki błyszczący sztylet i nóż o dłuższym, zakrzywionym ostrzu.

Potrząsnął przecząco głową, więc jeden z myśliwych podszedł bliżej i uśmiechnął się do niego z drwiną, brakowało mu kilku zębów, a jego oddech śmierdzał suszoną rybą. To była ona, Dekkeret rozpoznał jej twarz i odwrócił się zawstydzony, bowiem to właśnie ona była

myśliwym, który zginął tego dnia, tysiące lat temu, na bagnach Khyntoru. Gdyby tylko jej tutaj nie było, pomyślał, to może zdołałbym jakoś znieść ten sen. To straszna tortura - kazać mu przeżyć wszystko jeszcze raz.

- Weź od niej broń. Stitmoj ucieka, musimy zacząć go gonić -powiedziała Golator Lasgia.

- Nie życzę sobie...

- Co za głupota sądzić, że sny stosują się do życzeń! To właśnie ten sen jest twoim życzeniem! Weź broń.

Dekkeret zrozumiał. Zmartwiałymi palcami wziął sztylet i nóż oraz miotacz i umieścił je we właściwych miejscach przy pasie. Myśliwi uśmiechnęli się. Mruknęli coś do niego w swym niemal niezrozumiałym, chrapliwym północnym dialekcie. A potem pobiegli wzdłuż brzegu strumienia, długim, lekkim krokiem, dotykając ziemi może raz na pięć kroków. Chcąc nie chcąc Dekkeret pobiegł razem z nimi, początkowo niezręcznie, a później z tą samą niezwykłą lekkością. Golator Lasgia nie miała najmniejszych kłopotów z dotrzymaniem im kroku, ciemne włosy powiewały wokół jej twarzy, oczy błyszczały podnieceniem. Skręcili w lewo, w głąb lasu i utworzyli tyralierę zagiętą w kształt półksiężyca, otaczając ofiarę. Ofiara! Dekkeret dostrzegł trzy białe stitmoje - ich futra świeciły w mroku lasu niczym latarnie. Poruszały się niespokojnie, warczały; były świadome niebezpieczeństwa, ale nadal nie chciały porzucić swego terytorium - wielkie stworzenia, prawdopodobnie najniebezpieczniejsze dzikie zwierzęta na Majipoorze, szybkie, silne, inteligentne, uważane za postrach lasów północy. Wyciągnął krótki sztylet. Ustrzelić stitmoja z miotacza to żadne polowanie, przy tym można zniszczyć cenne futro; należało podejść blisko i zabić go nożem, najlepiej krótkim - a jeśli zajdzie taka konieczność, hakowatą maczetą. Myśliwi spojrzeli na Dekkereta. Wybierz jednego, zdawali się mówić, wybierz ofiarę.



Skinął głowę. Wskazał gestem środkowego. Myśliwi uśmiechali się chłodno. Co takiego wiedzieli, czego nie chcieli mu powiedzieć? Wtedy było podobnie, nie starali się nawet szczególnie ukryć swojej pogardy górali dla nadętego paniczyka igrającego w ich lasach ze śmiercią w poszukiwaniu rozrywki. Wówczas to spotkanie źle się skończyło. Dekkeret wyciągnął nóż. Stitmoje ze snu, poruszające się nerwowo za zasłoną drzew, wydawały mu się niesamowicie wielkie - ogromne, ciężkie potwory, których z pewnością nie zdoła zabić jeden człowiek uzbrojony wyłącznie w nóż, ale nie było już odwrotu, wiedział, że musi przyjąć wszystko, co przyniesie mu ten sen. Zagrały rogi, ich rykiem i klaskaniem wynajęta nagonka miała spłoszyć zwierzynę. Stitmoj, rozzłoszczony i zdumiony tym nagłym hałasem, wstał na zadnie łapy, obrócił się, uderzał w drzewa łapami o długich pazurach i wreszcie, bardziej pełen obrzydzenia niż strachu, pobiegł.

Rozpoczął się pościg.

Dekkeret wiedział, że myśliwi mają rozdzielić zwierzęta i spłoszyć pozostałe dwa, by dać mu szansę upolowania tego, którego sobie wybrał. Lecz nie rozglądał się na prawo i lewo. Wraz z Golator Lasgią i jednym z łowców pobiegł przed siebie za środkowym stitmojem, z trzaskiem przedzierającym się przez las. Była to najtrudniejsza część polowania, bo jakkolwiek ludzie są szybsi, stitmoje lepiej umieją się przedzierać przez poszycie i łatwo jest je zgubić w gorączce pościgu. W tym miejscu las nie był zarośnięty, lecz zwierzę starało się ukryć i wkrótce już Dekkeret musiał walczyć z pnączami, małymi drzewkami i krzaczkami, zaledwie zdolny utrzymać wyglądające jak białe widmo zwierzę w polu widzenia. Niczym w gorączce, o niczym nie myśląc, biegł wymachując maczetą, tratując poszycie. Wszystko to było tak strasznie znajome, przeżywał tę scenę powtórnie, zwłaszcza gdy zdał sobie sprawę, że stitmoj zaczyna zawracać, że biegnie przez wcześniej zdeptany w gorączce pościgu obszar lasu, jakby planował zemstę...

Wkrótce nadejdzie chwila - z czego śpiący Dekkeret doskonale zdawał sobie sprawę - w której rozszalałe zwierzę wpadnie na bezzębną łowczynię, złapie ją i rzuci o drzewo, a on nie zatrzyma się, tylko pobiegnie dalej, kontynuując pościg, pozostawiając kobietę tam gdzie upadła - toteż gdy mały ścierwojad o płaskim pysku wypełźnie ze swej jamy i rozszarpie jej brzuch, nie będzie nikogo, kto by go odpędził i dopiero później, kiedy wszystko się uspokoi, gdy znajdzie chwilę czasu, by do niej wrócić, zacznie żałować, że łowiecka gorączka i brak ludzkich uczuć kazały mu porzucić towarzyszkę polowania tylko po to, by nie stracić z oczu ofiary. A potem wstyd, poczucie winy, nie kończące się samooskarżenia... Tak, będzie musiał przeżyć to wszystko jeszcze raz, leżąc i śniąc tu, w dusznym upale pustyni Suvraelu, będzie musiał przeżyć to wszystko jeszcze raz, będzie musiał...

Nie!

Nie, nie miało to być wcale takie proste, bowiem język snów jest trudny i w gęstej mgle, która nagle pojawiła się w lesie, Dekkeret dostrzegł stitmoja, który obrócił się, uderzył bezzębną kobietę i rozciągnął ją na ziemi, lecz kobieta wstała tylko, wypluła resztkę zębów wraz z krwią i roześmiała się. Pościg trwał dalej, a raczej cofnął się do sceny będącej punktem wyjścia: stitmoj wypadający niespodziewanie z najciemniejszej części lasu i atakujący Dekkereta, wytrącający mu z rąk sztylet i maczetę, stający na zadnie łapy, by zadać mu ostateczny cios, lecz nie zadający go, bo obraz się zmienił i teraz to Golator Lasgia leżała rozdzielana pazurami, podczas gdy on łaził bezsensownie w kółko, niezdolny do podjęcia decyzji, co właściwie powinien zrobić, a potem znów ofiarą była góralka, następnie znowu Dekkeret - i nagle, w sposób zupełnie nieprawdopodobny, stary, pomarszczony Barjazid, a później Golator Lasgia. Dekkeret przyglądał się jej, gdy jakiś głos u jego boku powiedział: Jakie ma to znaczenie? Każdy z nas jest winny Bogini swą śmierć. Może w owej chwili ważniejsze było, byś pobiegł za zwierzęciem?" Dekkeret spojrział, zdumiony. Ten głos był

głosem bezzębnej łowczyni. Oszłomił go i wytrącił z równowagi. Sen stawał się niezrozumiały. Zmagał się, by wyjaśnić jego tajemnicę.

Nagle dostrzegł Barjazida, stojącego na skraju cienistej leśnej polany. Stitmoj po raz kolejny zabijał łowczynię.

- Czy tak było rzeczywiście? - spytał Barjazid.

- Chyba tak. Nie widziałem tego.

- A co zrobiłeś?

- Pobiegłem dalej. Nie chciałem stracić z oczu zwierzęcia.

- Zabiłeś je? - Tak.

- A potem?

- Wróciłem. Zobaczyłem ją. Wyglądało to właśnie tak... - Wskazał palcem. Mały padlinożerca pochylał się nad kobietą. Obok stała uśmiechnięta Golator Lasgia.

- A potem?

- Przybyli inni. Pogrzebali swoją towarzyszkę. Ściągnęliśmy futro ze stitmoja i wróciliśmy do obozu.

- A potem? A potem?

- Kim jesteś? Dlaczego zadajesz mi te pytania?

W tępogłowym padlinożernym zwierzęciu Dekkeret dostrzegł nagle samego siebie.

- Wstydzisz się? - spytał Barjazid.

- Oczywiście. Przedłożyłem radość polowania nad ludzkie życie.

- Nie mogłeś wiedzieć, że ta kobieta jest ranna.

- Wyczułem to. Widziałem, ale nie chciałem zobaczyć, nie rozumiesz? Wiedziałem, że jest ranna. I nie zatrzymałem się.

- A kogo to obeszło?

- Mnie.

- Czy obeszło to jej towarzyszy?

- Obeszło mnie. -I co?

- To miało znaczenie dla mnie. Dla nich znaczenie miało co innego.

- Czułeś się winny?

- Oczywiście.

-Jesteś winny. Młodości. Głupoty. Naiwności.

- Czy jesteś moim sędzią?

- Oczywiście, że jestem - powiedział Barjazid. - Widzisz moją twarz? - Chwycił

pomarszczoną, brązową skórę na szczęce, pociągnął nią i skręcił aż zaczęła pękać, jego twarz

rozpadła się jak strzaskana maska, a pod nią była inna twarz, straszna, kpiąca twarz

skrzywiona w konwulsyjnym, ironicznym uśmiechu, i była to twarz samego Dekkereta.

W tej chwili poczuł, jakby igła ostrego światła przeszła mu czaszkę. Takiego bólu nie doznał jeszcze nigdy, w mózgu zapłonęła mu włócznia szalonego cierpienia. Zapaliła latarnię jego świadomości i w jej złowrogim świede dostrzegł samego siebie: głupca, romantyka, chłopca, który wynalazł tragedię mającą za widza wyłącznie jego samego i przeżył dramat nie wzruszający nikogo, człowieka szukającego oczyszczenia z grzechu, który nie był grzechem - a jeśli, to tylko grzechem litości nad samym sobą. W trakcie tych cierpień usłyszał nagle jakby daleki dźwięk dzwonu i suchy, demoniczny śmiech Barjazida; nagle, największym wysiłkiem woli, wyrwał się ze snu i przewrócił na bok; drżał, wstrząśnięty, nadal czując przejmujący ból, choć ból ten słabł w miarę, jak sen opuszczał go i odchodził w nicość.

Chciał wstać i odkrył, że otula go grube, gęste futro, jakby stitmoj znów dopadł go i miażdżył w swoich łapach. Trzymały go potężne ramiona; nagle zdał sobie sprawę, że jest ich cztery. Kiedy wreszcie uwolnił się całkowicie od snu, zdał sobie sprawę, że znajduje się w objęciach gigantycznej Skandarki, Khaymak Grań. Prawdopodobnie krzyczał przez sen, rzucał się i machał rękami, a kiedy zerwał się na równe nogi, Khaymak Grań uznała, że znów ma zamiar wybrać się na przechadzkę po pustyni i postanowiła mu to uniemożliwić. Tuliła go z siłą wystarczającą, by połamać mu żebra.

-Wszystko w porządku - mruknął w jej szare futro. - Nie śpię już! Nigdzie nie idę.

Ścisnęła go nadal.

- Zrobisz... mi... krzywdę...

Musiał walczyć, by zaczerpnąć oddechu. Z niezręcznej troski mogła go nawet zadusić w tym matczynym uścisku. Dekkeret wykręcał się, odpychał, kopał i bił ją pięściami po głowie. Wijąc się tak zdołał jakoś zakłócić jej równowagę i oboje przewrócili się; on znalazł

się na wierzchu, ona zaś w ostatniej chwili rozluźniła uścisk, tak że zdołał się wyrwać.

Wylądował na kolanach i tak już pozostał. Bolało go całe ciało i ciągle nie mógł dojść do ładu z tym, co się zdarzyło w ciągu kilku ostatnich chwil. Nie był jednak aż tak oszołomiony, by nie dostrzec, jak skryty za ślizgaczem Barjazid pośpiesznie zsuwa z czoła jakiś mechanizm, wyglądający jak kunsztowna, złota korona i próbuje ukryć go w jednym z pojemników.

- Co to takiego? - spytał.

Barjazid, co było dla niego nietypowe, sprawiał wrażenie zmieszanego.

- Nic. Taka zabawka.

- Pokaż!

Miał wrażenie, że tamten daje komuś jakieś znaki. Kątem oka dostrzegł, jak Khaymak Grań wstaje i wyciąga rękę, lecz nim wielka Skandarka zdołała wykonać ostateczny ruch, Dekkeret uchylił się i obiegł ślizgacz. Przewodnik nadal grzebał w pojemniku. Dekkeret, górujący nad Barjazidem tak, jak Skandarka górowała nad nim, błyskawicznie złapał go za rękę, wykręcił ją i przytrzymał. Potem zaś wyjął mu z dłoni opaskę i przyjrzał się jej z zainteresowaniem.

Nikt już nie spał. Vroon gapił się nieprzytomnie na to całe zajście, a młody Dinitak sięgnął po nóż, podobny do tego, którego Dekkeret używał podczas polowania.

- Puść ojca - powiedział.

Dekkeret obrócił Barjazida, zasłaniając się nim jak tarczą.

- Każ synowi rzucić nóż! - rozkazał. Barjazid milczał.

- Albo rzuci nóż, albo zgmiotę to urządzenie. Co wolisz? Głosem przypominającym warczenie Barjazid rozkazał synowi

odrzucić sztylet. Wylądował na piasku niemal u stóp Dekkereta, który zrobił krok i kopnął go za siebie. Podsunął opaskę przed oczy swego więźnia. Zrobiona była ze złota,

kryształu i kości. Wykonano ją bardzo starannie; dostrzegł tajemnicze przewody i złącza.

- Co to jest? - spytał.

-Już ci mówiłem. Zabawka. Proszę... oddaj mi ją, nim ją zniszczysz.

-Jak działa ta zabawka?

- Bawi mnie, gdy śpię - wyszeptał ochryple Barjazid. -Jak cię bawi?

- Wzmacnia moje sny tak, że są bardziej interesujące.

Dekkeret przyjrzał się jej bliżej.

- Gdybym ja ją założył, czy wzmocniłaby moje sny?

- Mogłaby uczynić ci krzywdę, kandydacie.

- Powiedz mi, jak działa na ciebie.

- Bardzo trudno to opisać.

- Postaraj się. Znajdź właściwe słowa. Jak zdołałeś dostać się do mojego snu,

Barjazidzie? Nie miałeś tam nic do roboty!

Mały człowieczek tylko wzruszył ramionami i powiedział niepewnie:

- Byłem w twoim śnie? Skąd miałbym wiedzieć, co dzieje się w twoim śnie? Każdy może pojawić się we śnie kogoś innego.

- Sądzę, że mogłeś dostać się do niego dzięki temu urządzeniu. I pomogło ci ono zorientować się, o czym śnię.

Barjazid milczał ponuro.

- Opisz mi jego działanie albo zgmiotę je na miazgę!

- Proszę!

Grube, mocne palce Dekkereta zamknęły się na jednym z delikatnych mechanizmów opaski. Barjazid westchnął głęboko, ze-sztywniał.

- No i co?

- Masz rację. To... coś... pozwala mi dostać się do śpiącego umysłu.

- Doprawdy? A skąd je masz?

- To mój własny wynalazek. Udoskonalałem go przez wiele lat.

- Podobny do maszyn na Wyspie Snu?

- Jest inny. Działa mocniej. Pani Wyspy może tylko przemawiać do ludzkich umysłów, ja czytam sny, kontroluję ich kształt, w znacznym stopniu panuję nad umysłem śpiącego.

- I to w całości twój wynalazek? Nie ukradłeś go z Wyspy Snu?

- To mój wynalazek - szepnął Barjazid.

Dekkeret poczuł gwałtowny przyływ wściekłości. Przez chwilę pragnął skruszyć tę maszynę jednym ruchem ręki, a potem rozgnieść na miazgę samego Barjazida. Pamiętając, jak Barjazid unikał odpowiedzi na pytania, omijał prawdę i po prostu kłamał, pamiętając, jak wdarł się w jego sny i zakłócił proces uzdrowienia, którego on sam tak bardzo potrzebował, jak w dar Pani, w błogosławiony wypoczynek, wplótł strach, cierpienie i niepewność, jak wtargnął w jego duszę, jak nią manipulował - Dekkeret poczuł wściekłość o niemal morderczym natężeniu. Serce waliło mu w piersi, w gardle mu zaschło, przed oczami pojawiła się mgła. Zacisnął dłoń na wykręconym ramieniu Barjazida, aż mały przewodnik jęknął, krzyknął... No jeszcze, jeszcze, złamje...

Nie! Gniew osiągnął szczyt i został powstrzymany siłą woli, zmuszony do odejścia w głęboką dolinę spokoju. Dekkeret zdołał się opanować, wyrównać oddech, powstrzymał łomotanie serca. Uwolnił Barjazida i pchnął go na ślizgacz; przewodnik zatoczył się i chwycił burty pojazdu. Z twarzy odpłynęła mu krew. Delikatnie pogładził nadwerężone ramię, a potem spojrzął na Dekkereta oczami, w których był strach, ból i nienawiść.

Ten zaś przyglądał się z zainteresowaniem dziwnemu instrumentowi, czubkami palców dotykając delikatnie jego skomplikowanych elementów. Potem podniósł go, jakby



chcąc nałożyć na głowę.

- Nie! - sapnął Barjazid.

- Co się stanie? Uszkodzę go?

- Tak. I tobie też może stać się krzywda.

Dekkeret skinął głową. Sądził, że Barjazid blefuje, ale nie miał ochoty sprawdzać. Po chwili spytał:

-A więc nie ma tu żadnych złodziei snów, żadnych złowrogich band

Zmiennokształtnych?

- Nie ma - szepnął Barjazid.

- To tylko ty, w tajemnicy, eksperymentowałeś z umysłami wędrowców, prawda?

-Tak.

- Zabijałeś ich.

- Nie! Nie chciałem nikogo zabijać. Jeśli ginęli, to tylko dlatego, że zaczęli się bać,

tracili orientację, uciekali tam, gdzie groziło niebezpieczeństwo... albo wędrowali we śnie, jak ty...

- Lecz ginęli, bo igrałeś z ich umysłami?

-Jak można być tego pewnym? Niektórzy pewnie tak, inni nie. Nie chciałem nikogo zabić. Pamiętaj, że kiedy zniknąłeś, natychmiast zaczęliśmy poszukiwania.

- Wynająłem cię, żebyś mnie prowadził i ochraniał. Q inni byli dla ciebie tylko obcymi, których atakowałeś z daleka, prawda?

Barjazid milczał.

- Wiedziałeś, że wskutek twoich doświadczeń giną ludzie, a jednak nadal eksperymentowałeś?

Odpowiedziało mu wzruszenie ramion.

- Kiedy się to wszystko zaczęło?

- Wiele lat temu.

- Dlaczego to robiłeś? Barjazid spojrzał w bok.

-Już raz ci powiedziałem. Nie odpowiadani na pytania zaczynające się od “dlaczego”.

- Mogę zniszczyć twą maszynę. -I tak ją zniszczysz.

- Nie. Masz. Jest twoja. -Co?

Dekkeret wyciągnął dłoń, na której spoczywała opaska.

- Masz. Weź ją. Ja jej nie potrzebuję.

- Nie zamierzasz mnie zabić? - zdumiał się Barjazid.

- Czy mam zostać twym sędzią? Jeśli stwierdzę raz jeszcze, że wypróbujesz ją na mnie, z pewnością cię zabiję. Ale w innych okolicznościach - nie. Nie lubię zabijać. I tak już dźwigam na duszy ciężar jednego grzechu. A poza tym potrzebuję cię, żeby wrócić do Thologhai. A może już o tym zapomniałeś?

- Oczywiście. - Barjazid wydawał się oszołomiony okazaną mu łaskawością.

-I dlaczego miałbym cię zabić?

- Za to, że wkroczyłem w twój umysł... że igrałem z twymi snami...

-Aha...

- Za to, że naraziłem twe życie na pustyni.

- Za to także.

- A jednak nie pragniesz się zemścić? Dekkeret potrząsnął głową.

- Manipulowałeś moją duszą i to mnie rozgniewało, ale gniew przeszedł i zniknął. Nie

ukarzę cię. Zawarliśmy układ, otrzymałem, za co zapłaciłem. Nawet to twoje urządzenie

okazało swą wartość. -Pochylił się ku Barjazidowi i mówił cichym, przekonującym głosem. -

Przybyłem na Suyrael pełen wątpliwości, niepewny siebie, przygnieciony poczuciem winy.

Chciałem oczyścić duszę przez cierpienia fizyczne. Byłem głupi. Cierpienia fizyczne dotyczą ciała i wzmacniają wolę, ale nie leczą ran duszy. Ty dałeś mi coś innego, ty i ten twój mechanizm. Torturowałeś mnie w snach, postawiłeś lustro naprzeciw mojej duszy - lustro, w którym mogłem się dokładnie obejrzeć. Ile z tego ostatniego snu zdołałeś odczytać, Barjazidzie?

- Byłeś w lesie... na północy... -Tak.

- Polowałeś. Twoja towarzyszka została ranna. Czy to prawda? -Mów dalej.

- Nie zwróciłeś na nią uwagi. Kontynuowałeś polowanie. A potem, kiedy wróciłeś, było już za późno. Winisz się za jej śmierć. Czuję tamtą winę. Czuję, z jaką mocą promieniuje z twojej duszy.

- Tak. Winę za śmierć tej kobiety będę niósł przez całe życie. Ale teraz nic już nie można dla niej zrobić, prawda?

Dekkeret poczuł, jak ogarnia go niezwykły spokój. Nie wiedział, co się stało, ale w śnie stanął wreszcie twarzą w twarz z tym, co zdarzyło się w Khyntorze, poznał prawdę o tym, co wtedy zrobił, a czego nie zrobił, zrozumiał w sposób, którego nie potrafił ująć w słowa, że bez sensu jest karać się przez całe życie za akt zwykłej beztroski, nieczułości i głupoty, że nadeszła chwila, w której trzeba przestać się oskarżać i wrócić do życia. Zaczął nareszcie przebaczać sam sobie. Szukał na Smraelu wybaczenia i w jakiś sposób wybaczenie to uzyskał. Powinien podziękować za nie Barjazidowi. Powiedział więc:

- Być może zdołałbym ją ocalić, a być może nie, ale myślałem o czymś innym i w mej głupocie pobiegłem dalej, by dokończyć polowania. Lecz nurzanie się w poczuciu winy nie przyspieszy odkupienia, prawda? Martwi pozostają martwi. Muszę oferować swe życie żywym. No już, zawracamy do Thologhai.

- A co z Ghyzyn Tor? Nie zamierzasz odwiedzić farm?

- To idiotyczna misja. Brak mięsa, zakłócenia handlu - te problemy już są rozwiązane.

Zabierz mnie do Thologhai.

- Co potem?

- Udamy się razem na Zamkową Górę. Zademonstrujesz to swoje urządzenie Koronalowi.

- Nie! - Po raz pierwszy odkąd go zobaczył, Barjazid był rzeczywiście przerażony. -

Błagam...

- Ojczy - powiedział Dinitak.

W promieniach pustynnego słońca chłopiec wydawał się płonąć wewnętrznym blaskiem. Na twarzy miał wyraz wściekłej, dzikiej dumy.

- Ojczy, udaj się z nim na Zamkową Górę. Niech pokaże swym panom, co tu mamy.

Barjazid oblizwał wargi.

- Boję się...

- Nie masz się czego bać. Nadchodzi nasz czas.

Dekkeret spojrział na jednego i drugiego, na przycichłego nagle, pomarszczonego starca i na zmienionego, promieniującego mocą chłopca. Wyczuwał, że jest to historyczny moment, że wielkie siły układają się tu w zupełnie nowy wzór, choć pojmował to z największą trudnością. Jednego był tylko pewien - jego przeznaczenie i przeznaczenie tych mieszkańców pustyni jest jakoś ze sobą związane; wiąże ich skonstruowana przez Barjazida maszyna do czytania snów.

- Co stanie się ze mną na Zamkowej Górze? - spytał nieśmiało jej twórca.

- Nie mam pojęcia - powiedział mu Dekkeret. - Być może zetną ci głowę i umieszczają na szczycie Wieży Stiamota. A może staniesz się nową Potęgą Majipooru?

Wszystko może się zdarzyć. Skąd mam wiedzieć? - Zdał sobie sprawę, że los Barjazida nic go

nie obchodzi, że nie czuje gniewu wobec tego drobnego człowieczka, tak lubiącego zabawiać się umysłami innych, a jedynym jego uczuciem jest dziwna, abstrakcyjna wdzięczność za to, iż mógł uporać się z demonami swej duszy. - Twój los spoczywa teraz w rękach Koronala. Jedno tylko jest pewne: udasz się ze mną na Zamkową Górę i zabierzesz ze sobą tę opaskę. Zawracaj do Thologhai.

- Dzień się jeszcze nie skończył. Słońce jest teraz najgorętsze. -Jakoś sobie poradzimy. Ruszamy, pojedziemy szybko. Musimy zdążyć na statek, lecz nim wyruszymy na Alhanroel, chcę spotkać się jeszcze z pewną kobietą.

Zdarzyło się to we wczesnej młodości tego, który miał zostać Koronalem Lordem Dekkeretem pod rządami Pontifexa Prestimiona. A chłopiec, Dinitak Barjazid, jako pierwszy z dynastii rządził z Suvraelu umysłami wszystkich śpiących mieszkańców Majipooru z tytułem Króla Snów.

## **MALARZ I ZMIENNOKSZTAŁTNI**

Weszło mu to w nałóg. Umysł Hissune'a otwierał się teraz na wszystkie kierunki, a Rejestr Dusz stał się dla niego nieskończonym wszechświatem nowej wiedzy. Ludzie mieszkający w Labiryncie pojmują świat w dość dziwny sposób - jest on dla nich jakby nieobecny, nierealny, składa się raczej z nazw niż rzeczywistych miejsc; wyłącznie mroczny, odcięty od świata Labirynt jest czymś konkretnym, a poza nim nie istnieje nic. Lecz Hissune odbył już, choć niejako per procura, podróże na wszystkie kontynenty, smakował nieznaną potrawę, widział dalekie krajobrazy, doświadczył zabójczych chłodów i morderczych upałów, a przy okazji zdobył także pewne pojęcie o tym, jak skomplikowany jest jego świat-pojęcie, którego, jak podejrzewał, nie miał nikt inny. Nie musiał już podrabiać przepustek i pozwoleń - był tak częstym gościem archiwum, że wystarczyło skinienie głowy, by został wpuszczony do środka, a wewnątrz miał do dyspozycji miliony minionych dni Majipooru. Często używał kapsuły tylko przez sekundę lub dwie, a następnie wyłączał ją, zdecydowawszy, iż nie dowie się niczego nowego. Bywały dni, kiedy od rana przeglądał pięć, dziesięć, nawet kilkanaście nagrań, jedno po drugim. Wiedział doskonale, że dusza każdego człowieka jest całym wszechświatem, lecz nie wszystkie wszechświaty są równie interesujące. To, czego mógł się nauczyć z życia kogoś, kto całe życie zamiatał ulice Piliploku lub w otoczeniu Pani mrucał modlitwy, nie wydawało mu się szczególnie użyteczne, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę inne możliwości. Odtwarzał zatem kapsuły, odsyłał je i brał następne, sondując historię Majipooru

raz tu, raz tam; wciąż szukając kontaktu z umysłem, po którym mógłby się spodziewać prawdziwego objawienia. Odkrył, że nawet Koronalowie i Pontifexowie potrafią być nudni. Zawsze jednak istniała możliwość odnalezienia czegoś cudownego i niespodziewanego -jak na przykład zapis przeżyć człowieka, który zakochał się w Metamorfie...

To właśnie przesyt doskonałością kazał malarzowi Therionowi Nismile porzucić krystalicznie czyste piękno Zamkowej Góry i szukać schronienia na zachodnim kontynencie. Całe swe dotychczasowe życie Nismile spędził wśród cudów Góry, podróżując pomiędzy Pięćdziesięcioma Miastami zgodnie z rytmem swej zawodowej kariery, zmieniając jeden rodzaj cudów na inny - niespiesznie, regularnie co kilka lat. Urodził się w Dundilmirze; jego pierwsze płótna były scenami z Ognistej Doliny, pełnymi pasji i energii młodości. Później przez kilka lat mieszkał w cudownym Canzilaine, słynnym z mówiących posągów, i w zdumiewającym Stee, przez którego przedmieścia jedzie się trzy dni, i w złotym Halanx, leżącym tuż poniżej Zamku, wreszcie przez pięć lat w samym Zamku, gdzie malował na dworze Koronala Lorda Thrayma. Jego dzieła ceniono za ich spokojną elegancję i doskonałość formy, oddającą w najwyższym stopniu nieskażone piękno Pięćdziesięciu Miast. Jednakże takie piękno wyjaławia duszę i paraliżuje instynkt artysty. Gdy Nismile skończył lat czterdzieści, odkrył, że perfekcja równa się stagnacji i że on sam zaczyna nienawidzić swych najslawniejszych prac, a jego duszy niezbędna jest zmiana, coś nieprzewidzianego.

Kryzys nastąpił w ogrodach Bariery Tolignar, w cudownym parku na równinie pomiędzy Dundilmirem a Stipool. Koronal zamówił cykl obrazów, którymi zamierzał udekorować pergolę, budowaną na obrzeżach Zamku. Nismile posłusznie odbył długą podróż po zboczach ogromnej Zamkowej Góry, objechał siedemdziesięciokilometrowy park i wybrał miejsca, w których zamierzał pracować. Pierwsze płótno umieścił na Przylądku Kazkas, z którego kształt ogrodu rysował się wyraźnie niczym zielone, symetryczne, pulsujące zwoje.

Zakochał się w tym miejscu, kiedy był jeszcze małym chłopcem; na całym Majipoorze nie było drugiego równie uporządkowanego i pogodnego. Ogrody Tolignar składały się z roślin hodowanych tak, by same utrzymywały się w nadnaturalnym porządku. Nie dotknęły ich nigdy nożyce ogrodnika, rosły same, zachowując pełną wdzięku równowagę, same regulowały zajmowaną przestrzeń, wymieniały się, zwalczały chwasty w otoczeniu, kontrolowały swój kształt i proporcje - tak, by zachował się pierwotny plan. Jeśli uznały to za konieczne, same zrzucały liście i gałęzie, które krążące w ziemi enzymy zmieniały w użyteczny nawóz. Lord Havilbove ponad sto lat temu założył ten ogród, a jego następcy, Lord Kanaba i Lord SIRRUTH, utrzymywali go dalej, a nawet rozszerzyli program modyfikacji genetycznych. Plan ich zaowocował w pełni pod rządami Lorda Thrayma. Ogród będzie teraz trwał, wieczny i niezmienny, doskonały doskonałością, którą w swych dziełach miał uchwycić malarz Nismile.

Stanął naprzeciw psychoczułego płótna, wziął głęboki oddech, napełniając płuca aż do końca - przygotował się do wejścia w trans. Za chwilę jego dusza opuści ciało; obraz z mózgu w jednej chwili pojawi się na płótnie, utrwalając niezwykłą intensywność wizji. Po raz ostatni spojrzał na łagodne wzgórza, na doskonały kształt krzewów, na piękne kontury liści... i zalała go fala buntowniczej wściekłości, tak potężna, że zadrżał, zachwiał się i niemal upadł.

Nieruchomy pejzaż, niezmiennie, sterylne piękno, nieskazitelny ogród bez niespodzianek czynił jego samego zbędnym i bezużytecznym - sam ogród był równie trwały jak obraz i równie jak on martwy, zaklęty w swych bezbłędnych formach aż do skończenia czasu. Jakież to ohydne! Jakże nienawistne! Nismile kołysał się, przyciskając zaciśnięte w pięści dłonie do pulsującej czaszki. Usłyszał - dochodzący jakby z bardzo daleka - szmer głosów towarzyszących mu ludzi, a kiedy otworzył oczy, zobaczył ich, jak zaskoczeni i przerażeni wpatrują się w poczerńiałe, pokryte plamami płótno. "Zakryjcie je!" - krzyknął i wokół



wszczął się ruch, a w środku tego malarz Nismile stał nieporuszony jak posąg. Kiedy znów mógł mówić, powiedział spokojnie: “Zawiadomcie Lorda Thrayma, że nie mogę wykonać jego zamówienia”.

Tego samego dnia w Dundilmirze kupił wszystko to, co mogło mu być potrzebne podczas długiej podróży na niziny i dalej, na szerokie, bagniste równiny rzeki Inyan, i jeszcze dalej, podczas spływania łodzią po tej leniwej rzece, aż do portu na zachodzie, Alaisoru. W Alaisorze, po miesiącach oczekiwania, dostał się na statek płynący do Numinoru na Wyspie Snu. Mieszkał tam miesiąc. Później na statku pielgrzymim pożegłował do Piliploku, na dziki kontynent Zimroel. Wiedział, że tam nie będzie go nękać elegancja i doskonałość. Tylko osiem czy dziewięć miast na wybrzeżu, w istocie zaledwie przygranicznych osad; wewnątrz kontynentu pokrywała dzika puszcza, do której cztery tysiące lat temu Lord Stiamot wygnał Metamorfów. W takim otoczeniu człowiek zmęczony cywilizacją może się duchowo odrodzić.

Nismile spodziewał się, że Piliplok będzie brudną dziurą, lecz ku jego zaskoczeniu okazało się ono ogromnym, starożytnym miastem, zbudowanym według sztywnego geometrycznego planu. Wydało mu się wstrętne i przygnębiające - popłynął więc łodzią w górę rzeki Zimr. Podróżując minął wielkie miasto Ni-moya, słynne nawet wśród mieszkańców innych kontynentów. Nie zatrzymał się tam, lecz w miasteczku Verf powodowany nagłym kaprysem opuścił łódź i wynajętym powozem pojechał na południe, w głąb lasów. Kiedy znalazł się już tak daleko, że nie dostrzegął wokół żadnych śladów cywilizacji, zatrzymał się i na brzegu bystrego, ciemnego potoku wybudował chatę. Trzy lata minęły od dnia, w którym opuścił Zamkową Górę. Całą podróż odbył sam; odzywał się do innych tylko zapytany; nie malował w ogóle.

Dopiero tu Nismile poczuł się uleczony. Na Zamkowej Górze, z jej sztucznie

kontrolowanym klimatem, panowała nie kończąca się nigdy słodka wiosna. Syntetyczne powietrze było czyste i ciepłe, deszcz padał w przewidzianych, regularnych odstępach. Teraz zaś mieszkał w wilgotnych, podmokłych lasach, rosnących na gąbczastej, żyznej glebie. Opary i mgła snuły się między drzewami, deszcz padał często, rośliny rosły chaotycznie; nie uporządkowana, anarchiczna wegetacja była tak niepodobna do symetrii Bariery Tolignan, jak tylko można sobie wyobrazić. Nismile chodził niemal nago; metodą prób i błędów nauczył się, które jagody, korzenie i kielki można jeść bez szkody dla zdrowia; wymyślił plecione siatki, umożliwiające łapanie ryb, które błyskały w strumieniu niby rakiety. Godzinami spacerował po dżungli, nie tylko poznając jej niezwykle piękno, lecz także czerpiąc radość z niepewności, czy potrafi znaleźć drogę powrotną do chaty. Śpiewał często, głośno i fałszywie; nie robił tego nigdy na Zanikowej Górze. Czasami przygotowywał płótna, lecz zawsze zostawiał je nietknięte. Układał nonsensowne poematy, zmysłowe ciągi sylab i śpiewał je swemu audytorium: smukłym wysokim drzewom i w niepojęty sposób splątanych pnączom. Czasami zastanawiał się, co też dzieje się na dworze Lorda Thrayma i czy Koronał najął innego artystę, który wykona dla niego dekorację pergoli, czy halatingi kwitną już na drodze do Wysokiego Morpin. Lecz takie myśli pojawiały się rzadko.

Stracił poczucie czasu. Minęło cztery, pięć, może nawet sześć tygodni - tego nie wiedział - nim spotkał pierwszego Metamorfa.

Spotkanie miało miejsce na bagnistej łące, trzy kilometry od chaty w górę strumienia.

Nismile poszedł tam, by zebrać soczyste, szkarłatne cebulki lili błotnych, z których po roztarciu wypiekał namiastkę chleba. Trzeba ich było szukać głęboko - wykopywał cebulki ryjąc w mule rękami zanurzonymi aż po ramiona, macając dłońmi, z policzkiem przyciśniętym do ziemi. Akurat wyprostował się, brudny i oślizgły od błota, zaciskając cebulki w mokrej dłoni, gdy stwierdził ze zdumieniem, że ktoś przygląda się mu spokojnie z

odległości kilkunastu metrów.

Nigdy przedtem nie widział Metamorfa. Tybylcy lud Majipooru został na zawsze wygnany z głównego kontynentu, Alhanroelu, gdzie Nismile przeżył całe swoje życie.

Wiedział jednak mniej więcej, jak wyglądają, i był pewien, że to właśnie jednego z nich spotkał teraz: niezwykle wysoka, delikatnie zbudowana istota o żółtawej skórze, spiczastej twarzy i skośnych oczach, z ledwie zaznaczonym nosem i grubymi, jakby gumowymi gęstymi włosami o bladozielonym odcieniu. Metamorf ubrany był wyłącznie w skórzaną plecionkę na biodrach, przy której wisiał krótki ostry sztylet z czarnego, polerowanego drewna. Z niezwykle godnością stał na jednej, długiej i kruchej nodze, mając drugą owiniętą wokół goleni. Wyglądał jednocześnie złowieszczo i łagodnie, groźnie i komicznie. Nismile zdecydował, że nie ma się czego obawiać.

- Cześć - powiedział pogodnie. - Nie przeszkadza ci, że zbieram tu bulwy?

Metamorf milczał.

- Mam chatę w dole strumienia. Nazywam się Therion Nismile. Byłem psychomalarzem, gdy jeszcze mieszkałem na Zamkowej Górze.

Metamorf przyglądał mu się poważnie. Błysk trudnego do odczytania uczucia przemknął przez jego twarz. Obrócił się w stronę dżungli i znikł w niej niemal natychmiast.

Nismile tylko wzruszył ramionami i znów zabrał się do szukania cebulek.

Tydzień lub dwa później spotkał innego Metamorfa - a może tego samego? Tym razem obdzierał z kory pnącze, z którego zamierzał wykonać linę do pułapki na bilantoon. I znów tubylec nie wypowiedział ani słowa; pojawił się przed Nismilem jak widmo i obserwował go, stojąc w tej samej chwiejnej pozycji. Po raz drugi Nismile próbował wciągnąć go w rozmowę. Metamorf znikł jednak jak duch po pierwszych słowach. "Czekaj - krzyczał za nim Nismile - chciałem tylko z tobą porozmawiać! Ja..." Lecz był już sam.

Kiedy w kilka dni później zbierał drzewo na opał, poczuł, że znów ktoś mu się przygląda. Natychmiast zwrócił się do Zmienno-kształtnego:

- Złapałem bilantoona i zamierzam go upiec. Mam więcej mięsa niż potrzebuję. Zjesz ze mną kolację?

Metamorf uśmiechnął się; przynajmniej on wziął ten grymas za uśmiech, choć mógł on oznaczać wszystko i -jakby próbując odpowiedzieć - zmienił się nagle: w lustrzane odbicie samego Nismile'a, krępego, muskularnego, o ciemnych, przenikliwych oczach i długich do ramion czarnych włosach.

Nismile aż zamrugał ze zdumienia i zadrżał. Odzyskał jednak panowanie nad sobą; pomyślał, że mimikra też może być formą komunikacji. Powiedział:

-Wspaniale! Nie zauważyłem nawet, jak to zrobiłeś!

Skinął głową.

- Chodź. Przygotowanie kolacji potrwa jeszcze z półtorej godziny. Mamy czas na rozmowę. Rozumiesz nasz język, prawda?

Rozmowa z samym sobą wydawała mu się czymś niezwykle dziwnym.

- Powiedz coś. Powiedz mi, czy jest blisko jakaś osada Metamorfów... Piurivarów? - poprawił się szybko pamiętając, jak Metamorfowie nazywają samych siebie.

- Co? Wielu Piurivarów w okolicy, w dżungli? Ponownie uczynił gest dłonią.

- Chodź ze mną do mojej chaty. Rozpalimy ogień. Czy nie masz czasem wina? To chyba jedyna rzecz, za jaką tęsknię: dobre, mocne, ciężkie wino - takie jakie robią w Muldemarze. Chyba go już nigdy nie spróbuję, lecz na Zimroelu też robią wino, prawda? No, powiedz...

Lecz Metamorf odpowiedział tylko grymasem, który zmienił twarz Nismile'a w coś obcego i dziwnego, choć być może pomyślany był jako uśmiech, i spokojnym, miękkim

krokiem odszedł w dżungle.

Przez pewien czas Nismile miał nadzieję, że wróci z butelką wina, lecz Metamorf nie wrócił. Zdumiewające istoty. Czy gniewało je, że osiedlił się na ich terytorium? Czy obserwowali go z obawy, że stanowi zapowiedź nadchodzącej fali ludzkich osadników? Dziwne, ale nie odczuwał niebezpieczeństwa, choć wszyscy przecież uważali Metamorfów za nieprzyjaznych ludziom, a już z pewnością za istoty niepokojące, obce, nieodgadnione. Wiele opowiadano o tym, jak napadają na pograniczne osiedla ludzkie i nikt nie wątpił, że lud Zmiennokształtnych żywi nienawiść do tych, którzy najechali jego planetę, wyzuli z dziedzictwa i zepchnęli w dżunglę. Nismile uważał się jednak za człowieka dobrej woli, człowieka, który nigdy nie wyrządził nikomu krzywdy i pragnie tylko żyć na swój sposób; wyobrażał też sobie, że jakiś wyczulony zmysł powie Metamorfom, że nie jest wrogiem, a nawet - że pragnie zostać ich przyjacielem. Brakowało mu kogoś, z kim mógłby porozmawiać, bardzo długo już był samotny, a wymiana myśli z przedstawicielami rasy tak obcej mogłaby być jednocześnie wyzwaniem i nagrodą. Może mógłby nawet któregoś z nich namalować? Przecież ostatnio myślał o tym, żeby powrócić do swej sztuki, aby raz jeszcze doświadczyć momentu twórczej ekstazy, w którym dusza przekracza przepaść dzielącą ją od psychoczułego płótna i odciska na nim wrażenia, kształtowane wyłącznie przez osobowość artysty. Z pewnością całkowicie różnił się teraz od nieszczęśliwego człowieka, który mieszkał niegdyś na Zamkowej Górze; różnica ta musiałaby uwidocznic się także w obrazach. Przez kilka kolejnych dni próbował ułożyć przemowę, którą mógłby zdobyć zaufanie Metamorfów, przezwyciężyć ich niezwykłą wstydliwość, tę delikatność, uniemożliwiająca jakikolwiek kontakt. Po pewnym czasie, myślał, przyzwyczają się do mnie, zaczną mówić, przyjmą zaproszenie na ucztę, może będą mi pozować...

Mijały dni, a żaden Metamorf się nie pojawił. Nismile wędrował po lesie, pełen

nadziei zaglądał w najgęściejsze zarośla na zdradliwych bagnach - i nie znajdował nikogo.

Zdecydował więc, że był najprawdopodobniej zbyt śmiały, wystraszył krajowców - tyle zostało z opowieści o okrucieństwie potwornych Metamorfów! - i po jakimś czasie stracił nadzieję na dalsze spotkania. Ale - rzecz niepokojąca! - nie tęsknił za towarzystwem, dopóki nie spodziewał się żadnego, natomiast świadomość, że wokół żyją istoty inteligentne, obudziła w nim niełatwe do zniesienia poczucie samotności.

Wiele tygodni po ostatnim spotkaniu z Metamorfem, pewnego gorącego, wilgotnego dnia Nismile kąpał się w głębokim, chłodnym stawie, niespełna dwa kilometry od jego chatki, gdy nagle zobaczył jasną, smukłą postać, poruszającą się szybko aleją z błękitnolistnych krzewów rosnących wzdłuż brzegu. Wygramolił się z wody, ocierając sobie kolana na kamieniach.

- Czeka! - zawołał. - Proszę... nie bój się... nie odchodź. Postać znikła, lecz Nismile, przedarłszy się szybko przez krzaki,

po paru minutach dostrzegł ją znowu jak stała opierając się niedbale o ogromne drzewo o jaskrawoczerwonej korze.

Zdumiony, stanął jak wmurowany, nie był to bowiem Metamorf, ale człowiek.

Kobieta.

Smukła młoda naga dziewczyna - gęste kasztanowate włosy, wąskie ramiona, małe, wysoko osadzone piersi, błyszczące, wesołe oczy. Wydawała się zupełnie spokojna, nie bała się go - leśny duszek wyraźnie uradowany zabawą. Kiedy tak stał, wytrzeszczając na nią oczy, niespiesznie obejrzała go sobie od góry do dołu i z czystym, dźwięcznym śmiechem powiedziała:

- Cały jesteś podrapany. Nie potrafisz lepiej biegać po lesie?

- Nie chciałem, żebyś mi uciekła.

- Och, nie miałam zamiaru. Wiesz, przyglądałam ci się długo, nim mnie zauważyłeś.

Jesteś mężczyzną z tej chaty, prawda?

- Tak. A ty...? Gdzie mieszkasz?

- Tu i tam - odpowiedziała lekko.

Patrzył na nią z zachwytem. Jej piękność sprawiała mu przyjemność, jej bezwstyd zdumiewał. To chyba złudzenie, pomyślał. Skąd się tu wzięła? Co ludzka istota robi tu, w tej pierwotnej dżungli?

Ludzka?

Oczywiście nie - zorientował się Nismile i ogarnął go nagły, głęboki żal, smutek dziecka, któremu we śnie ofiarowano wymarzony skarb i które obudziło się z pustymi rękami, w smutnej rzeczywistości. Przypomniawszy sobie, jak łatwo Metamorf naśladował jego samego i pojął ponurą prawdę: ma do czynienia z oszustwem, maskaradą. Wpatrywał się w dziewczynę, szukając w niej cech jej prawdziwej rasy, jej pierwotnej postaci - ostrych jak nóż kości policzkowych, skośnych oczu. Ładna, zuchwała twarzyczka była tak ostatecznie, tak przekonywająco ludzka! A jednak było niemal nieprawdopodobne, by spotkał tutaj innego człowieka. Istniało o wiele większe prawdopodobieństwo, że to Zmiennokształtny, oszust...

Nie chciał uwierzyć. Postanowił zdemaskować ewentualny podstęp świadomym aktem wiary - w nadziei, że to właśnie wiara uczyni nieznaną tym, kim wydawała się być.

-Jak się nazywasz?

- Sarise. A ty?

- Nismile. Gdzie mieszkasz? -W lesie.

- Są tu gdzieś niedaleko jakieś ludzkie osady? Wruszyła ramionami.

- Żyję samotnie.

Podeszła; czuł, jak napinają mu się mięśnie ud, czuł ucisk w brzuchu, czuł, jak pali go

skóra, gdy zbliżyła się i jej palce dotknęły lekko skaleczeń, które pnącza zostawiły na jego ramionach i piersi.

- To tylko zadrapania. Boli?

- Zaczyna boleć. Powiniennem je obmyć.

- Tak. Wróćmy nad jezioro. Znam lepszą drogę niż ta, którą biegłeś. Chodź za mną.

Odgarnęła gęstą kępę paproci; kryła się tam wyraźna, wygodna ścieżka. Pobiegnęła lekko, a on pospieszył za nią, zachwycony wdziękiem jej ruchów, grą mięśni jej pleców i pośladków. Skoczył do stawu w chwilę po niej; bawili się, psykali wodą. Chłodna woda kołał ostry ból zadrapań. Kiedy wyszli, zapragnął wziąć ją w ramiona, przytulić, lecz nie miał odwagi. Leżeli na brzegu gęsto porośniętym mchem; w jej oczach błyszczała przekora.

- Moja chata jest blisko. -Wiem.

- Chcesz tam pójść?

- Innym razem, Nismile.

- Dobrze, innym razem.

- Skąd pochodzisz, Nismile?

- Urodziłem się na Zamkowej Górze. Wiesz, co to jest? Byłem malarzem. Malowałem psychoobrazy na dworze Koronala. Wiesz, co to są psychoobrazy? Myślę - i dzięki psychoczułemu płótnu... Pokażę ci to zresztą. Mogę cię namalować, Sarise! Przyglądam się czemuś, ogarniam to myślą, przyjmuję głęboko w siebie jego istotę, wpadam w rodzaj transu, niemal jak sen na jawie, zmieniam to, co widziałem, w coś najpełniej mojego, własnego - i rzucam na płótno; chwytam prawdę w jednym, błyskawicznym wybuchu przemiany...

Przerwał.

- Najlepiej będzie, jak cię namaluję. Wydawało mu się, że Sarise nie chce go słuchać.

- Chcesz mnie dotknąć, Nismile?



- Tak, bardzo chcę.

Gruba warstwa turkusowego mchu była miękka jak dywan. Przysunęła się, jego ręce uniosły się nad jej ciałem, wahał się, nadal był pewien, że to Metamorf, bawiący się w jakąś perwersyjną grę. Dziedzictwo tysięcy lat lęku i wstrętu ujawniło się właśnie teraz; przerażała go myśl, że gdy jej dotknie, poczuje pod palcami coś lepkiego, zimnego i wstrętnego, bo tak właśnie wyobrażał sobie skórę Metamorfa, lub że Sarise zmieni się w jego objęciach w obce, nieznanne stworzenie. Leżała z zamkniętymi oczami, usta miała rozchylone, pomiędzy wargami poruszał się ruchliwy jak u węża język. Oczekiwała go. Pełen strachu zmusił się do opuszczenia dłoni, dotknął jej piersi i ciało okazało się ciepłe, podatne, takie jakim powinno być ciało młodej dziewczyny; takim właśnie przypominał je sobie po latach samotności. Z krótkim okrzykiem wtuliła się w jego objęcia. W jednej straszliwej chwili przemknął mu pod zamkniętymi powiekami obraz kanciastej, beznosej, długonogiej, groteskowej postaci Metamorfa, lecz zdołał odepchnąć go od siebie i oddał się jej gibkiemu, silnemu ciału. Jeszcze długo później leżeli obok siebie spokojnie, trzymając się za ręce i nic nie mówiąc. Nawet kiedy zaczął padać deszcz, nie poruszyli się, pozwalając kroplom zmywać pot ze swoich ciał. Nismile otworzył w końcu oczy i stwierdził, że dziewczyna obserwuje go bardzo uważnie.

- Chcę cię namalować - powiedział. -Nie.

- Nie teraz. Jutro. Przyjdiesz do chaty... -Nie.

- Nie malowałem od lat. To dla mnie bardzo ważne. Chcę zacząć od nowa. I bardzo chcę namalować ciebie.

- A ja bardzo nie chcę, żeby mnie malowano.

- Proszę!

- Nie - powiedziała spokojnie. Odsunęła się od niego i wstała. -Maluj las. Maluj

jeziorko. Nie maluj mnie, dobrze? Dobrze, Nismile?

Zgodził się, choć czuł się nieszczęśliwy.

- Teraz powinnam odejść.

- Powiesz mi, gdzie mieszkasz?

- Już ci powiedziałam. Tu i tam. W lesie. Dlaczego zadajesz tyle pytań?

- Chcę móc cię odnaleźć. Jeśli znikniesz, nie będę wiedział, gdzie cię szukać.

- Ja wiem, gdzie cię znaleźć. To wystarczy.

- Przyjdiesz do mnie jutro? Do chaty?

- Może.

Wziął ją za rękę i próbował przyciągnąć do siebie, przytulić. Lecz teraz to ona była niechętna, daleka. Była tajemnicą, o której nie mógł przestać myśleć. Nie powiedziała mu o sobie nic, zupełnie nic, oprócz imienia. Trudno było uwierzyć, że - tak jak on - żyła samotnie w dżungli; wątpił też, by mógł przeoczyć istnienie gdzieś w pobliżu ludzkiego osiedla.

Najprostszym wyjaśnieniem było nadal to, że ma do czynienia z Metamorfem, który wdał się, Bóg jeden wie z jakich powodów, w romans z człowiekiem. Całą siłą woli odrzucał tę myśl, a jednak była ona najbardziej oczywista. Lecz przecież Sarise wyglądała jak człowiek, czuła jak człowiek, zachowywała się jak człowiek. Jak dokładnie Zmiennokształtni potrafią naśladować inne formy życia? Chciał nawet zapytać ją wprost o to, do jakiego stopnia jego podejrzenia są słuszne, lecz nie byłoby to najmądrzejsze, nie odpowiedziała na żadne z jego pytań, nie odpowiedziałaby i na to. Zadawał je więc sam sobie, a ona wyzwoliła się łagodnie z jego uścisku, uśmiechnęła, przesłała mu w powietrzu pocałunek, podeszła do ukrytej za krzakami paproci ścieżki i znikła.

Nismile czekał przed chatą cały następny dzień. Nie przyszła i to go nie zdziwiło. Ich spotkanie było snem, marzeniem, zdarzeniem poza czasem i przestrzenią. Nie spodziewał się,

że kiedykolwiek ją jeszcze spotka. Pod wieczór rozpakował płótno, które zabrał ze sobą, i ustawił je. Pomyślał, że warto byłoby namalować pejzaż widoczny z chaty w chwili, gdy zmierzch nasycy purpurą leśne powietrze. Studiował ten pejzaż długo, patrzył na smukłe linie drzew i ciężkie poziome linie gęsto rosnących krzaków owocujących żółtymi jagodami. W końcu złożył płótno, potrząsając głową. Nic tu nie wymagało malowania. Rano, pomyślał, wybiorę się na spacer w górę strumienia, aż za łąkę, tam gdzie mięsiste, soczyste czerwone kaktusy wyrastają jak kauczukowe ostrza z głębokich szczelin między głazami. To chyba bardziej obiecująca sceneria.

Jednak rano znalazł mnóstwo przyczyn, by odwlec wyprawę, a w południe było już rzeczywiście zbyt późno. Pracował w małym ogródku, zaczął przesadzać niektóre krzewy, których liście i owoce były jadalne - było to bardzo czasochłonne zajęcie. Późnym popołudniem las ogarnęła gęsta mgła. Wszedł do domu i po chwili usłyszał pukanie do drzwi.

- Straciłem nadzieję - powiedział.

Czoło i brwi Sarise ociekały wodą. Mgła, pomyślał; a może tańczyła, idąc do mnie?

- Obiecałam, że przyjdę. - Wczoraj.

- Dzisiaj jest wczoraj. - Roześmiała się i pokazała wyjętą z fałd długiej szaty butelkę. -

Lubisz wino? Przyniosłam trochę. Szukałam go daleko. Wczoraj.

Było to młode szare wino z rodzaju tych, które rozpryskują się na języku kłującymi bąbelkami. Butelka nie miała nalepki; przypuszczał, że to jakieś wino z Zimroelu, nieznanne na Zamkowej Górze. Wypili wszystko - on więcej, bo napełniała co chwilę jego kubek - a kiedy już zabrakło wina, wyszli chwiejnie; kochał się z nią na chłodnej, wilgotnej ziemi przy brzegu strumienia. Potem zdrzemnęli się. Obudziła go wczesnym wieczorem i zaprowadziła do łóżka. Przespali noc razem, mocno do siebie przytuleni, a rano nie zdradzała ochoty, by odejść. Poszli nad jezioro, zaczęli dzień od kąpieli, kochali się znowu na turkusowych

mchach; przyprowadziła go do ogromnego drzewa o czerwonej korze, pod którym spotkali się po raz pierwszy, pokazała mu żółty, wielki owoc o średnicy trzech, a może nawet czterech metrów, który spadł z jednej z potężnych gałęzi. Nismile przyglądał mu się z powątpiewaniem. Owoc pękł, w jego wnętrzu widać było szkarłatną masę o konsystencji kremu, najeżoną wielkimi, błyszczącymi, czarnymi nasionami. "Dwikka - powiedziała Sarise. - Upijemy się!" Zdjęła ubranie, zawinęła w nie wielkie kawały dwikki, odnieśli je do chaty i jedli przez cały ranek. W południe śmiali się i śpiewali, na kolację usmażyli złapaną przez niego rybę, a jeszcze później leżeli przytuleni, patrząc jak zapada noc. Sarise zadawała tysiące pytań: o jego życie, chłopięce lata, o malarstwo, Zamkową Górę, Pięćdziesiąt Miast, Sześć Rzek, dwór Lorda Thrayma, o Zamek z tysiącami sal. Pytania płynęły jak rzeka; nim Nismile zdołał odpowiedzieć na jedno, już padało następne. Jej żądza wiedzy była niewyczerpana i to właśnie go powstrzymywało, choć bowiem pragnął zapytać ją o wiele rzeczy - chciał wiedzieć wszystko! - nie mógł tego zrobić. Wcale mu to nie przeszkadzało; wątpił, by udzieliła mu odpowiedzi.

- Co będziemy robili jutro? - spytała wreszcie.

I tak zostali kochankami. Przez pierwsze kilka dni niemal nie pracowali; pili, kochali się, jedli odurzające owoce dwikki. Nismile nie obawiał się już, że Sarise zniknie tak niespodziewanie, jak się pojawiła. Powódź pytań po pewnym czasie ustała, lecz nawet teraz nie pragnął dowiedzieć się o niej niczego; wolał mieć do czynienia z nie rozwiązana tajemnicą.

Nadal jednak nie opuściła go obsesyjna myśl, że Sarise to Metamorf. Przerażało go, że jej piękno może być kłamstwem, że ukrywa się pod nim kształt groteskowy i obcy. Bał się zwłaszcza wtedy, gdy przesuwał dłońmi po chłodnej, gładkiej, słodkiej skórze jej piersi i ud. Walczył ze strachem nieustannie, lecz podejrzenia nigdy do końca nie znikły. W tej części

Zimroelu nie spotykało się przecież ludzkich siedzib i wydawało się prawie niemożliwe, by ta dziewczyna, tak młoda, wybrała, jak on, pustelnicze życie. O ileż jest bardziej prawdopodobne, myślał Nismile, że urodziła się tutaj, że jest jedną z wielu Zmiennokształtnych, pojawiających się jak duchy wśród wilgotnych lasów. Gdy spała, czuwał często, obserwując w świetle gwiazd, czy nie traci ludzkich kształtów. Nigdy się to nie zdarzyło, ale on nigdy nie przestał wątpić.

A jednak - w naturze Metamorfów nie leżało wszak poszukiwanie ludzi lub okazywanie im ciepłych uczuć. Dla większości mieszkańców Majipooru tubylcy byli powstałymi z grobu upiorami przeszłości, nieprawdziwymi, legendarnymi. Dlaczego jeden z nich miałby odszukać go w jego kryjówce, ofiarować mu się w tak przekonywającym miłosnym oszustwie, dokładać starań, by umilić mu dni i rozjaśnić noc? W swoich szaleńczych koszmarach widywał czasami Sarise powracającą do swego zwykłego kształtu, stojącą nad nim i godzącą w jego gardło ostrym drewnianym sztyletem. Kara za zbrodnie przodków. Jakież to głupie - gdyby Metamorfowie istotnie chcieli go zabić, mieli wiele innych możliwości i nie musieliby uciekać się do tak skomplikowanych intryg.

Niemal tak samo bezsensowna była wiara, że Sarise jest Meta-morfem, jak wiara, że nim nie jest.

By odpędzić podobne myśli, Nismile zdecydował się powrócić do swojej sztuki.

Pewnego jasnego słonecznego dnia powędrowali razem w kierunku skał porośniętych czerwonymi kaktusami. Zafascynowana, obserwowała jego przygotowania.

- Malujesz wyłącznie myśląc o obrazie?

- Wyłącznie. Przygotowuję obraz w duszy, powiększam i ubarwiam jego fragmenty, a później... zobaczysz.

- Naprawdę mogę patrzeć? Nie przeszkodzę ci?

- Oczywiście, że nie.

- Ale gdyby inny umysł dotknął płótna...

- Wykluczone. Wszystkie są nastrojone na mnie.

Pochylił się, patrzył przez złożoną z palców ramkę, poruszał się w tę i tamtą stronę.

Gardło miał suche, ręce mu drżały. Czy nie utracił swego daru? Nie zapomniał techniki?

Wyrównał płótno, dostroił się do niego. Scena była dobra: jasna, niecodzienna, kontrasty kolorystyczne wydawały się wystarczająco wyraźne, aspekty kompozycyjne wymagały pomysłowości - potężna skała, niesamowite, czerwone mięsiste rośliny, drobne żółte kwiaty na końcach łodyg, światło słońca przesiane przez liście - tak, to powinno się udać, powinno pomóc we właściwym uchwyceniu wizji gęstej, splątanej dżungli, tego miejsca nieustannie zmieniających się kształtów...

Zamknął oczy. Trans. Obraz wędruje na płótno.

Zaskoczona Sarise krzyknęła cicho.

Nismile poczuł, jak pot ścieka mu po ciele; chwiał się, oddychał z wielkim trudem.

Gdy odzyskał już pełną świadomość, spojrzął na płótno.

-Jakie to piękne - wyszeptała Sarise.

Obraz zdumiał go i przeraził. Ukośne linie kompozycyjne przyprawiały o zawrót głowy, zamazane smugi kolorów, ciężkie, oleiste niebo wiszące posepnie nad horyzontem - nie wyglądało to jak scena, którą malował. I, co gorsze, nie wyglądało to na dzieło, które mógłby stworzyć Therion Nismile. Obraz był ciemny i pełen bólu, zmieniony przez zawarty w nim niezamierzony fałsz.

- Nie podoba ci się?

- To nie to, co chciałem namalować.

- Nawet jeśli... jak wspaniale jest, kiedy obraz sam pojawia się na płótnie. Taki

piękny...

- Uważasz, że jest piękny?

- Oczywiście. A ty nie?

Patrzył na nią. Obraz? Piękny? Chce mi pochlebić? Nie zna obowiązujących gustów?

A może jej się to rzeczywiście podoba? To dziwne, przepełnione bólem dzieło, ponure i obce...

Obce.

- Nie podoba ci się. - Tym razem było to stwierdzenie.

- Nie malowałem od czterech lat. Może powinienem wracać do pracy powoli, stopniowo, szukać właściwej drogi, próbować...

- Zepsułam ci obraz.

- Ty? Nie bądź głupia.

- Jest w nim cząstka mego umysłu, mego sposobu widzenia świata.

- Mówiłem ci. Płótno jest dostrojone do mnie. Mogę malować znajdując się wśród tysięcy ludzi i żaden z nich mi nie przeszkodzi.

- A może rozpraszałam cię, działałam na twoje myśli?

- Nonsens.

- Pójdę na spacer. Spróbuj jeszcze raz, beze mnie!

- Nie, Sarise. Ten obraz jest znakomity. Im dłużej na niego patrzę, tym bardziej mi się podoba. Chodź, wracamy do chaty; wykąpiemy się, zjemy trochę dwikki i będziemy się kochać, dobrze?

Zdjął obraz z ramy, zwinął go. To, co powiedziała, zrobiło na nim większe wrażenie, niż chciał okazać. Coś obcego z pewnością odbiło się w jego płótnie. A jeśli to ona znalazła jakąś drogę do jego duszy, jeśli to jej ukryta istota, istota Metamorfa, zabarwiła wybiegające

z jego duszy impulsy obcym wpływem? W milczeniu szli brzegiem strumienia. Kiedy dotarli do łąki, na której Nismile po raz pierwszy dostrzegł Metamorfa, jego usta przemówiły bez udziału woli.

- Sarise, chciałbym ci zadać pytanie. -Tak?

Nie potrafił się już powstrzymać.

- Nie jesteś człowiekiem, prawda? Jesteś Metamorfem. Patrzyła na niego zdumiona.

Zarumieniła się.

- Mówisz serio? Skinął głową.

-Ja Metamorfem? - Roześmiała się niezbyt przekonująco. - Co za dziki pomysł!

- Odpowiedz, Sarise. Spójrz mi w oczy i odpowiedz.

- To zbyt głupie, Theronie.

- Odpowiedz. Proszę.

- Mam udowodnić, że jestem człowiekiem? Jak?

- Chcę tylko, żebyś mi powiedziała, że jesteś człowiekiem. Lub że nim nie jesteś.

-Jestem człowiekiem.

- Mam w to uwierzyć?

- Nie wiem. A potrafisz? Ja ci odpowiedziałam. - Oczy dziewczyny błyszczały

wesoło. - Czy nie czuję się człowiekiem, nie reaguję jak człowiek? Czy mogę być imitacją?

- Może nie potrafię uchwycić różnicy?

- Dlaczego myślisz, że mogę być Metamorfem?

-Tylko oni mieszkają tu, w dżungli. To się wydaje... logiczne. Nawet jeśli... Słuchaj,

otrzymałem odpowiedź. Zadałem głupie pytanie. Zostawmy ten temat, dobrze?

-Jaki ty jesteś dziwny. I złościsz się. Myślisz, że zepsułam ci obraz.

- To nie tak...



- Nie umiesz kłamać, Therionie.
- Zgoda. Coś mi popsuło obraz. Nie wiem co, ale namalowałem nie to, co chciałem namalować.
- Więc spróbuj jeszcze raz.
- Tylko o tym myślę. Pozwól mi się namalować, Sarise.
- Przecież mówiłam ci, że nie chcę!
- Poturbuję właśnie tego. Chcę wiedzieć, co dzieje się w mojej duszy. A to jedyny sposób, żeby się dowiedzieć...
- Namaluj drzewo dwikki. Albo chatę.
- Dlaczego nie ciebie?
- Nie podoba mi się ten pomysł.
- Nie dajesz mi prawdziwej odpowiedzi. Co takiego jest w malowaniu...
- Therionie, proszę.
- Boisz się, że zobaczę na płótnie coś, czego nie chciałbym zobaczyć? Prawda? Że odpowiedź na moje pytanie będzie inna...
- Proszę.
- Pozwól się namalować. -Nie.
- Więc podaj powód.
- Nie mogę.
- Musisz. - Wyjął nowe płótno. - Tu, na tej łące, teraz. Teraz, Sarise. Stań przy strumieniu. To potrwa tylko chwilę.
- Nie, Therionie.
- Jeśli mnie kochasz, Sarise, pozwól się namalować.

Jakiż to niezdarny szantaż, co za wstyd, że musiałem się do niego uciec - pomyślał.

Sarise rozgniewała się, dostrzegł nigdy dotąd nie widziany błysk złości w jej oku. Patrzyli na siebie przez bardzo długą chwilę. Kiedy wreszcie przemówiła, głos miała zimny, zgaszony.

- Nie teraz, Therionie. W chacie. Pozwolę się namalować, jeśli tego żadasz.

Resztę drogi przebyli w milczeniu.

Miał ochotę zapomnieć o całej sprawie. Wiedział, że wymógł jej obietnicę siłą, że popełnił szczególnego rodzaju gwałt; niemal pragnął skapitulować. Powrotu jednak nie było, nie wróciłaby już dawna harmonia, musiał mieć odpowiedź na pytanie, które zadał. Z niepokojem ustawił płótno.

- Gdzie mam stanąć?

- Gdziekolwiek. Przy strumieniu. Przy chacie.

Podeszła do chaty ciężko, powoli. Skinął głową i - nie czując radości - zaczął przygotowywać się do transu. Sarise przyglądała się mu ze smutkiem, miała łzy w oczach.

- Kocham cię! - krzyknął nagle, wchodząc w trans. Ostatnią rzeczą, jaką dostrzegł zamykając oczy, była Sarise - zmieniona, wyprostowana, z błyszczącymi oczami, z uśmiechem.

Kiedy otworzył oczy, obraz był już gotów. Sarise spojrzała na niego nieśmiało, stojąc u wejścia do chaty. -I co?

- Podejdz. Zobacz sama.

Podeszła. Oglądali obraz razem; po chwili Nismile objął ją mocno. Zadrżała i przytuliła się do niego.

Obraz przedstawiał kobietę z oczami człowieka, a ustami i nosem Metamorfa. Tło było chaotyczne, rozmazane: plamy czerwieni, rózu, oranżu.

- Wiesz już, co chciałeś wiedzieć?

- To ty pojawiłaś się na łące? I wtedy, później? -Tak.

- Czemu?

- Zaciekawileś mnie, Therionie. Chciałam się wszystkiego o tobie dowiedzieć. Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ty.

- Ciągłe nie mogę uwierzyć - wyszeptał niemal niedosłyszalnie. Wskazała na obraz.

- Uwierz, Therionie.

- Nie. Nie!

- Teraz znasz odpowiedź.

- Wiem, że jesteś człowiekiem. Ten obraz kłamie!

- Nie kłamie, Therionie.

- Udowodnij to. Zmień się dla mnie. Tu. Teraz. Wypuścił ją z objęć. Odsunął się.

- Zrób to. Zmień się.

Spojrzała na niego ze smutkiem. Nagle - było to całkowicie nieuchwytnie - stał, jak niegdyś, przed samym sobą; ostateczny dowód, na który nie było odpowiedzi. Zaciśnięte zęby; mięśnie jego policzków drżały. Obserwował ją, gdy zmieniała się raz jeszcze, tym razem w coś straszliwego, w potwora z koszmarnego snu: szary krostowaty balon, sflaczała skóra, oczy jak spodki, czarny dziób w kształcie haka; a jeszcze później stał przed nim Metamorf, wysoki, z zapadłą piersią, nie wyróżniający się niczym... i zmienił się w Sarłse: fale kasztanowatych włosów, delikatne ramiona, smukłe, silne uda.

- Nie. Tylko nie to. Żadnych więcej fałszerstw. Zmieniła się w Metamorfa.

Skinął głową.

- Tak. Tak lepiej. Niech już tak zostanie. Jesteś piękniejsza.

- Piękniejsza, Therionie?

- Dla mnie tak. Dla mnie jesteś piękniejsza właśnie taka, prawdziwa. Oszustwo zawsze jest wstrętne.

Sięgnął po jej rękę. Miała sześć palców, długich, wąskich, bez widocznych paznokci i stawów. Jej skóra była jedwabista, z lekkim połyskiem; zupełnie inna niż oczekiwał. Leciutko musnął dłońmi jej smukłe ciało. Stała nieporuszona.

- Powinnam odejść - powiedziała w końcu.

- Zostań ze mną. Zamieszkać ze mną.

- Nawet teraz?

- Nawet teraz. W swej prawdziwej postaci.

- Ciągle jeszcze mnie pragniesz?

- Bardzo. Czy zostaniesz?

- Kiedy dostrzegłeś mnie po raz pierwszy, chciałam ci się przyjrzeć, zbadać cię, pobawić się z tobą, może nawet wyśmiać cię i zranić. Jesteś wrogiem, Therionie. Twoja rasa to nasi nieprzyjaciele. Na zawsze. Lecz kiedy zamieszkaliśmy razem, zorientowałam się, że nie mam powodu, by cię nienawidzić. Właśnie ciebie, tylko ciebie, człowieka. Rozumiesz?

Głos Sarise dobywał się z obcych ust. Jakie to dziwne - pomyślał. Jak sen.

- Chciałam być z tobą. Gra bez końca, gra na wieczność, rozumiesz? Lecz każda gra kiedyś się kończy. A jednak nadal chcę być z tobą.

- Więc zostań, Sarise.

- Tylko jeśli chcesz mnie naprawdę. -Już ci powiedziałem.

- Nie przerażam cię? -Nie.

- Więc namaluj mnie znów, Therionie. Pokaż mnie w swych obrazach, okaż swą miłość na płótnie, Therionie. Wtedy zostanę.

Malował ją dzień po dniu, póki nie zużył wszystkich płócien. Porozwieszał je na ścianach chaty. Sarise pod drzewem dwikka. Sarise na łące. Sarise wśród gęstej wieczornej mgły, Sarise o zmierzchu; zieleń i purpura. Nie potrafił sporządzić nowych płócien, choć

próbował. I nie miało to najmniejszego znaczenia. Wędrowali razem, odkrywali dalekie połączenie lasu, podróżowali wzdłuż brzegu strumienia i dalej, wzdłuż brzegów innych strumieni. Pokazywała mu nieznane drzewa i kwiaty, stworzenia z dżungli, zębate jaszczurki, mieszkające w grotach złote węże i groźne nieruchawe amorfoboty przesypiające dni w błotnistych jeziorach. Nie rozmawiali wiele, czas pytań i odpowiedzi minął, słowa nie były im dłużej potrzebne. Dzień następował po dniu, mijały tygodnie, w tej pozbawionej pór roku krainie nie potrafili mierzyć czasu. Minął miesiąc - a może sześć miesięcy? - i nie spotkali nikogo. Dżungla, jak twierdziła Sarise, pełna była Metamorfów, lecz trzymali się z daleka, może zostawili ich w spokoju na zawsze?

Pewnego deszczowego popołudnia wyszedł, by sprawdzić pułapki, a kiedy wrócił po godzinie, od razu wiedział, że stało się coś złego. Gdy zbliżył się do chaty, wyszło z niej czterech Metamorfów. Wśród nich musiała być Sarise, nie potrafił jej jednak rozpoznać. "Czekajcie!" - krzyczał, gdy znikali mu z oczu. Próbował biec za nimi. "Czego od niej chcecie? Puśćcie ją! Sarise! Sarise? Kim oni są, czego chcą od nas?"

Tylko na chwilę jeden z Metamorfów zmienił się, przez moment Nismile widział dziewczynę o kasztanowatych włosach - i znów było tylko czterech Zmiennokształtnych, uciekających w głąb dżungli. Padał ulewny deszcz. W gęstej mgle nic już nie było widać. Nismile zatrzymał się na skraju polany, rozpaczliwie próbując usłyszeć coś przez szum ulewy i strumienia. Wydawało mu się nawet, że słyszy szloch; wyobraził sobie, że dobiegł go krótki krzyk bólu, lecz mogły być to zwykłe leśne odgłosy. Ścigać się wśród mgły z Metamorfami było przedsięwzięciem beznadziejnym.

Nigdy więcej nie zobaczył Sarise ani żadnego innego Metamorfa. Przez pewien czas pocieszał się nadzieją, że spotka Zmiennokształtnych w lesie, że zabiją go swymi krótkimi sztyletami z polerowanego drewna. Pragnął tego, ponieważ ciężar samotności był już nie do

zniesienia. Lecz nie nastąpiło nic aż tak dramatycznego. Okazało się, że obejmuje go swego rodzaju kwarantanna, że odcięty jest nie tylko od Sarise -jeśli Sarise jeszcze żyła - lecz od całej społeczności Metamorfów. Nie potrafił mieszkać dłużej na polanie przy strumieniu. Zwinął więc jej portrety, rozebrał chatę do ostatniego pręta i rozpoczął długi, trudny powrót do cywilizacji. Na tydzień przed swymi pięćdziesiątymi urodzinami dotarł do podnóży Zamkowej Góry. Podczas jego nieobecności, jak stwierdził, Lord Thraym został Pontifexem, a Koronalem mianowano Lorda Vildivara, niezbyt ceniącego sztukę. Nismile wynajął pracownię nad brzegiem Stee i znów malował. Pracował wyłącznie z pamięci; malował ciemne, niespokojne sceny z życia dżungli, często ukazujące Metamorfów ukrytych wśród drzew na pierwszym planie. Nie był to ten rodzaj malarstwa, który mógł liczyć na popularność w pogodnym, słonecznym świecie Majipooru, i początkowo Nismile niewiele sprzedawał. Jednak po pewnym czasie jego płótna zainteresowały księcia Quraina, którego znudziły słoneczny wdzięk i bezbłędne proporcje. Dzięki patronatowi księcia dzieła Nismile'a znów stały się modne i pod koniec życia bez trudu znajdował kupców na to, co namalował. Naśladowano go powszechnie, choć bez powodzenia. Jego malarstwo stało się przedmiotem wielu krytycznych esejów, on sam zaś - bohaterem licznych biografii.

- Pańskie dzieła są tak niespokojne, tak zdumiewające - powiedział mu kiedyś pewien

badacz. - Czy stworzył pan metodę pracy na podstawie snów?

- Pracuję wyłącznie z pamięci.

- Bolesnej pamięci, jeśli wolno zgadywać.

- Wręcz przeciwnie - odpowiedział Nismile. - Wszystkie moje prace powstały po to,

by przypomnieć mi chwile radości, czas, gdy kochałem, najszcześniejszy i najcenniejszy okres mego życia.

Ponad ramieniem gościa patrzył w mgłę, gęstą i miękką jak wełna, kłębiącą się wśród

wysokich drzew, splecionych pajęczą siecią pnączy.

# ZBRODNIA I KARA

Ta przygoda przypomniała Hissunemu pierwszą wizytę w Rejestrze Dusz.

Powtórzenie historii Thesme i Ghayroga, kolejny romans w dziczy, miłość człowieka i nie-człowieka. Jednak podobieństwa tych dwóch opowieści były wyłącznie powierzchowne, bowiem obie dotyczyły zupełnie innych ludzi, postawionych wobec zupełnie innych okoliczności. Hissune miał nadzieję, że dobrze zrozumiał Theriona Nismile, którego dzieła, o czym już wiedział, nadal wiszą w galeriach Zamku Lorda Valentina. Lecz Metamorfowie ciągle stanowili dla niego tajemnice - taką samą, jaką byli dla Nismile'a. Przejrzał indeks, poszukując nagrań przeżyć Metamorfów. Nie zdziwił się, kiedy nie znalazł ani jednego. Czy Zmiennokształtni nie chcieli się nagrywać, czy też urządzenie nie było w stanie zarejestrować pracy ich mózgow, a może nagrań nieprzyjęta do archiwum? Hissune nie znał odpowiedzi na te pytania i nie potrafił ich znaleźć. Trzeba poczekać, pomyślał, z czasem dowiem się wszystkiego. A na razie tyle mam jeszcze do zbadania. Na przykład, w jaki sposób osiąga swoje cele Król Snów f Przez tysiące lat Barjazidowie nawiedzali śpiące umysły zbrodniarzy, lecz Hissune nie wiedział, co właściwie z nimi czynili. Zaczął studiować archiwa i w niedługim czasie los pozwolił mu poznać duszę zbrodniarza, która w sposób nieudolny została umieszczona w ciele handlarza z miasta Stee...

Zdumiewająco łatwo przyszło mu popełnić morderstwo. Mały Gleim stał przy otwartym oknie w niewielkim pokoju na pięterku gospody w Vugel, gdzie zgodził się spotkać z Haligomem. Nie potrafili się dogadać. Haligome poprosił, by Gleim raz jeszcze rozważył całą sprawę. Gleim wzruszył ramionami i powiedział:

- Marnujesz swój i mój czas. Nie sądzę, żebyś zdołał cokolwiek udowodnić.

W tamtej chwili Haligome był całkowicie pewien, że to Gleim i tylko Gleim stoi między nim a spokojnym, dostatnim życiem, na które on, Haligome, tak ciężko pracował. To



Gleim jest jego wrogiem, jego prześladowcą, jego nemezis. Podszedł do niego tak spokojnie, że nie wzbudził najmniejszego podejrzenia, i jednym silnym ruchem wypchnął go przez okno. Gleim sprawiał wrażenie zdumionego. Przez zaskakująco długą chwilę wisiał nieruchomo w powietrzu, a potem zaczął spadać ku bystrej rzece, płynącej tuż obok gospody, wpadł do niej z ledwie słyszalnym pluskiem i woda poniosła go ku dalekiej Zamkowej Górze. Błyskawicznie znikł z oczu Haligome'a.

Haligome spojrzał na swoje ręce, jakby przed sekundą wyrosły mu z ramion. Nie potrafił uwierzyć, że zrobił to, co zrobił. Przed oczami znów miał tę scenę: podchodzi do Gleima - zdumiony Gleim zawisa w powietrzu - Gleim znika w ciemnym nurcie rzeki. Prawdopodobnie już nie żyje, a jeśli żyje, umrze za minutę, może za kilka minut. Haligome zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później ktoś odnajdzie ciało na jakiejś kamienistej plaży w Canziliane lub Perimori, że zostanie ono zidentyfikowane jako ciało handlarza z Gimkandale, zaginionego przed tygodniem czy przed dziesięciu dniami... Czy jednak władze będą miały jakikolwiek powód, by podejrzewać, że Gleim został zamordowany? Morderstwo to zbrodnia rzadka na Majipoorze. Mógł wpaść do rzeki przypadkiem. Mógł popełnić samobójstwo. Nawet jeśli uda się im udowodnić -jedna Bogini wie, jak - że Gleim zginął z czyjejś ręki, to czy zdołają dojść, że został wypchnięty z okna gospody w Vugel przez Sigmara Haligome'a z miasta Stee? Nie zdołają - upewnił się Haligome. Ale w najmniejszym stopniu nie zmienia to prawdy, a prawda jest taka, że Gleim został zamordowany i że to on jest mordercą.

Mordercą? Słowo to zdumiało Haligome'a. Nie przybył tu zamordować Gleima, tylko się z nim rozmówić, lecz negocjacje od początku skazane były na klęskę. Gleim, drobny, schludny człowieczek, zdecydowanie odmówił przyjęcia odpowiedzialności za niesprawne urządzenie, twierdząc, że wina leży całkowicie po stronie inspektorów Haligome'a. Nie miał

zamiaru wypłacić ani grosza, nie okazał nawet odrobiny sympatii dla tragicznej sytuacji finansowej, w której znalazł się jego rozmówca. Po tej ostatniej, kategorycznej odmowie jego postać w oczach Haligome'a zaczęła się rozrastać aż przesłoniła cały horyzont; Gleim stał mu się tak nienawistny, że Haligome myślał już tylko o tym, jak się go pozbyć, niezależnie od ceny, którą przyjdzie mu za to zapłacić. Gdyby tylko, choć przez moment, zastanowił się nad tym, co właściwie ma zamiar zrobić i jakie będą tego konsekwencje, oczywiście nie wypchnąłby go za okno. W Haligome nie było nic z mordercy. Lecz nie zastanowił się nawet przez moment, a teraz Gleim zginął, a życie Haligome'a w jakiś koszmarny sposób zmieniło się całkowicie: nie był już handlarzem, zajmującym się precyzyjnymi instrumentami, lecz mordercą. Taka nagła, dziwna, przerażająca odmiana!

Co teraz?

Drżąc, pocąc się, czując suchość w gardle, Haligome zamknął okno i opadł na kanapę.

Nie miał pojęcia, co powinien teraz zrobić. Zgłosić się do władz? Przyznać się do zbrodni, poddać się i iść do więzienia - czy gdzie tam wysyła się zbrodniarzy? Nie był na to przygotowany. Czytał historie o zbrodniach i o karach, stare mity, dawne baśnie, lecz z tego, co wiedział, mordercy wymarli na Majipoorze dawno, dawno temu, a mechanizmy ich wykrywania i karania zardzewiały i rozpadły się w pył. Czuł się zabytkiem, czuł się człowiekiem pierwotnym. Znał słynną opowieść o kapitanie pewnej nieszczęsnej ekspedycji na Morze Zewnętrzne, który zrzucił z pokładu członka załogi, kiedy ten kogoś zabił.

Haligome nie potrafił uwierzyć w takie szaleńcze i nieprawdopodobne opowieści. Lecz teraz, bezmyślnie i bez najmniejszego wysiłku, on sam stał się postacią z takiej legendy, potworem, który odebrał życie bliźniemu. Wiedział, że w jego życiu wszystko się zmieniło.

Przede wszystkim powinien opuścić gospodę. Jeśli ktoś widział wypadającego przez okno Gleima - co było mało prawdopodobne, budynek przylegał do brzegu rzeki, Gleim

wypadł przez okno od tyłu i woda wciągnęła go niemal natychmiast - to jacyś przedstawiciele prawa pojawią się tu zaraz, nie ma więc sensu na nich czekać. Haligome spakował szybko swą niewielką torbę, sprawdził, czy w pokoju nie pozostało nic należącego do Gleima, i zszedł na dół. Recepcjoniście, Hjortowi, oświadczył:

- Chcę zapłacić rachunek.

Wysiłkiem woli zmusił się do milczenia. Nie czas na błyskotliwe odzywki, które ułatwiłyby Hjortowi zidentyfikowanie go. Zapłać rachunek i wynoś się jak najszybciej, powiedział do siebie. Czy Hjort widział, jak gość ze Stee wchodzi do jego pokoju? Cóż, jeśli nawet tak, to szybko zapomni i gościa ze Stee, i jego samego, jeśli tylko Haligome nie uczyni nic, co pomogłoby Hjortowi go zapamiętać. Recepcjonista przygotował rachunek, Haligome wręczył mu pieniądze, usłyszał automatyczne: "Proszę nas znów odwiedzić", odpowiedział w sposób równie standardowy - i już był na ulicy, szybkim krokiem oddalając się od rzeki. Wiał od niej silny, słodki wiatr. Słońce świeciło mocno, było ciepło. Lata minęły od czasu, gdy Haligome był w Vugel po raz ostatni, i w innych okolicznościach chętnie poświęciłby parę godzin, by odwiedzić słynny Plac Klejnotów, obejrzeć znane freski wykonane techniką psychoobrazu wraz z resztą lokalnych cudów, ale nie była to odpowiednia chwila, żeby bawić się w turystę. Pośpieszył na dworzec i kupił bilet w jedną stronę do Stee.

W podróży wokół zboczy Zamkowej Góry towarzyszyły mu strach, niepewność i poczucie winy.

Uspokoił się, gdy ujrzał znajome, niewiarygodnie rozległe przedmieścia gigantycznego Stee. Dom oznaczał bezpieczeństwo. Z każdym dniem, w miarę jak zbliżał się do centrum, stawał się coraz spokojniejszy. Oto ogromna rzeka, od której miasto wzięło swą nazwę, spływająca z Góry zaskakująco bystrym nurtem. Oto gładkie, lśniące fasady Gmachów Nadbrzeżnych, wysokich na czterdzieści pięter i długich na kilometry, oto Most

Kinnikena, Wieża Thimina, oto Pole Wielkich Kości. Dom! Niestychana żywotność i siła Stee, której doświadczył podróżując z dworca do domu na przedmieściach, podtrzymała go na duchu. Z pewnością tu, w mieście, które miało szansę stać się największe na Majipoorze - mieście stale rozrastającym się dzięki staraniom pochodzącego stąd Koronała Lorda Kinnikena - będzie bezpieczny, uchroni się przed mrocznymi konsekwencjami szalonego czynu popełnionego w Vugel, niezależnie od tego, jakie miałyby to być konsekwencje.

Uściskał żonę, dwie młodsze córki oraz wysokiego, silnego syna. Rodzina z pewnością dostrzegła jego zmęczenie i napięcie, potraktowano go bowiem z aż przesadną delikatnością, jakby po powrocie z podróży zrobił się kruchy i wrażliwy. Przynieśli mu wino, fajkę i kapcie, krzątali się wokół niego, nie zadawali żadnych pytań, za to zasypali lokalnymi plóteczkami.

Przy kolacji Haligome oznajmił:

- Mam wrażenie, że załatwiłem z Gleimem wszystko. Sądzę, że jest nadzieja na szczęśliwe rozwiązanie naszych problemów.

I sam prawie w to uwierzył.

Czy da się w jakiś sposób udowodnić mu to morderstwo, jeśli po prostu będzie milczał? Wątpił, by istnieli jacyś świadkowie. Władze bez problemu mogłyby ustalić, że on i Gleim zgodzili się na spotkanie w Vugel, na neutralnym gruncie, celem przedyskutowania rozbieżności w ocenie pewnych problemów w interesach, lecz co dalej? “Zjedliśmy lunch, wypiliśmy sporo wina, doszliśmy do porozumienia, a potem poszedłem sobie. Kiedy odchodziłem, sprawiał wrażenie mocno podpitego”. I biedny Gleim, zarumieniony, z żołądkiem pełnym mocnego wina z Muldemar, pewnie zbytnio wychylił się z okna, może chciał obejrzeć sobie jakąś piękną arystokratyczną damę, zażywającą przejażdżki po rzece... Nie, nie, niech sami się nad tym zastanawiają, powiedział sobie Haligome. “Spotkaliśmy się na lunchu, doszliśmy do porozumienia, a potem odszedłem” - i nic ponadto. Któż może

udowodnić, że było inaczej?

Następnego dnia poszedł do biura i zajął się interesami, jakby w Vugel nie zdarzyło się nic szczególnego. Nie mógł pozwolić sobie na luksus rozważania w kółko sprawy morderstwa. Miał kłopoty, niemal zbankrutował, zaciągnął zbyt wielkie pożyczki, stosunki z głównymi klientami nie układały się najlepiej. A wszystko przez Gleima. Jeśli raz sprzedasz towar kiepskiej jakości, masz kłopoty przez bardzo długi czas i nikogo nie obchodzi, że jesteś niewinny. Bez rekompensaty od Gleima - i nie mogąc już na nią liczyć - jedynym wyjściem, jakie widział przed sobą Haligome, była ciężka praca, próba odbudowania zaufania klientów, których zaopatrywał w maszyny precyzyjne, i powstrzymywanie wierzycieli do czasu, aż sprawy ułożą się lepiej.

Trudno było mu nie myśleć o Gleimie. W ciągu pierwszych kilku dni jego imię pojawiała się często i za każdym razem Haligome musiał czynić wysiłki, by ukryć swoją reakcję. Wszyscy wokół wydawali się rozumieć, że Gleim zrobił z niego durnia, i wszyscy starali się okazać mu sympatię. Samo to już dodawało mu odwagi. Lecz każda rozmowa wydawała się obracać wokół Gleima - skąpstwa Gleima, sprytu Gleima, bezwzględności Gleima - i Haligome ciągle czuł się wyprowadzony z równowagi. Imię Gleima oblegało go ze wszystkich stron. "Gleim!" - mówił ktoś, i Haligome sztywniał. "Gleim!" - i napinały mu się mięśnie policzków. "Gleim!" - i chował za siebie dłonie, jakby można było po nich poznać, że należą do mordercy. Wyobrażał sobie, jak po prostu ze zmęczenia wyjawia któremuś klientowi: "Zabiłem go, wie pan? Wypchnąłem go z okna gospody w Vugel". Jak łatwo byłoby mu wypowiedzieć te słowa, gdyby choć na chwilę się zapomniał!

Myślał o oczyszczającej duszę pielgrzymce na Wyspę. Ale nie teraz, może później, teraz każdą chwilę musiał poświęcić interesom, inaczej jego firma upadnie, a rodzina będzie żyła w ubóstwie. Myślał także o wyjawieniu wszystkiego władzom i o dojściu z nimi do

porozumienia, które pozwoli mu dokonać jakiegoś zadośćuczynienia za morderstwo bez konieczności wycofania się z interesów. Grzywna? Ale jak teraz mógłby pozwolić sobie na grzywnę? I czy skończyłoby się tylko na tym? Ostatecznie Haligome nie zrobił nic, próbował tylko zapomnieć o morderstwie. Przez jakiś tydzień czy dziesięć dni myślał nawet, że może mu się to udać. A potem nadszedł pierwszy sen.

Nawiedził go w nocy po Dniu Morza, w drugim tygodniu lata. Haligome wiedział od razu, że to mroczne, bolesne przesłanie. Spał trzecim snem, najgłębszym, który przychodzi tuż przed świtem, gdy odkrył, że idzie polem pełnym błyszczących, śliskich, pożółkłych zębów, chrzęszczących i przesuwających mu się pod butami. Powietrze było gęste, nieświeże, szare - mdłe powietrze bagien; z nieba zwisały długie pasma jakiejś mięsistej substancji, które ocierały się mu o twarz i ramiona, pozostawiając na nich lepkie, palące boleśnie pasma. W uszach dzwoniła mu ciężka cisza złego przesłania, sprawiająca wrażenie, że materia świata ściśnięta jest zbyt ciasno. W dali słyszał drwiący śmiech. Z góry padało nieznośnie jaskrawe światło. Zdał sobie sprawę, że znajduje się wśród liści żarłocznej rośliny - wstrętnego, żywiącego się mięsem stworu z dalekiego Zimroelu. Widział kiedyś takie, pokazywane wśród osobliwości w Pawilonie Kinnikena. Lecz tamte miały tylko trzy do czterech metrów średnicy, ta zaś wielkością dorównywała całej dzielnicy, on zaś był uwięziony w jej koszmarnym wnętrzu. Biegł, jak mógł najszybciej, by nie ześlizgnąć się w mielące wszystko bezlitośnie zębiska.

- A więc tak to będzie - pomyślał, unosząc się świadomością ponad koszmar i przyglądając mu się beznamiętnie. - To pierwsze przesłanie. Król Snów nie przestanie mnie już torturować.

Nie miał gdzie się ukryć. Zęby miały oczy, które były oczami Gleima; Haligome wspinał się, ślizgał i pocił, rzucił się przed siebie i spadł między nie, one zaś poraniły mu

dłonie; kiedy dostrzegł na nich krew, nie były to już jego doskonale znane dłonie, lecz małe blade dłonie Gleima, nie pasujące do jego ramion. Znow upadł, znow zraniły go zęby, znow nastąpiła ta straszna metamorfoza, i jeszcze raz, i jeszcze... Biegł przed siebie, szlochając i jęcząc, na pół Gleim, na pół Haligome, aż obudził się i stwierdził, że siedzi drżący, oblany potem, ściskając udo zdumionej żony jak ostatnią deskę ratunku.

- Przestań - szepnęła żona. - To boli. Co się stało? Co się stało?

- Sen... koszmar...

- Przesłanie? - spytała. - Tak, to musiało być przesłanie. Czuję jego zapach w twoim pocie. Och, Sigmar, co się stało?

Haligome zadrżał gwałtownie.

-Musiałem coś zjeść. Mięso smoka morskiego... było suche, nieświeże...

Chwiejnie wyszedł z łóżka i wypił trochę wina, które go uspokoiło. Żona wytarła mu spocone czoło, tuliła go i pieściła, aż nieco rozluźnił się, lecz bał się zasnąć znowu; leżał bezsennie aż do rana, wpatrując się w szarawą ciemność. Król Snów! Więc taka miała być jego kara. Rozważył ponuro rysujące się przed nim możliwości. Zawsze wierzył, że Król Snów to postać z legendy, którą straszy się dzieci. Tak, oczywiście, opowiadano, że mieszka na Suyraelu, że jego tytuł jest dziedziczny w rodzinie Barjazidów, że Król i jego przybocznicy czuwają nocami, poszukując win śpiących, a kiedy znajdą duszę winną przestępstwa, torturują ją - takie słyszało się bajki. Haligome nie znał nikogo, kto otrzymałby kiedykolwiek przesłanie od Króla Snów. Sądził, że raz zdarzyło mu się otrzymać przesłanie od Pani, lecz nie był pewny; w każdym razie było ono zupełnie inne. Pani przemawiała w sposób bardzo ogólny, Król Snów zaś dawał ponoć o sobie znać prawdziwym bólem - lecz czy rzeczywiście mógł śledzić, co dzieje się na całej wielkiej, tętniącej życiem planecie? Wśród miliardów istot, z których nie wszystkie przecież miały czyste sumienia?

Być może to tylko niestrawność, powiedział sobie Haligome.

Kiedy następna noc, a potem kolejna, minęły spokojnie, zaczął nieśmiało wierzyć, że jego koszmar był tylko przypadkiem. Może zatem Król jest jednak tylko legendą? Lecz w Dniu Drugim otrzymał kolejne, niewątpliwe przesłanie.

Ten sam milczący dźwięk dzwonów. To samo nieznośnie ostre światło, oświetlające pejzaż snu. Wizerunki Gleima, śmiech i echa, pęcznienie i kurczenie się materii wszechświata, nieznośna lekkość, mdlące uczucie wznoszenia się. Haligome jęczał. Schował twarz w poduszkę, walczył o oddech. Nie śmiał się obudzić, bo gdyby się obudził, zdradziłby swą rozpacz przed żoną, a żona poradziłaby mu, by zasięgnął porady tłumaczki snów, a tego przecież nie mógł zrobić. Każda tłumaczka warta pieniędzy za poradę poznałaby od razu, że ma kontakt z duszą przestępcy, a co wtedy? Więc znosił ten koszmar, aż jego siła zmniejszyła się, i dopiero wtedy się obudził. Leżał bezwładny, drżący, aż do ranka.

Taki był koszmar w Dniu Drugim. Dzień Czwarty okazał się jeszcze gorszy.

Haligome wzleciał w powietrze, spadł i nadział się na sam szczyt Zamkowej Góry, ostry jak włócznia, zimny jak lód, i leżał tam przez całe godziny, podczas gdy ptaki gihorny z twarzami Gleima szarpały mu wnętrzności i polewały rany palącymi odchodami. Dzień Piąty przespał dość spokojnie, chociaż był napięty i wystrzegał się snów, Dzień Gwiazd także nie przyniósł przesłania, za to w Dzień Słońca Haligome płynął przez ocean gęstej krwi; wypadły mu zęby, a palce zmieniły się w cienkie paski ciała, miękkiego jak ciasto. Dzień Księżycy i Dzień Drugi przyniosły pomniejszych koszmara, a rankiem w Dniu Morza żona powiedziała:

- Te twoje sny nie znikły. Sigmarze, coś ty takiego zrobił?

- Zrobił? Nic nie zrobiłem!

- Czuję, że noc w noc masz przesłania! Wzruszył ramionami.

- Potęgi, które nami rządzą, popełniły jakiś błąd. To musi się zdarzać od czasu do



czasu - sny przeznaczone dla kogoś napastującego dzieci z Pendiwane trafiają do handlarza maszynami precyzyjnymi w Stee. Prędzej czy później Potęgi poznają swój błąd i zostawią mnie w spokoju.

-A jeśli nie zostawią? - Żona przyjrzała mu się przenikliwie. -A jeśli te sny są przeznaczone dla ciebie?

Zastanawiał się, czy zna prawdę. Wiedziała przecież, że pojechał do Vugel na rozmowę z Gleimem, całkiem prawdopodobne - choć Bogini jedna wie, skąd mogła się tego dowiedzieć - że wie już, iż Gleim nie wrócił do domu w Gimkandale, a teraz jej mąż cierpi przesłania od Króla Snów; nic prostszego niż wyciągnąć z tego właściwe wnioski. Czyje wyciągnęła? I jeśli tak, to co zrobi? Doniesie na męża? Choć go kocha, może tak postąpić, bo jeśli udzieli schronienia mordercy, ściągnie zemstę Króla także na własne sny.

-Jeśli nadal będę miał przesłania, poproszę urzędników Pontifexa o wniesienie sprawy w moim imieniu - powiedział.

Tego, oczywiście, nie mógł zrobić. Więc próbował walczyć z koszmarami, stłumić je tak, by nie budziły podejrzeń śpiącej obok niego kobiety. W przedsennych medytacjach instruował się, aby być spokojnym, zaakceptować obrazy, które mogą się pojawić, traktować je wyłącznie jako fantazje wzburzonego ducha, a nie jako prawdę, z którą trzeba sobie jakoś poradzić. A jednak gdy przyśniło mu się, że szybuje nad oceanem ognia i od czasu do czasu zanurza się w nim po kostki, nie potrafił powstrzymać się od krzyku, a kiedy z jego ciała wyrosły igły, tak że wyglądał jak manculain, kolczaste zwierzę z pustyń południa, którego nie sposób dotknąć, jęczał i błagał we śnie o litość, kiedy zaś spacerował w ogrodach Lorda Havilbove przy Barieryze Tolignan i przepiękne rośliny zmieniły się nagle w zębate potworki, nieopisanie obrzydliwe, zapłakał i oblał się potem, który przemoczył materac. Żona nie zadawała mu więcej pytań, tylko przyglądała mu się niepewnie. Zaczęła sprawiać wrażenie,

jakby siłą powstrzymywała się od zapytania go, jak długo jeszcze ma zamiar znosić te ingerencje w swoją psychikę.

Z trudem udawało mu się prowadzić interes. Wierzycciele szturmowali, producenci nie chcieli udzielić dodatkowego kredytu, skargi klientów wirowały wokół niego jak martwe, wyschnięte jesienne liście. W sekrecie grzebał w bibliotekach, szukając informacji o Królu Snów i jego mocach, jakby były to jakieś groźne, nieznane choroby, którymi się zaraził i o których chciałby wiedzieć wszystko. Lecz znalazł niewiele informacji, wszystkie oczywiste: Król jest przedstawicielem władzy, Potęgą o mocy równej Koronalowi, Pontifexowi i Pani Wyspy, i od setek lat jego zadaniem było karać winnych.

Nie odbył się żaden sąd - zaprotestował w myśli Haligome.

Lecz wiedział, że nie potrzeba żadnego sądu, a Król najwyraźniej także był tego pewien. I kiedy koszmary trwały, targając mu duszę i szarpiąc nerwy na strzępy, zorientował się, że nie zdoła znosić ich w nieskończoność. Jego życie w Stee dobiegło kresu. Na chwilę stracił kontrolę nad sobą i stał się wyrzutkiem, zmuszonym wędrować po ziemiach tej wielkiej planety w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłby się ukryć.

- Muszę odpocząć - powiedział żonie. - Wyjadę gdzieś daleko na miesiąc lub dwa, by odzyskać wewnętrzny spokój. Wezwał do siebie syna - chłopiec był niemal mężczyzną, mógł już udźwignąć ciężar odpowiedzialności - i przekazał mu firmę, w godzinę ucząc go zasad, których opanowanie zajęło mu całe życie. Potem, z niewielką sumą pozostałą z oszczędności, wyjechał ze wspianiałego rodzinnego miasta na pokładzie ślizgacza trzeciej klasy. Wybrał na chybił trafił Normork w kręgu Miast na Stokach, leżących u stóp Zamkowej Góry. W pierwszej godzinie podróży zdecydował, że nigdy już nie nazwie się Sigmarem Haligome. Wybrał imię Miklan Forb. Czy to wystarczy, by odwrócić uwagę Króla Snów?

Być może. Ślizgacz leniwie zjeżdżał zboczem Zamkowej Góry, ze Stee przez

Słoneczne Zbocze, Równinę Bibiroon i Bariereę Tolignan do Normorku, a on każdej nocy w tanim hoteliku zasypiał przerażony, wtulony w poduszkę, lecz śnił tylko zwykłe sny zmęczonego i przerażonego człowieka, pozbawione tego szczególnego, upiornego napięcia, typowego dla przesłań Króla. Z radością stwierdził, że ogrody Bariery Tolignan były rozplanowane w sposób klasyczny, symetrycznie, i w niczym nie przypominały upiornego pustkowia z jego snu. Powoli zaczął się uspokajać. Porównał prawdziwe ogrody z ogrodami ze snu i bez zdziwienia stwierdził, że Król - nim zmienił je w koszmar - przesłał mu ich obraz dokładny i odpowiadający rzeczywistości w najdrobniejszych szczegółach, choć on widział je teraz po raz pierwszy. Oznaczało to, że przesłanie przekazuje do mózgu mnóstwo nowych danych, podczas gdy zwykły sen odwołuje się do tego, co już jest w nim zmagazynowane. W ten sposób otrzymał odpowiedź na jedno z niepokojących go pytań. Nie wiedział, czy Król uwalnia po prostu wspomnienia z podświadomości, bekając z daleka jej mroczne wody, czy też wprowadza do mózgu całe nowe obrazy. Najwyraźniej jednak czynił to drugie. Lecz natychmiast pojawił się następujący problem: czy koszmary tworzone były specjalnie dla Sigmara Haligóme'a, przez specjalistów wykorzystujących jego najgłębsze prywatne lęki? Z pewnością Król nie dysponuje personelem wystarczającym do tego rodzaju działań. Lecz jeśli dysponuje, znaczyłoby to, że ktoś obserwuje go przez cały czas i głupotą z jego strony byłoby sądzić, że zdoła się ukryć. Wolał wierzyć, że Król i jego ludzie mają bibliotekę standardowych koszmarów - poślij mu zęby, a teraz szare tłuste bąble, a teraz morze ognia - wysyłanych w określonej kolejności każdemu z przestępców; bezosobowa, mechaniczna procedura. Być może posyłają teraz jakieś wstrętne obrazy w kierunku pustej poduszki leżącej na łóżku w jego sypialni w Stee.

Przez Dundilmir i Stipool dojechał wreszcie do Normorku, ponurego, otoczonego szczelnym murem miasta rozłożonego na imponujących szczytach Łącucha Normork.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że Normork, otoczone ścianą cyklopowych głazów z czarnego kamienia, doskonale nadaje się na kryjówkę: jest obronne, bezpieczne, nieprzeniknione. Lecz nawet te mury nie powstrzymają strzał zemsty wysyłanych przez Króla Snów - uświadomił sobie.

Brama Dekkereta - wrota wysokie na piętnaście metrów - była jak zawsze otwarta, jedyna przerwa w fortyfikacjach, cała z polerowanego czarnego drewna spojonego żelaznymi opaskami wartymi skarbcza Koronala. Haligome wolałby, by była zamknięta na siedem spustów, ale oczywiście musiała być otwarta, bowiem Lord Dekkeret, stawiając ją w trzynastym roku swych szczęśliwych dla Majipooru rządów, zadekretował, że wolno ją zamknąć tylko w wypadku zagrożenia świata, a teraz, pod światłymi rządami Lorda Kinnikena i Pontifexa Thimina, Majipoor kwitł - cały z wyjątkiem niespokojnej duszy człowieka, który zwał się niegdyś Sigmarem Haligome, a który nazwał siebie Miklanem Forbem. Pod tym imieniem Haligome znalazł tanie mieszkanie w części miasta leżącej na zboczu; Zamkowa Góra wznosiła się nad nim jak mur nieprawdopodobnej wysokości. Jako Forb najął się do pracy sprzątacza; wraz z innymi sprzątacami obchodził mur dzień po dniu, wrywając chwasty wyrastające w szczelinach nie spojonych zaprawą głazów. Jako Forb zasypiał co noc w strachu przed tym, co może nadejść, lecz mijały tygodnie i nie nadchodziło nic oprócz niewyraźnych zwykłych snów bez znaczenia. Przez dziewięć miesięcy żył życiem szarego, nieważnego obywatela Normorku, zastanawiając się, czy zdołał umknąć spod karzącej dłoni z Suwaelu, aż wreszcie pewnego wieczora, po smacznej kolacji zakropionej butelką szkarłatego wina z Bannikanniklole, padł na łóżko czując się naprawdę szczęśliwy, po raz pierwszy od dnia spotkania z Gleimem. Zasnął i otrzymał od Króla przesłanie, które chwyciło jego duszę za gardło i wstrząsnęło nią obrazami topiącego się ciała i rzek śluzu. Kiedy koszmar dobiegł kresu, Haligome obudził się płacząc, wiedział już bowiem, że nie uda

mu się na dłużej uciec mściwej, ścigającej go Potędze.

A jednak życie Miklana Forba zapewniło mu dziewięć miesięcy spokoju. Ze swych niewielkich oszczędności kupił więc bilet do leżącego niżej na stokach Ambelmornu, w którym zamieszkał jako Degrail Gilalin i zarabiał dziesięć koron tygodniowo, łapiąc ptaki w posiadłości miejscowego księcia. Uwolnił się od tortur na pięć miesięcy, aż pewnej nocy sen przyniósł mu znajomą trzaskającą ciszę i furię nieznośnego blasku wraz z wizją łuku oczu, zawieszzonego jak most nad wszechświatem, a oczy te wpatrywały się tylko w niego. Rzeką Glayge popłynął do Makroprosopos, w którym przez miesiąc mieszkał spokojnie jako Ogvorn Brill, póki nie dopadła go wizja kryształów płonącego metalu rosnących jak włosy w jego gardle. Wraz z karawaną powędrował poprzez suche serce kontynentu do handlowego miasta Sisivondal; podróż miała zająć jedenaście tygodni. Król Snów dopadł go w siódmym i zesłał na niego wizję, w której krzycząc tarzał się wśród trujących krzaków biczowych - i najwyraźniej nie był to tylko sen, bowiem kiedy wreszcie zdołał się uwolnić, był spuchnięty i krwawił tak, że trzeba było zanieść go do najbliższej wioski do lekarza. Q, z którymi podróżował, zorientowali się natychmiast, że miał przesłanie od Króla i zostawili go, ale jakoś udało mu się w końcu dotrzeć do Sisivondal, ponurego, szarego miasta, tak różnego od wspaniałych metropolii Zamkowej Góry, że każdego dnia po przebudzeniu płakał, patrząc przez okno. Mimo to mieszkał w nim przez sześć miesięcy i nic się nie zdarzyło, lecz wreszcie koszmary znów się pojawiły i pognały go na zachód, miesiąc tu, sześć tygodni tam. Miał za sobą dziewięć miast i wiele różnych tożsamości, gdy wreszcie znalazł się na wybrzeżu, w Alaisorze, w którym przez rok mieszkał spokojnie jako Badril Maganorn, patrosząc ryby na targu. Mimo tego wszystkiego, co spotkało go wcześniej, pozwolił sobie na luksus wiary, że Król wreszcie dał mu spokój i zastanawiał się nawet nad możliwością powrotu do życia w Stee, które porzucił przed czterema niemal laty. Czy cztery lata kary to

nie dość za niechciane, niemal przypadkowe morderstwo?

A jednak nie. Na początku drugiego roku pobytu w Alaisorze poczuł znajome, złowrogie pulsowanie przesłania, odbijające się od kości czaszki. Pojawił się koszmar, który sprawił, że wszystkie poprzednie wydawały się przedstawieniami teatrzyku kukielkowego dla dzieci. Rozpoczęło się to obrazem martwej pustyni Suvraelu; stał na szczycie poszarpanej skały, patrząc w ponurą dolinę porośniętą lasem drzew sigupa, których promieniowanie jest do piętnastu kilometrów zabójcze dla każdego rodzaju życia, nawet dla owadów i ptaków, przelatujących nad ich grubymi, obwisłymi gałęziami. W dolinie dostrzegł swoją żonę i dzieci, maszerujących równym krokiem w stronę śmiertelnych roślin; pobiegł ku nim przez piasek gęsty i lepki jak melasa, drzewa chwiały się i przyzywały go ruchami gałęzi, wreszcie ogarnęły tych, których kochał, swym śmiertelnym promieniowaniem i zabiły ich. A on szedł naprzód, póki nie znalazł się na granicy lasu. Modlił się o śmierć, lecz on - i tylko on - okazał się odporny. Wszedł między drzewa, każde rosnące osobno na ziemi nagiej i pozbawionej krzaków czy poszycia; tylko ohydne bezlistne sigupy, stojące jak płot pośrodku pustki. Nic innego nie było w jego śnie, lecz wydawał mu się on straszniejszy niż wszystkie te groteskowe sceny, które znosił wcześniej. Sen trwał, trwał i trwał; Haligome stał, samotny i zapomniany w tym lesie jak w pozbawionej powietrza otchłani, a kiedy się obudził, twarz miał pomarszczoną i nie mógł skupić wzroku, jakby między zmrokiem a świtem postarzał się o dziesięć lat.

Został pokonany. Należał do Króla Snów, na zawsze. Nie miał dokąd uciec, nie miał gdzie się ukryć. Brakowało mu siły, by wymyślać sobie nowe życia i nowe tożsamości. Gdy otrząsnął się z przerażenia wywołanego snem o lesie, powłókł się do świątyni Pani na Wzgórzach Alaisor i zgłosił się jako pielgrzym na Wyspę Snu. Podał prawdziwe nazwisko: Sigmar Haligome. Nie miał nic do ukrycia.

Przyjęto go, jak przyjmowano wszystkich. We właściwym czasie znalazł się na pokładzie statku pielgrzymiego, płynącego do Numinoru na północno-wschodnim cyplu Wyspy. Podczas rejsu miewał przesłania, niektóre tylko bolesne, niektóre straszliwe, lecz kiedy się budził, drżąc i płacząc, miał obok siebie innych pielgrzymów, którzy go pocieszali, a poza tym teraz, kiedy poświęcił swoje życie Pani, nawet najgorsze koszmary nie znaczyły wiele. Wiedział, że ból przesłań Króla bierze się przede wszystkim stąd, że rozsadzają one ramy normalnego życia swym strachem i swą innością. A on nie miał już normalnego życia, którego ramy można by rozsadzić, więc to nic nie znaczyło, że drżał, otwierając rankiem oczy. Nie był już handlarzem maszynami precyzyjnymi, nie pielł chwastów, nie łowił ptaków, był nikim, niczym, nie miał tożsamości, której powinien bronić przed zakusami wroga. Wśród powtarzających się koszmarów ogarnął go jakiś dziwny spokój.

W Numinorze przyjęto go na Taras Oszacowania, zewnętrzny krąg Wyspy, na którym, jak sądził, przyjdzie mu spędzić resztę życia. Pani wzywała pielgrzymów do siebie krok po kroku, zgodnie z tempem ich niewidzialnego wewnętrznego rozwoju. Ktoś, kogo dusza splamiona była morderstwem, mógł na zawsze pozostać zwykłym robotnikiem na samych granicach jej świętego królestwa. Nic nie szkodzi. Haligome chciał tylko umknąć koszmaram wysyłanym przez Króla i miał nadzieję, że Pani weźmie go w swą obronę, a na Suvraelu zostanie zapomniany.

W miękkich pielgrzymich szatach przez sześć lat pracował na zewnętrznym tarasie jako ogrodnik. Włosy mu posiwiały, plecy zgarbiły się, cierpiał otrzymując przesłania, najpierw co miesiąc lub dwa, później rzadziej, i choć Król Snów nigdy go całkowicie nie uwolnił, koszmary stawały się coraz mniej dokuczliwe, niczym ból starej, zagojonej już rany. Od czasu do czasu Haligome myślał o rodzinie, która niewątpliwie miała go już za zmarłego. Myślał także o Gleimie, zawieszonym w powietrzu, nim spadł do wody i zginął. Czy istniał

kiedyś taki człowiek i czy rzeczywiście poniósł śmierć z jego ręki? Wydawało się to teraz takie nierealne, takie dawne. Haligome nie czuł żalu z powodu morderstwa, w którego rzeczywistość zaczynał już powątpiewać, lecz pamiętał kłótnię z handlarzem, który nie chciał zrozumieć, w jakiej rozpaczliwej sytuacji go postawił i chwilę wściekłego gniewu, kiedy rzucił się na przeciwnika. Tak, wszystko to kiedyś się zdarzyło - pomyślał Haligome - i obaj, Gleim i ja, w chwili ślepej furii straciliśmy życie.

Dokładnie wypełniał swoje zadania, medytował, odwiedzał tłumaczki snów, które nigdy nie komentowały i nie wyjaśniały jego koszmarów; przejmował ich święte instrukcje. Wiosną siódmego roku uczynił następny krok w swojej pielgrzymce. Został wezwany na Taras Rozpoczęcia i żył na nim miesiąc za miesiącem, podczas gdy inni pielgrzymi przychodzili tu i odchodzili na Taras Zwierciadeł. Nie rozmawiał z nimi, nie miał przyjaciół, z rezygnacją przyjmował przesłania, które nadał odbierał, choć już bardzo rzadko. W trzecim roku pobytu na Tarasie Rozpoczęcia dostrzegł mężczyznę w średnim wieku przypatrującego się mu przez szerokość jadalni; niewysokiego, delikatnego, jakby skądś znajomego. Przez dwa tygodnie mężczyzna, który niedawno tu przybył, obserwował go uważnie. Ciekawość Haligome'a stała się zbyt wielka, by ją opanować. Zadał kilka pytań i dowiedział, że ów mężczyzna nazywa się Goviran Gleim.

Oczywiście! Haligome podszedł do niego podczas godzinnej przerwy w pracy i powiedział:

- Odpowiesz na moje pytanie? -Jeśli zdołam.
- Czy mieszkałeś w mieście Gimkandale na Zamkowej Górze?
- Tak. A czy ty jesteś tym człowiekiem ze Stee?
- Tak - przyznał Haligome.

Milczeli przez dłuższą chwilę. W końcu Haligome powiedział:



- Więc ścigałeś mnie przez te wszystkie lata? -Ależ nie! Skąd!

- Więc to tylko przypadek, że obaj się tu znaleźliśmy?

- Sądzę, że coś takiego jak przypadek nie istnieje. Ale nie dążyłem świadomie do odnalezienia ciebie.

- Wiesz, kim jestem i co zrobiłem?

- Wiem.

- Więc czego ode mnie chcesz?

- Czego chcę? - Oczy Gleima, małe, czarne i błyszczące jak oczy jego od dawna nieżyjącego ojca, wpatrywały się w twarz Haligome'a. - Czego chcę? Powiedz mi, co zdarzyło się w Vugel.

- Chodź ze mną - poprosił Haligome.

Przeszli za niski, niebieskozielony żywopłot do ogrodu alabandyn, którymi się opiekował, przycinając je tak, by kwiaty były większe. Wśród ich zapachu opowiedział równym, cichym i spokojnym głosem zdarzenia, których nigdy nie opowiedział nikomu i które jemu samemu wydawały się już nierzeczywiste: spór, spotkanie, okno, rzeka. Twarz Gleima podczas całej tej opowieści pozostała nieruchoma. Haligome wiedział o tym, bo obserwował ją uważnie, pragnąc dowiedzieć się, o co tamtemu właściwie chodzi. Kiedy skończył opowiadać historię morderstwa, zamilkł, czekając na jakiś komentarz. Lecz nie doczekał się.

Gleim spytał w końcu:

- Co działo się z tobą później? Dlaczego zniknąłeś?

- Król Snów chłostał moją duszę strasznymi przesłaniami, torturował mnie tak, że ukryłem się w Normorku, a kiedy tam mnie odnalazł, uciekałem dalej z miejsca na miejsce, aż w końcu znalazłem się na Wyspie jako pielgrzym.

- Czy Król ściga cię nadal?

- Od czasu do czasu mam przesłania. - Haligome potrząsnął głową. - Lecz są one bezużyteczne. Cierpiałem, odbyłem pokutę, lecz to także nie ma najmniejszego znaczenia, nie czuję się bowiem winny tego, czego dokonałem w chwili szaleństwa. Tysiące tysięcy razy żałowałem, że to się stało, ale nie potrafię poczuć się odpowiedzialny za śmierć twojego ojca. Doprowadził mnie do wściekłości, popchnąłem go, wypadł przez okno, ale ten czyn nie ma żadnego związku z tym, jak zawsze żyłem, a więc nie był mój.

- Tak to czujesz, prawda?

- Prawda. I te lata tortur, koszmarów... Jaki był ich cel? Gdybym powstrzymał się od zabójstwa ze strachu przed Królem, cały ten system kar miałby jakiś sens, aleja nie myślałem o niczym, a już z pewnością nie o Królu Snów, więc zasada, dla której zostałem ukarany, wydaje mi się bezsensowna. Tak jak i pielgrzymka; nie przybyłem tu, by dać zadośćuczynienie za zbrodnię, lecz by ukryć się przed Królem i jego przesłaniami - i chyba udało mi się osiągnąć ten cel. Lecz ani skrucha, ani cierpienia nie przywrócą życia twojemu ojcu, więc cała ta zagadka nie ma rozwiązania. No już, zabij mnie i niech to się skończy?

- Zabij? - powtórzył Gleim.

- Czyż nie tego chcesz?

- Kiedy ojciec zginął, byłem chłopcem. Nie jestem już młody, ty jesteś jeszcze starszy, a to wszystko należy już do przeszłości. Chciałem tylko poznać prawdę o jego śmierci, a tę już znam. Dlaczego miałbym cię zabijać? Gdyby miało to przywrócić życie ojcu, może i bym cię zabił, ale -jak sam powiedziałeś - nic nie przywróci mu życia. Nie czuję do ciebie złości i nie mam ochoty doświadczyć cierpienia z rąk Króla. Przynajmniej w moim wypadku system ten wykazał więc swoją skuteczność.

- Nie masz ochoty mnie zabić? - Haligome był zdumiony.

- Najmniejszej.

- Rzeczywiście. Teraz to widzę. Dlaczego miałbyś mnie zabijać? Uwolniłoby mnie to od życia, będącego tylko jedną wielką karą.

Tym razem zdumiał się Gleim.

- Czy tak to widzisz?

- Skazałeś mnie na życie.

- Twoja kara skończyła się dawno temu. Ogarnia cię teraz łaska Pani. Przez śmierć mego ojca odnalazłeś swoją drogę do niej.

Haligome nie potrafił powiedzieć, czy Gleim kpi z niego, czy mówi szczerze.

- Widzisz we mnie łaskę? - spytał. -Widzę.

Potrząsnął głową.

- Wyspa i to, co reprezentuje, nie znaczy dla mnie nic. Przybyłem tu tylko po to, by uciec przed Królem. W końcu znalazłem sobie kryjówkę - nic ponadto.

Gleim przypatrywał mu się nieruchomym wzrokiem.

- Sam się oszukujesz - powiedział w końcu i odszedł.

Czyżby to była prawda? Czyżby oczyścił się z grzechu 1 nawet tego nie rozumiał?

Haligome zdecydował, że jeśli tej nocy nawiedzi go przesłanie - a powinno, bo od ostatniego minął już niemal rok - pójdzie nad krawędź Tarasu Oszacowania i rzuci się z niego do morza.

I otrzymał tej nocy przesłanie, lecz pochodziło ono od Pani - ciepły, łagodny sen wzywał go

na Taras Zwierciadeł. Haligome nadal nie w pełni to wszystko rozumiał i wątpił, czy

kiedykolwiek zrozumie. Lecz jego tłumaczka snów powiedziała mu rano, że ma niezwłocznie

udać się na wyższy, wspanialszy Taras, bowiem zaczął się kolejny etap jego pielgrzymki.

## **WŚRÓD TŁUMACZEK SNÓW**

Hissune zorientował się już, że jedna historia z Rejestru pociąga za sobą natychmiast

potrzebę wytłumaczenia jej przez inną. Skończyła się ponura, lecz pouczająca opowieść o Sigmarze Haligome i Hissune wiedział teraz sporo o tym, jak działa Król Snów, lecz o tłumaczkach, pośredniczkach pomiędzy światem snów a rzeczywistością, dalej miał tylko mgliste pojęcie. Nigdy nie zasięgał ich rady, a własne sny traktował dotąd raczej jak swego rodzaju spektakle niż wieszczce przekazy. Było to wbrew najważniejszej duchowej tradycji Majipooru, ale Hissune doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jego sądy często przeciwstawiają się tradycji. Był tym, kim byt-dzieckiem ulicy, mieszkańcem Labiryntu, dokładnym obserwatorem tego świata, lecz przecież nie jego niewolnikiem.

Na Zimroelu żyje jednak, lub żyła, słynna tłumaczka snów imieniem Tisana. Hissune zetknął się z nią uczestnicząc w drugiej koronacji Lorda Valentine'a. Ta stara, tęga kobieta z Falkynkip odegrała najwyraźniej ważną rolę, pomagając Lordowi Valentine'owi odzyskać utraconą tożsamość. Hissune nie wiedział na ten temat niepewnego, ale z pewnym zmieszaniem przypomniał sobie jej przenikliwe oczy i silną, dominującą osobowość. Z jakiegoś powodu polubiła go; pamiętał, że gdy stał obok niej, czuł się bardzo mały; modlił się, by go nie przytuliła, bo z pewnością zostałby zmiażdżony ojej wielki biust. Powiedziała wtedy: "A oto kolejne zagubione książątko!" Co to miało znaczyć? Myślał czasami, że tłumaczka snów potrafiłaby mu to wszystko wyjaśnić, ale nie poszedł do tłumaczki. Był ciekaw, czy Tisana zostawiła zapis w Rejestrze Dusz. Sprawdził i przekonał się, że zapis istnieje, zrobiony dawno temu, przed pięćdziesięciu laty, kiedy była bardzo młoda i uczyła się dopiero swego zawodu. To był jedyny jej zapis. Był niemal zdecydowany, by go odesłać do archiwum, lecz jakaś część jej osobowości zagnieździła się w jego umyśle nawet w ciągu tej krótkiej chwili, kiedy słuchał fragmentu nagrania. Mogę się czegoś od niej nauczyć, zdecydował, pozwalając, by gwałtowny duch młodej Tisany przejął jego świadomość. Rankiem tego dnia, w którym Tisana miała przejść Próbę, spadł nagły deszcz i

wszyscy wybiegli z kapitulacza, by go zobaczyć; nowicjuszki, uczennice, opiekunki i nauczycielki, nawet sama Najwyższa Tłumaczka Inuelda. Tu, na pustyni Równiny Velalisier, deszcz był rzadkim zjawiskiem. Tisana wybiegła razem ze wszystkimi i stała, patrząc na wielkie, czyste krople wody, padające ukośnie z czarnej chmury, która wisiała wysoko nad smukłą wieżą kapitulacza, jakby była jej uczepiona. Krople uderzały w wysuszone piaszczyste podłoże z niemal słyszalnym stukotem; ciemne plamy wilgoci tworzyły się już na czerwonawej ziemi. Nowicjuszki, uczennice, opiekunki i nauczycielki zrzuciły ubrania i zażywały kąpieli.

- Pierwszy deszcz od roku - powiedział ktoś.

- To wróżba - szepnęła Freylis, uczennica, która była najbliższą przyjaciółką Tisany. - Będziesz miała łatwą Próbę.

- Czy ty naprawdę wierzysz we wróżby?

- Równie łatwo jest zobaczyć w czymś dobry omen, co zły - stwierdziła Freylis.

- Użyteczne motto dla tłumaczki - powiedziała Tisana i obie się roześmiały. Freylis złapała Tisanę za rękę.

- Zatańcz ze mną - poprosiła.

Tisana potrząsnęła głową. Pozostała pod daszkiem, nie udało się wyciągnąć jej na deszcz. Była wysoką, mocno zbudowaną kobietą, grubokościstą i silną; Freylis, smukła i delikatna, wyglądała przy niej jak mały ptaszek. Taniec na deszczu nie odpowiadał nastrojowi Tisany. Jutro nastąpi uwieńczenie siedmioletnich studiów, a ona nadal nie miała najmniejszego pojęcia o tym, czego wymagać od niej będzie rytuał, lecz czuła przewrotną pewność, że uznają ją za niegodną i odeślą w niełasce do jej małego, prowincjonalnego miasteczka. Strach i to mroczne przekonanie leżały na jej duszy ołowianym ciężarem; w tej sytuacji taniec na deszczu wydawał się jej nazbyt frywolny.

- Spójrz! - krzyknęła Freylis. - Przełożona! Tak, nawet sama czciogodna Inuelda wyszła na deszcz i tańczyła wolno, statecznie; chuda, siwa kobieta o brązowej skórze, zataczająca kręgi nieco chwiejnie, lecz dostojnie. Rozłożyła chude ramiona, odrzuciła głowę, twarz radośnie wzniosła w górę. Tisana uśmiechnęła się na ten widok. Przełożona dostrzegła ją i skinęła ręką tak, jak kiwa się na uparte dziecko, odmawiające udziału w zabawie. Lecz Przełożona przeszła swą Próbę tak dawno temu, że z pewnością zapomniała już, jaka wydaje się groźna; bez wątplenia nie potrafiła zrozumieć strachu, z jakim Tisana oczekiwała jutrzejszego obrzędu. Tisana usprawiedliwiła się więc gestem i znikła w kapitularku. Przez chwilę słyszała jeszcze stuk ciężkich kropel, a potem zapanowała cisza. Nieoczekiwany deszcz przestał padać.

Weszła do celi, garbiąc się, by przejść pod niskim łukiem z niebieskiego kamienia, oparła się o szorstką ścianę i pozwoliła opaść napięciu. Jej cela była niewielka, mieścił się w niej tylko materac, szafka, stolik i mała półka na książki. Potężna, zdrowa wiejska dziewczyna, którą Tisana niegdyś była, wypełniała go niemal w całości. Lecz przyzwyczała się już do ciasnoty i tu czuła się najlepiej. Przyjemność sprawiały jej też rutynowe obowiązki w kapitularku: studia, praca, zajęcia i - od kiedy osiągnęła status opiekunki - także uczenie nowicjuszek. Gdy zaczął padać deszcz, przyrządzała właśnie wino snów. Od dwóch lat poświęcała temu obowiązkowi godzinę każdego ranka; wdzięczna losowi, że ma tak trudne zajęcia, powróciła teraz do niego. W tym pełnym napięcia dniu pozwalało to zapomnieć o Próbie.

Używane na Majipoorze wino snów produkowane było właśnie tu, przez uczennice i opiekunki kapitularku w Velalisier. Była to właściwie praca dla kogoś o palcach dłuższych i zręczniejszych niż palce Tisany, ale Tisana wykonywała ją mimo wszystko. Przed sobą miała rozłożone małe fiolki ziół, maleńkie szare listki mourny, soczyste korzenie vejloo, wysuszone

jagody sithereel i pozostałe dwadzieścia dziewięć składników powodujących trans, w którym rodziło się rozumienie snów. Pracowała, mieląc je i mieszając - trzeba było zrobić to w odpowiedniej kolejności, w przeciwnym razie reakcje chemiczne nie przebiegną właściwie - a potem już tylko potrzebny był ogień, by zioła wypalić, a uzyskany proszek wsypać do alkoholu i wymieszać - i wino gotowe. Po chwili skoncentrowała się na pracy tak dalece, że odprężyła się i odzyskała dobry humor.

Pracując uświadomiła sobie, że słyszy za plecami cichy oddech.

- Freylis?

- Mogę wejść?

- Oczywiście. Już prawie skończyłam. Ciągłe jeszcze tańczą?

- Nie. Wszystko wróciło do normy.

Tisana zakręciła ciemnym, ciężkim winem w butelce.

- W Falkynkip, gdzie dorastałam, także jest gorąco i sucho. A mimo to nie rzucamy wszystkiego i nie biegniemy na dwór jak szaleni, gdy tylko spadnie deszcz.

- W Falkynkip - powiedziała Freylis - ludzie nie dziwią się nigdy i niczemu. Nie poruszyłby ich nawet jedenastoręki Skandar. Gdyby odwiedził ich Pontifex i stanął na głowie na centralnym placu miasta, nikogo by to nie obeszło.

- Och! Znasz Falkynkip?

- Byłam tam raz jako mała dziewczynka. Ojciec chciał założyć farmę hodowlaną. Ale nie było to zgodne z jego temperamentem, więc mniej więcej po roku wróciliśmy do Til-omon. Tata nigdy jednak nie przestał opowiadać o ludziach z Falkynkip, jacy są poważni, spokojni i godni.

-I ja też jestem taka? - spytała Tisana z lekką kpina. -Jesteś... no... wyjątkowo

zrównowazona. -Więc czemu tak strasznie boję się jutrzejszego dnia? Drobniutka Freylis

klęknięła przed Tisana i ujęła w ręce obie jej dłonie.

- Nie masz się czego bać - powiedziała łagodnie. - Nieznane zawsze przeraża.

- To tylko test, Tisano.

- Ostatni test. Co się stanie, jeśli go nie zdam? Jeśli znajdą u mnie jakąś straszną wadę charakteru, która uniemożliwi mi wykonywanie zawodu tłumaczki.

- No właśnie, co?

- Okaże się, że zmarnowałam siedem lat. Powrócę do Falkynkip ukradkiem, jak głupia, bez wykształcenia, bez zawodu, i spędzę resztę życia pracując na czyjejś farmie, po kolana w błocie.

-Jeśli Próba wykaże, że nie powinnaś zostać tłumaczką, powinnaś przyjąć to spokojnie. Nie możemy pozwolić, by niekompetentni tłumacze szperali w ludzkich umysłach, prawda? A poza tym, nie spotka cię nic takiego. Próba nie będzie dla ciebie najmniejszym problemem. W ogóle nie rozumiem, czemu się tak przejmujesz.

- Bo nie mam najmniejszego pojęcia, jak się to wszystko odbędzie.

- No, pewnie będą tłumaczyć twoje sny. Dadzą ci wino, zajrzą w umysł, zobaczą, że jesteś silna, mądra i dobra, doprowadzą do przytomności i zaprowadzą do Przełożonej, która uściśnie cię i powie, że zdałaś. To wszystko

-Jesteś pewna? Wiesz, jak to się odbywa?

- Nietrudno się domyślić, prawda? Tisana wzruszyła ramionami.

- Słyszałam także inne domysły. Ponoć robią coś takiego, co stawia cię twarzą w twarz z twoim najgorszym uczynkiem. Albo z czymś, czego się najbardziej boisz. Albo z czymś w tobie, co najbardziej ze wszystkiego chciałabyś ukryć przed ludźmi. Nie słyszałaś tych wszystkich historii?

- Słyszałam.



- Gdyby jutro była twoja Próba, czy nie byłabyś trochę zdenerwowana?
  - To tylko takie gadanie, Tisano. Nikt nie wie, jak się odbywa Próba, oprócz tych tłumaczek, które już ją przeszły.
  - A te, które jej nie przeszły?
  - Znasz kogoś, kto odpadł?
  - No... przypuszczam... Freylis uśmiechnęła się.
  - Podejrzewam, że odrzucają te z nas, które się nie nadają, na długo przedtem, nim zostaną opiekunkami. Na długo przedtem, nim zostaną uczennicami! - Wstała i zaczęła bawić się stojącymi na stole fiolkami ziół. - Kiedy już zostaniesz tłumaczką, wrócisz do Falkynkip?
  - Chyba tak.
  - Tak ci się tam podoba?
  - To mój dom.
  - Nasz świat jest taki wielki, Tisano. Mogłabyś pojechać do Ni-moya, do Piliploku, nawet zostać tu, na Alhanroelu, mieszkać na Zamkowej Górze albo...
  - Falkynkip mi wystarczy - stwierdziła Tisana. - Lubię te pyliste drogi. Lubię wypalone słońcem brązowe wzgórza. Nie widziałam ich od siedmiu lat. W Falkynkip potrzebują tłumaczki. W wielkich miastach - nie. Wszyscy chcą zostać tłumaczami w wielkich miastach, w Ni-moya albo w Stee, prawda? Ja tam wolę Falkynkip.
  - Czy czeka tam na ciebie kochanek? - spytała nieśmiało Freylis.
  - To mało prawdopodobne - prychnęła Tisana. - Po siedmiu latach?
  - Miałam kochanka w Til-omon - przyznała Freylis. - Mieliśmy wziąć ślub, zbudować łódź i pożeglować wokół Zimroelu; żeglować trzy, nawet cztery lata, a potem może popłynąć w górę rzeki, do Ni-moya, osiedlić się tam i otworzyć sklep w Galerii Gossamer.
- To wyznanie zaskoczyło Tisanę. Znała Freylis od bardzo dawna, ale nigdy nie

rozmawiały na te tematy.

-1 co się stało?

- Dostałam przesłanie mówiące, że powinnam zostać tłumaczką snów - powiedziała cicho Freylis. - Spytałam go, co o tym sądzi. Nie wiedziałam jeszcze, co zrobię, ale chciałam poznać jego zdanie - i poznałam je, gdy tylko na niego spojrzałam. Zobaczyłam, że jest oszołomiony, zdumiony i trochę zły, jakby to, że zostanę tłumaczką, psuło mu plany - bo rzeczywiście je psuło. Powiedział, że potrzebuje trochę czasu, żeby to sobie przemyśleć. Już go więcej nie zobaczyłam. Jego przyjaciel powiedział mi, że akurat tej nocy miał przesłanie, każące mu udać się do Pidruid; wyjechał rano, a później ożenił się ze swą ukochaną z dzieciństwa, którą tam spotkał. Pewnie ciągle rozmawiają o zbudowaniu łodzi i pożeglowaniu wokół Zimroelu. A ja posłuchałam przesłania, odbyłam pielgrzymkę, przyjechałam tu, w przyszłym miesiącu zostanę opiekunką i jeśli wszystko dobrze pójdzie za rok będę już prawdziwą tłumaczką. Pojadę do Ni-moya i będę tłumaczyć sny na Wielkim Bazarze.

- Biedna Freylis!

- Nie lituj się nade mną, Tisano. Lepiej, że tak się stało. Bolało tylko przez chwilę. On był nic niewart, odkryłabym to prędzej czy później. I tak bym się z nim rozstała, tylko że teraz zostanę tłumaczką w służbie Pani, a tak byłabym kimś zupełnie bezużytecznym.

Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Wcale nie chcę być czyjąś żoną. -Ja też nie - powiedziała Tisana.

Powąchała nowe wino, uznała, że jest dobre i zaczęła porządkować stół, pracownicy zatykając fiołki, ustawiając je w określony sposób. Freylis jest taka miła, pomyślała. Taka uprzejma, łagodna, współczująca. Cechy prawdziwej kobiety, których nie potrafiła znaleźć u siebie. W ogóle uważała, że ma duszę mężczyzny (tak przynajmniej ją sobie wyobrażała):

ciężką, szorstką, mocną i twardą, zdolną wytrzymać wszystkie naciski, lecz niezbyt elastyczną i z pewnością mało wrażliwą na niuanse i kwestie taktu. W istocie mężczyźni wcale nie są tacy - o czym wiedziała doskonale - tak jak nie wszystkie kobiety bywają wzorami subtelności i intuicji, lecz była w tym jakaś prymitywna prawda, a Tisana zawsze uważała się za zbyt dużą, zbyt grubo ciosaną i zbyt prostacką, by być prawdziwie kobieca. Natomiast Freylis - drobna, smukła, delikatna Freylis, współczująca dusza i wrażliwy umysł - w porównaniu z nią wydawała się należeć do jakiegoś innego gatunku. To właśnie Freylis, pomyślała Tisana, okaże się wspaniałą tłumaczką. Będzie intuicyjnie wyczuwać duchowe rozterki tych, którzy przyjdą do niej szukając wyjaśnienia swoich snów, i przekazywać im, w sposób najbardziej użyteczny, to co koniecznie muszą wiedzieć. Kiedy Pani Wyspy i Król Snów - każde w sobie tylko właściwy sposób - wchodzą w umysły śpiących, często przemawiają niejasno i zagadkowo. Zadaniem tłumaczki jest właśnie umożliwienie kontaktu między tymi dwiema wielkimi Potęgami a miliardami obywateli Majipooru, rozszyfrowywanie przesłań, interpretacja, przewodnictwo w świecie sennych marzeń. Wiąże się z tym ogromna odpowiedzialność. Tłumacz może kształtować i zmieniać ludzkie życie. Freylis doskonale z tym sobie poradzi - będzie wiedziała, kiedy ma być stanowcza, kiedy można żartować, a kiedy potrzebne jest ciepło i współczucie. Jak się tego nauczyła? Bez wątplenia zdobyła tę wiedzę żyjąc, doświadczając smutków i rozczarowań, przegrywając i walcząc znowu. Nie znając nawet szczegółów z jej przeszłości, Tisana widziała w chłodnych, szarych oczach tej drobnej kobiety ciężko okupioną wiedzę i ta właśnie wiedza, a nie techniki opanowane w kapitulacji, przygotowały ją do wykonywania zawodu. Tisana miała poważne wątpliwości co do swego powołania jako tłumaczki snów, udało jej się bowiem uniknąć wszystkich uczuciowych burz, kształtujących osobowość kobiet takich jak Freylis. Jej życie było zbyt spokojne, zbyt łatwe, zbyt -jakiego słowa użyła Freylis? - zrównoważone. Tak żyło

się we Falkynkip: wstawiało się ze słońcem, wykonywało codzienne obowiązki, jadło i znów pracowało. Potem była zabawa; żadnych wielkich ambicji, prowadzących do upadku z wysoka. Nie cierpiało się - więc jak tu zrozumieć przeżycia tych naprawdę cierpiących? Pomyślała o Freylls i o tym, jak kochanek zostawił ją bez wahania, bo jej zamierzenia -nawet jeszcze nie plany! - nie zgadzały się do końca z jego planami, a potem przypomniała sobie swoje romanse: baraszkowanie na sianie, przypadkowe ł bez znaczenia, coś mniej niż przyjaźń - dwoje ludzi spotykających się i równie bezmyślnie rozstających, bez gniewu i bez bólu. Nawet gdy się kochała - a przecież miłosny akt jest najwyższą formą porozumienia - było to proste, niemal trywialne: dwa zdrowe ciała łączą się, trochę kotłowania, sapania i jęków, krótki dreszcz rozkoszy, a potem rozstanie. Nic więcej. Tisane udało się przejść przez życie nie cierpiąc, nie płacząc, niczego nie żałując. Jak więc ma współczuć innym? Ich problemy, ich ból - pozostaną dla niej niezrozumiałe. Dopiero teraz zrozumiała, że może tego właśnie lęka się w Próbie. Może boi się, że gdy zajrzą wreszcie w jej duszę, dostrzegą, iż nie nadaje się na tłumaczkę, bo taka jest nieskomplikowana i niewinna. Odkryją wreszcie to, co chciała ukryć. Co za ironia -boi się teraz, bo nie bała się jeszcze nigdy w życiu! Dłonie zaczęły jej drżeć. Podniosła je do oczu: oto dłonie chłopki, wielkie, szorstkie, prostackie ręce o grubych paluchach, drżące jak uwieszone na sznurkach. Widząc, co się dzieje, Freyllis ujęła je, z trudem obejmując swymi delikatnymi, smukłymi palcami.

- Uspokój się! - szepnęła gwałtownie. - Nie ma się czego bać. Tisana skinęła głową.

- Która to godzina?

- Najwyższy czas, byś poszła do swoich nowicjuszek. Ja muszę odbyć codzienne modlitwy.

- Tak. Dobrze, wracajmy do pracy.

- Do zobaczenia później. Na kolacji. Pozostanę dziś z tobą na śnie-czuwaniu, dobrze?

- Dobrze. Bardzo by mi to pomogło.

Obie opuściły celę. Tisana wyszła na dwór i szybko udała się do sali spotkań, w której czekało na nią kilkanaście nowicjuszek. Po deszczu nie pozostał już nawet siad, ostre słońce pustyni wypaliło każdą kroplę wody. W południe nawet jaszczurki kryły się w cieniu. Kiedy podchodziła do bramy klasztoru, wyłoniła się z niej najstarsza nauczycielka, Vandune, kobieta z Piliploku, niemal tak stara jak przełożona. Tisana uśmiechnęła się do niej i poszła dalej, lecz nauczycielka zatrzymała ją i spytała:

- Czy jutro jest twój dzień?

- Obawiam się, że tak.

- Czy powiedzieli ci, kto będzie nadzorował twoją Próbę?

- Niczego mi nie powiedzieli. Mogę tylko zgadywać, jak to się wszystko odbędzie.

- I tak być powinno - stwierdziła Vandune. - Niepewność jest zdrowa dla ducha.

- Łatwo ci mówić - mruknęła Tisana widząc, że Vandune odchodzi. Przez chwilę zastanawiała się, czy sama będzie kiedykolwiek tak radośnie nieczuła w stosunku do jakiejś kandydatki przed jej Próbą; oczywiście założywszy, że zda i zostanie nauczycielką.

Prawdopodobnie tak.

Perspektywa zmienia się z pewnością po przekroczeniu tego progu, pomyślała.

Pamiętała jak będąc dzieckiem przysięgła sobie, że kiedy dorośnie, nigdy nie potraktuje dziecka z tym ślepym okrucieństwem, z jakim nieświadomie traktują je dorośli. Miała w pamięci tamtą przysięgę, lecz teraz, po piętnastu czy dwudziestu latach, nie potrafiła już przypomnieć sobie, co jest takiego niezwykłego w byciu dzieckiem, wątpiła także, by, pomimo przysięgi, traktowała dzieci z jakimiś specjalnymi względami. Tak też najprawdopodobniej będzie i w tym wypadku.

Weszła do sali. W kapitulacji uczyły przeważnie nauczycielki, wykształcone

tłumaczki snów, poświęcające nowicjuszkom kilka lat praktyki, jednakże od opiekunek, studentek kończących szkołę i będących tłumaczkami pod każdym innym względem z wyjątkiem tytułu, także wymagano pracy z początkującymi - w ten sposób nabierały doświadczenia w stosunkach z ludźmi. Tisana uczyła przygotowywania wina marzeń, teorii przesłań i zasad harmonii społecznej. Kiedy weszła i zajęła miejsce za katedrą, nowicjuszki spojrzały na nią ze strachem i szacunkiem. Co mogły wiedzieć o jej strachu, o jej wątpliwościach? Dla nich była kapłanką, która osiągnęła wysoki stopień wtajemniczenia, równą niemal Przełożonej Inueldzie. Opanowała wiedzę, której zdobycie przychodziło im tak ciężko. A jeśli w ogóle myślały o Próbie, była ona tylko małą, czarną chmurką wiszącą gdzieś daleko na horyzoncie, tak odległą jak starość i śmierć.

- Wczoraj... - powiedziała Tisana, biorąc głęboki wdech, bardzo starając się sprawiać wrażenie opanowanej, pewnej siebie jak wyrocznia, źródło wszelkiej mądrości - ...mówiliśmy o roli, którą odgrywa Król Snów w regulowaniu zachowań społecznych na Majipoorze.

Meliara podniosła problem okrutnej często symboliki w przekazach wysyłanych przez Króla i zakwestionowała moralność systemu społecznego opartego na torturowaniu snami.

Chciałabym, żebyśmy poważniej się dziś nad tym zastanowiły. Weźmy jakąś hipotetyczną postać - na przykład łowcę smoków z Piliploku, który w momencie wyjątkowego stresu popełnił, choć bez złej woli, wyjątkowo okrutny akt gwałtu wobec człowieka z załogi statku...

Słowa płynęły gładko. Nowicjuszki robiły notatki, marszczyły czoła, potrząsały głowami i znów, jeszcze szybciej, notowały. Z okresu swego nowicjatu Tisana pamiętała to rozpaczliwe uczucie konfrontacji z wiedzą tak wielką, że aż niemożliwą do opanowania. Nie chodziło tylko o same techniki tłumaczenia snów, lecz o całe mnóstwo związanych z nimi różnorodnych drobiazgów. Nie tego się spodziewała - i prawdopodobnie nie tego spodziewały się słuchające jej w napięciu nowicjuszki. Lecz ona, oczywiście, nie przywiązywała wagi do

trudności zawodu tłumaczki. Aż do tej chwili martwienie się na zapas nie było w jej stylu. Pewnego dnia przed siedmiu laty dostała przesłanie od Pani, każące jej opuścić farmę i poświęcić się tłumaczeniu snów. Usłuchała go bez słowa, pożyczyła pieniądze, udała się z długą pielgrzymką na Wyspę Snu, po wstępne instrukcje, a potem, otrzymawszy pozwolenie, przez wielkie morze i przez pustynię dotarła do kapitulacza w Velalisier, gdzie przeżyła ostatnie cztery lata. Nigdy nie zwątpiła, nigdy się nawet nie zawahała.

Lecz tyle jeszcze trzeba się nauczyć! Miliardy szczegółów dotyczących zachowania w obecności klienta, moralności zawodowej, odpowiedzialności i zagrożeń. Jak miesza się wino i jak działa ludzki umysł. Jak osiągnąć właściwy efekt, z konieczności ujmując interpretację w niejasne, wieloznaczne słowa. A same sny? Typy snów, znaczenia typów snów, ukryte znaczenia w śnie każdego typu. Siedem snów mylących, sny przyzywające, sny odsyłające, trzy sny transcendencji ducha, sny o opóźnieniu radości, sny o osłabionej świadomości, pięć snów rozkoszy, sny o przerwanej podróży, sny o dążeniu do celu, sny dobrych złudzeń, sny złych złudzeń, sny o niewłaściwie skierowanych ambicjach, trzynaście snów łaski... Tisana nauczyła się ich wszystkich, włączyła je w swój system nerwowy, tak jak włączone są weń alfabet i tabliczka mnożenia, poznała sny wszystkich tych typów w trakcie miesięcy programowanego śnienia. Rzeczywiście zna już swój zawód, posiadała wiedzę, którą dopiero osiąść miały te młode, nieuformowane, przerażone dziewczęta, a mimo wszystko jutrzejsza Próba może wykazać, że nie wie nic. Tego nowicjuszki nie pojęłyby chyba nigdy.

A może zrozumiałyby? Lekcja się skończyła, Tisana przez chwilę stała jeszcze za katedrą, bezmyślnie składając papiery. Uczennice wychodziły z sali. Jedna z nich - niska, tęga jasnowłosa dziewczyna z jednego z Miast Strażniczych Zamkowej Góry zatrzymała się na chwilę. Przy nauczycielce wydawała się malutka, jak większość ludzi. Podniosła wzrok, palcami lekko dotknęła jej ramienia w najdelikatniejszej z pieścot i wyszeptła wstydliwie:

“Dla pani to nic trudnego. Jestem pewna”. Uśmiechnęła się, odwróciła - policzki jej płonęły - i znikła.

A więc wiedziały - przynajmniej niektóre. Błogosławieństwo dziewczyny pozostało z Tisana do końca dnia, jak słaby płomyk świecy w ciemnościach. A był to długi, ciężki dzień, pełen obowiązków, których nie można odłożyć, choć zamiast pracować wołałaby pójść na spacer na pustynię. Musiała odbyć przepisane rytuały i modlitwy, musiała pomóc przy kopaniu fundamentów pod nową kaplicę Pani, po południu czekał ją następny wykład; potem miała trochę czasu dla siebie, a o zachodzie słońca wszyscy zbierali się na kolacji. Nim dzień się skończył, Tisana miała wrażenie, że drobna poranna burza zdarzyła się całe tygodnie temu, a może tylko się jej przyśniła?

Do kolacji usiadła napięta. Nie miała prawie apetytu, a to nieczęsto się jej zdarzało.

Wszyscy wokół niej bawili się wesoło, śmiali, plotkowali, śpiewali wesołe piosenki, a wśród tej radości Tisana siedziała ponura, jakby odgradzona od świata niewidzialną szklaną ścianą.

Starsze kobiety świadomie ignorowały fakt jej jutrzejszej Próby, podczas gdy młodsze, próbując je naśladować, nie potrafiły się powstrzymać przed rzucaniem jej krótkich, ukrytych spojrzeń -tak patrzy się na kogoś, kto nagle wyznaczony został do trudnego zadania. Tisana nie potrafiła powiedzieć, kto denerwuje ją bardziej - ignorujące rzeczywistość Próby opiekunki i nauczycielki czy ciekawe nowicjuszek i uczennice. Widelcem przesuwiała jedzenie po talerzu. Freylis zganiała ją jak dziecko, mówiąc, że jutro musi być silna. Tisana zdołała się nawet roześmiać na te słowa, poklepała się po okazałym brzuchu i powiedziała:

- Zgromadziłam zapasy na kilkanaście Prób.
- Mimo wszystko powinnaś coś zjeść.
- Nie mogę. Jestem za bardzo zdenerwowana.

Nagle z głównego stołu dobiegł dźwięk łyżeczki uderzającej o szklanekę. Przełożona



wstała. Miała im coś do oznajmienia. Zrozpaczona, Tisana mruknęła:

- Niech mnie Pani broni! Czyżby miała zamiar mówić o mej Próbie - tu, przy wszystkich?

- Chodzi o nowego Koronala - uświadomiła jej Freylis. - Wiadomość przyszła po południu.

-Jakiego nowego Koronala?

- Zajmie miejsce Lorda Tyeverasa, który został Pontifexem. Gdzieś ty była? Od pięciu tygodni...

- ... i rzeczywiście dzisiejszy deszcz był oznaką wspaniałej przyszłości, nowej wiosny... - mówiła właśnie przełożona.

Tisana zmusiła się do wysłuchania jej słów.

- Doszła dziś do mnie wiadomość, która ucieszy wszystkich tu obecnych. Mamy Koronala! Pontifex Tyeveras wybrał Malibora z Bombifale, który dziś wieczorem zajmie miejsce na Tronie Confalume'a!

Rozległy się krzyki radości, bębniiono w stoły, czyniono znak gwiazdy. Tisana, jak we śnie, robiła to, co wszyscy. Nowy Koronał? Tak, tak, zapomniała, stary Pontifex umarł przed kilkoma miesiącami, koło państwowej władzy obróciło się po raz kolejny: Lord Tyeveras został Pontifexem, a dziś ktoś nowy zasiadł na tronie Koronala. "Lord Malibor! Lord Malibor! Niech żyje Lord Malibor!" - krzyczała wraz z innymi, a jednak Lord Malibor był dla niej kimś nierealnym i nieważnym. Nowy Koronał? Jedno więcej imię na długiej, bardzo długiej liście. Lordowi Maliborowi, kimkolwiek jest, udało się; niech Bogini będzie mu łaskawa, jego kłopoty dopiero się zaczynają. Lecz jej to nic nie obchodziło. Powinno się świętować początek rządów nowego władcy. Pamiętała, że jako mała dziewczynka upiła się winem palmowym, gdy zmarł słynny Kinniken, Lord Ossier przeniósł się do Labiryntu, a

Tyeveras został Koronalem. A teraz Tyeveras jest Pontifexem i mamy nowego Koronala, a pewnego dnia, bez wątpienia, usłszy, że ten Malibor przeniósł się do Labiryntu i na tronie zasiadł jakiś nowy, młody, energiczny Koronal. Choć wszystko to uważano za bardzo ważne, w tej akurat chwili Tisany wcale nie obchodziło, jakie imię nosi władca: Malibor, Tyeveras, Ossier czy Kinniken? Zamkowa Góra, oddalona o tysiące kilometrów, równie dobrze mogłaby dla niej nie istnieć. Strach przed Próbą przytłaczał ją tak, jakby Góra spoczywała na jej barkach. Myśl o Próbie przysłała wszystko, wszelkie inne sprawy, tak że wydawały się tylko duchami spraw. Miała świadomość, jakie to absurdalne. Przypomniało to nieco nadwrażliwość ludzi chorych, kiedy to cały świat koncentruje się w uczuciu bólu za lewym okiem albo pustki w żołądku i nic oprócz tego nie ma już znaczenia. Lord Malibor? Może przecież innym razem uczcić fakt wyniesienia go na tron.

- Chodź - powiedziała Freylis. - Idziemy do twojego pokoju. Tisana skinęła głową.

Sala jadalna nie była miejscem dla niej,

przynajmniej dzisiaj. Świadoma, że wszystkie oczy obrócone są na nią, przeszła

niepewnie wśród stołów i znikła w ciemnościach. Wiał gorący, suchy wiatr, nieprzyjemny, szarpiący nerwy. Kiedy dotarły do celi, Freylis zapaliła świece; a potem delikatnie popchnęła Tisanę na łóżko. Z szafki wyjęła dwa kieliszki, spod płaszcza butelkę.

- Co robisz? - spytała Tisana.

- Nalewam wina. Żebyś się uspokoiła.

- Wina snów?

- Tak. A co?

Tisana zmarszczyła brwi.

- Nie powinniśmy...

- Nie chodzi o tłumaczenie snów. Chcę, żebyś się uspokoiła, żebyś oparła się na mnie.

Chcę ci pomóc moją siłą. Masz! - Wlała mocne, ciemne wino do szklanek, jedną z nich włożyła w jej dłoń.

- Wypij to. Wypij, Tisano - powiedziała i Tisana bezmyślnie wykonała jej polecenie.

Freylis także szybko wypła wino i zaczęła się rozbierać. Tisana przyjrzała się jej zaskoczona.

Nigdy jeszcze nie kochała się z kobietą. Czy tego chciała od niej przyjaciółka? Dlaczego? To pomyłka, pomyślała. Pić wino snów i kochać się z Freyлис w przeddzień Próby...

- Rozbierz się - szepnęła Freyлис.

- Co chcesz zrobić?

- Czuwać z tobą we śnie, głupia. Umówiliśmy się. Tylko to, nic więcej. Wypij wino i rozbieraj się!

Freyлис zdążyła już zrzucić ubranie. Ciało miała niemal dziecięce, szczupłe, płaskie, o jasnej skórze i piersiach małej dziewczynki.

Tisana rzuciła swą szatę na podłogę. Jej własna siła zawstydziła ją: potężne ramiona, potężne pośladki i uda. Tłumaczenia zawsze dokonuje się nago, wszelki wstyd błyskawicznie znika, lecz teraz było jakoś inaczej, bardziej osobiście, intymniej. Freyлис naląła jeszcze trochę wina do obu szklaneczek. Tisana wypła nie protestując. A potem przyjaciółka klękła przed nią, wzięła ją za rękę, spojrzała jej prosto w oczy i powiedziała głosem karcącym i pełnym uczucia jednocześnie:

- Ty wielka, głupia babo, masz przestać martwić się o jutro! Próba nie znaczy nic!

Nic. Nic. - Zdmuchnęła świece i położyła się na łóżku obok niej.

- Śpij dobrze. Śnij dobrze - powiedziała, złożyła głowę na piersi przyjaciółki, przytuliła się do niej, skuliła i po chwili już spała.

A więc nie miały jednak zostać kochankami. Tisana przyjęła to z ulgą. Innym razem - może, ale to nie był właściwy czas na tego rodzaju przygody. Zamknęła oczy i przytuliła

Freylis jak przytula się śpiące dziecko. Od wina zakłęciło się jej w głowie, czuła ciepło. Wino snów otwiera umysł, była więc w pełni świadoma obecności innej duszy, ale nie przypominało to tłumaczenia. Nie wykonały ćwiczeń koncentracyjnych, umożliwiających pełne zjednoczenie; od Freydis Tisana odbierała tylko ogólne, silne emanacje spokoju, miłości, energii. Freydis była silna, znacznie silniejsza niż można było się spodziewać po jej wątłym ciele. W miarę, jak wino działało coraz mocniej, bliskość przyjaciółki uspokajała Tisanę coraz bardziej. Senność ogarniała ją powoli. Nadal się niepokoiła - Próbą i tym, co pomyśleli inni, widząc je obie wychodzące przed końcem kolacji, o pogwałceniu zasad użycia wina. Co jakiś czas duszę zalewały jej fale poczucia winy, wstydu i strachu. Jednak powoli zaczęła się uspokajać. Zasnęła. Wyćwiczonym umysłem tłumaczki śledziła swe sny, lecz nie było w nich ani formy, ani logicznego następstwa, tylko dziwnie nieprecyzyjne obrazy: nieokreślony horyzont oświetlony niewyraźnym dalekim blaskiem, jakaś twarz - może Pani, a może Przełożonej Inueldy lub Freydis. Głównie było w nich uspokajające światło. A potem nadszedł świt, na pustyni zaćwierkał jakiś ptak, oznajmiając narodziny nowego dnia. Tisana zamrugła i usiadła. Była sama. Freydis zgasła świece, umyła szklanki po winie i zostawiła liścik na stole - nie, nie liścik, rysunek: błyskawicę, symbol Króla i trójkąt w trójkącie, symbol Pani Wyspy, wokół tego serce, a wokół serca słońce: dowód miłości i dobrych życzeń.

- Tisana?

Podeszła do drzwi. Czekala na nią stara nauczycielka, Vandune.

- Czy już czas?

- Najwyższy czas. Słońce weszło dwadzieścia minut temu. Jesteś gotowa?

-Tak. - Czuła dziwny spokój; śmieszne, taki spokój po tygodniach strachu. Lecz kiedy wreszcie przyszła ta chwila, nie było się czego bać. Stanie się to, co ma się stać, a jeśli okaże

się, że Próba jest dla niej za trudna, to lepiej, że jej nie przejdzie, lepiej dla wszystkich. Poszła za Vandune na dziedziniec; minęły ogródek warzywny i znalazły się na terenie kapitulacza. Krzątało się tam już parę osób, ale nikt się do nich nie odezwał. W świetle poranka szły po twardym piasku pustyni. Tisana powstrzymywała krok, by nie wyprzedzić starszej kobiety. Maszerowały w milczeniu na wschód, potem na południe; wydawało się jej, że idą godzinami, przemierzając całe kilometry. Z krajobrazu pustyni wyłaniały się powoli ruiny starożytnego miasta Metamorfów, Velalisier; wielkiego, niesamowitego, pełnego ogromu i majestatu, mającego wiele tysięcy lat, dawno porzuconego przez budowniczych. Tisana miała wrażenie, że zaczyna rozumieć. Wypuszczając w ruiny, będzie musiała spędzić dzień wśród duchów. Lecz czy to możliwe, czyżby Próba miała być taka dziecinna, taka prosta? Duchy jej nie przerażały. Jeśli chcieli ją przestraszyć, powinni przyprowadzić ją tu nocą. W dzień Velalisier było tylko kupą kamieni - ruinami świątyń, strzaskanych kolumn i zasypanych piaskiem piramid.

Doszły w końcu do czegoś w rodzaju amfiteatru, dobrze zachowanego - rzędy siedzeń biegły szerokimi półokręgami jeden nad drugim. W środku stał kamienny stół i kilka kamiennych siedzeń, na stole Tisana dostrzegła butelkę wina i szklanę. A więc tu miała się odbyć Próba! Przypuszczała, że teraz wypiją wino, położą się obie, Vandune i ona, na płaskim kawałku piaszczystej ziemi, dokonają tłumaczenia snu, a kiedy powstaną, Vandune będzie wiedziała, czy Tisanę z Falkynkip można wpisać na listę tłumaczek.

Ale nie tak miało się to odbyć. Stara nauczycielka wskazała butelkę i powiedziała:  
- To wino snów. Pozostawiam cię samą. Wypij, ile uważasz za stosowne, i zajrzyj w swą duszę. Przeprowadź Próbę samej siebie.

-Ja?

Vandune uśmiechnęła się.

- A kto inny nadaje się do tego lepiej niż ty? Idź. Wypij wino. Powrócę we właściwym czasie.

Ukloniła się i odeszła. Tisana pragnęła zapytać ją o tyle rzeczy, lecz powstrzymała się, czując, że Próba już się zaczęła i że jej pierwsza część polega na nalezadawaniu pytań.

Zdumiona patrzyła, jak Vandune wychodzi z amfiteatru przez dziurę w murze i znika. Nie słyszała nic, nawet kroków. W miażdżącej ciszy martwego miasta sam piasek zdawał się wołać, choć w milczeniu. Tisana zmarszczyła brwi, uśmiechnęła się, a potem roześmiała grzmiącym śmiechem, który obudził odległe echa. Padła ofiarą żartu. Każdy sam przeprowadza swą Próbę - oto rozwiązanie zagadki. Najpierw pozwalają tłumaczkom zamartwiać się, by potem powiedzieć im, że wszystko zależy od nich. Całe przerażające oczekiwanie to tylko upiory produkowane przez wyobraźnię.

Tylko jak...?

Tisana wzruszyła ramionami. Nalała sobie wina, wypła je. Było bardzo słodkie, prawdopodobnie zeszłoroczne. Butelka jest duża. W porządku, jestem dużą kobietą. Wypła drugą szklaneczkę. Nie jadła śniadania - niemal natychmiast poczuła, jak wino rozjaśnia jej umysł. Mimo to wypła jeszcze raz.

Słońce szybko wspinało się po niebie. Promienie świeciły już' ponad murem amfiteatru.

- Tisano! - krzyknęła. I odpowiedziała sama sobie:

- Tak, Tisano?

Roześmiała się. Znow wypła trochę wina.

Nigdy przedtem nie piła wina snów samotnie. Zawsze był przy niej ktoś - albo tłumaczka, albo nauczycielka. Picie samemu przypominało jej zadawanie pytań samej sobie. Czowała się niepewnie, jak ktoś stojący pomiędzy dwoma lustrami i obserwujący obraz swej

osoby rozmnażający się w nieskończoność.

- Tisano - powiedziała - oto twa Próba. Czy nadajesz się na tłumaczkę snów?

Odpowiedziała sama sobie:

- Studiowałam cztery lata, a przedtem jeszcze trzy spędziłam jako pielgrzym na Wyspie. Znam siedem oszukańczych snów i dziewięć snów uczących, znam sny przyzywające i sny...

- Doskonale. To możemy sobie darować. Czy nadajesz się na tłumaczkę?

- Wiem, jak przyrządzać wino i jak je pić.

- Odpowiedz mi na pytanie. Czy nadajesz się na tłumaczkę? -Jestem zrównoważona.

Mam spokojną duszę.

- Unikasz odpowiedzi.

-Jestem mocna i zdolna. Nie ma we mnie krzty przewrotności. Pragnę służyć Bogini.

- A co ze służbą twym bliźnim?

- Służąc Bogini służę im.

- Zgrabna odpowiedź. Kto ci ją podpowiedział?

- Sama to wymyśliłam, przed chwilą. Mogę napić się jeszcze wina?

- Pij, ile chcesz.

- Dziękuję - powiedziała Tisana. Wypiła. Kręciło się jej w głowie, lecz nie była pijana, a tajemna zdolność trunku do łączenia umysłów nie mogła ujawnić się tu, w dzień, w samotności.

-Jakie jest drugie pytanie? - spytała.

- Nie odpowiedziałas na pierwsze.

- Zadaj mi drugie.

-Jest tylko jedno pytanie, Tisano. Czy nadajesz się na tłumaczkę? Czy potrafisz

uspokoić dusze tych, którzy do ciebie przyjdą?

- Spróbuję.

- Czy tak brzmi twa odpowiedź?

- Tak - powiedziała Tisana. - Oto moja odpowiedź. Dajcie mi szansę. Pozwólcie mi spróbować. Pragnę pomagać innym i wiem, jak to zrobić. Pani Wyspy kazała mi zostać tłumaczką.

- Czy położysz się ze wszystkimi, którzy poproszą cię o pomoc? Z ludźmi, z

Ghayrogami, ze Skandarami i Liimenami, z Vroonami i przedstawicielami innych ras naszej planety?

- Ze wszystkimi - powiedziała.

- Czy ulżysz ich zbłąkanym duszom? -Jeśli tylko będę w stanie, ulżę im.

- Czy nadajesz się na tłumaczkę?

- Pozwólcie mi spróbować i wtedy się dowiemy - powiedziała Tisana.

- To brzmi rozsądnie - powiedziała Tisana. - Nie mam dalszych pytań.

Nalała sobie resztkę wina i wypła je. Potem tylko siedziała, czekając, a słońce wspinało się coraz wyżej i dzień stawał się coraz gorętszy. Była całkowicie spokojna, nie czuła zniecierpliwienia, nie czuła niewygody. Będzie tak siedziała cały dzień, jeśli to konieczne. Minęła godzina, może nieco więcej, i nagle przed nią wyrosła Vandune, pojawiając się bez ostrzeżenia.

Vandune spytała cicho:

- Czy twa Próba została już zakończona?

-Tak. -I co?

- Przeszłam - powiedziała Tisana. Stara kobieta uśmiechnęła się.

- Byłam pewna, że ją zdasz. Chodź, idziemy. Musimy porozmawiać z Przełożoną i



podjąć pewne postanowienia dotyczące twej przyszłości, tłumaczko Tisano.

Wróciły do kapitułarza w milczeniu; podobnie jak rankiem z niego wychodziły, idąc szybko w rosnącym upale. Gdy opuściły ruiny, dochodziło południe. Nowicjuski i uczennice, pracujące na polach, wracały na drugie śniadanie. Przyglądały się jej niepewnie, a Tisana odpowiadała im jasnym, radosnym uśmiechem.

Przy wejściu do głównego budynku pojawiła się Freylis, niby przypadkiem zastąpiła Tisane drogę i spojrzała jej w oczy ze strachem.

- No i...? - spytała z napięciem.

Tisana odpowiedziała jej uśmiechem. Chciała powiedzieć: "To nic, to tylko żart, formalność, rytuał, prawdziwa Próba odbyła się dawno temu". Pomyślała jednak, że Freylis będzie musiała odkryć to sama. Od tej chwili dzieliła je przepaść, bowiem Tisana była już tłumaczką, a Freylis nadal zaledwie opiekunką. Powiedziała więc tylko:

- Wszystko w porządku.

- Doskonale. Jak to dobrze, Tisano, jak dobrze! Taka jestem szczęśliwa.

- Dziękuję ci za pomoc - powiedziała poważnie Tisana. Nagle na dziedzińcu zaczął kroić deszcz. Podniosła wzrok.

Mała czarna chmura pojawiła się na niebie, tak jak wczoraj - pozostałość burzy, która szalała pewnie niedawno na dalekim wybrzeżu. Chmura wisiała, jakby uczepona iglicy wieży kapitułarza, i nagle, jakby ktoś przechylił ukryte w niej wiadro, na ziemię spadły wielkie krople deszczu.

- Spójrz! - krzyknęła Tisana. - Znowu pada! Chodź", Freylis. Chodź, zatańczymy!

## **ZŁODZIEJKA Z NI-MOJA**

Pod koniec siódmego roku, licząc od powtórnej koronacji Lorda Valentine'a, do

Labiryntu dotarła wiadomość, że Koronał wkrótce przybędzie tu z wizytą. Na tę wieść serce

Hissune'a zaczęło bić tak mocno, jakby chciało wyskoczyć mu z piersi. Czy zdoła zobaczyć się z Koronalem? Czy Lord Valentine jeszcze o nim pamięta? Przecież kiedyś zadał sobie trud, by ściągnąć go na Zamkową Górę na swą drugą koronację - z pewnością więc nadal o nim myśli, z pewnością pamięta chłopca, który...

Prawdopodobnie jednak nie pamięta, zdecydował Hissune. To go uspokoiło, znów był chłodny i rzeczowy, jak zwykle. Jeśli w trakcie wizyty zdoła w ogóle zobaczyć Lorda Valentine'a, będzie to wydarzenie niezwykle, a jeśli Lord Valentine go sobie przypomni - no, to już zdarzy się cud! Najprawdopodobniej Koronał odwiedzi na krótko Labirynt, nie spotykając się z nikim prócz ministrów Pontyfikatu. Powiadają, że Lord Valentine robi wielki objazd - zmierza do Alaisor, a stamtąd na Wyspę, gdzie odwiedzi swą matkę; postój w Labiryncie jest w tych okolicznościach obowiązkowy. Hissune wiedział jednak, że Koronał nie lubi wizyt w Labiryncie, bo uświadamia mu to ponurą konieczność - fakt, że będzie musiał osiąść tu kiedyś na stałe, gdy przyjdzie na niego kolej objąć najwyższy urząd na Majipoorze. A wszak zdaje sobie sprawę, że Pontifex Tyeveras jest dziś czymś w rodzaju upiora, raczej martwy niż żywy; tkwi wśród niepojętych snów w kokonie systemu podtrzymywania życia, niezdolny skomunikować się z otaczającym go światem. Jest bardziej symbolem niż człowiekiem, którego powinno się pochować przed laty, utrzymywanym na tym świecie tylko po to, by przedłużyć rządy Valentine'a jako Koronała. Dla Valentine'a to zapewne dobrze - pomyślał Hissune - i dla Majipooru też dobrze, tylko dla Tyeverasa gorzej, ale to już nie jego sprawa. Hissune wrócił więc do Rejestru Dusz, nadal myśląc o tym, co może się zdarzyć podczas nadchodzącej wizyty Koronała. Zamyślony wybrał na oślep przycisk i otrzymał nagranie mieszkanki Ni-moya, które zaczynało się tak banalnie, że omal nie wyłączył go od razu. W ostatniej chwili jednak zdecydował, że warto obejrzeć to wielkie miasto na dalekim kontynencie. Tak więc postanowił przeżyć życie niezamożnej sklepikarki wyłącznie ze

względu na Ni-moya - i wkrótce przestał żałować swego wyboru.

Matka Inyanny przez całe życie prowadziła sklep w Velathys, podobnie jak matka jej matki, i wyglądało na to, że taki też będzie los samej Inyanny. Ani matka, ani matka jej matki nie wydawały się żałować takiego życia, lecz Inyanna, gdy w wieku dziewiętnastu lat została jedyną właścicielką sklepiku, czuła że przygniata jej grzbiet jak nieznośny ciężar, jak garb. Czasami zastanawiała się, czy go nie sprzedać i nie poszukać lepszego życia w wielkim mieście - w Piliploku, w Pidruid lub nawet w leżącej daleko na północy gigantycznej metropolii Ni-moya. Mówiono o niej, że jest cudowna ponad wszelkie wyobrażenia tych, którzy nigdy jej nie odwiedzili.

Lecz czas był spokojny, interes szedł kiepsko i chętni na kupno sklepu jakoś nie pojawiali się na horyzoncie. A poza tym wiele pokoleń jej rodziny mieszkało tu, w Velathys, i porzucić miasto tak po prostu wcale nie byłoby jej łatwo, niezależnie od tego, jak bardzo je zniecierzyła. Tak więc Inyanna wstawiała co dzień o wschodzie słońca, wychodziła na mały, wyłożony kamkami taras, kąpała się w kadzi deszczówki, którą trzymała specjalnie w tym celu, ubierała się, jadła śniadanie złożone z suszonej ryby i wina, a potem szła na dół otworzyć sklepik. Handlowała czym się tylko dało: belami płótna, glinianymi misami z południa, beczkami przypraw i owocowych konfitur, dzbanami wina, sztuccami z Narabalu, płatami drogiego mięsa smoków morskich, jasnymi, miniaturowymi latarenkami wytwarzanymi w Til-omon i wieloma innymi podobnymi rzeczami. Wiele było takich sklepików w Velathys i żaden z nich nie prosperował. Od czasu śmierci matki Inyanna prowadziła księgi, inwentaryzowała towary, zmiatała podłogi, czyściła lady, wypełniała rządowe formularze, załatwiała pozwolenia i czuła się tym już strasznie zmęczona. Lecz cóż innego miało jej do zaoferowania życie? Była tylko mało ważną dziewczyną, mieszkającą w mało ważnym miasteczku w wilgotnych, deszczowych górach i przez najbliższe sześćdziesiąt

czy siedemdziesiąt lat nie miała prawa spodziewać się jakichś istotnych zmian w swoim życiu.

Niewielu z jej klientów było ludźmi. Przez dziesięciolecia osiedlali się tu głównie Hjortowie i Liimenowie oraz Metamorfowie; ich prowincja, Piurifayne, leżała niedaleko, na północy za górami, i wielu Zmiennokształtnych osiadło w okolicy Velathys. Inyanna w sposób naturalny traktowała obcych, nawet Zmiennokształtnych, zazwyczaj wprawiających ludzi w zakłopotanie. Żałowała tylko, że tak rzadko widuje przedstawicieli swej rasy i że - choć szczupła i ładna, smukła, delikatna, o chłopięcej figurze - niewielu miała kochanków i nie znalazła do tej pory nikogo, z kim chciałaby się związać na dłużej. Gdyby kogoś takiego znalazła, nie musiałaby już pracować tak ciężko. Z drugiej strony ograniczyłby on jej wolność, zwłaszcza swobodę snucia marzeń, że nadejdzie czas, gdy nie będzie już sklepikarką z Velathys.

Pewnego dnia po południowym deszczu w sklepie pojawiła się dwójka nietutejszych. Byli pierwszymi klientami od kilku godzin. Jeden z nich był niski i tęgi - mały, okrągły człowieczek. Drugi - chudy, blady, wysoki, o kościstej, kanciastej twarzy - wyglądał jak jakiś drapieżnik z gór. Obaj ubrani byli w ciężkie białe szaty, przewiązane jaskrawopomarańczowymi pasami - powiadano, że takie stroje nosi się powszechnie w wielkich miastach na północy. Z pogardą rozejrzeli się po sklepiku, jak ludzie przyzwyczajeni do towarów w znacznie lepszym gatunku.

Niski mężczyzna spytał:

- Czy to pani nazywa się Inyanna Forlana? -Tak.

Zajrzał w papiery.

- Córka Forlany Hayorn, która była córką Hayorn Inyanny?

- Trafiliście do właściwej osoby. Czy wolno wiedzieć...

- No, wreszcie! - krzyknął wysoki. - Odbyliśmy długą, pełną niewygód podróż. Gdyby tylko pani wiedziała, ile czasu jej szukaliśmy! Rzeką do Khyntoru, z Khyntoru do Dulornu, potem przeprawa przez te cholerne góry - czy tu nigdy nie przestaje padać? - a potem jeszcze wędrówka od domu do domu, od sklepiku do sklepiku i tak przez całe Velathys; pytaliśmy tu i tam...

-1 to właśnie mnie szukaliście?

-Jeśli może pani dowieść swej tożsamości - tak.

Inyanna wzruszyła ramionami.

- Mam rodzinne dokumenty. Ale czego właściwie panowie ode mnie chcecie?

- Powinniśmy się przedstawić - stwierdził niższy. -Ja nazywam się Vezan Ormus, a mój kolega Steyg; jesteśmy urzędnikami jego wysokości Pontifexa Tyeverasa z Biura Spadków w Ni-moya. - Z bogato zdobionej, skórzanej torby Vezar Ormus wyjął plik papierów, przejrzał je szybko i powiedział:

- Starszą siostrą pani babki była niejaka Saleen Inyanna, która w dwudziestym trzecim roku pontyfikatu Kinnikena, za rządów Koronala Lorda Ossiera, osiedliła się w Ni-moya i wyszła za mąż za niejakiego Helmyota Gayoona, kuzyna trzeciego stopnia księcia.

Inyanna wpatrywała się w niego, nie pojmując ani słowa.

- Nic o tym nie wiem - powiedziała.

- Nie jesteśmy bynajmniej zaskoczeni - wtrącił Steyg. - Zdarzyło się to kilka pokoleń temu. I, bez wątpienia, biorąc pod uwagę wielką odległość i różnicę statusu rodzin, nie było między nimi zażyłych kontaktów.

- Babcia nigdy nie wspominała o bogatych krewnych w Ni-moya.

Vezan Ormus kaszlnął i zerknął w papiery.

- Niech i tak będzie. Helmyot Gavoon i Saleen Inyanna mieli trójkę dzieci, z których

najstarsze, córka, odziedziczyło rodzinną posiadłość. Zginęła młodo w wypadku na polowaniu i wszelkie jej dobra przeszły na syna, Gavoonę Dilamayne, który zmarł w dziesiątym roku panowania Pontifexa Tyeverasa, a więc dziewięć lat temu, nie zostawiając potomka. Od tego czasu posiadłość pozostała nie zasiedlona, podczas gdy prowadzono poszukiwanie prawnych spadkobierców. Trzy lata temu ustalono...

- Że ja jestem spadkobierczynią?

- Tak, rzeczywiście - przytaknął Steyg z szerokim uśmiechem na swej kościstej twarzy.

Inyanna, choć od pewnego czasu spodziewała się takiego obrotu rozmowy, mimo wszystko była zdumiona. Nogi się pod nią ugięły, poczuła suchość w ustach, zdenerwowana podniosła rękę, strącając ze stolika i rozbijając wazę z drogiego serwisu z Alhanroelu.

Zawstydzona tą reakcją, opanowała się z wysiłkiem i spytała:

- A co takiego odziedziczyłam?

- Wspaniały dom znany pod nazwą Nissimorn Prospect, położony na północnym brzegu Zimni, oraz trzy posiadłości w Dolinie Steiche, wydierżawione i przynoszące dochody - oznajmił Steyg.

- Gratulujemy pani - dodał Vezan Ormus.

- A ja gratuluję panom dowcipu. Dziękuję za tę chwilę wesołej zabawy. A teraz, jeśli niczego nie chcecie kupić, to, proszę, wyjdźcie. Muszę popracować nad księgami, zbliża się termin płacenia podatków i...

- Nie wierzy nam pani - przerwał jej Vezan Ormus. - To w pełni zrozumiałe.

Przybyliśmy tu z prawdziwie fantastyczną opowieścią, więc nie jest pani w stanie wziąć naszych słów za prawdę. Lecz proszę tylko pomyśleć: jesteśmy mieszkańcami Ni-moya. Czy przemierzylibyśmy tysiące kilometrów, docierając aż do Velathys, tylko po to, by zażartować

sobie z właścicielki niewielkiego sklepu? Proszę sprawdzić - pomachał plikiem papierów i wręczył je Inyannie.

Wzięła je drżącymi rękami. Widok i plany wspaniałej posiadłości wraz z potwierdzeniem prawa własności, genealogia, dokument z pieczęcią Pontifexa, noszący jej imię...

Podniosła wzrok, oszołomiona, nie wiedziała, co myśleć. Słabym, schrypniętym głosem spytała:

- Co powinnam teraz zrobić?

- Procedura jest rutynowa - wyjaśnił jej Steyg. - Musi pani wypełnić dokumenty poświadczające, że jest pani w istocie Inyanną Forlaną, musi pani podpisać zobowiązania opłacenia należnych podatków ze zakumulowanych dochodów, gdy obejmie już pani swą własność, musi pani uiścić opłaty za przekazanie wspomnianego tytułu własności i tak dalej.

Poprowadzimy wszystkie sprawy w pani imieniu.

- Opłaty?

- To kwestia kilku rojalów. Oczy Inyanny rozszerzyły się.

-1 mogę zapłacić ze zakumulowanych dochodów?

- Niestety, nie - oznajmił Vezan Ormus. - Trzeba je wnieść przed przejęciem posiadłości, a dostęp do dochodów uzyskuje pani oczywiście po jej przejęciu, więc...

- Uciążliwa formalność - stwierdził Steyg. - Lecz na dłuższą metę to drobiazg, prawda?



Obowiązkowe opłaty wyniosły dwadzieścia rojali. Dla Inyanny była to suma ogromna, równa niemal wszystkim jej oszczędnościom, lecz z przedstawionych dokumentów dowiedziała się, że same ziemie uprawne przynoszą dochód w wysokości dziewięciuset rojali rocznie, a dochodziły do tego jeszcze inne aktywa: posiadłość wraz z całym wyposażeniem, czynsz i opłaty z nieruchomości położone] na brzegu rzeki...

Vezaan Ormus i Steyg bardzo pomogli jej przy wypełnianiu wszystkich dokumentów.

Inyanną zawiesiła na drzwiach sklepiku napis "Zamknięte do odwołania" - nie traciła przez to wiele w obecnym martwym sezonie - i wraz z gośćmi spędziła popołudnie przy małym biurczku na piętrze; podpisywała papiery, które oni stemplowali imponującą pieczęcią Pontifexa. Po wszystkim zdecydowała się uczcić swoje szczęście kilkoma szklankami wina wypitymi w gospodzie u stóp wzgórza. Steyg uparł się, że postawi pierwszą kolejkę, przytrzymując jej dłoń zapłacił pół korony za butelkę najlepszego wina palmowego z Pidruid. Inyanna aż westchnęła, widząc jego rozrzutność, lecz po chwili przypomniała sobie, że stała się osobą zamożną i kiedy wypili pierwszą butelkę, zamówiła następną. Gospoda była zatłoczona, głównie przez Hjortów, siedziało w niej także kilku Ghayrogów; urzędnicy z pomocy najwyraźniej niezbyt dobrze bawili się w tym towarzystwie, od czasu do czasu podnosili nawet dłonie do nosów, jakby dokuczał im zapach obcych istot, więc żeby odwrócić ich uwagę Inyanna raz za razem powtarzała, jaka jest wdzięczna za to, że narazili się na niewygody szukając jej nawet tu, w dalekim Velathys.

- Taką mamy pracę! - zaprotestował Vezaan Ormus. - W naszym świecie każdy czci

Boginię, wypełniając nałożone na niego codzienne obowiązki. Ziemia leżała odłogiem, wielki dom pozostawał nie zamieszkały, a spadkobierca tych dóbr żył gdzieś w niewiedzy i ubóstwie. Prawo wymaga, by tego rodzaju niesprawiedliwości zostały naprawione. Na nas

spadł przywilej ich naprawienia.

- Mimo to, dziękuję. - Inyanna, zarumieniona od nadmiaru wina, pochyłała się ku mężczyznom niemal kokieteryjnie, raz ku jednemu, raz ku drugiemu. - Dla mnie naraziliście się na wielkie niewygody i na zawsze będę waszą dłużniczką. Jeszcze butelkę wina?

Zmrok zapadł na długo przedtem, nim wreszcie opuścili gospodę. Świeciło kilka księżyców, otaczające miasto góry, zewnętrzne szczyty wielkiego pasma Gonghar, w ich zimnym świetle wyglądały jak kolumny czarnego lodu. Inyanna odprowadziła gości do hotelu na Dekkeret Plaža; pod wpływem radości i wina omal nie wprosiła się do nich na noc. Lecz oni najwyraźniej jej nie pragnęli, być może nawet obawiali się takiej możliwości, bowiem grzecznie i z wielką zręcznością pozbyli się jej przy wejściu. Zataczając się lekko ruszyła więc pnącą się stromo w górę uliczką do domu, a potem wyszła na taras zaczerpnąć świeżego powietrza. Szumiało jej w głowie od nadmiaru wina, nadmiaru rozmów i od tej szokującej wiadomości! Rozejrzała się wokół, patrząc na swe rodzinne miasto: rząd za rzędem małych, krytych dachówką domków o zdobionych stiukiem ścianach, schodzących w dół zboczami Basenu Velathys, kilka zaniedbanych parków, place i parę rezydencji, na wschodzie nędzny zameczek księcia. Droga otaczała miasto jak obroża, a dalej były już tylko potężne góry. Rozmieszczone po bokach kamieniołomy, z których pochodził marmur, wyglądały jak rany... Z domu na szczycie wzgórza Inyanna widziała to wszystko bardzo wyraźnie. Żegnaj, Velathys. Nie jest ani piękne, ani brzydkie, pomyślała, to po prostu miejsce na ziemi: spokojne, wilgotne, nudne, zimne, zwykłe, znane z pięknych marmurów i zdolnych kamieniarzy i niemal z niczego więcej - prowincja prowincjonalnego kontynentu. Zrezygnowana, tu chciała przeżyć życie. Lecz teraz, gdy zdarzył się cud, nieznośna wydawała się jej myśl, by zostać w miasteczku choćby godzinę dłużej niż to konieczne - przecież czekało na nią wspaniałe Ni-moya. Ni-moya! Ni-moya!

Spała źle. Rankiem spotkała się z Vezanem Ormusem i Steygiem w biurze notariusza obok banku, tam też przekazała im sakiewkę zniszczonych monet jednoroyalowych, w większości starych; niektóre były bardzo stare, z wyobrażonymi na nich twarzami Kinnikena, Thimina i Ossiera. Była wśród nich nawet moneta z czasów rządów wielkiego Confalume'a, licząca sobie wiele stuleci. Dostała za to kartkę papieru - pokwitowanie przyjęcia dwudziestu rojalów na poczet opłat skarbowych. Reszta dokumentów, wyjaśnili, musi zostać kontrasygnowana i uwierzytelniona w Ni-moya. Ale wszystkie wyślą do niej, gdy tylko uprawomocni się przeniesienie własności - będzie wtedy mogła przyjechać do Ni-moya i objąć w posiadanie swe dziedzictwo.

- Kiedy skończą się te wszystkie formalności - oznajmiła wielkodusznie - zaproszę was na miesiąc uczt i polowań w moich posiadłościach.

- Och, nie - powiedział cicho Vezan Ormus. - Nie wypada, by ludzie tacy jak my spotykali się na gruncie towarzyskim z panią na Nissimorn Prospect. Ale rozumiemy pani uczucia i dziękujemy za łaskawość.

Zaprosiła ich więc na obiad, lecz powiedzieli, że muszą jechać. Mają skontaktować się jeszcze z kilkoma spadkobiercami, muszą udać się do Narabal, Til-omon i Pidruid; minie wiele miesięcy, nim znów zobaczą swe żony. Rozczarowana ich słowami, Inyanna spytała, czy ma to oznaczać, że jej sprawa będzie czekać na załatwienie przez cały ten czas?

- Ależ nie - wyjaśnił Steyg. - Wyślemy dokumenty przez kuriera do Ni-moya jeszcze dziś wieczorem. Postępowanie spadkowe zacznie się tak szybko, jak to tylko możliwe i nasze biuro powinno skontaktować się z panią... och, powiedzmy, za siedem do dziewięciu tygodni.

Poszła z nimi do hotelu. Czekwała na dworze, gdy się pakowali, a potem odprowadziła ich do ślizgacza i stała na ulicy, machając, gdy odjeżdżali drogą prowadzącą na południowo-wschodnie wybrzeże. Później otworzyła sklep. Tego popołudnia miała dwóch klientów -jeden

kupił gwoździ za osiem wag, drugi sztuczny aksamit, trzy metry po sześćdziesiąt wag metr. Całodzienny obrót zamknął się więc sumą mniejszą niż dwie korony, ale wcale się tym nie zmartwiła. Wkrótce i tak będzie bogata!

Minął miesiąc, lecz biuro w Ni-moya milczało. Drugi miesiąc -i nadal nic się nie działo.

Cierpliwość, z jaką Inyanna znosiła Velathys przez dziewiętnaście lat, brała się głównie z poczucia beznadziejności, ze zwykłej rezygnacji. Lecz teraz, gdy zaświtała jej nadzieja na wielką zmianę, po cierpliwości nie został nawet ślad. Ręce jej drżały, bez końca chodziła po pokoju, bezustannie zaglądała w kalendarz. Lato z jego codziennymi deszczami skończyło się, nadeszła chłodna, sucha jesień, kiedy na zboczach wzgórz liście nabierają koloru płomienia. Żadnych wiadomości. Nadeszła wietrzna zima, podczas której masy wilgotnego powietrza dryfują na południe znad doliny rzeki Zimr, przez terytorium Metamorfów, by zderzyć się z chłodnymi wiatrami znad gór; na najwyższych szczytach Gonghars leżał śnieg, uliczkami Velathys płynęły strumienie błota i... ani słowa z Ni-moya. Inyanna coraz częściej myślała o swoich dwudziestu rojalach i strach mieszał się w jej duszy z wściekłością. Dwudzieste urodziny uczciła samotnie, pijąc kwaśne wino i rozmyślając, na co wyda dochody z Nissimorn Prospect. Z pewnością Vezan Ormus i Steyg odesłali dokumenty do biura Pontłfexa, lecz bez wątpienia papiery leżą na jakimś zakurzonej biurku czekając, by ktoś do nich zajrzał, podczas gdy w ogrodzie w jej posiadłości rozrastają się chwasty.

W Święto Zimy Inyanna podjęła wreszcie decyzję. Pojedzie do Ni-moya i osobiście zajmie się swoimi sprawami.

Podróż z pewnością będzie sporo kosztować, a ona wydała już swoje oszczędności.

By zdobyć jakieś środki, zastawiła sklepik u rodziny Hjortów. Dali jej dziesięć rojali,

procenty mieli wypłacać sobie sami, sprzedając zgromadzone przez nią towary za ustalone przez siebie ceny; nawet jeśli całość długu spłacona zostanie przed jej powrotem, nadal będą zarządzać sklepem, płacąc dzierżawne. Umowa była dla nich wyraźnie korzystniejsza, Inyanna nie zwróciła jednak na to żadnej uwagi - wiedziała, choć nie mówiła o tym nikomu, że nigdy już nie zobaczy sklepu ani tych Hjortów, ani nawet samego Velathys. Chodziło jej wyłącznie o to, by zdobyć środki na podróż do Ni-moya.

Podróż nie była bynajmniej drobiazgiem. Najprostsza droga z Velathys do Ni-moya prowadziła przez prowincję Zmiennokształtnych, Piurifayne, gdzie wędrowca czekały w najlepszym razie niewygody, a w najgorszym niebezpieczeństwo. Trzeba więc było bardzo nadkładać drogi - Inyanna pojechała na zachód przez Przełęcz Stiamota, w górę szerokiej doliny znanej jako Rozpadlina Dulorn, zamkniętej ogromną Ścianą Velathys, wysoką na dwa, a ciągnącą się setki kilometrów. Gdy wreszcie dotarła do miasta Dulorn, nadal miała jeszcze do przemierzenia pół kontynentu, lądem i rzeką. Była to jednak dla niej najwspanialsza z przygód, niezależnie od tego, jak długo miała trwać. Inyanna nigdy jeszcze nigdzie nie wyjeżdżała - tylko raz, kiedy miała dziesięć lat, wykorzystując niezwykle ożywienie w handlu, które nastąpiło pewnej zimy, matka wysłała ją na miesiąc na pustynię, na południe od Gonghar. Wielkie miasta, choć oglądane na widokówkach, wydawały się jej tak dalekie i fantastyczne jak inne planety. Jej matka była raz w Til-omon, na wybrzeżu; opowiadała, że jest to miasto, w którym ciepłe słońce jest jak złote wino, a lato nigdy się nie kończy. Matka jej matki dotarła aż do Narabalu, gdzie tropikalny, ciężki, wilgotny upał otulał człowieka jak płaszcz. Lecz reszta Zimroelu: Pidruid, Piliplok, Dulorn, Ni-moya były dla niej wyłącznie nazwami, oceanu nie potrafiła wręcz sobie wyobrazić, a już zupełnie nie docierała do niej myśli, że poza oceanem może znajdować się jakiś inny kontynent, na którym dziesięć miast przypada na każdą metropolię Zimroelu, z miliardami mieszkających tam ludzi, z

gigantycznym podziemnym Labiryntem, w którym żyje Pontifex i pięćdziesięciokilometrowej wysokości Górą, na szczycie której wybudowano Zamek dla Koronała i jego wspaniałego dworu. Gdy tylko o tym myślała, w ustach robiło się jej sucho, a w uszach dzwoniło.

Przerazająco wielki, niepojęty Majipoor był ciasteczkiem zbyt dużym, by przełknąć je na raz, lecz pożeranie go po kawałeczku, kilometr za kilometrem, wydawało się cudem kogoś, kto tylko raz w życiu wyjechał poza granice Velathys.

Tak więc, zafascynowana wszystkim, Inyanna zachwycała się nieznanym jej smakiem powietrza, gdy wielki, transportowy ślizgacz przebył przełęcz i zjechał na równiny na zachód od gór. Tu ciągle panowała zima - dni były krótkie, słońce blade, zielonkawe - lecz wiatr wiał łagodny i wonny, nie kłuł mrozem, lecz pachniał słodko, cudownie. Z zaskoczeniem stwierdziła, że ziemia tu jest ciężka, miękka, żyzna, wcale niepodobna do leżących na skale wokół jej domu kamieni i że miejscami całymi kilometrami ma odcień jaskrawej czerwieni. Rośliny też były inne, miały grube, błyszczące liście. Inne było upierzenie ptaków. Ciągące się wzdłuż drogi miasteczka wydawały się tak rzadko zabudowane, tak otwarte; rolnicze osady w niczym nie przypominające niesympatycznego, szarego Velathys; śmieszne drewniane domki zachwycały pomysłową ornamentyką i barwami: żółtą, niebieską, purpurową. Bardzo dziwne wydawało się jej także to, że wokół nie ma gór - Velathys leżało pośrodku pasma Gonghar, a teraz jechała przez równinę między górami i dalekim oceanem, i kiedy patrzyła na zachód, sięgała wzrokiem tak daleko, że aż ją to przerazało... pola i pola, płaska ziemia ciągnąca się w nieskończoność. Z drugiej strony miała wprawdzie Uskok Velathys, zewnętrzną krawędź gór, ale i ona wydawała się jej dziwna - ponura pionowa bariera, niemal nie podzielona na osobne szczyty, biegnąca na północ jakby nigdy nie miała się skończyć. Lecz w końcu znikła jej z oczu i w miarę, jak ślizgacz posuwał się na północ górną partią Rozpadliny Dulorn, wszystko znów zaczęło się zmieniać. Ta wielka dolina była

bogata w gips, niskie łagodne wzgórza pokryte nim były jak szronem. Skała miała tu szczególną konsystencję, pocięta szczelinami lśniła dziwnym, zimnym blaskiem. W szkole uczyli ją, że z tego kamienia wybudowano całe miasto Dulorn, widziała je nawet na obrazkach: wieże, łuki, fasady budynków płonące zimnym ogniem w świetle dnia. Wtedy wydawało się jej to baśnią, jak opowieści o Starej Ziemi, z której podobno wywodzą się ludzie, lecz pewnego dnia, pod koniec zimy, Inyanna znalazła się na przedmieściach prawdziwego Dulornu i stwierdziła, że tamtej baśni bynajmniej nie wymyślono. Dulorn wydał się jej piękniejszy i dziwniejszy niż wtedy, kiedy go sobie wyobrażała. Sprawiał wrażenie, że świeci własnym wewnętrznym blaskiem - a słońce, odbijające się od ścian i ozdobnych ornamentów barokowych budynków, rozbite jak przez kryształowy pryzmat padało na ziemię wszystkimi kolorami tęczy.

To dopiero było miasto. Przy nim, pomyślała Inyanna, Velathys wydaje się nędzną dziurą. Chętnie zostałaby tu na miesiąc, na rok, na całe życie, wędrując jedną uliczką i skręcając w następną, podziwiając wieże i mosty, zaglądając do tajemniczych sklepów aż świecących od drogich towarów, tak bardzo niepodobnych do tego, co sprzedawała w swoim żalonym sklepiku. I te hordy gadzich istot - było to miasto Ghayrogów, mieszkały ich tu miliony, przedstawiciele innych ras niemal się nie spotykało - wędrujących tu i tam, zajmujących się rzeczami, o których prości górale nie mieli najmniejszego pojęcia... Świecące plakaty, reklamujące Cyrk Nieustający... eleganckie restauracje, hotele i parki - wszystko to oglądała oniemiała z podziwu. Z pewnością na całym Majipoorze nie ma nic, co mogłoby się równać z Dulornem. Ale przecież słyszała, że Ni-moya jest znacznie większe, że Stee na zboczu Zamkowej Góry przewyższa oba te miasta, jest też sławny Piliplok i port Alaisor... i tak bez końca, bez końca.

Lecz na obejrzenie Dulornu miała tylko pół dnia, kiedy to ślizgacz zmieniał

pasażerów, przygotowywany do dalszej podróży. Te pół dnia było mniej niż chwilką i kiedy następnego ranka jechała lasami między Dulornem i Mazadone wcale nie była już pewna, czy naprawdę widziała Dulorn, czy też tylko o nim śniła.

Każdego dnia czekał ją nowy cud: miejsca, gdzie powietrze było fioletowe, gdzie drzewa rosły wielkie jak wzgórza, gdzie kępy krzaków śpiewały. A potem za oknami pojawiły się nudne, nie do odróżnienia miasteczka: Cynthion, Mazadone, Thagobar i wiele innych. Jedni pasażerowie wsiadali, a inni wysiadali, mniej więcej co tysiąc pięćset kilometrów zmieniali się kierowcy i tylko Inyanna jechała coraz dalej i dalej - dziewczyna z prowincji w wielkim świecie. Oczy jej błyszczały, w głowie czuła zamęt na myśl o wszystkich oglądanych do tej pory dziwach. Wkrótce miała zobaczyć gejzery, gorące jeziora i inne tego rodzaju termiczne cuda - zbliżali się do Khyntoru, wielkiego miasta w centrum kontynentu, gdzie miała wsiąść na pokład stateczku płynącego do Ni-moya. W Khyntorze rzeka Zimr spływała z gór północnego zachodu, wielka jak morze, z jednego brzegu niemal nie sposób było dostrzec drugiego - a w Velathys Inyanna widziała tylko bystre, wąskie strumyki. Nie była przygotowana na widok tego oceanu ciemnych wód.

Nurtem rzeki płynęła tygodniami, mijając Verf i Stroy, i Lagomandino, i dziesiątki innych miast, z których w pamięci pozostały jej tylko nazwy. Statek stał się dla niej całym światem. W dolinie Zimni pogoda była łagodna, nie rozróżniało się niemal pół roku, łatwo było stracić poczucie czasu. Inyanna miała wrażenie, że ciągle jest wiosna, chociaż wiedziała, że to już lato, późne lato, i że podróżuje już ponad pół roku. Być może nigdy nie dotrze na miejsce, być może los sprawił, że zawsze będzie w drodze, nie doświadczając niczego, nie osiadając nigdzie. Nic nie szkodzi. Zaczynała zapominać, kim była i kim jest. Gdzieś tam istniał sklepik, który należał do niej, gdzieś tam znajdowała się posiadłość, która będzie należeć do niej, gdzieś tam istnieje też młoda, pochodząca z Velathys kobieta, Inyanna



Forlana; lecz wiedza ta rozplynęła się w czystej świadomości żeglugi poprzez nie kończący się Majipoor.

Pewnego dnia, nagle, chyba już po raz setny, jakieś miasto pojawiło się na brzegu Zimru. Na pokładzie statku wszczął się ruch, ludzie biegli do burt, wpatrywali się w zamgloną dal. Inyanna usłyszała głosy: “Ni-moya! Ni-moya!” i już wiedziała, że jej podróż dobiegła kresu, że skończyła się wędrówka, że dotarła do swego prawdziwego domu - miejsca, do którego miała dziedziczne prawo.

Była wystarczająco mądra, by wiedzieć, że próba poznania Ni-moya pierwszego dnia miałyby tyle sensu, co próba policzenia gwiazd. Ni-moya było dwadzieścia razy większe od Velathys, rozciągało się na setki kilometrów po obu brzegach Zimni i Inyanna zdawała sobie sprawę, że można tu przeżyć życie i nadal potrzebować mapy, żeby znaleźć drogę.

Doskonale. Opanowała zdumienie i panikę spowodowaną dostrzeganym wszędzie groteskowym nadmiarem wszystkiego. Pozna to miasto krok po kroku. Ta podjęta z zimną krwią decyzja oznaczała początek jej transformacji w prawdziwą mieszkankę Ni-moya. Niemniej jednak trzeba było uczynić pierwszy krok. Statek przycumował, jak się jej zdawało, na południowym brzegu Zimru. Kurczowo ściskając niewielką torbę Inyanna przyglądała się ogromnej przestrzeni wody - której poziom był wysoki, bo do Zimru wpływało tu kilka pomniejszych rzek - i wzdłuż wszystkich brzegów dostrzegła miasta. Które z nich to Ni-moya? Gdzie jest biuro Pontifexa? Jak odnajdzie swoją ziemię, swą posiadłość? Świeące znaki wskazywały promy odchodzące w różnych kierunkach, lecz zmierzały one do miejsc o nazwach takich jak Gimbeluc, Istmoy, Trelain, Strand Vista. To chyba nazwy przedmieść, pomyślała. Nie ma oznaczenia promu do Ni-moya, bo wszystko to - to właśnie Ni-moya!

- Zgubiłaś się? - spytał ktoś wysokim, ostrym głosem.

Inyanna odwróciła się i dostrzegła dziewczynę, która także płynęła tym statkiem, młodszą od niej o dwa-trzy lata, o brudnej twarzy i prostych włosach ufarbowanych na przedziwny lawendowy kolor. Zbyt dumna, lub być może zbyt zawstydzona, by przyjąć od niej pomoc (nie była pewna swych motywów), tylko potrząsnęła głową i odwróciła wzrok czując, że policzki jej płoną.

Dziewczyna powiedziała jeszcze:

- Informacja znajduje się za kasami - i znikła wśród śpieszącym ku promom tłumów.

Inyanna ustawiła się w kolejce do informacji, podeszła w końcu do okienka i wsadziła głowę w elastyczny kaptur łącznościowy.

- Informacja - odezwał się głos.

- Urząd Pontifexa, Biuro Spadków.

- Nie ma na liście takiego biura.

- A więc Urząd Pontifexa.

- Promenada Rodamaunt, Strelain.

Nieco zaniepokojona, kupiła bilet na prom do Strelain; kosztował jedną koronę i dwadzieścia wag. Pozostały jej dokładnie dwa rojale. Być może zdoła się za nie utrzymać przez kilka tygodni, Ni-moya z pewnością jest droga. A później? Odziedziczyłam Nissimorn Prospect - powiedziała sobie z radością i wsiadła na prom. Trochę tylko martwiła się, że informacja nie ma adresu Biura Spadków.

Było wczesne popołudnie. Z rykiem syreny prom łagodnie odbił od brzegu. Inyanna przechyliła się przez reling, wpatrując się z zachwytem w widoczne na przeciwległym brzegu miasto. Każdy gmach sprawiał wrażenie świecącej własnym światłem białej wieży, budynki wznosiły się tarasowo ku zielonym wzgórzom na północy. Obok schodów na niższe pokłady, na słupie, umieszczona była mapa. Zorientowała się z niej, że Strelain to centralny dystrykt miasta, znajdujący się naprzeciwko dworca promowego zwanego Nissimorn. Urzędnicy Pontifexa powiedzieli, że jej posiadłość leży na północnym brzegu, więc, skoro nazywa się Nissimorn Prospect, musi leżeć naprzeciw Nissimorn i powinna znajdować się w samym Strelain, być może gdzieś wśród lasów widocznych na północnym wschodzie. Zachodnie przedmieście nazywało się Gimbeluc, od Strelain oddzielał je jeden z dopływów Zimru o brzegach spiętych wieloma mostami; na wschodzie leżało Istmoj, od południa wpływała

rzeka Steiche, niemal tak wielka jak sam Zimr, a miasta na jej brzegach nazywały się...

- Pierwszy raz w Ni-moya? - Znow pojawiła się przy niej dziewczyna o lawendowych włosach.

Inyanna uśmiechnęła się nerwowo.

- Tak. Pochodzę z Velathys. Można by powiedzieć, że przybyłam ze wsi.

- Mam wrażenie, że się mnie boisz.

- Naprawdę? Boję się?

- Nie ugryzę cię. Nawet cię nie oszukam. Nazywam się Liloyve. Jestem złodziejką na Wielkim Bazarze.

- Powiedziałaś: “złodziejką”?

- W Ni-moya to szacowny zawód. Władze nie przydzieliły nam jeszcze licencji, ale też nie przeszkadzają; mamy nawet swój rejestr, jak każda gildia. Pojechałam do Lagomandino, sprzedawałam kradzione towary dla wujka. Uważasz się za lepszą ode mnie czy jesteś tylko taka nieśmiała?

- Ani jedno, ani drugie - stwierdziła Inyanna. - Ale długo podróżowałam sama i chyba odzwyczaiłam się od rozmów z ludźmi. -Znow uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Naprawdę jesteś złodziejką?

- Tak. Ale nie kieszonkowcem. Tak się mnie przestraszyłaś! Jak się właściwie nazywasz?

- Inyanna Forlana.

- Podoba mi się. Nie poznałam jeszcze żadnej Inyanny. Przyjechałaś do Ni-moya aż z Velathys? Po co?

- By objąć spadek. Posiadłość, która należała do wnuka starszej siostry mojej babci.

Posiadłość ta nazywa się Nissimorn Prospect i leży na północnym brzegu...

Liloyve zachichotała. Usilnie próbowała powstrzymać wybuch śmiechu, ale policzki się jej wyduły, kaszlała, uderzała się dłonią po ustach w niemal histerycznym napadzie wesołości. Opanowała się jednak szybko i przyjrzała Inyannie z łagodną litością.

- W takim razie należysz do rodziny księcia - powiedziała cicho. - Błagam o wybaczenie, że ośmieliłam się do ciebie podejść.

- Rodziny księcia? Nie, oczywiście, że nie. Dlaczego...

- Nissimorn Prospect to posiadłość Calaina, młodszego brata księcia.

Inyanna potrząsnęła głową.

- Nie. Siostra mojej babci...

- Biedactwo, nie ma sensu przetrząsać ci kieszeni. Ktoś już to zrobił.

295

Inyanna przytuliła do siebie torbę.

- Nie! Chodzi mi o to, że ktoś cię oszukał wmawiając ci, że odziedziczyłaś Nissimorn Prospect.

- Widziałam dokumenty z pieczęcią Pontifexa. Dwaj urzędnicy z Ni-moya osobiście przywieźli je do Velathys. Może i pochodzę z prowincji, ale nie jestem aż tak głupia, by udać się w taką podróż bez żadnego dowodu. Miałam pewne podejrzenia, ale pokazali mi dokumenty. Wypełniłam podania o przeniesienie tytułu własności. Kosztowało mnie to dwadzieścia rojalów, lecz wszystkie papiery były w porządku.

- A gdzie zatrzymasz się w Strelain?

-Jeszcze o tym nie myślałam. Chyba w jakiejś gospodzie.

- Oszczędzaj pieniądze. Będziesz ich potrzebowała. Zabieram cię do nas, na Bazar.

Rankiem przedstawiś sprawę służbom Pontifexa. Może zdołają odzyskać jakąś część twoich pieniędzy.

Od samego początku Inyanna podejrzewała, że mogła paść ofiarą oszustów; myśl ta brzęczała jej w głowie niczym szum zagłuszany piękną muzyką, lecz świadomie starała się nie brać tego pod uwagę -i nawet teraz, gdy szum przeszedł w głośny ryk, nadal zmuszała się do wiary w otrzymany spadek. Ta obszarpana dziewczyna z bazaru, we-dług jej własnych słów zawodowa złodziejka, była niewątpliwie nieufna, jak wszyscy ludzie żyjący we wrogim świecie wyłącznie dzięki sprytowi; niewątpliwie wszędzie węszy wszelkiego rodzaju oszustwa i przestępstwa - nawet tam, gdzie ich nigdy nie było. Zdawała sobie sprawę, że mogła z głupoty popełnić straszliwy błąd, lecz nie widziała jeszcze powodu do rozpacz. Być może jakimś cudem naprawdę należy do rodziny księcia, być może Liloyve pomyliła właściciela Nissimorn Prospect, a może rzeczywiście pojawiła się w Ni-moya jako ofiara oszustów, wydała ostatnie pieniądze na bezsensowną podróż... no, ale przynajmniej jest w Ntmoya, nie w Velathys, i z tego chociażby warto się cieszyć.

Prom przybił do nabrzeża w Strelain i Inyanna po raz pierwszy mogła obejrzeć z bliska centrum Ni-moya. Jaskrawobiałe wieże stały niemal nad samą wodą; wznosiły się tak wysoko, że aż sprawiały wrażenie chwiejnych i trudno było zrozumieć, dlaczego nie wywracają się do rzeki. Nadchodziła noc. Wszędzie błyszcząły światła. Oszołomiona świetnością miasta Inyanna zachowywała spokój lunatyka. "Przybyłam do domu" - powtarzała sobie raz za razem. "Przybyłam do domu, to miasto jest moim domem, czuję się tu jak w domu". Mimo wszystko, kiedy wśród tłumu podróżnych wędrowali korytarzem do wyjścia na ulicę, starała się iść jak najbliżej Liloyye.

Przy wejściu do dworca promowego stały trzy wielkie metalowe ptaki z oczami z drogich kamieni - gihorna z szeroko rozpostartymi skrzydłami, wielki, głupawy, długonogi hazenmarl i trzeci, którego nazwy nie знаła, z ogromnym, wygiętym jak sierp dziobem, spod

którego zwisała torba. Mechaniczne figury wykonywały powolne ruchy: wyginały szyje, machały skrzydłami.

- Symbole miasta - powiedziała Liloyye. - Zobaczysz je wszędzie, te wielkie, głupie ptaszyska. Ich oczy są jednak warte fortunę.

- Nikt ich jeszcze nie ukradł?

- Chciałabym mieć tyle odwagi. Wspięłabym się na górę i zwędziła je. Ale coś takiego przyniosłoby ludziom tysiąc lat pecha, przynajmniej tak powiadają. Metamorfowie powstałoby i wyrzucili nas z Majipooru, wieże zawaliłyby się i różne takie głupoty.

-Jeśli nie wierzysz w legendy, dlaczego nie ukradniesz klejnotów? Liloyye w charakterystyczny dla niej sposób prychnęła śmiechem.

- A kto by je kupił? Każdy handlarz natychmiast zorientowałby się, skąd pochodzą, a skoro ciąży na nich klątwa, to nie znajdzie się kupiec; złodziej miałby tylko kłopot, a Król Snów wyłby mu w głowie, aż chciałoby się już tylko krzyczeć. Już wolę mieć w kieszeni kolorowe szkiełka niż oczy ptaków Ni-moya. No, wskakuj! - Otworzyła drzwi małego miejskiego ślizgacza, zaparkowanego przed budynkiem dworca, i wepchnęła Inyannę na siedzenie. Usiadła obok niej, na tablicy wystukała kod płatnika. Pojazd ruszył natychmiast. - Jedziemy dzięki uprzejmości twego arystokratycznego krewnego - dodała jeszcze.

-Jak to? Kogo?

- Calaina, książęcego brata. Użyłam jego kodu. Ukradliśmy go w zeszłym miesiącu i wielu z nas jeździ za darmo. Oczywiście, kiedy nadejdą rachunki, jego kanclerz zmieni kod, ale do tego czasu... rozumiesz?

-Jestem bardzo naiwna - powiedziała Inyanna. - Nadal wierzę, że Pani i Król widzą nasze grzechy, gdy śpimy i wysyłają sny karzące nas za tego rodzaju uczynki.

- Bo masz tak wierzyć - odparła Liloyye. - Zabij kogoś a dowiesz się, co potrafi Król,

możesz być spokojna. Ale... ilu ludzi żyje na Majipoorze? Osiemnaście miliardów?

Trzydzieści? Pięćdziesiąt? Czy Król ma czas, by psuć sny ludziom, którzy na cudzy koszt przejadą się ślizgaczem? Jak myślisz?

-No...

- Albo ludziom, którzy sprzedają lewe tytuły własności pałaców? Inyanna, odwracając się, ukryła rumieniec.

- A dokąd jedziemy? - spytała stłumionym głosem.

- Właśnie dojechałyśmy. To Wielki Bazar. Wysiadamy. Znajdowały się na wielkim placu, z trzech stron zabudowanym

smukłymi wieżami. Przy czwartym z jego boków stał niski budynek, pośród wież sprawiający wrażenie ciężkiego i przysadzistego; prowadziło do niego mnóstwo niskich schodów. Setki, może nawet tysiące ludzi w eleganckich białych, charakterystycznych dla Ni-moya szatach przechodziły tam i z powrotem przez szeroką bramę niskiego gmachu; na łuku ponad nią płaski relief przedstawiał trzy ptaki o oczach z drogich kamieni.

- To Brama Pidruid, jedna z trzynastu - wyjaśniła Liloyye. - Sam Bazar zajmuje około czterdziestu kilometrów kwadratowych i trochę przypomina Labirynt, chociaż nie jest ukryty tak głęboko pod ziemią, leży przeważnie na poziomie ulic. Rozciąga się na obszarze całego miasta, przenika budynki, przebiega pod niektórymi ulicami, między gmachami - można powiedzieć, że to miasto w mieście. Moja rodzina mieszka tu od setek lat. Jesteśmy dziedzicznymi złodziejami. Bez nas sklepikarze mieliby mnóstwo kłopotów.

- Miałam sklep w Velathys. Nie było tam złodziei i chyba żadnych nie potrzebowaliśmy - stwierdziła sucho Inyanna, gdy dum wessał je po schodach i przez bramę na Bazar.

- Tu jest inaczej.



Bazar rozciągał się dookoła nich - labirynt wąskich uliczek, przejść, tuneli i galerii, dzielonych wielokrotnie na nieskończoną ilość malutkich stoisk. Ponad ich głowami rozciągało się aż po horyzont świecące płótno, oświetlające ziemię swoim wewnętrznym blaskiem. To zdumiało Inyannę bardziej niż cokolwiek, co widziała do tej pory w Ni-moya, bowiem płótno takie sprzedawała czasami w swoim sklepiku, trzy rojale za belę, a bela wystarczała najwyżej do udekorowania niewielkiego pokoju; dusza w niej zadrżała na myśl o czterdziestu kilometrach kwadratowych świecącego płótna, a choć wprawna w liczeniu, nie zdołała oszacować jego wartości. Ni-moya! Przed porażeniem taką rozrzutnością bronił już tylko śmiech.

Ruszyły w głąb Bazaru. Jedna wąska alejka niczym nie różniła się od innej, wszędzie sprzedawano porcelanę, materiały, nakrycia stołowe i ubrania, owoce, mięso, warzywa i delikatesy, na każdej był sklep z winem i sklep z przyprawami, i stoisko jubilera, i handlarz sprzedający smażone parówki, i sprzedawca smażonych ryb. A jednak Liloyve najwyraźniej doskonale wiedziała, gdzie skręcić, która z niezliczonych alejek doprowadzi je na miejsce najkrótszą drogą; szła szybko, zatrzymując się tylko po to, by zaopatrzyć się w jedzenie i picie na kolację - z jednego stoiska ściągnęła rybę, z innego butelkę wina. Niektórzy handlarze widzieli, jak kradnie, i tylko się uśmiechali.

Zdziwiona Inyanna spytała:

- Nie mają nic przeciw temu?

- Znają mnie. Przecież ci mówiłam, że złodzieje są tu w poważaniu. Jesteśmy niezbędni.

- Nigdy tego nie pojmę.

- Utrzymujemy porządek, rozumiesz? Nikt tu nie kradnie oprócz nas, a my bierzemy tylko to, czego potrzebujemy i chronimy handlarzy przed amatorami. Co by się działo w tym

tłumie, gdyby choć co dziesiąty klient próbował napełnić kieszenie towarami? My wprawdzie także nabijamy sobie kiesy, ale powstrzymujemy tych niezorganizowanych. Jesteśmy czynnikiem znanym. Nasze kradzieże to coś w rodzaju podatku płaconego przez handlarzy, coś w rodzaju płaconej nam pensji za obronę przed innymi, którzy mogliby chcieć coś ściągnąć. Zaraz! Zaraz! - Te ostatnie słowa skierowane były nie do Inyanny, lecz do mniej więcej dwunastoletniego chłopca, chudego i ciemnowłosego, grzebiącego w skrzyni pełnej myśliwskich noży. Jednym szybkim gestem Liloyve złapała go za rękę i natychmiast chwyciła także mackę niewiele większego od dziecka Vroona, ukrytego w cieniu o krok dalej. Inyanna słyszała, jak coś groźnie do nich mówi, ale nie odróżniała poszczególnych słów, zresztą już po chwili wszystko się skończyło, chłopiec i Vroon wynieśli się sprzed stoiska jak niepyszni.

- Co się stało?

- Kradli noże. Dzieciak podawał je Vroonowi. Kazałam im zbierać się z Bazaru i zagroziłam, że jeśli się nie wyniosą, moi bracia obetną Vroonowi macki, upieką je na oleju ze stinnimy i nakarmią nimi małego.

-Zrobiliby to?

- Ależ skąd! Za coś takiego przez całe życie cierpiałyby się od strasznych snów. Ale ta dwójka zrozumiała, w czym rzecz. Na Bazarze kraść wolno tylko upoważnionym złodziejom. Rozumiesz? Jesteśmy swego rodzaju strażnikami. Jesteśmy niezastąpieni. O spójrz, tu mieszkam. Bądź moim gościem.

Liloyve mieszkała pod ziemią, w pokoju z białego kamienia, jednym z łańcucha sześciu czy siedmiu podobnych, ciągnących się pod tą częścią Wielkiego Bazaru, gdzie handlowano głównie oliwą i serem. Do podziemnego mieszkania prowadził zamaskowany otwór i rozwijana sznurowa drabinka. Gdy tylko Inyanna zaczęła schodzić, gorączkowe hałasy Bazaru umilkły jak nożem uciął i o tym, co dzieje się w górze świadczył tylko słaby, lecz wyraźnie wyczuwamy zapach czerwonego sera ze Stoienzar, przenikający nawet kamienne mury.

- Oto nasze gniazdko - powiedziała dziewczyna. Zanuciła kawałek jakiejś śpiewnej melodyjki i z dalszych pokoi nadbiegli ludzie: kiepsko ubrani, bladzi, na ogół niewysocy i chudzi, bardzo podobni do samej Liloyve z tego, że wydawali się być zrobieni z drugorzędного materiału. - Moi bracia Sidoun i Hanoun - przedstawiała ich po kolei. - A to moja siostra Medill Faryun. I kuzyni: Avayne, Amayne i Athayne. I wujek Agourmole, który jest głową naszego klanu. Wujku, to Inyanna Forlana z Velathys, której wędrowni oszuści sprzedali Nissimorn Prospect za dwadzieścia rojali. Spotkałam ją na statku. Zostanie z nami i zrobimy z niej złodziejkę.

Inyanna aż westchnęła.

-Ja-

Agourmole, dworski i szalenie ceremonialny, pozdrowił ją gestem Pani niczym błogosławieństwem.

- Jesteś jedną z nas - powiedział. - Czy możesz nosić męskie ubranie?

- Tak, chyba tak - powiedziała zdumiona Inyanna - ale nie rozumiem...

- Mój młodszy brat jest zarejestrowany w naszej gildii. Mieszka w Avendroyne, między Zmiennokształtnymi, od lat nikt go nie widział w Ni-moya. Zajmiesz jego miejsce. To

prostsze niż nowa rejestracja. Daj mi rękę. - Pozwoliła ująć się za dłoń. Palce miał miękkie, wilgotne. Spojrzał jej w oczy i powiedział cichym, napiętym głosem: - Twoje prawdziwe życie dopiero się zaczyna. To, co zdarzyło się przedtem, było tylko snem. Jesteś teraz złodziejką z Ni-moya i nosisz imię Kulibhai. - Puścił do niej oko i dodał: - Dwadzieścia rojalów za Nissimorn Prospect - prawdziwa okazja!

- To tylko opłata skarbową - wyjaśniła Inyanna. - Powiedzieli mi, że odziedziczyłam tę posiadłość po potomkach siostry matki mojej matki.

-Jeśli to prawda, to kiedy już tam osiądziesz, wyprawisz dla nas wspaniałe przyjęcie w zamian za gościnność, której ci udzielamy. Zgoda? - Agourmole roześmiał się. - Avayne!

Przynieś wina swojemu wujowi Kulibhaiowi! Sidoun, Hanoun, znajdźcie dla niego ubranie!

Niech ktoś coś zagra! Kto zatańczy? Z życiem, kochani, z życiem! Medill, przygotuj łóżko

dla naszego gościa! - Malutki człowieczek chodził nieprzerwanie po pokoju, wykrzykując

rozkazy. Inyanna, oszołomiona jego niespożytą energią, przyjęła szklankę wina, pozwoliła

jednemu z braci Liloyve wziąć miarę na tunikę, próbowała zapamiętać całą tę rzekę imion,

która ją zalała. Do pokoju ktoś wszedł, ludzie, trzech grubawych Hjortów o szarych twarzach

i - ku jej największemu zdumieniu - dwójka smukłych, milczących Metamorfów. Mimo iż

przyzwyczała się do nich prowadząc sklepik w Velathys, nie spodziewała się, by Liloye i jej

rodzina mieszkali wraz z tajemniczymi tubylcami. Być może jednak złodzieje, jak

Zmiennokształtni, uważali się za rasę wyrzuconą na margines życia na Majipoorze; jeśli tak,

to ich sojusz wydawał się zrozumiały.

Zaimprovizowana zabawa trwała kilka godzin. Złodzieje wydawali się prześcigać w

próbach zdobycia łask Inyanny; podchodzili do niej po kolei, ofiarowując jakąś błyskotkę,

opowieść, ploteczkę. Dla dziewczyny pochodzącej z rodziny sklepikarzy byli naturalnymi

wrogami - a jednak ci ludzie, choć nieważni, wyrzuceni poza nawias społeczeństwa,

wydawali się jej przyjaciele, mili, otwarci i byli jej jedynymi sojusznikami w wielkim, obojętnym mieście. Inyanna nie miała ochoty uczyć się ich zawodu, lecz wiedziała też, że los mógłby obejść się z nią znacznie gorzej niż rzucając ją na pastwę Liloyve i jej przyjaciół.

Spała źle, śniły się jej jakieś chaotyczne, nie związane ze sobą obrazy; kilkakrotnie budziła się, nie wiedząc, gdzie właściwie jest. W końcu ogarnęło ją zmęczenie. Zapadła w głęboki sen. Zazwyczaj budziła się o świcie, lecz świt nie docierał do tych podziemi - i gdy się wreszcie ocknęła, nie miała pojęcia, czy to dzień, czy noc i która może być godzina.

Liloyve przywitała ją uśmiechem.

- Musiałaś być bardzo zmęczona.

- Spałam zbyt długo?

- Spałaś, dopóki się nie obudziłaś, a więc wystarczająco długo, prawda?

Inyanna rozejrzała się dookoła. Dostrzegła pozostałości po zabawie: butelki, puste szklanki, jakieś fragmenty ubrania. Oprócz ich dwóch nie było tu nikogo. Wszyscy wyszli na poranny obchód - wyjaśniła przyjaciółka. Pokazała jej, gdzie może się umyć i przebrać, a później wspólnie zanurzyły się w wir Bazaru.

W dzień było tu równie tłoczno jak w nocy, lecz w świetle dziennym Bazar pozbawiony był magii, wyglądał zwyczajniej, nie był aż tak naładowany elektrycznością; sprawiał wrażenie zwykłego, choć bardziej zatłoczonego traktu handlowego, podczas gdy w nocy wydawał się wszechświatem samym w sobie. Zatrzymały się tylko po to, by ukraść śniadanie z trzech czy czterech budek; Liloyve bezczelnie brała, co się jej podobało i przekazywała to Inyannie; a później - lawirując wśród niesamowicie skomplikowanego labiryntu alejek, którego planu, czego Inyanna była całkowicie pewna, nigdy nie uda się jej opanować - nagle i niespodziewanie wyszły na świeże powietrze zewnętrznego świata.

- Jesteśmy przy Bramie Piliplok - powiedziała Liloyve. - Do biur Pontyfikatu można

stąd przejść spacerkiem.

Był to rzeczywiście krótki, choć jednocześnie oszałamiający spacer, bo za każdym rogiem ulicy kryły się nowe cuda. U wylotu jednej ze wspaniałych alei Inyanna dostrzegła jaskrawe światło, jakby z chodnika podniosło się drugie słońce. Był to -jak wytłumaczyła jej Liloyye - początek Kryształowego Bulwaru, oświetlonego dzień i noc blaskiem obracających się reflektorów. Po drugiej stronie innej ulicy leżała posiadłość, która mogła należeć wyłącznie do księcia Ni-moya, położona daleko, na wysokim wschodnim zboczu miasta, w miejscu, w którym Zimr zakręcał ciasnym łukiem. Pałac miał kształt smukłej wieży z błyszczącego kamienia, ustawionej na szerokiej podstawie podpartej mnóstwem kolumn; wydawał się ogromny nawet z tej odległości, był otoczony parkiem wyglądającym jak dywan zieleni. Kolejny zakręt i oto przed oczami Inyanny pojawiło się coś przypominającego poczwarkę jakiegoś niezwykłego owada, długą na dwa kilometry i zawieszoną nad nieprawdopodobnie szeroką aleją.

- To Galeria Gossamer - mówi Liloyye - gdzie bogacze kupują swe zabawki. Być może któregoś dnia zostawisz w sklepach Galerii kilka rojali. Ale nie dziś. Jesteśmy na miejscu, oto Promenada Rodamaunt. Wkrótce będziemy wiedziały, co dzieje się z twoim spadkiem.

Wspaniała Promenada Rodamaunt biegła łukiem, po jednej jej stronie wznosiły się wieże, wszystkie tej samej wysokości, po drugiej budynki na przemian wysokie i niskie. Najwyraźniej tu właśnie mieściły się biura rządu. Inyannę oszołomił ich ogrom i zapewne godzinami chodziłaby po ulicy nie śmiać tam wejść, gdyby nie Liloyye, która za pomocą kilku pytań zdobyła potrzebne informacje i poprowadziła ją za sobą krętymi korytarzami, niewiele różniącymi się od labiryntu Bazaru. Po niedługim czasie siedziały już obie na drewnianej ławeczce w wielkiej, jasno oświetlonej poczekalni, patrząc na wyświetlane na

ogromnej, wiszącej pod sufitem tablicy nazwiska. Po półgodzinie pojawiło się na niej nazwisko Inyanny.

- Czy to jest Biuro Spadków? - spytała, kiedy wchodzili do pokoju.

- Najwyraźniej coś takiego w ogóle nie istnieje - odparła Liloyve. - Spotkamy się z policją Pontifexa. Jeśli ktokolwiek w ogóle zdoła ci pomóc, to tylko oni.

Hjort o ponurej, pokrytej brodawkami jak u większości przedstawicieli jego rasy twarzy i wytrzeszczonych okrągłych oczach zapytał, z czym przychodzą i Inyanna, najpierw wahając się, potem coraz płynniej opowiedziała mu wszystko o dwóch obcych mężczyznach z Ni-moya, o zdumiewającej historii wielkiego spadku, o pieczęci Pontifexa i dwudziestu rojalach opłaty skarbowej. W miarę, jak jej opowieść rozwijała się, Hjort jakby zapadł się za biurkiem, zacisnął szczęki i w sposób zbijający z tropu poruszał raz jednym, raz drugim wielkim okiem. Kiedy skończyła, wyjął jej z ręki pokwitowanie, powoli przesunął palcami po krawędziach wytłoczonej na papierze królewskiej pieczęci i stwierdził ponuro:

- Jest pani dziewiętnastym spadkobiercą Nissimorn Prospect, który w tym roku dotarł do Ni-moya. Obawiam się, że będzie ich więcej. Znacznie, znacznie więcej.

- Dziewiętnastym?

- Z tego, co wiem. Niektórzy zapewne nie pofatygowali się zawiadomić straży o oszustwie.

- Oszustwie - powtórzyła Inyanna. - Więc to oszustwo? Pokazywali mi papiery, drzewo genealogiczne, dokumenty z widniejącym na nich moim nazwiskiem... Czyżby jechali z Ni-moya aż do Velathys tylko po to, by wyłudzić ode mnie dwadzieścia rojali?

- Ależ nie, nie tylko od pani - powiedział Hjort. - Pewnie w Velathys jest trzech czy czterech spadkobierców Nissimorn Prospect, w Narabalu pięciu, w Til-omon siedmiu, a w Pidruid dwunastu. Doprawdy, nietrudno jest zdobyć genealogie. Podrobić dokumenty,

wypełnić odpowiednie rubryki - to także niewielki problem. Dwadzieścia rojalów tam, może ze trzydzieści gdzie indziej - niezły zarobek, byle szybko przemieszczać się z miejsca na miejsce.

-Jak to możliwe? To przestępstwo!

- Oczywiście - przytaknął znudzony Hjort -1 Król Snów...

- Ukarze ich surowo, proszę być pewną. Jeśli zostaną złapani, czeka ich także kara świecka. Pomogłaby nam pani bardzo, opisując ich dokładnie.

- A moje dwadzieścia rojalów? Hjort tylko wzruszył ramionami.

-1 nie ma nadziei na odzyskanie choćby części tej sumy?

- Żadnej.

- A więc straciłam wszystko!

-W imieniu Jego Wysokości składam pani najszczerze wyrazy współczucia -

powiedział Hjort i na tym się skończyło. Kiedy już wyszły, Inyanna powiedziała do Liloyve:

- Zabierz mnie do Nissimorn Prospect.

- Przecież z pewnością nie wierzysz...

- Że naprawdę należy do mnie? Nie, oczywiście, że nie wierzę. Ale chcę je zobaczyć.

Chcę zobaczyć, co mi sprzedano za moje dwadzieścia rojalów!

- Po co się tak torturować?

- Proszę! -Więc chodź.

Zatrzymały ślizgacz i podały mu, dokąd chcą jechać. Inyanna szeroko rozwartymi

oczami chłonęła cuda, widoczne przez okna pojazdu jadącego powoli szlachtetnymi alejami

Ni-moya. W ciepłych promieniach południowego słońca miasto wyglądało jak wykąpane w

światle i samo świeciło, lecz nie chłodnym blaskiem krystalicznego Dulornu, lecz żywą,

pulsującą, zmysłową wspaniałością, bijącą z każdej śnieżnobiałej ściany i ulicy. Liloyve



opisywała najważniejsze mijane miejsca.

- To Muzeum Światów - powiedziała wskazując zespół gmachów uwieczony tiarą wielobocznych, szklanych kopuł. - Mają w nim skarby z tysiąca planet, nawet coś ze Starej Ziemi. A to Komnata Magii, także swego rodzaju muzeum, poświęcone czarom i snom. Nigdy w nim nie byłam. A tu - widzisz ptaki, symbol miasta? - to ratusz, w którym mieszka burmistrz. - Ruszyli w dół, ku rzece. - Pływające restauracje znajdują się w tej części portu. - Liloyve niedbale machnęła ręką. - Jest ich dziesięć, takich małych wysepek. Mówi się, że serwują tam potrawy z całego Majipooru. Pewnego dnia odwiedzimy je wszystkie, prawda? Inyanna uśmiechnęła się smutno.

- Miło jest tak marzyć - powiedziała.

- Nie martw się. Mamy przed sobą całe życie, a życie złodzieja jest wygodne. Mam zamiar we właściwym czasie poznać każdą uliczkę Ni-moya, a ty przecież możesz zawsze pójść ze mną. Tam, za Gimbeluc, wśród wzgórz, jest na przykład Park Baśniowych Stworzeń -wiesz, ze zwierzętami, które wyginęły na wolności; mają tam sigimoiny, ghalvary i dimiliony. A to Opera, w której gra orkiestra miejska - słyszałaś o naszej orkiestrze? Tysiąc instrumentów, nie ma czegoś takiego w całym wszechświecie... a tu, och! Dojechałyśmy. Wsiadły ze ślizgacza. Inyanna dostrzegła, że znajdują się niedaleko rzeki. Przed nią rozciągał się Zimr, tak szeroki, że z tego miejsca niemal nie widać było przeciwległego brzegu, a Nissimorn był tylko zamgloną zieloną linią na horyzoncie. Po lewej, tuż obok, było ogrodzenie z metalowych prętów dwukrotnie przekraczających wysokością wzrost dorosłego mężczyzny, rozstawionych mniej więcej co dwa metry, połączonych siecią drutów tak cienkich, że niemal niewidocznych, wydających niskie, groźne brzęczenie. Za ogrodzeniem znajdował się ogród nieprawdopodobnej piękności: niskie zgrabne krzaczki kwitły złotymi, turkusowymi i szarłatnymi kwiatami, trawnik przycięty był tak nisko, że sprawiał wrażenie

natryskanej na ziemię warstwy farby. Nieco dalej grunt wznosił się, a sama rezydencja położona była na skalistym szczycie wzgórza z widokiem na port. Uderzała nie tylko ogromem; była też olśniewająco biała w typowym dla tego miasta stylu. W typowy też dla Ni-moya sposób wykorzystano technikę podwieszania, dającą wrażenie lekkości; portyki zdawały się być zawieszane w powietrzu, balkony sterczały ze ścian na wielką odległość. Nissimorn Prospect wydał się Inyannie budynkiem najpiękniejszym z widzianych do tej pory - oprócz pałacu Księcia, widocznego nieco dalej, wznoszącego się majestatycznie na masywnym piedestale. A myślała, że go odziedziczyła! Zaczęła się śmiać. Pobiegła wzdłuż ogrodzenia, zatrzymując się tu i tam, by obejrzeć pałac z różnej perspektywy, i śmiała się, jakby ktoś zdradził jej najgłębszą z tajemnic wszechświata, tajemnicę zawierającą w sobie wszystkie inne tajemnice, a więc wywołującą niepowstrzymaną wesołość. Liloyye pobiegła za nią wołając, by się zatrzymała, lecz Inyanna nie miała zamiaru się zatrzymać, biegła jak opętana. Stała dopiero przy frontowej bramie, przed którą straż trzymali dwaj wielcy Skandarzy w niepokalanie białych liberiach; stali z wszystkimi czterema ramionami złożonymi na piersiach, jakby to oni byli właścicielami posiadłości. Inyanna śmiała się nadal, Skandarzy zaczęli się marszczyć, a Liloyye, która wreszcie dogoniła przyjaciółkę, ciągnęła ją teraz za rękaw prosząc, by odeszły, nim narobią sobie kłopotów.

- Zaczekaj - powiedziała Inyanna zdyszczym głosem podchodząc do Skandarów. -

Czy jesteście sługami Calaina z Ni-moya?

Strażnicy patrzyli wprost przez nią, jakby nie istniała.

- Powiedzcie swemu panu - mówiła dalej, wcale nie speszona - że Inyanna z Velathys

była tu, obejrzała jego dom i przesyła wyrazy żalu z powodu niemożności zjedzenia z nim kolacji. Dziękuję.

- Chodź! - wyszeptała przestraszona Liloyye. Wyraz obojętności zaczął powoli znikać

z porośniętych włosom twarzy strażników, a zastąpił go gniew. Inyanna ukloniła się im z wdziękiem i znów wybuchnęła śmiechem. Dała znak ręką przyjaciółce i razem pobiegły w kierunku ślizgacza. Po drodze Liloyye, nareszcie, także zaczęła się śmiać.

Minęło wiele czasu, nim Inyanna znów zobaczyła słońce nad Ni-moya, rozpoczęła teraz bowiem nowe życie złodziejki i zamieszkała w głębinach Wielkiego Bazaru. Z początku nie miała zamiaru uczyć się profesji Liloyye i jej rodziny, lecz powody praktyczne szybko zwyciężyły moralne subtelności. Nie posiadała środków na powrót do Velathys i nie miała też ochoty wracać tam teraz, gdy zobaczyła, choć tylko pobieżnie, jaka naprawdę jest Ni-moya. W Velathys nie czekało na nią nic oprócz handlu klejem, gwoździami, sztucznym aksamitem i latarenkami z Til-omon. By zostać w Ni-moya, musiała jednak zacząć zarabiać na życie. Nie miała zawodu, umiała tylko prowadzić sklep, a bez kapitału otwarcie sklepu było tu niepodobieństwem. Bardzo szybko zabrakłoby jej pieniędzy, a nie mogła żyć na łasce nowych przyjaciół, nie miała przed sobą żadnych widoków, złodzieje zaś oferowali jej przynajmniej jakieś miejsce w społeczeństwie. Życie złodziejki, choć było najzupełniej obce jej naturze, wydawało się jej możliwe do zaakceptowania, zwłaszcza teraz, gdy sprytni oszuści pozbawili ją wszystkiego. Więc pozwoliła się przebrać w męską szatę - była dość wysoka, a przy tym poruszała się nieco niezgrabnie, co dodawało prawdopodobieństwa tej maskaradzie - i pod nazwiskiem Kulibhai, jako brat mistrza złodzieja Agourmole, stała się członkiem gildii. Liloyye uczyła ją wszystkiego. Przez trzy dni Inyanna chodziła po Bazarze przyglądając się, jak jej lawendowowłosa przyjaciółka kradnie coś z tego lub innego stoiska. Czasami kradzież była prosta, wręcz prostacka, jak zerwanie płaszcza z wieszaka i zniknięcie w dumie, czasami trudniejsza, wymagająca pewnej, zręcznej dłoni, grzebiącej w skrzyni lub na kontuarze, czasami wreszcie wymagała skomplikowanej akcji dywersyjnej: jedna z dziewcząt kusiała dostawcę obietnicą pocałunku (i nie tylko pocałunku), podczas gdy druga w tym czasie przetrząsała towar. I trzeba było jeszcze zniechęcać nie zrzeszonych złodziei. W ciągu tych trzech dni Liloyve zrobiła to dwukrotnie: chwyt dłonią za przegub, gniewne

spojrzenie, gwałtowne, choć wypowiedziane szeptem, słowa za każdym razem przynosiły podobny efekt: strach, przeprosiny, ucieczka. Inyanna zastanawiała się, czy kiedykolwiek wystarczy jej odwagi, by postąpić podobnie. Wydawało się jej to trudniejsze niż sama kradzież, a wcale nie była pewna, czy odważy się kraść.

Czwartego dnia Liloyye powiedziała:

- Przynieś mi butelkę smoczego mleka i dwie butelki złotego wina z Piliploku.

Inyanna spojrzała na nią przerażona.

- Przecież i mleko, i wino kosztuje chyba rojala za butelkę!

- Masz rację.

- Pozwól mi zacząć od parówek!

- Równie łatwo jest kraść stare wino. I jest to znacznie bardziej opłacalne.

- Nie jestem jeszcze gotowa!

- Tylko ty tak uważasz. Widziałaś, jak się to robi. Potrafisz zrobić to sama. Nie musisz się niczego bać, Inyanno. Masz duszę złodziejki.

-Jak możesz mówić coś... - gniew niemal odebrał jej głos.

- Spokojnie, spokojnie. To był komplement! Inyanna skinęła głową. •

- Dziękuję. Ale chyba się mylisz.

-Jestem pewna, że się nie doceniasz - stwierdziła Liloyve. -Pewne cechy twego charakteru ktoś obcy może znać lepiej niż ty sama. Dostrzegłam je, kiedy oglądałyśmy Nissimom Prospect. No, idź, ukradnij mi butelkę złotego wina i butelkę mleka, koniec gadania! Jeśli masz zostać złodziejem, członkiem naszej gildii, dziś musisz zrobić początek.

Nie mogła więc uniknąć ryzyka. Ale nie widziała powodu, by ryzykować samotnie.

Poprosiła kuzyna Liloyve, Athayne'a, by jej towarzyszył i razem z nim pewnym krokiem

weszła do sklepu w Alei Ossiera - dwa młode koziołki z Ni-moya szukające rozrywki. Czują

się dziwnie spokojna. Nie pozwoliła sobie na najdrobniejszą myśl o sprawach nieważnych: moralności, prawie własności, strachu przed karą - pozostał tylko cel, który trzeba osiągnąć, rutynowe zadanie złodzieja. Niegdyś jej zawodem było prowadzenie sklepu, teraz jest nim okradanie sklepów; nie ma co komplikować sprawy filozoficznymi rozważaniami.

Za ladą stał Ghayrog: zimne, nie mrugające oczy, błyszcząca łuskowata skóra, wijące się grube, mięsiste włosy. Inyanna, głosem najgłębszym, jaki tylko potrafiła z siebie wydobyć, spytała o cenę smoczego mleka w czarkach, w pojedynczych butelkach i pakowanego po dwie butelki; Athayne zajął się w tym czasie oglądaniem tanich czerwonych win, przywożonych z głębi kontynentu. Ghayrog podał cenę. Inyanna udała zdumienie.

Ghayrog wzruszył ramionami. Inyanna podniosła butelkę, przyjrzała się uważnie bladoniebieskiemu płynowi i stwierdziła:

- Jest mniej przezroczyste niż zazwyczaj.

- Czystość mleka zależy od roku. I od smoka.

- Chyba powinno się stosować w sprzedaży jakiś standard.

- Efekt jest standardowy- stwierdził Ghayrog z zimnym, gadzim odpowiednikiem porozumiewawczego mrugnięcia i uśmiechu. - Kilka łyków, przyjacielu, i jesteś dobry na całą noc.

- Muszę się zastanowić. Rojal to sporo, mimo wszystkich tych cudownych efektów.

Słowa te były sygnałem dla Athayne'a, który obrócił się i zapytał:

- Czy to wino z Mazadoyne rzeczywiście kosztuje trzy korony za dwie butelki? Jestem pewien, że w zeszłym tygodniu kosztowało tylko dwie.

- To kup je za dwie - odparł Ghayrog.

Athayne skrzywił się, zrobił ruch taki, jakby chciał odłożyć butelki na miejsce, potknął się, zatoczył i strącił z półki kilka czarek.

Ghayrog zasyczał gniewnie. Chłopak, przepraszając gorąco, niezręcznie próbował naprawić szkody, strącając kolejne butelki. Ghayrog wyskoczył zza lady krzycząc. Zderzyli się próbując uratować resztki win z wystawy i w tej właśnie chwili Inyanna schowała pod szatę butelkę mleka i butelkę złotego wina z Piliplok, obróciła się i powiedziała głośno:

- Chyba sprawdzę ceny w innych sklepach. Wyszła. Na tym się skończyło.

Całym wysiłkiem woli zmusiła się, by nie pobiec. Policzki jej płonęły, była całkowicie pewna, że przechodnie rozpoznają w niej złodziejkę, że właściciele innych sklepów w alei natychmiast rzucą się za nią w pogoń, że lada moment na zewnątrz pojawi się Ghayrog. Lecz bez najmniejszych problemów skręciła za róg, poszła w lewo, dostrzegła aleję sprzedawców perfum i kosmetyków, przeszła nią i dotarła do alei sprzedawców olejów i sera, gdzie czekała już na nią Liloyve.

- Zabierz je - powiedziała jej Inyanna. - Wypalą mi dziury w ciele.

- Świetnie ci poszło. Wino wypijemy dziś za twoje zdrowie.

- A smocze mleko?

- Zatrzymaj je. Podarujesz je Calainowi, kiedy zaprosi cię na kolację do Nissimorn Prospect.

Tej nocy przez wiele godzin Inyanna leżała czuwając; bała się zasnąć, bo sen przyniósłby ze sobą sny, a sny oznaczały karę. Wino zostało wypite, lecz butelka mleka spoczywała pod jej poduszką i Inyanna miała ochotę wyślizgnąć się w mrok, by oddać ją Ghayrogowi. Pamięć przodków, sklepikarzy od stuleci, ciążyła jej na duszy. Jestem złodziejką, myślała, złodziejką, złodziejką, złodziejką! Stałam się złodziejką na Bazarze w Ni-moya. Jakim prawem ukradłam wino i mleko? A jakim prawem tych dwóch ukradło moje dwadzieścia rojali? Tylko co to miało wspólnego z tym Ghayrogiem? Jeśli ktoś okradnie mnie, a ja uznam, że daje mi to prawo, by okraść kogoś innego, to gdzie się wszystko

skończy, jak ocaleje społeczeństwo? Pani, wybacz mi, pomyślała. Król Snów rozszarpie mą duszę. Lecz w końcu zasnęła, bo nie sposób w ogóle nie spać i sny, które nadeszły, pełne były potęgi i majestatu: bezcielesna, płynęła w nich wspaniałymi alejami miasta, przez Kryształowy Bulwar, przez Muzeum Światów, przez Galerię Gossamer aż do Nissimorn Prospect, gdzie brat księcia ujął jej dłoń. Zdumiał ją ten sen, bowiem nie było w nim kary. Gdzież zatem jest moralność? Co z zasadami społecznymi? Sprzeciwiało się to wszystkiemu, w co wierzyła. Lecz było tak, jakby to przeznaczenie kazało jej zostać złodziejką. Wszystko, co w ciągu ostatniego roku się jej zdarzyło, prowadziło właśnie do tego. Więc pewnie była to wola Bogini, by została tym, kim została. Inyanna uśmiechnęła się do tej myśli. Co za cynizm! Lecz niech i tak będzie. Nie da się walczyć z przeznaczeniem.



Kradła często i dobrze. Po pierwszej, nieśmiałej i pełnej napięcia kradzieży nastąpiło wiele kolejnych. Inyanna poruszała się swobodnie po Wielkim Bazarze, czasami w towarzystwie, czasami sama, kradnąc to i owo, tamto i owamto. Szło jej tak łatwo, że prawie nie wydawało się to przestępstwem. Przez Bazar zawsze przelewały się tłumy - Ni-moya liczyła sobie ponoć niemal trzydzieści milionów mieszkańców i mogło się wydawać, że wszyscy oni cały czas spędzają właśnie tu. Alejki zatłoczone były prawie bez przerwy. Handlarze sprawiali wrażenie zmordowanych i niedbałych, bezustannie obłożeni przez klientów zasięgających informacji, dyskutujących i targujących się, a także przez inspektorów. Pływanie wśród tej ludzkiej rzeki, podkradanie tego, na co miało się akurat ochotę, nie sprawiało najmniejszej trudności.

Większość łupów sprzedawano. Zawodowi złodzieje od czasu do czasu zatrzymywali sobie jakieś drobiazgi, jedzono zawsze za darmo, w godzinach pracy, lecz niemal cała zdobycz szła natychmiast na sprzedaż. Tym zajmowali się przeważnie Hjortowie, mieszkający z rodziną Agourmole'a. Było ich trzech: Beyork, Hankh i Mozhunt. Należeli do rozgałęzionej sieci paserów, Hjortdwyjak oni, błyskawicznie wprowadzających skradzione dobra do sieci sprzedaży hurtowej, tak że często trafiały one w końcu do tych samych handlarzy, od których pochodziły. Inyanna szybko nauczyła się, co paserzy biorą najchętniej, a czym nie warto zawracać sobie głowy.

Szło jej wyjątkowo łatwo, bowiem była nowa. Nie wszyscy handlarze pochwalali działalność gildii złodziei. Niektórzy znali z widzenia Liloyve, Athayne'a, Sidouna i innych członków rodziny i gdy tylko pojawiali się oni w sklepie, byli natychmiast wyrzucani. Lecz młodego chłopaka imieniem Kulibhai nie znał niemal nikt, a ponieważ Inyanna każdego dnia działała w innym miejscu gigantycznego targowiska, mogło upłynąć wiele lat, nim jej ofiary

zaczynają ją rozpoznawać.

Sklepiarze nie stanowili niemal żadnego niebezpieczeństwa. Najgroźniejsi byli złodzieje z innych rodzin. Oni także jej nie znali, a byli bystrzejsi od handlarzy, tak więc w ciągu pierwszych dziesięciu dni trzykrotnie przyłapywali ją konkurenci. Początkowo ręka zamykająca się na jej przegubie przerażała ją, lecz Inyanna potrafiła zachować chłód i opanować panikę. Mówiła po prostu: “Przeszkadzasz mi. Jestem Kulibhai, brat Agourmole'a”. Wieść o niej rozeszła się szybko i wkrótce przestano zwracać na nią uwagę.

Najtrudniejsze wydawało się jej zapobieganie niezalegalizowanym kradzieżom. Z początku nie potrafiła rozróżnić złodziei z gildii od amatorów i wahała się chwycić za rękę kogoś, kto mógł grasować na Bazarze od czasów Lorda Kinnikena. Zdumiewająco łatwo nauczyła się dostrzegać kradzieże, lecz gdy nie miała przy sobie kogoś z rodziny, służącego jej pomocą, powstrzymywała się od działania. Stopniowo poznała wielu członków innych rodzin, lecz niemal każdego dnia widziała kogoś nieznanego, kradnącego coś z rozłożonych na jakimś straganie towarów. W końcu, po kilku spędzonych na Bazarze tygodniach, poczuła się zmuszona do podjęcia jakiejś akcji. Jeśli przeszkodzi licencjonowanemu złodziejowi, zawsze może przeprosić. Istotą tego systemu jest przecież nie kradzież, lecz zapobieganie kradzieży; tego obowiązku nie udało się jej jeszcze dopełnić. Jako pierwszą złapała ponurą dziewczynę kradnącą warzywa -nie zdążyła wypowiedzieć ani słowa, bowiem dziewczyna upuściła to, co ukradła i uciekła w panice. Drugi przyłapany na gorącym uczynku okazał się weteranem, dalekim krewnym Agourmole'a, co wyjaśnił jej grzecznie i bez złości, a trzeci, nielegalny, lecz bynajmniej nie przestraszony, na zwróconą mu uwagę odpowiedział przekleństwami i cichymi groźbami. Inyanna wyjaśniła mu spokojnie i całkowicie niezgodnie z prawdą, że obserwuje ich siedmiu złodziei z gildii, gotowych do natychmiastowej interwencji. Po tym nie miała już żadnych kłopotów; kiedy czuła, że powinna, reagowała

stanowczo i spokojnie.

Same kradzieże nie ciążyły jej na sumieniu. Wychowano ją w przekonaniu, że za grzech należy oczekiwać kary od Króla Snów -koszmarów, tortur, duchowej chłosty następującej natychmiast po zamknięciu oczu - lecz albo Król nie uważał drobnych bazarowych kradzieży za grzech, albo on i jego pachołkowie byli tak zajęci prawdziwymi przestępcami, że nie mieli czasu dobrać się do niej. Niezależnie od powodu, Król nie torturował jej przesłaniami. Od czasu do czasu śniła o nim: starym, okrutnym ogrze, ślącym koszmary z pałacej pustyni Suwaelu, lecz w tym akurat nie było nic niezwykłego -od czasu do czasu Król nawiedzał umysły wszystkich śpiących na Majipoorze i nie miało to żadnego znaczenia. Inyanna śniła też czasami o błogosławionej Pani Wyspy, łagodnej matce Koronała Lorda Malibora. Śniła, że ta dobra Pani ze smutkiem potrzęsa głową, jakby chciała powiedzieć, że bardzo rozczarowują ją postęпки jej córki Inyanny - lecz Pani także dysponowała mocą pozwalającą jej przemawiać znacznie bardziej stanowczo do tych, którzy zboczyli z jej ścieżki, a jednak na to najwyraźniej się nie zdecydowała. Brak kar moralnych sprawił, że Inyanna szybko przeszła do porządku dziennego nad kwestią swej profesji. Nie była przestępstwem, tylko rodzajem redystrybucji dóbr. Najwyraźniej nikogo nie krzywdziła. Po pewnym czasie wzięła sobie za kochanka Sidouna, najstarszego brata Liloyve. Był niższy od niej i tak chudy, że obejmując go musiała bardzo uważać, by nie zrobiły się jej siniaki, lecz jednocześnie łagodny i troskliwy. Ślicznie grał na miniaturowej harfie, śpiewał stare ballady przyjemnym tenorem. Im częściej z nim kradła, tym lepiej czuła się w jego towarzystwie. Mieszkanie przemeblowano tak, że noce mogli spędzać wspólnie. Ldloyve i inni złodzieje wydawali się zachwyceni takim rozwojem wydarzeń.

W towarzystwie Sidouna głębiej zanurzyła się w wielkie miasto. Jako zespół byli tak skuteczni, że często dzienną normę kradzieży załatwiali w godzinę lub dwie. Resztę dnia

nie mieli w takim wypadku wolną, bowiem gildia nie zezwalała na przekraczanie przydziałów; umowa społeczna obowiązująca na Wielkim Bazarze pozwalała złodziejom brać tylko określoną ilość, nie więcej. Inyanna zaczęła więc robić rozkoszne wycieczki na przedmieścia Ni-moya. Jednym z jej ulubionych miejsc był Park Baśniowych Stworzeń, położony na wzgórzach Gimbeluc. Mogła tam oglądać zwierzęta z zamierzchłych epok, wyparte ze swego naturalnego środowiska przez rozwijającą się cywilizację Majipooru. Obserwowała najrzadsze okazy: dimiliony na delikatnych nogach, kruche, długoszyje, roślinożerne, dwukrotnie wyższe od Skandara; poruszające się z wdziękiem sigimoiny, ozdobione kosmatymi ogonami z przodu i z tyłu; niezdarne ptaki zampidoon o wielkich dziobach, których ogromne stada przysłaniały niegdyś słońce Majipooru - teraz zampidoony żyły już tylko w parku, choć figurowały w herbie miasta. Dzięki jakiejś magii, pochodzącej niewątpliwie z dawnych czasów, pojawieniu się każdego zwierzęcia towarzyszył płynący spod ziemi głos, podający jego nazwę i opisujący zwyczaje. Były tu także śliczne ukryte polanki, po których oboje mogli spacerować, trzymając się za ręce. Nie rozmawiali wiele, Sidoun nie był bowiem człowiekiem gadatliwym.

Czasami wyruszali łodzią na wycieczki po Zimrze i na jego drugi brzeg, do Nissimorn; zdarzało im się także wypływać na Steiche, która, gdyby podróżować nią wystarczająco długo, doprowadziłaby ich w końcu na tereny Metamorfów, niedostępne dla człowieka. Lecz w tym celu trzeba byłoby wędrować tygodniami w górę rzeki, a oni docierali tylko do maleńkich rybackich osad Lumenów, leżących niedaleko na południe od miasta, kupowali świeżo złowione ryby, smażyli je na plaży, pływali i opalali się. W bezksiężycowe wieczory chodzili na Kryształowy Bulwar, gdzie wirujące reflektory rzucały olśniewające, bezustannie zmieniające się świetlne wzory, i z podziwem oglądali wystawy sklepów utrzymywanych przez największe firmy Majipooru, prawdziwe uliczne muzea

najkosztowniejszych towarów, prezentowanych tak wspaniale i w takiej ilości, że nawet najdumniejszy ze złodziei nie odważyłby się nic ukraść. Często też jedli kolację w jednej z pływających restauracji; niemal zawsze zabierali tam ze sobą Liloyve, bowiem kochała ona te wysepki bardziej niż cokolwiek innego. Każda z nich przedstawiała w miniaturze jakiś odległy zakątek Majipooru, rosły tam typowe dla niego rośliny, żyły charakterystyczne zwierzęta, podawano specjały miejscowej kuchni i odpowiednie do nich wina. Jedna przedstawiała wietrzny Piliplok i ci, którzy mieli odpowiednie fundusze, mogli zjeść tam mięso smoków morskich; inna gorący, wilgotny Narabal, podawano tam soczyste owoce i wspaniałe paprocie, jeszcze inne gigantyczne Stee na Zamkowej Górze, i Stoien, i Pidruid, i Til-omon - lecz nie Velathys, o czym Inyanna przekonała się bez zdziwienia. Stolica Metamorfów, Ilirivojne, także nie była reprezentowana, ani upalne Thologhai na Suwaelu, bowiem Ilirivojne i Thologhai nie interesowały po prostu obywateli Majipooru, a Velathys nie było wystarczająco ważne.

Ze wszystkich miejsc, które odwiedzała z Sidounem w wolne popołudnia, Inyanna najbardziej upodobała sobie jednak Galerię Gossamer. Na dwukilometrowy ciąg handlowy, zawieszony wysoko nad ulicą, składały się najlepsze sklepy w Ni-moya, a więc najlepsze na całym Zimroelu, a więc najlepsze w ogóle - po wspaniałościach Zamkowej Góry. Idąc tam, oboje ubierali się elegancko w stroje ukradzione z najlepszych stoisk na Wielkim Bazarze - trudno je było nawet porównać z ubraniami arystokratów, ale i tak wyglądały znacznie lepiej niż to, co nosili na co dzień. Zwłaszcza Inyanna cieszyła się, mogąc wreszcie zrzucić męskie szaty złodzieja Kulibhaja i ubrać się w obcisłe piękne purpurowe i zielone szaty, rozpuścić długie rude włosy. Trzymając się za ręce wędrowali Galerią, pogrążeni w rozkosznych marzeniach, oglądając maski z piór o oczach z drogich kamieni, polerowane amulety i metalowe drobiazgi dostępne tylko dla prawdziwych bogaczy za garść albo i dwie garści

lśniących rojalów. Wiedziała, że niczego nigdy tu sobie nie kupi, że złodziej tak bogaty, by pozwolić sobie na zakupy w Galerii, naruszałby stabilność społeczności Bazaru, lecz radość sprawiało jej choćby oglądanie wystaw, więc chodziła tam i robiła zakupy w marzeniach. Właśnie podczas jednej z wypraw do Galerii Gossamer skrzyżowały się po raz pierwszy drogi Inyanny i książęcego brata, Calaina.

Oczywiście nie miała pojęcia o tym, co się wydarzy. Myślała tylko o niewinnym flircie, podobnym do oglądania wystaw, tak nierealnym jak marzenia o zakupach w Galerii. Właśnie nadeszło lato, noc była ciepła. Inyanna miała na sobie jedną ze swych najłżejszych sukni, niemal tak delikatną jak liny, na których wisiała Galeria Gossamer. Stali z Sidounem w sklepie z rzeźbami z kości smoków morskich, podziwiając nie większe od paznokcia, wręcz nieprawdopodobne cudeńka ze srebra i kości, dzieła Skandara, kapitana jednego ze statków łowców smoków, kiedy do środka weszło czterech mężczyzn, ubranych jak bogaci arystokraci. Sidoun natychmiast znikł w najciemniejszym kącie, doskonale wiedząc, że ubranie, zachowanie i fryzura zdradzają go jako prostaka, lecz Inyanna, świadoma urody swego ciała i chłodnego spojrzenia zielonych oczu, co powinno zrównoważyć niedoskonałość manier, dumnie została przy ladzie. Jeden z mężczyzn spojrzał na dzieło, które trzymała w dłoni i powiedział: -Jeśli zdecyduje się pani to kupić, zrobi pani dobry interes.

- Ale jeszcze się nie zdecydowałam.

- Czy mogę więc obejrzeć rzeźbę?

Podążyła ją, jednocześnie patrząc mu w oczy. Mężczyzna uśmiechnął się, ale zainteresowała go głównie rzeźba, globus przedstawiający Majipoor, zrobiony z kilkunastu nałożonych na siebie kawałków kości. Po chwili spytał właściciela sklepu:

-Ile?

- To prezent - odpowiedział właściciel, delikatny, poważny Ghayrog.

- Doskonale. A więc ja dam to w prezencie pani - stwierdził arystokrata, oddając rzeźbę zdumionej Inyannie. Uśmiechnął się nieco cieplej. - Pani mieszka w Ni-moya? - spytał cicho.

- Tak. W Strelain.

- Czy często jada pani na Wyspie Narabal?

- Gdy mam na to ochotę.

- Doskonale. Czy przyjdzie tam pani jutro o zachodzie słońca? Ktoś bardzo chciałby się z panią spotkać.

Inyanna ukloniła się, ukrywając zdumienie. Mężczyzna oddał jej ukłon, kupił trzy kościane miniaturki, zostawił na ladzie miszek rojalów i odszedł. Sidoun wyłonił się z cieni.

- Wart chyba z piętnaście rojalów! - szepnął. - Odsprzedaj go właścicielowi.

- Nie! - odparła Inyanna i zwróciła się do Ghayroga pytając: - Kim był ten człowiek?

- Pani go nie zna?

- Gdybym znała, nie pytałabym, kim jest.

- Tak, oczywiście. - Ghayrog wydał z siebie cichy syk. - To Durand Livolk, szambelan księcia.

- A pozostali trzej?

- Dwaj z nich służą księciu, a trzeci jest przyjacielem książęcego brata, Calaina.

- Aha. - Inyanna wyciągnęła ku niemu maleńki, kościany globus. - Czy mógłby pan zawiesić mi go na łańcuszku?

- Zajmie to tylko chwilkę.

- A ile kosztowałby odpowiedni łańcuszek?

Ghayrog zmierzył ją długim, wyrachowanym spojrzeniem.

- Łańcuszek to zaledwie dodatek do rzeźby, a ponieważ była ona darem, jego także otrzyma pani w prezencie.

- Co najmniej dwadzieścia rojali z łańcuszkiem - szepnął zdumiony Sidoun. - Zanieś ją do sąsiedniego sklepu i sprzedaj!

- To prezent - odparła chłodno. - Założę go jutro, udając się na kolację na Wyspie



Narabal.

Nie mogła pójść tam w stroju, który miała na sobie tego wieczora; na zdobycie nowego, równie drogiego i przezroczystego, poświęciła następnego dnia aż dwie godziny. W końcu znalazła suknię, w której wydawała się niemal naga, lecz która zasłaniała wszystko mgłą tajemnicy; założyła ją przed udaniem się na Wyspę Narabal. Kościaną kulę zawiesiła na złotym łańcuszku między piersiami.

W restauracji nie musiała nawet podać nazwiska. Przy prowadzących z promu schodkach czekał na nią poważny, dystyngowany Vroon w książęcej liberii, który poprowadził ją wśród gęstych pnączy i paproci do ukrytej salki, przytulnej i pachnącej, oddzielonej od głównej sali gęstymi roślinami. Przy stole z polerowanego drzewa kwiatu nocy, pod pnączami, z których włochatych łodyg wyrastały wielkie okrągłe błękitne kwiaty, czekały na nią trzy osoby: Durand Livolk (to on dał jej w prezencie kościaną rzeźbę), ciemnowłosa, smukła, elegancka jak drewno, z którego wykonano stół kobieta i kruchy mężczyzna o miękkich rysach twarzy i zaciśniętych ustach, mniej więcej dwukrotnie starszy od Inyanny. Wszyscy oni ubrani byli tak wspaniale, że Inyanna aż skuliła się w swej sukni, która nagle wydała się jej łachmanem. Lecz dostrzegłszy ją Durand Livolk poderwał się natychmiast, podszedł szybko i powiedział jej na ucho:

- Wygląda pani jeszcze piękniej niż wczoraj wieczorem. Proszę pozwolić sobie przedstawić kilku przyjaciół. To moja towarzyszka, lady Tisorne. A to...

Delikatnie zbudowany mężczyzna wstał.

- Nazywam się Calain z Ni-moya - powiedział po prostu łagodnym, cichym głosem.

Inyanna poczuła zmieszanie, lecz tylko na chwilę. Sądziła, że szambelan księcia pragnie jej dla siebie i dopiero teraz zrozumiała, iż Durand Livolk szukał po prostu kobiety dla książęcego brata. Oburzyła się na tę myśl, ale gniew znikł tak szybko, jak się pojawił. O

co miałyby się obrażać? Jak wiele młodych kobiet z Ni-moya miało kiedykolwiek szansę zjeść kolację na Wyspie Narabal w towarzystwie książęcego brata? Być może niektóre z nich na jej miejscu uważałyby, że zostały wykorzystane? Niech i tak będzie. Nie miała zamiaru nie wyciągnąć profitów z tego spotkania.

Czekało na nią miejsce przy Calainie. Gdy je zajęła, natychmiast pojawił się Vroon z tacą trunków, z których żadnego nie znała; ich kolory przenikały się, mieszały i fosforyzowały. Wybrała czarkę na chybił trafił. Napój smakował jak góraska mgła, lecz po jednym kieliszku poczuła mrowienie delikatnej skóry uszu i policzków. Zaczął padać deszcz, przed którym gości chroniły wielkie liście. Inyanna doskonale wiedziała, że wspaniałe, tropikalne rośliny często skraplane są sztucznym deszczem; utrzymywano tu atmosferę możliwie najbardziej zbliżoną do wilgotnego, dusznego klimatu Narabal.

- Czy ma tu pani jakieś ulubione danie? - spytał Calain.

- Wołałabym, żeby pan coś dla mnie zamówił.

- Jak pani sobie życzy. Nie mówi pani z akcentem z Ni-moya.

- Przyjechałam z Velathys. Niespełna rok temu.

- Bardzo rozsądne posunięcie - stwierdził Durand Lirolk. - Czy wolno spytać, co panią do tego skłoniło?

Inyanna roześmiała się.

- Jeśli wolno, opowiem tę historię innym razem.

- Pani akcent jest czarujący •=- stwierdził Calain. - Bardzo rzadko spotykamy mieszkańców Velathys. Czy to piękne miasto?

- Ależ nie, panie.

- Lecz przecież zbudowano je pośrodku łańcucha Gonghar. To z pewnością wspaniałe widoki - góry jak okiem sięgnąć.

- Być może. Jeśli mieszka się wśród nich całe życie, przestaje się zwracać na nie uwagę. Zapewne nawet Ni-moya wydaje się zwykłym miastem ludziom, którzy tu się urodzili.

- A gdzie pani mieszka? - spytała Tisorne.

- W Strelain - odparła Inyanna. Wypiła kolejny kieliszek, poczuła jego działanie, i zapewne dlatego dodała przekornie: - Na Wielkim Bazarze.

- Na Wielkim Bazarze? - zdumiał się Durand Livolk.

- Tak. Pod ulicą handlarzy serów.

- A czemuż zamieszkała pani właśnie tam? - zainteresowała się Tisorne.

- Och - odpowiedziała jej beztrąsko Inyanna - chciałam mieć blisko do pracy.

- Pracuje pani u handlarzy serów? - W głosie Tisorne zabrzmiało przerażenie.

- Źle mnie pani zrozumiała. Pracuje na Bazarze, ale nie zatrudniają mnie handlarze.

Jestem złodziejką.

Jej słowa miały siłę piorunu bijącego w górski szczyt. Inyanna dostrzegła, jak Calain i Durand Livolk wymieniają zaskoczone spojrzenia, widziała, jak szambelan się rumieni. Lecz miała do czynienia z arystokratami, którzy doskonale wiedzieli, jak powinni zachować się arystokraci. Calain oprzytomniał pierwszy. Uśmiechając się zimno powiedział:

- To zawód wymagający wdzięku ruchów, błyskawicznego refleksu i sprytu; tak przynajmniej zawsze sądziłem. - Swym kieliszkiem dotknął lekko kieliszka Inyanny. - Piję zdrowie złodziejki, która przyznaje się do tego, iż jest złodziejką. Jest w tym uczciwość, na którą stad niewielu.

Vroon powrócił, niosąc wielką porcelanową misę wypełnioną bladoniebieskimi, nakrapianymi białą jagodami, lśniącymi jak nawoskowane. Inyanna: rozpoznała w nich znane jej ze słyszenia owoce thokki, ulubione owoce w Narabalu, o których mówiono, że

rozgrzewają krew i działają jak afrodyzjak. Sięgnęła po kilka, Tisorne ostrożnie wybrała jedną, Durand Uvolk wziął ich garść, zaś Calain jeszcze więcej. Zauważyła, że brat księcia zjada owoce thokki w całości, łącznie z nasionami - tak spożywane miały podobno największą moc. Tisorne wyrzuciła nasiona, na co Durand Livolk zareagował kpiącym uśmiechem. Inyanna postanowiła nie naśladować tego przykładu.

Potem podano wina, kawałki przyprawionej na ostro ryby, ostrygi pływające we własnym sosie, talerz dziwnych małych grzybków w ciepłych, pastelowych kolorach, wreszcie ogromy kawał wspaniale pachnącego mięsa - nogę wielkiego bilantoona z lasów na wschód od Narabalu, o czym poinformował ją Calain. Jadła niewiele, próbowała wszystkiego po trochu, wydawało się jej to nie tylko właściwe, lecz także rozsądne. Po jakimś czasie w restauracji pojawiła się trupa skandarskich żonglerów, wyczyniających cuda z nożami i maczetami, czym zasłużyła sobie na szczerzy podziw i aplauz całej ich czwórki. Calain rzucił tym wielkim, czteroręcznym istotom lśniąca monetę - pięciorożalową, jak zauważyła zdumiona Inyanna. Potem znów spadł deszcz, choć ani kropla nie kapnęła na nich. Ponownie podano trunki. Durand Livolk i Tisorne opuścili ich taktownie, pozostawiając Calaina i Inyannę samych w wilgotnym mroku.

- Czy naprawdę jest pani złodziejką? - spytał Calain.

- Naprawdę. Ale nie tak miało być. Prowadziłam w Velathys sklep wielobranżowy.

- Doprawdy? I co się stało?

- Straciłam go na skutek oszustwa. Przyjechałam do Ni-moya bez grosza przy duszy, musiałam jakoś zarobić na życie i spotkałam złodziei, ludzi współczujących i bardzo sympatycznych.

- A teraz trafiła pani w towarzystwo znacznie większych złodziei - stwierdził Calain. -

Nie czuje się pani zakłopotana?

- A więc uważa się pan za złodzieja?

- Swe stanowisko zawdzięczam wyłącznie urodzeniu. Nie pracuję, może z wyjątkiem asystowania bratu, kiedy mnie potrzebuje. Żyję w luksusie, którego większość ludzi nie potrafi sobie nawet wyobrazić. Na nic nie zasłużyłem. Widziała pani mój dom?

- Przyjrzałam mu się bardzo dokładnie. Oczywiście tylko z zewnątrz.

- Czy miałaby pani ochotę obejrzeć dziś wieczorem jego wnętrze?

Pomyślała o Sidounie, czekającym na nią w pokoju o ścianach z białego kamienia, pod ulicą handlarzy sera.

-Wielką ochotę - powiedziała. - A kiedy już je zobaczę, opowiem panu pewną historię o Nissimorn Prospect i o tym, jak znalazłam się w Ni-moya.

-Jestem pewny, że będzie to bardzo interesujące. Idziemy?

- Tak - powiedziała Inyanna. - Czy nie sprawiłoby wielkiego kłopotu, gdybyśmy najpierw zatrzymali się przy Wielkim Bazarze?

- Mamy przed sobą całą noc - powiedział Calain. - Nie musimy się nigdzie spieszyć.

Pojawił się ubrany w liberię Vroon z latarnią i poprowadził ich przez przypominający dżunglę ogród do przystani na Wyspie, gdzie wsiedli na prywatny prom. Na stałym lądzie czekał już na nich wezwany ślizgacz i wkrótce Inyanna znalazła się przy Bramie Pidruid.

- To zajmie tylko chwilkę - szepnęła i, sprawiając wrażenie duszka, w swej niemal przezroczystej, przylegającej do ciała sukni, przepłynęła wśród tłumów, kręcących się po Bazarze nawet o tej późnej porze. Zeszła do podziemnego mieszkania. Złodzieje siedzieli przy stole, grając w jakąś grę szklanymi pionkami i mahoniową kością. Wielkie entne Inyanny przyjęli brawami i gwizdami, na które odpowiedziała pełnym napięcia uśmiechem.

Odciągnęła Sidouna na bok i powiedziała mu cicho:

- Wychodzę i nie wrócę na noc. Czy mi wybaczysz?

- Nie każdej kobiecie udaje się zwrócić uwagę księżęcego szambelana.

- Nie chodzi o księżęcego szambelana - powiedziała - lecz księżęcego brata. - Musnęła wargami wargi Sidouna, zdumionego, wpatrującego się w nią szklanym wzrokiem. -Jutro pójdziemy do Parku Baśniowych Stworzeń, dobrze, Sidounie? - Pocałowała go jeszcze raz, poszła do ich sypialni i spod poduszki wyjęła butelkę smoczego mleka, spoczywającą tam od miesiący. Zatrzymała się na chwilę w dużym pokoju przy stole, przy którym grano w karty, pochyliła ku Uloyve i dyskretnie pokazała jej, co trzyma w ręku. Liloyleve zdumiona spojrzała na butelkę. Inyanna mrugnęła do niej i powiedziała:

- Pamiętasz, na jaką okazję ją oszczędzałam? Powiedziałaś, żebym użyła tego mleka, kiedy znajdę się z Calainem w Nissimorn Prospect. No, więc...

Ldloyve aż westchnęła ze zdumienia. Inyanna mrugnęła, ucałowała ją i wyszła.

Znacznie później w nocy, kiedy wyjęła butelkę i ofiarowała ją Calainowi, przeraziła się na chwilę, pomyślawszy, że może popełnia straszliwy nietakt podając mu afrodyzjak, jakby sugerowała, że powinien go użyć. Lecz Calain nie sprawiał wrażenia dotkniętego. Był - albo udawał że jest - poruszony jej prezentem, z wielką troskliwością rozlał mleko do dwóch porcelanowych miseczek o ściankach tak cienkich, że wydawały się niemal przezroczyste, i wzniosł jedną z nich w toaście. Smocze mleko miało dziwny, gorzki smak, było trudne do przełknięcia, lecz Inyanna zdołała je przełknąć i niemal od razu poczuła rozlewającą się po ciele falę ciepła. Calain uśmiechnął się. Byli w Sali Okien Nissimorn Prospect; przezroczysta, szklana kopuła dawała niczym nie ograniczony widok na port i daleki południowy brzeg rzeki. Gospodarz dotknął guzika, szkło zmatowiało, z podłogi w ciszy wyrosło wielkie łóżce. Ujął jej dłoń i poprowadził ją ku niemu.

Być konkubiną księżęcego brata wydawało się spełnieniem najśmielszych marzeń złodziejki z Wielkiego Bazaru. Inyanna nie miała złudzeń co do natury ich związku. Durand Livolk wybrał ją wyłącznie dla jej urody, może spodobały mu się jej oczy, może włosy, może coś w postawie. Calain spodziewał się zapewne, że będzie miał do czynienia z kobietą nieco bardziej zbliżoną do niego pozycją, lecz mimo to uważał zapewne za czarujący fakt, że los połączył go z dziewczyną z najniższych kręgów społecznych. Los ofiarował jej wieczór na Wyspie Narabal i noc na Nissimorn Prospect. Na jedną noc marzenia stały się rzeczywistością, rano wróci na Wielki Bazar ze wspomnieniami, które wystarczą jej do końca życia i na tym wszystko się skończy.

Tylko że na tym nic się nie skończyło.

Nie spali przez całą noc - czy to efekt działania smoczego mleka, zastanawiała się Inyanna, czy też może jest tak zawsze? - a rankiem, nadzy, poszli obejrzyć majestatyczną rezydencję. Calain pragnął pokazać jej swe skarby. Śniadanie zjedli na werandzie z widokiem na ogród i to właśnie podczas śniadania usłyszała propozycję, by tego dnia oboje wybrali się do jego prywatnego parku w Istmoj. Zastanawiała się, czy powinna pojawić się na Bazarze, powiadomić Sidouna, powiedzieć mu, że nie wróci, lecz nagle zdała sobie sprawę, że nie musi mu nic mówić, że jej milczenie z pewnością zostanie właściwie zinterpretowane. Nie zamierzała sprawić bólu Sidounowi, ale z drugiej strony nie była mu winna nic oprócz zwykłej grzeczności. Przeżywała właśnie największą przygodę swego życia i gdy wróci na Bazar to nie ze względu na niego, lecz po prostu dlatego, że przygoda się skończy.

Okazało się, że z Calainem spędziła jeszcze sześć dni. Za dnia pływali po rzece jego wspaniałym jachtem, spacerowali objęci po jego olśniewającym parku myśliwskim, gdzie hodowano zwierzęta, dla których zabrakło miejsca w Parku, lub po prostu leżeli na werandzie

Nissimorn Prospect patrząc, jak słońce przemierza kontynent od Piliploku po Pidruid. Noce spędzali uczując i bawiąc się, jedząc kolację na którejś z pływających wysp, w którymś ze wspaniałych domów Ni-moya albo w samym książęcym pałacu. Książę całkowicie różnił się od swego brata: znacznie potężniejszy i znacznie starszy, zachowywał się o wiele bardziej bezceremonialnie. Jednak dla Inyanny był zawsze czarujący, traktował ją poważnie, z wyszukaną grzecznością, nigdy nie dał jej do zrozumienia, że jest dziewczyną z ulicy, którą jego brat znalazł na Bazarze. Przeżyła te dni nie dziwiąc się niczemu, jakby we śnie.

Wiedziała, że nie powinna okazywać strachu czy zdumienia. Udawać, że jest równa tym ludziom, że należy do ich kręgu, byłoby jeszcze gorzej. Potrafiła jednak zachować się powściągliwie, choć bez wstydu, postępować śmiało bez zbędnej poufałości - i to najwyraźniej wystarczało. Po kilku zaledwie dniach zaczęło się jej wydawać naturalne, iż je kolację z dygnitarzami, którzy niedawno powrócili z Zamkowej Góry, przywożąc najnowsze plotki o Koronalu Lordzie Maliborze i jego otoczeniu, lub wymieniali się historyjkami, jak to polowali z Pontifexem Tyeverasem, kiedy był jeszcze Koronalem, za rządów Pontifexa Ossiera, czy też o tym, jak właśnie w Świątyni Wewnętrznej spotkali Panią Wyspy. Nabrała takiej pewności siebie, że gdyby ktoś zwrócił się do niej z pytaniem: "Pani, jak spędziłaś ostatnie miesiące?" odpowiedziałaby mu bez wahania: Jako złodziejka na Wielkim Bazarze", jak to zrobiła tego pierwszego wieczoru, podczas kolacji na Wyspie Narabal. Lecz nikt nigdy jej o to nie zapytał; w najwyższych kręgach społecznych, jak sobie uświadomiła, nikt nigdy nikogo o nic nie pyta, ludzie opowiadają o sobie tylko to, co sami chcą ujawnić.

Gdy więc siódmego dnia Calain powiedział jej, że ma się przygotować do powrotu na Bazar, nie spytała go, czy dobrze bawił się w jej towarzystwie, czy też może już się nim znudził. Wybrał ją dla siebie na pewien czas, czas ten właśnie minął; niech tak będzie. Tego tygodnia nie zapomni nigdy w życiu.



Powrót do meliny był jednak wstrząsem. Bogato wyposażony ślizgacz zabrał ją z Nissimorn Prospect do Bramy Piliplok, służący w liberii podał jej wszystkie prezenty od Calaina, którymi ten obdarował ją podczas wspólnie spędzonego tygodnia, a potem ślizgacz znikł i Inyanna wstąpiła w chaotyczny, spocony Bazar jakby budziła się z czarodziejskiego snu. Nikt jej nie pozdrowił, gdy przemykała wśród tłumów, bowiem ci, którzy ją znali, znali ją jako Kulibhaja, a teraz miała na sobie kobiecy strój. Szła w milczeniu, nadal otoczona aurą arystokratki, lecz za każdym krokiem ogarniał ją coraz większy smutek i poczucie straty, bowiem teraz dopiero zaczynała naprawdę rozumieć, że sen już się skończył, że wróciła do rzeczywistości. Dziś Calain zje kolację z odwiedzającym Ni-moya księciem Mazadone, jutro wraz z gośćmi popłynie w górę Steiche łowić ryby, a pojutrze -cóż, nie miała pojęcia, co będzie robił pojutrze, lecz wiedziała, że pojutrze ona sama będzie kradła koronki, buteleczki perfum i bele materiałów. Na chwilę do oczu napłynęły jej łzy. Całym wysiłkiem woli zmusiła się, by nie płakać. Powiedziała sobie, że płacz byłby dowodem głupoty, że nie powinna rozpaczać z powodu powrotu na Bazar, lecz raczej cieszyć się, że przyszło jej spędzić tydzień w Nissimorn Prospect.

W mieszkaniu zastała tylko Hjorta Beyorka oraz jednego z Metamorfów. Przywitali ją skinieniem głowy. Poszła do swej sypialni i przebrała się w strój Kulibhaja, lecz nie potrafiła tak natychmiast wrócić do zawodu. Bizuterię i inne drobne klejnoty, otrzymane od Caiaina, troskliwie złożyła pod łóżkiem. Gdyby zdecydowała się je sprzedać, mogłaby nie pracować przez rok czy dwa, ale nie miała zamiaru rozstać się nawet z najdrobniejszą z pamiątek. Zdecydowała, że powróci na Bazar następnego dnia. Padła na łóżko, które znów miała dzielić z Sidounem i kiedy zebrało się jej na płacz, pozwoliła płynąć łzom, a potem wstała, czując się już znacznie spokojniejsza, wykapała się i czekała na przyjście przyjaciół.

Sidoun powitał ją z prawdziwie arystokratyczną wstrzeźliwością. Nie pytał o jej

przygody, nie ujawnił śladu zazdrości, o nic jej nie oskargał; uśmiechnął się tylko, wziął ją za rękę, poczęstował kieliszkiem wina z Ałhanroelu, które właśnie ukradł i opowiedział kilka historyjek, które zdarzyły się na Bazarze podczas jej nieobecności. Zastanawiała się, czy będzie onieśmielony, kochając się z nią i wiedząc, że przed nim radował się nią brat księcia, lecz kiedy poszli do łóżka, objął ją chętnie i mocno, radośnie przytulając swe chude ciało do jej ciała. Następnego dnia, po obowiązkowej rundzie na Bazarze, poszli do Parku Baśniowych Stworzeń, po raz pierwszy dostrzegli gossimaula z Glayge, tak delikatnego, że z boku niemal niewidocznego, szli za nim, póki nie znikł im z oczu i śmiali się, jakby nigdy się nie rozstawali.

Inni złodzieje przez kilka dni przyglądali się Inyannie z podziwem, bowiem wiedzieli, gdzie była i co musiała robić, i traktowali ją jak obcą, przedstawicielkę najwyższych warstw społecznych. Jednak tylko Liloyye ośmieliła się wspomnieć jej o tym wprost, a zdarzyło się to zaledwie raz.

- Co on w tobie widział? - spytała.

- Skąd mam wiedzieć? To bardzo przypominało sen.

- Moim zdaniem los oddał ci sprawiedliwość. - Jak to?

- Oszukano cię obietnicą objęcia Nissimorn Prospect. W ten sposób otrzymałaś zadośćuczynienie. Bogini nagradza zło dobrem, rozumiesz? - Liloyye roześmiała się. -

Otrzymałaś coś, co warte było więcej niż wyłudzone od ciebie przez tych oszustów dwadzieścia rojali, prawda?

Rzeczywiście, zgodziła się z nią w myślach Inyanna. Lecz, o czym dowiedziała się bardzo szybko, dług nie został jeszcze w pełni spłacony. Bowiem w następnym Dniu Gwiazd, kiedy szła wzdłuż ulicy kantorów, kradnąc tu i ówdzie drobne monety, poczuła nagle, zaskoczona, uścisk dłoni na przegubie ręki; zdążyła pomyśleć, że tylko głupiec mógł jej nie

rozpoznać i przerwać jej pracę, kiedy ku swemu zdumieniu rozpoznała Liloyve. Jej przyjaciółka miała zaczerwienioną twarz i lekko wytrzeszczone oczy.

- Natychmiast wracaj do domu - krzyknęła.

- Co się stało?

- Przyjechało dwóch Vroonów. Calain cię wzywa. Poleciał, żebyś zabrała wszystkie swoje rzeczy, nie wrócisz już bowiem na Wielki Bazar.

Zdarzyło się więc, że Inyanna Forlana z Velathys, złodziejka, zamieszkała w Nissimorn Prospect jako towarzyszka życia Calaina z Ni-moya. Calain nie próbował jej niczego tłumaczyć, a ona nie prosiła go o wyjaśnienia. Przez kilka pierwszych tygodni spodziewała się każdego ranka, że może dostać polecenie powrotu na Bazar, lecz nic takiego nie nastąpiło, więc po pewnym czasie przestała liczyć się z tą możliwością. Gdziekolwiek udawał się Calain, była u jego boku: podróżowała na bagna Khyntoru polować na gihorny, do wspaniałego Dulorn, gdzie spędzili tydzień w Nieustającym Cyrku, do Khyntoru na Festiwal Gejzerów, była nawet w mrocznym, deszczowym Piurifayne, zwiedzając prowincję należącą do tajemniczych Metamorfów. Ona, która spędziła młodość w prowincjonalnym Velathys, przestała się w końcu zdumiewać, że oto podróżuje niczym Koronał podczas wielkiego objazdu, mając przy boku brata księcia, lecz nigdy nie zatraciła poczucia perspektywy, nigdy nie przestała zachwycać się ironią losu, który doprowadził w jej życiu do tak wielkiej zmiany. Nie zdumiała się nawet, kiedy pewnego dnia posadzono ją przy stole u boku samego Koronała. Lord Malibor przybył do Ni-moya z oficjalną wizytą, bowiem zwyczaj nakazywał mu odwiedzać zachodni kontynent co osiemdziesiąt lat i w ten sposób okazywać jego obywatelom, że myśli o nich w tym samym stopniu, jak o obywatelach swego rodzinnego Alhanroelu. Książę wydał na jego cześć obowiązkową ucztę. Inyanna siedziała przy głównym stole, po prawej miała Koronała, po lewej Calaina; na prawo od Lorda Malibora siedział sam książę ze swą małżonką. Oczywiście, w szkole nauczono ją imion wielkich Koronałi: Stiamota, Confalume'a, Presomiona, Dekkereta i innych. Matka powtarzała jej często, że dokładnie w dniu, w którym się urodziła, do Velathys przyszła wiadomość, że zmarł stary Pontifex Ossier, Lord Tyeveras został Ponofexem i wybrał na nowego Koronała niejakiego Malibora z miasta Bombifale. W końcu do jej rodzinnej prowincji dotarły nawet monety

ukazujące jego mięsistą twarz o szeroko rozstawionych oczach i ciężkich brwiach. Przez całe lata zdarzało się jej jednak wątpić, czy Koronaliowie i Pontifexowie istnieją naprawdę i czy są zwykłymi, normalnymi ludźmi, a jednak siedziała teraz przy stole niemal dotykając łokciem jednego z nich i mogła tylko dziwić się, jak dalece ten potężny mężczyzna w królewskiej zieleni i złocie przypomina swój portret na monetach. Spodziewała się znacznie mniejszego podobieństwa.

Wydawało się jej, że rozmowy Koronali dotyczą wyłącznie spraw wagi państwowej.

Najwyraźniej jednak Lord Malibor interesował się tylko polowaniem. Pojechał gdzieś tam, by upolować jakąś rzadką bestię, był tu i tu, by zdobyć łeb innego groźnego drapieżnika, odwiedzał najdalsze zakątki Majipooru, by zabijać zwierzęta i tak dalej, i tak dalej. Budował nawet nowe skrzydło Zamku, w którym mieścić się miały wszystkie jego trofea.

- Mam nadzieję - powiedział w pewnej chwili - że za rok lub dwa odwiedzicie mnie z Calainem. Sala trofeów będzie już wtedy gotowa.

Wiem, że sprawi wam przyjemność oglądanie tych wszystkich stworzeń, przygotowanych przez najlepszego wypychacza na całym Majipoorze.

Inyanna rzeczywiście chętnie odwiedziłaby Zamek Lorda Malibora. Ogromna rezydencja Koronala była miejscem legendarnym, pojawiającym się w snach wszystkich mieszkańców Majipooru. Nie potrafiłaby wyobrazić sobie niczego wspanialszego niż wyprawa na szczyt wznoszącej się w niebo Góry, zwiedzanie liczącego sobie tysiące lat Zamku, obejrzenie jego tysięcy sal. Lecz ta obsesja zabijania wydała się jej odpychająca. Kiedy Koronal rozprawiał o zabijaniu amorfibotów, ghalwardw, sigimoinów i stitmojów, o wysiłku, jaki wkładał w to zabijanie, wracała myślami do Parku Baśniowych Stworzeń, w którym, zgodnie z rozkazem jakiegoś mniej krwiożerczego Koronala sprzed lat, opiekowano się tymi samymi zwierzętami i chroniono je, a to z kolei przypominało jej łagodnego

kościstego Sidouna, z którym tak często odwiedzała ten park i który tak pięknie grał na kieszonkowej harfie. Nie chciała myśleć o Sidounie, w stosunku do którego nie miała wprawdzie żadnych zobowiązań, lecz do którego nadal czuła sympatię zrodzoną z poczucia winy - więc nie pragnęła też słuchać o zabijaniu przedstawicieli ginących gatunków tylko po to, by ich łby ozdobiły salę trofeów Lorda Malibora. Mimo to uprzejmie wytrzymała jego krwawe opowieści, a nawet zdołała skomentować je przyjacielsko raz i drugi. O świcie, kiedy byli już z powrotem w Nissimorn Prospect i szykowali się do snu, Calain powiedział jej:

- Koronał ma zamiar zapolować teraz na smoki morskie. Chce ubić jednego, zwanego smokiem Lorda Kinnikena. Kiedy zmierzono go po raz ostatni, miał ponad sto metrów długości.

Inyanna, zmęczona i w niezbyt wesołym nastroju, tylko wzruszyła ramionami. Smoki przynajmniej nie były gatunkiem ginącym, więc nikomu nie zaszkodzi, gdy Lord Malibor któregoś z nich zabije.

- A ma w sali trofeów miejsce na stworza tych rozmiarów?

- Na łeb i skrzydła pewnie mu wystarczy. Nie sądzę, by miał wielkie szansę go upolować. Tego smoka zaobserwowano tylko cztery razy od czasów Lorda Kinnikena, a od siedemdziesięciu lat nie widział go nikt. Ale jak nie tego, upoluje innego. Albo utonie próbując to zrobić.

- Naprawdę może zginąć?

Calain przytaknął jej skinieniem głowy.

- Polowanie na smoki to niebezpieczne zajęcie. Mądrzej byłoby, gdyby w ogóle nie próbował. Lecz Malibor zabił już przedstawiciela każdego lądowego gatunku, a żaden Koronał nie wypłynął nigdy w morze na pokładzie statku łowców smoków, więc nie da się go odwieść od tego pomysłu. Wyjeżdżamy do Piliploku pod koniec tygodnia.

- Wyjeżdżamy?

- Lord Malibor zaprosił mnie do udziału w polowaniu. - Calain uśmiechnął się smutno. - Tak naprawdę, to zaprosił księcia, lecz mój brat wyłgał się z tego obowiązku pod poborem konieczności zajęcia się sprawami państwowymi. Ja byłem następny w kolejce. Nie odrzuca się takich propozycji.

- Mam ci towarzyszyć? - spytała Inyanna.

- Tego nie zaplanowaliśmy.

- Ach! - A po chwili cicho spytała: -Jak długo cię nie będzie?

- Sezon polowań trwa zazwyczaj trzy miesiące, kiedy wieją południowe wiatry.

Trzeba jeszcze dojechać do Piliploku, przygotować statek, wrócić... łącznie jakieś sześć, siedem miesięcy. Wrócę do domu wiosną.

- Aha. Rozumiem.

Calain podszedł i mocno ją przytulił.

- Będzie to nasze najdłuższe rozstanie. Obiecuję.

Chciała zapytać go, czy nie ma sposobu, by odrzucić to zaproszenie. Chciała spytać, czy nie może zabrać jej ze sobą. Wiedziała jednak, że nie ma sensu pytać, że byłoby to pogwałcenie etykiety, zgodnie z którą żył. Więc tylko wzięła go w objęcia i leżeli tak, przytuleni, aż do świtu.

W przeddzień wyjazdu do Piliploku Calain wezwał ją do swego gabinetu na najwyższym piętrze rezydencji. Wskazał leżący na biurku gruby plik papierów. Poprosił, by je podpisała.

- Co to takiego? - spytała, nie dotykając dokumentów.

- Nasz kontrakt małżeński.

- To okrutny żart, mój panie.

- Nie żartuję, Inyanno. Wcale nie żartuję. -Ale...

- Chciałem przedyskutować z tobą całą sprawę w zimie, ale przez ten przekłęty wyjazd zabrakło mi czasu. Więc postanowiłem przyspieszyć bieg sprawy. Nie jesteś już tylko moją konkubiną - te dokumenty formalizują naszą miłość.

- Czyżby nasza miłość wymagała sformalizowania? Oczy Calaina zwęziły się.

-Wybieram się na niebezpieczną, lekkomyślną wyprawę, z której mam zamiar powrócić, ale podczas pobytu na morzu mój los nie będzie w moich rękach. Jako towarzysza życia nie masz praw spadkowych. Jako żona...

Inyanna stała nieruchomo, zdumiona. .

-Jeśli to takie niebezpieczne, porzuć myśl o wyprawie, panie!

- Wiesz, że to niemożliwe. Muszę ponieść to ryzyko. Więc postanowiłem uregulować nasz związek. Podpisz dokument, Inyanno.

Przez dłuższy czas wpatrywała się w gruby plik papierów. Miała kłopoty ze skoncentrowaniem wzroku, nie potrafiła i nie chciała odczytać słów, które jakiś nieznany skryba przepisał eleganckim pismem. Żona Calaina? Wydawało się jej to czymś niemal potwornym, pogwałceniem wszelkich norm, przekroczeniem wszelkich granic. A mimo to...  
mimo to...

Czekał. Nie mogła mu odmówić.

Rankiem Calain odjechał wraz z Koronalem i jego dworem do Piliploku; cały ten dzień Inyanna spędziła, zmieszana i roztrzęsiona, spacerując po korytarzach Nissimorn Prospect, wchodząc do sal i wychodząc z nich. Tego wieczora sam książę bardzo taktownie zaprosił ją na wieczerzę, następnego Durand Livolk i jego pani towarzyszyli jej podczas kolacji na Wyspie Pidruid, dokąd dotarł właśnie nowy transport wina z ognistych palm, później zaczęły przychodzić inne zaproszenia, więc Inyanna była zajęta niemal przez cały



czas. Mijały miesiące, był już środek zimy, kiedy nadeszła wiadomość, że wielki smok zaatakował statek Lorda Malibora i posłał go na dno Morza Wewnętrznego. Lord Malibor zginął wraz ze wszystkimi ludźmi ze swego dworu, a Koronalem został jakiś Voriac. Tak więc, zgodnie z testamentem Calaina, wdowa po nim, Inyanna Forlana, w majestacie prawa przejęła tytuł własności Nissimorn Prospect.

Kiedy skończył się okres żałoby i mogła zająć się sprawami praktycznymi, Inyanna wezwała jednego ze służących, kazać mu przekazać spore sumy pieniędzy złodziejowi Agormoule z Wielkiego Bazaru i całej jego rodzinie. W ten sposób zamierzała powiadomić ich, że nie zapomniała.

- Przekaż mi dokładnie to, co powiedzą, kiedy dostaną sakiewki - poleciła, w nadziei, że usłyszy jakieś cieplejsze słowo, jakieś miłe wspomnienie o spędzonych wspólnie dniach. Jednakże służący stwierdził, że złodzieje nie powiedzieli niczego ciekawego, że wyrazili tylko zdumienie i wdzięczność dla Lady Inyanny. Tylko jeden z nich, imieniem Sidoun, odmówił przyjęcia daru i oparł się wszelkim namowom. Inyanna uśmiechnęła się smutno, poleciła rozdać dwadzieścia rojalów Sidouna pomiędzy ubogie dzieci i później nigdy już nie kontaktowała się ze złodziejami z Wielkiego Bazaru, nie zbliżała się nawet do ich siedziby. W kilka lat później, odwiedzając Galerię Gossamer, w sklepie z kościanymi rzeźbami dostrzegła dwóch podejrzanych mężczyzn. Z ich ruchów, z wymienianych ukradkowo spojrzeń jasno wynikało, że są złodziejami planującymi wywołanie zamieszania, co umożliwi im okradzenie sklepu. Podeszła bliżej i nagle zdała sobie sprawę, że już ich kiedyś spotkała. Jeden był niski i tęgi, drugi wysoki i blady, miał kościstą twarz. Gestem nakazała swej eskorcie otoczyć ich.

- Jeden z was nazywa się Steyg, a drugi Vezan Ormus, ale zapomniałam, który jest który - powiedziała. - Pewne szczegóły naszego spotkania pamiętam jednak doskonale. Zaniepokojeni złodzieje niepewnie zerknęli jeden na drugiego.

- Czcigodna pani, to pomyłka - oświadczył wyższy. - Ja nazywam się Elakon Mirj, a mój przyjaciel ma na imię Thanooz.

- Teraz, być może, tak. Ale przed wielu laty, w Velathys, przedstawiliście mi się

inaczej. Jak widzę, z oszustów awansowaliście na złodziei, co? Powiedzcie mi jedno: ilu spadkobierców Nissimom Prospect znaleźliście, nim się to wam wreszcie znudziło?

Teraz już w ich oczach dostrzegła strach. Miała wrażenie, że oceniają szansę przedarcia się przez jej eskortę, lecz byłoby to głupotą. Zawiadomiono strażników Galerii, już gromadzili się przed drzwiami.

Niższy ze złodziei, drżąc, powiedział:

-Jesteśmy uczciwymi handlarzami, czcigodna pani, naprawdę...

-Jesteście łotrami bez sumienia - przerwała mu Inyanna. -Zwykłymi łotrami bez sumienia. Zaprzeczcie raz jeszcze, za karę traficie na przymusowe roboty na Suvrael!

- Czcigodna pani...

- Masz powiedzieć prawdę!

Mimo szczękających zębów złodziej zdołał wykrztusić:

- Przyznajemy się do winy. Ale zdarzyło się to bardzo dawno. Jeśli czuje się pani skrzywdzona, zadośćuczynimy...

- Skrzywdzona? Skrzywdzona? - Inyanna roześmiała się głośno. - Wyświadczyliście mi przysługę większą niż ktokolwiek na świecie! Jestem wam głęboko wdzięczna, bowiem poznaliście mnie jako Inyannę Forlanę, sklepikarkę z Velathys, od której wyłudziliście dwadzieścia rojali, a teraz jestem Lady Inyanną z Ni-moya, panią Nissimom Prospect. Tak Bogini broni słabych i zmienia zło w dobro. Skinęła na strażników.

- Dostarczcie tych dwóch straży Pontifexa i powiedzcie, że zeznam przeciw nim później, lecz proszę dla nich o łaskę, o wyrok trzech miesięcy przy naprawie dróg czy coś takiego. Sądzę, że kiedy wyjdziecie, wezmę was na służbę. Jesteście bezwartościowymi łotrami, lecz nie brak wam sprytu i lepiej was pilnować, bo inaczej znów zaczniecie oszukiwać nieostrożnych.

Skinęła ręką. Złodziei odprowadzono.

- Przepraszam za to zamieszanie - zwróciła się do właściciela sklepu. - A teraz, jeśli chodzi o te kościane symbole miasta, twierdziłeś, że warte są po dwanaście rojalów sztuka. Co powiedziałbyś na trzydzieści rojalów za komplet z dodatkiem tej rzeźby bilantona?

# VORIAX I VALENTINE

Spośród wszystkich dawnych istnień, których Hissune doświadczył w Rejestrze Dusz, właśnie życie Inyanny Forlany okazało się najbliższe jego sercu. Częściowo dlatego, że była kobietą współczesną - a więc świat, w którym się obracała, nie był mu tak obcy jak świat malarza psychicznych obrazów, kapitana statku próbującego opłynąć Majipoor lub Thesmy z Narabalu. Lecz głównym powodem, dla którego uznał byłą sklepikarkę z Velathys za pokrewną duszę, był fakt, że zaczęła nie mając niemal nic, a i to jej odebrano, lecz przecież zdołała osiągnąć wielkość i potęgę, a także, jak podejrzewał, coś w rodzaju szczęścia. Hissune doskonale rozumiał, że Bogini pomaga tym, którzy sami sobie pomagają; pod tym względem Inyanna wydała mu się podobna do niego samego. Oczywiście, miała szczęście - udało się jej zwrócić uwagę właściwych ludzi we właściwym czasie, ludzie ci pomogli jej przebyć długą drogę, lecz czy każdy nie jest panem własnego szczęścia? Hissune, który znalazł się na właściwym miejscu, gdy przed laty wygnany z Zamkowej Góry Lord Valentine przybył do Labiryntu, wierzył, iż tak jest z pewnością. Zastanawiał się, jakie cuda i jakie rozkosze przeznaczył mu w udziale los, jak on sam może lepiej ukształtować swoje przeznaczenie, by osiągnąć coś więcej niż pozycję urzędnika w Labiryncie, którą zajmował od tak dawna. Miał już osiemnaście lat i sam sobie wydawał się za stary na marzenia o wielkości. Lecz przecież zdawał sobie również sprawę, że w jego wieku Inyanna handlowała glinianymi misami i belami płótna w gorszej dzielnicy Velathys, a jednak w końcu odziedziczyła Nissimorn Prospect. Nie sposób więc przewidzieć, co czeka jego samego, bo przecież Lord Valentine może posłać po niego w każdej chwili. Lord Valentine przyjechał bowiem do Labiryntu przed tygodniem i mieszkał teraz w tym luksusowym apartamencie, w którym mieszka zawsze Koronał odwiedzający stolicę Pontyfikatu. Lord Valentine może wezwać go do siebie i powiedzieć: "Hissune, zbyt długo służyłeś mi wśród kurzu archiwów. Od dziś zawsze

będziesz przy mnie, zamieszkas na Zamkowej Górze!”

Oczywiście, coś takiego może zdarzyć się w każdej chwili. Jednak Hissune nie miał do tej pory okazji zobaczyć się z Koronalem i nie spodziewał się, by ta okazja pojawiła się dziś. Marzył o rzeczach wielkich, lecz nie zamierzał torturować się fałszywą nadzieją, wykonywał więc znieawidzoną pracę myśląc o wszystkim, czego nauczył się w Rejestrze Dusz, i w dzień lub dwa po tym, jak dowiedział się, co zdarzyło się na Bazarze w Ni-moya, powrócił do Rejestru. Z bezczelnością, która wydawała się główną cechą jego charakteru, sprawdził w indeksie, czy istnieje jakieś nagranie Lorda Valentine'a. Wiedział, że taka bezczelność jest w istocie kuszeniem losu; wcale nie byłby zaskoczony, gdyby nagle zapaliły się światła, zabręczały alarmy, a do Rejestru wpadli uzbrojeni strażnicy, by aresztować zadufanego młodzika, który - nie mając do tego żadnego prawa - próbuje poznać umysł i duszę samego Koronala. Zaskoczyło go coś zupełnie innego: maszyna po prostu przekazała mu informację, że istnieje jedno nagranie Valentine'a, zrobione dawno temu, gdy dopiero co doszedł do swych męskich lat. Nie czując najmniejszego wstydu, Hissune bez wahania uruchomił odpowiedni przycisk.

Było ich dwóch, dwóch młodych ludzi, wysokich i silnych, o czarnych włosach i czarnych brodach. Oczy również mieli czarne i błyszczące, ramiona zaś szerokie; promieniowali pewnością siebie - na pierwszy rzut oka każdy rozpoznawał w nich braci. Lecz istniały pomiędzy nimi różnice. Jeden był już mężczyzną, drugi - przynajmniej do pewnego stopnia - pozostawał jeszcze chłopcem, o czym świadczyła nie tylko rzadka broda i gładka cera, lecz także widoczna w jego wzroku dobroduszość, ciepło i wesołość. Starszy wydawał się znacznie poważniejszy, twarz miał surowszą, władcą, jakby dźwigał ciężar wielkiej odpowiedzialności, która pozostawiła na nim niezatarte piętno. Do pewnego stopnia tak było rzeczywiście, bowiem ten, który nosił miano Voriixa z Halanx, starszy syn Głównego

Doradcy Damiandane'a, od dziecka uchodził za pewnego kandydata na następcę rządzącego Koronata.

Byli oczywiście i tacy, którzy widzieli jako Koronajego młodszego brata, Valentine'a. Twierdzili, że jest on chłopcem niezwykle obiecującym, że w przyszłości mógłby być wspaniałym władcą, lecz Valentine nie miał złudzeń co do szczerości tych komplementów. Voriac był od niego starszy o osiem lat - i gdyby w ogóle któryś z nich miał zamieszkać na Zamkowej Górze, ponad wszelką wątpliwość byłby to właśnie on. Lecz nawet Voriac nie mógł wiedzieć na pewno, czy zostanie Koronalem, niezależnie od krążących na dworze plotek. Ich ojciec, Damiandane, należał do najściślejszego kręgu doradców Lorda Tyeverasa, lecz gdy Tyeveras został Pontifexem, udał się aż do stóp Góry, do miasta Bombifane, i wybrał na swego następcę Malibora. Nikt się tego nie spodziewał, bowiem Malibor był tylko gubernatorem prowincji, szorstkim człowiekiem bardziej zainteresowanym polowaniem niż ciężką administracyjną pracą. Valentine jeszcze się wtedy nie narodził, lecz Voriac powiedział mu, że ich ojciec nie zdradził ani rozczarowania, ani oburzenia, tracąc prawo do tronu. Taka reakcja była prawdopodobnie najlepszą oznaką, że doskonale nadawał się na władcę.

Valentine zastanawiał się czasami, czy Voriac zdolny będzie do podobnie szlachetnego zachowania, jeśli korona jednak go ominie i spocznie na głowie innego księcia z Góry: na przykład Elidatha z Morrole Jub, powiedzmy, Tunigorna albo Stasilane'a, czy nawet na jego własnej. Jakie byłoby to dziwne! Czasami, w samotności, Valentine powtarzał słowa: Lord Stasilane, Lord Elidath, Lord Tunigorn, nawet Lord Valentine! Lecz takie marzenia zakrawały na głupotę. Valentine nie miał najmniejszej ochoty pozbawić tronu brata, a także nie miał na to wielkich szans. Jeśli z woli Bogini nie zdarzy się jakiś kosmiczny żart, jeśli Lordowi Maliborowi nie strzeli coś do głowy, gdy przyjdzie jego czas na zajęcie miejsca w

Labiryntcie, Koronalem zostanie Vori-ax. Wiedza ta odcisnęła ślad na jego duszy, widoczna była w całej jego postaci i zachowaniu.

Lecz teraz Valentine nie myślał wcale o skomplikowanych dworskich intrygach. Wraz z bratem spędzali wakacje w niższych partiach Zamkowej Góry. Zaplanowali je dawno, lecz musieli odłożyć na długo, bowiem w zeszłym roku, przejeżdżając ze swym przyjacielem Elidathem przez karłowaty las Ambelorn, Valentine doznał skomplikowanego złamania nogi i dopiero niedawno wyzdrowiał na tyle, by móc ruszyć w tę wyczerpującą podróż. Więc wraz z Vori-axem zjechali ze szczytu Góry, urządzili sobie wspaniałe wakacje, prawdopodobnie ostatnie takie wakacje Valentine'a przed przejęciem przez niego obowiązków, jakie spadają na dorosłego mężczyznę. Miał już siedemnaście lat, a ponieważ należał do wąskiego kręgu książąt, spośród których wybierano Koronala, wiele musiał się jeszcze nauczyć o technikach sprawowania władzy, by móc być gotowym na każde wyzwanie, jakie los może przed nim postawić.

A więc wybrał się na wakacje z Vori-axem, uciekającym przed własnymi obowiązkami, by wraz z bratem święcić swój powrót do zdrowia. Opuścili rodzinne Halanx, pojechali do pobliskiego miasta rozrywek, Wysokiego Morpin, gdzie szaleńczo, po wariacku jeździli tunelami mocy. Valentine nalegał też na lustrzany ślizg, chcąc sprawdzić siłę wyleczonej nogi, a gdy to zaproponował, na twarzy Vori-axa pojawił się zaledwie widoczny wyraz niepewności -jakby wątpił, czy Valentine jest już zdolny do takich rozrywek, lecz był zbyt taktowny, by o tym wspomnieć. Kiedy wstąpili na tor, stanął tuż obok brata, a gdy tamten przesunął się o krok, znów się do niego zbliżył, aż Valentine odwrócił się i powiedział:

- Sądysz, że mogę upaść, bracie?

- Nie sędzę, byś miał upaść.



- Więc czemu stoisz tak blisko? Czyżbyś sam bał się upadku? - Valentine wybuchnął śmiechem. - Możesz się nie lękać. Zawsze zdążę cię podtrzymać.

-Jesteś wspaniałomyślny, braciszku - powiedział Voriac.

I wtedy płyty zaczęły się odwracać, lustra rozbłysły jasnym światłem; nie mieli już czasu na rozmówki. Rzeczywiście, Valentine przez chwilę czuł się niepewnie, bowiem korytarz luster nie był rozrywką dla inwalidów, a on po złamaniu kulał, nieznacznie, lecz denerwująco, i miał pewne trudności z zachowaniem równowagi. Szybko udało mu się jednak złapać rytm, nie potknął się i nie poślizgnął, nie upadł, choć płyty obracały się szybko w różnych kierunkach, a kiedy przegonił Voriaca dostrzegł, że wyraz niepokoju znikł z jego twarzy, jednak to, co się rzeczywiście zdarzyło, dało mu wiele do myślenia. Potem obaj pojechali z boczem Góry w dół, do Tentagu, na festiwal tańczących drzew, potem do Erstud Grand i Minimoolu, i dalej, za Gimkandale, aż do Furible, by obserwować godowy lot kamiennych ptaków. A Valentine myślał, że wtedy, kiedy czekali, by płyty zaczęły się poruszać, Voriac zachował się jak troskliwy, kochający opiekun, lecz był nieco zbyt troskliwy, zbyt opiekuńczy, jakby znalazł jeszcze jeden sposób, by nim rządzić - a to jemu, Valentine'owi, stojącemu u progu dorosłości, wcale się nie podobało. Lecz wiedział, że braterstwo to w połowie miłość, a w połowie wojna, więc nie zdradzał swego zdenerwowania. Z Furible udali się do Bimbaku Wschodniego i Bimbaku Zachodniego, zatrzymując się w obu miastach u stóp trzykilometrowych wież, których widok sprawiał, że nawet najbardziej aroganccy ludzie zaczynali czuć się jak mrówki. Stamtąd pojechali do Amblemornu, w którym kilkanaście małych strumyków łączy się w jedną potężną rzekę Glayge. To właśnie poniżej Amblemornu rozciągała się wielka równina, której gęsto zbita, biała jak kreda ziemia sprawiała, że wielkie drzewa rosły skarłowaciałe, nie wyższe od mężczyzny i nie grubsze od dziewczęcego ramienia. Właśnie tu Valentine miał wypadek, gdy

jego wierzchowiec potknął się o zdradzieckie korzenie. Spadł z niego, a noga utkwiała mu między dwoma pniami, cienkimi, lecz liczącymi sobie tysiące lat i twardymi jak żelazo. Kości zrastały się długo, miesiącami leżał w łóżku, szalejąc z gniewu na myśl o zmarnowanym roku młodości. Dlaczego teraz tu wrócili? Voriax chodził po lesie, jakby szukał w nim ukrytego skarbu. W końcu obrócił się do brata i powiedział:

- Wydaje się, jakby działały tu jakieś czary.

- Łatwo to wyjaśnić. Korzenie nie są w stanie zagłębić się w tej twardej, jałowej ziemi, drzewa czepiają się życia resztkami sił, a ponieważ na Zamkowej Górze wszystko rośnie wspaniale, a one umierają z głodu, to...

- Oczywiście, wiem - stwierdził chłodno Voriax. - Nie powiedziałem, że działają tu jakieś czary, lecz iż wydaje się, że działają. Cały legion vroońskich czarowników nie potrafiłby stworzyć niczego tak wstrętnego. Ale dobrze, że w końcu tu dotarłem. To co, jedziemy?

-Jakież ty jesteś subtelny, Voriaxie.

- Subtelny? Nie rozumiem...

- Sugerujesz, że powinienem jeszcze raz spróbować pokonać las, w którym omal nie straciłem nogi.

Rumiana twarz Voriaxa zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Nie sądzę, byś miał jeszcze raz spaść z wierzchowca.

-Ja wiem, że nie spadnę. Lecz ty uważasz zapewne, że ciągle boję się upadku, a zawsze wierzyłeś, że pokonać strach można tylko rzucając wyzwanie temu, czego się boimy. Zaplanowałeś więc tutaj kolejny wyścig, by mi wykazać, że obawa, jaką być może budzi we mnie ten las, jest najzupełniej bezpodstawna. To odwrócenie sytuacji z sali lustrzanych płyt, ale chodzi o to samo, prawda?

- Nic nie rozumiem - stwierdził Voriax. - Czyżbyś nagle dostał gorączki?

- Nie, nie dostałem gorączki. To co, zaczynamy?

- Nie. Chyba nie.

Zdumiony Valentine uderzył pięścią jednej ręki w dłoń drugiej.

- Przecież wyścig to twój pomysł!

- Zaproponowałem, żebyśmy przejechali przez las. A ty złościsz się, wymyślasz mi, oskarżasz mnie o manipulowanie tobą, choć nic takiego nawet nie powstało mi w głowie. Jeśli zaczniesz się ścigać w takim nastroju, z pewnością znowu spadniesz i najprawdopodobniej zgruchoczesz sobie drugą nogę. Chodź, wracamy do Aniblemornu.

- Voriaxie, słuchaj...

- Wracamy.

- Chcę przejechać przez ten las. - Valentine nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w twarz brata. - Jedziesz ze mną, czy wolisz poczekać?

- Chyba pojedę.

- To teraz powiedz mi, że mam być ostrożny i uważać na korzenie. Na policzku

Voriaxa drgnął mięsień - był to jedyny widoczny dowód jego rozdrażnienia, może z wyjątkiem głębokiego westchnienia.

- Nie jesteś dzieckiem - powiedział. - Nie mam zamiaru mówić ci nic takiego. A poza tym, gdybym uznał taką radę za wskazaną, wypowiedziałbym ci braterstwo i nie chciałbym cię znać.

Spiął wierzchowca i pogalopował wąską ścieżką wijącą się pomiędzy karłowatymi drzewkami.

Valentine ruszył za nim po krótkiej chwili wahania i starał się doścignąć brata. Nie wybrali sobie najłatwiejszej drogi, tu i tam dostrzec można było przeszkody równie groźne

jak ta, o którą wywrócili się poprzednio podczas wyścigu z Elldathem, lecz tym razem jego wierzchołek pewnie trzymał się na nogach, nie było więc potrzeby ściągać mu wozów. Choć doskonale pamiętał swój upadek, Valentine nie czuł strachu, tylko wszystkie zmysły wyostrzyły mu się nagle; wiedział, że gdyby znowu spadł, skutki nie byłyby aż tak tragiczne. Zastanawiał się, czy nie za ostro zareagował na zachowanie Voriixa. Być może był zbyt wrażliwy, zbyt skory do obrony samego siebie przed jego wyobrażoną opiekuńczością. Przecież Voriix uczył się, jak być władcą świata, więc - choćby nawet nie chciał - musiał brać na siebie odpowiedzialność za każdego i za wszystko, a już zwłaszcza za młodszego brata. Zdecydował, że od tej pory będzie bronił swej niezależności z mniejszym zapałem. Przejechali przez las i znaleźli się w Amblemornie, najstarszym z miast Zamkowej Góry, pełnym krętych uliczek i porośniętych dzikim winem murów. Dwanaście tysięcy lat temu z tego właśnie miejsca zaczaj się podbój Góry - stąd wyruszyli pierwsi lekkomyślni śmiałkowie, pragnący podbić ogromny, pozbawiony atmosfery pięćdzie-sięćlokilometrowy szczyt, wyrastający z powierzchni Majipooru. Komuś, kto całe życie przeżył w Pięćdziesięciu Miastach, w atmosferze nie kończącej się nigdy wiosny, trudno sobie wyobrazić czasy, gdy zbocza Góry były jałowe i niezdatne do zamieszkania, lecz Valentine znał opowieści o pionierach pnących się po gigantycznych zboczach, transportujących maszyny produkujące ciepło i powietrze, przez stulecia zmieniających jałową górę w baśniowe królestwo piękna, ukoronowane w końcu maleńką twierdzą, którą przed ośmioma tysiącami lat wybudował na szczycie Lord Stiamot i która przez tysiąclecia zmieniła się w ogromny, niewyobrażalny wręcz Zamek, zamieszkały dziś przez Lorda Malibora. Wraz z Voriixem zatrzymał się przy pomniku w Amblemornie, wyznaczającym dawną granicę strefy drzew, i z szacunkiem odczytał inskrypcję:

**NIEGDYS POWYŻEJ BYŁO TYLKO JAŁOWE PUSTKOWIE**

Iglicę z czarnego marmuru, na której wyryto ten napis, otaczał ogród cudownych, kwitnących purpurowo i złoto drzew halatinga.

Dzień i noc, i jeszcze jeden dzień, i jeszcze jedną noc spędzili w Amblemornie. Potem Voriax i Valentine zjechali wzdłuż zbocza doliny Glayge, docierając do miejscowości Ghiseldorn, położonej z dala od głównych traktów. Na skraju mrocznego, gęstego lasu osiedliło się kilka tysięcy ludzi, którzy uciekli z wielkich miast i zamieszkali w namiotach z ciemnego wojłoku, zrobionego z wełny dzikich blawów pasących się na nadrzecznych łąkach. Nie wtrącali się w sprawy sąsiadów. Niektórzy uważali ich za czarownice i czarodziejów, inni mówili, że to odłam Metamorfów, którzy przed laty uniknęli wypędzenia z Alhanroelu i na stałe przybrali ludzką postać. Valentine podejrzewał, że ci ludzie po prostu nie czuli się dobrze w hałaśliwym, żyjącym interesami świecie, jakim stał się Majipoor, i przenieśli się tu, by stworzyć sobie własny świat.

Na wzgórze, z którego widać było las Ghiseldorn i położoną po jego przeciwnej stronie wioskę czarnych namiotów, wjechali późnym popołudniem. Las sprawiał odpychające wrażenie - rosły w nim głównie drzewa pingła, niskie, o grubych pniach, z gałęziami rosnącymi w górę i splatającymi się tak gęsto, że nie przepuszczały nawet odrobiny światła. Sama wioska nie wydawała się pogodniejsza. Dziesięcioboczne, rzadko rozstawione namioty wyglądały jak jakieś niezwykle owady, które podczas wędrówki przysiadły na chwilę w obojętnym dla nich miejscu. Valentine był bardzo ciekaw Ghiseldornu i zamieszkującego go ludu, lecz teraz, kiedy dotarł już na miejsce, ochota do poznania ich tajemnic jakoś mu przeszła.

Spojrzał na Voriaxa i w jego twarzy dostrzegł odbicie swych wątpliwości.

- To co robimy? - spytał.

- Powinniśmy chyba zatrzymać się po tej stronie lasu. Rankiem możemy pojechać do

wioski; ciekawe, jak zostaniemy przyjęci.

- Sądzisz, że mogą nas zaatakować?

- Zaatakować? Bardzo wątpię. Przypuszczam, że są nastawieni znacznie bardziej pokojowo niż większość ludzi na naszej planecie. Ale po co się im narzucać? Czemu nie mielibyśmy uszanować ich odrębności? - Wskazał pasek gęstej trawy przy brzegu strumienia.

-Co powiesz na to, żebyśmy rozbili obóz właśnie tu?

Zatrzymali się, rozkulbaczyli wierzchowce, wypakowali bagaże, zebrali soczyste kielki na kolację. Szukali drewna na ognisko, kiedy Valentine spytał nagle:

- Gdyby Lord Malibor polował w lesie Ghiseldorn na jakieś rzadkie zwierzę, to jak sądzisz, czy uszanowałby prywatność tych ludzi?

- Nic nie powstrzyma Lorda Malibora przed zabiciem tego, co chce zabić.

- No właśnie. Ta myśl nawet nie powstałaby mu w głowie. Myślę, że będziesz znacznie lepszym Koronalem od niego, Voriacie.

- Nie mów głupstw!

- Nie mówię głupstw. Wyrażam całkiem rozsądne przypuszczenie. Wszyscy zgadzają się, że Malibor to człowiek ordynarny i bezmyślny. Kiedy nadejdzie twoja kolej...

- Przestań, dobrze?

- Przecież zostaniesz Koronalem - mówił dalej Valentine. -Więc po co udawać?

Zostaniesz Koronalem z całą pewnością i to raczej prędzej niż później. Tyeveras jest stary; za dwa, trzy lata Malibor przeniesie się do Labiryntu, a kiedy już zostanie Pontifexem, na pewno mianuje cię Koronalem. Nie jest na tyle głupi, by obrazić wszystkich swoich doradców. A potem...

Voriac złapał go za przegub i przyciągnął do siebie. Z oczu biła mu wściekłość.

- Takie gadanie przynosi pecha - powiedział. - Milcz.

- Mogę powiedzieć coś jeszcze?

- Nie mam zamiaru słuchać przypuszczeń co do tego, kto będzie Koronalem!

Valentine skinął głową.

- Nie mam zamiaru się nad tym rozwodzić. Chcę tylko zadać ci jedno pytanie, jak brat

bratu. Myślałem o tym od dłuższego czasu. Nie twierdzę, że z pewnością zostaniesz

Koronalem, ale chciałbym wiedzieć, czy chcesz zostać Koronalem. Czy ktoś w ogóle zapytał

cię o zdanie? Czy masz ochotę wziąć na barki ten ciężar? Po prostu odpowiedz mi, dobrze?

Po dłuższej chwili milczenia Voriax odpowiedział:

- Tego ciężaru nikt nie ośmieliłby się odrzucić.

- Ale czy ty go pragniesz?

-Jeśli przeznaczenie go na mnie złoży, czy mam powiedzieć “nie”?

- Nie odpowiadasz na moje pytanie. Spójrz tylko na nas! Jesteśmy młodzi, zdrowi, szczęśliwi, wolni. Oprócz dworskich obowiązków, których, prawdę mówiąc, wcale nie jest tak wiele, możemy robić, co chcemy, oglądać to, co chcemy, wszędzie, na całym świecie.

Możemy popłynąć na Zimroel, udać się z pielgrzymką na Wyspę, spędzić wakacje na

Bagnach Khyntoru, robić, co nam się żywnie podoba. Oddać to wszystko, by włożyć na

głowę koronę gwiazd, by podpisywać miliony dekretów i prowadzić wielkie pielgrzymki, z

tymi wszystkimi mowami, a pewnego dnia z konieczności zamieszkać na samym dnie

Labiryntu... po co, Voriaxie? Dlaczego w ogóle ktoś miałby tego pragnąć? Czy ty tego

pragniesz?

- Ciągle jeszcze jesteś dzieckiem - stwierdził Voriax. Valentine odsunął się o krok,

jakby brat wymierzył mu policzek.

Znów ten protekcjonalny ton! Lecz nagle zrozumiał, że sobie na to zasłużył, że

zadawał naiwne, nawet głupie pytania. Odsunął od siebie gniew i powiedział:

- Sądziłem, że właśnie zacznam dorastać.

- Zaczynasz. Lecz wiele musisz się jeszcze nauczyć.

- Bez wątpienia - zgodził się Valentine i umilkł. - Zgoda, przyjmiesz władzę z

konieczności, kiedy sama wpadnie ci w ręce. Lecz czy jej pragniesz, Voriaxie, czy naprawdę jej pragniesz, czy też to tylko wychowanie i poczucie obowiązku każe ci przygotowywać się do wstąpienia na tron?

- Nie przygotowuję się do wstąpienia na tron - powiedział powoli Voriax - lecz tylko

do zajęcia miejsca w rządzie tej planety, do czego jesteś przygotowywany i ty. Tak, jest to

kwestia wychowania i poczucia obowiązku; jestem przecież synem Pierwszego Doradcy

Damiandane, tak jak ł ty. Gdyby ktoś zaoferował mi tron, przyjąłbym go z dumą i sprawował

rządy najlepiej, jak potrafię. Nie marnuję czasu na pożądanie władzy, a tym bardziej na

zastanawianie się, czy kiedykolwiek będę ją sprawował. Ta rozmowa zaś zdecydowanie mnie

męczy, więc byłbym wdzięczny, gdybyś pozwolił mi w milczeniu zbierać drewno.

Spojrzał na brata z gniewem i odwrócił się.

Valentine pragnął zadać jeszcze tyle pytań, ile wylęga się alabandinów w lecie, ale

powstrzymał się, dostrzegł bowiem, jak bratu drżą wargi i wiedział, że przekroczył

dozwolone granice. Voriax szarpał gwałtownie leżące na ziemi gałęzie, łamiąc je z

niepotrzebną siłą, jako że były kruche i wyschnięte. Valentine nie próbował przedrzeć się

przez wzniesiony przez niego mur milczenia, choć nie dowiedział się wszystkiego, czego

pragnął się dowiedzieć. Z tego, jak Voriax unikał odpowiedzi, wywnioskował, że

rzeczywiście pragnie zostać Koronalem i poświęca cały swój czas na przygotowanie się do tej

roli; przypuszczał też, choć były to mgliste podejrzenia, jakimi motywami się kieruje. Czy

chce władzy dla siebie, czy pragnie potęgi i chwały? Cóż, czemu nie? Czy chce, by dopełniło

się przeznaczenie, które wynosi niektórych ludzi ponad innych? Tak, to także. Być może



chciał również zadośćuczynienia za rozczarowanie ojca, którego ominęła korona. Lecz, mimo wszystko, oddać się w niewolę tylko po to, by po prostu rządzić światem... tego Valentine nie potrafił już zrozumieć. W końcu zdecydował, że Voriax ma rację - tego rodzaju rzeczy nie sposób pojąć do końca, kiedy ma się zaledwie siedemnaście lat.

Zaniósł uzbierane drewno na miejsce i zajął się rozniecaniem ognia. Voriax dołączył do niego wkrótce, lecz nie powiedział nic; wyraźnie czuło się panujące między braćmi napięcie, które sprawiało Valentine'owi wielką przykrość. Żałował, że nie może przeprosić Voriaxa za to, iż zbyt głęboko drążył swymi pytaniami; nie mógł, bowiem w podobnych okolicznościach nigdy nie umiał zachować się delikatnie - podobnie zresztą jak Voriax. Nadal czuł, że bracia powinni umieć rozmawiać ze sobą o najdelikatniejszych sprawach bez wzajemnego urażania się. Okazywany przez brata chłód wydawał mu się trudny do zniesienia, a trwał wystarczająco długo, by zagrozić zepsuciem całej wspólnej wyprawy. Valentine szukał sposobu naprawienia szkód i po chwili przypomniał sobie coś, co pomagało im zawsze, kiedy byli młodszy.

Podszedł do Voriaxa, który kroił mięso na kolację, ponury i zacięty w milczeniu.

- Masz ochotę się ze mną pomocować, dopóki nie zagotuje się woda?

Voriax zerknął na niego, zaskoczony. -Co?

- Chcę się trochę rozruszać.

- To wleż na te pingle i zatańcz na gałęziach!

- Daj spokój. Spróbujmy zapasów, dobrze?

- To nie byłoby w porządku.

-A niby czemu? Czyżby porażka mogła jeszcze głębiej urazić twą godność?

- Nie przeciągnij struny, Valentine!

- Wyraziłem się zbyt ostro. Wybacz mi. - Valentine przyjął pozycję zapaśnika i

wyciągnął ręce. - Proszę. Tylko kilka chwytów, trochę ruchu przed kolacją...

- Noga dopiero ci wyzdrowiała.

-Ale wyzdrowiała. Nie musisz mnie oszczędzać, a ja z pewnością nie będę oszczędzał ciebie.

- A jeśli kość znów pęknie? Do najbliższego miasta wartego tej nazwy jest dzień drogi.

- Daj spokój. - Valentine zaczął się niecierpliwić. - Za bardzo się martwisz. No, pokaż, że umiesz jeszcze walczyć! - Roześmiał się, klasnął w dłonie, skinął na brata i znów klasnął; przysunął się do niego, aż niemal zetknęli się nosami, poderwał go na nogi - i Voriac wreszcie ustąpił i zaczął walczyć.

Coś było nie tak. Siłowali się często od czasu, gdy Valentine był już wystarczająco duży, by stawić bratu czoło. Doskonale wiedział, jak Voriac się porusza, wiedział, jak utrzymuje równowagę, znał jego styl. Ale... mężczyzna, z którym teraz walczył, wydawał mu się zupełnie obcy. Czy to jakiś Metamorf podkraść się do niego, imitując postać Voriaca? Nie, nie, to noga - uświadomił sobie Valentine. Voriac nie używa całej swej siły, świadomie jest zbyt delikatny, zbyt niezdarny. Znów mu matkuje. Zrobił wypad i z nagłą, niespodziewaną złością - chociaż dobry zapaśniczy obyczaj nakazywał, by jeszcze markował ataki i wypróbowywał przeciwnika - chwycił brata, zamierzając wykonać rzut. W jego oczach dostrzegł zdumienie. W ostatniej chwili, gdy Valentine zbierał siły, by położyć go na łopatki, Voriac uniósł się, po raz pierwszy wykorzystując całą swą niezwykłą siłę. Mimo wszystko omal nie został pokonany, lecz w ostatniej chwili uwolnił się, odtoczył, poderwał na równe nogi. Obaj zaczęli krążyć, czujnie się obserwując.

-Widzę, że cię nie doceniłem. Nogę masz już całkowicie wyleczoną - powiedział

Voriac.

-Jest zdrowa, o czym przekonywałem cię dziś kilkakrotnie. Po prostu trochę kuleję, co nie ma najmniejszego wpływu na przebieg walki. No chodź, jeszcze nie skończyliśmy!

Valentine skinął dłonią. Skoczyli ku sobie, zwarli się w uścisku, żaden z nich nie mógł przemóc przeciwnika, więc trwali tak przez chwilę, która Valentine'owi wydała się wieloma godzinami, choć prawdopodobnie trwała tylko kilka minut. Później Voriac cofnął się o parę centymetrów, napał na brata i odzyskał stracony dystans. Oddychali ciężko, pocili się, wysilali i uśmiechali się do siebie podczas tej walki. Uśmiech Voriaca sprawił Valentine'owi największą przyjemność, oznaczał on bowiem, że znów są braćmi, że dzielące ich lody stopniały, że wybaczone mu jego impertynencję. W tej chwili pragnął objąć brata, a nie z nim walczyć i w momencie, w którym odrobinę rozluźnił chwyt, Voriac pchnął go, skręcił, obrócił się, wykonał rzut i przycisnął mu żołądek kolanem, a rękami złapał za ramiona. Valentine walczył dzielnie, ale w tej pozycji nie mógł się bronić długo i wkrótce pod łopatkami poczuł chłodną, wilgotną ziemię.

- Wygrałeś - wysapał, a gdy Voriac rozluźnił chwyt, odtoczył się i znieruchomiał obok niego. Obaj wybuchnęli śmiechem. - Załatwię cię następnym razem.

Choć pokonany, czuł się świetnie, bowiem odzyskał braterską miłość.

I nagle Valentine usłyszał, że ktoś stojący blisko bije im brawo. Usiadł i wpatrzył się w mrok; dostrzegł smukłą kobietę o szczupłej twarzy i niezwykle długich, prostych czarnych włosach, stojącą na krawędzi lasu. Miała błyszczące oczy, w których kryła się kpina, pełne usta i była dziwnie ubrana w niedbale połączone, kolorowe pasy wyprawionej skóry. Wydała mu się dość stara, mogła mieć ze trzydzieści lat.

- Obserwowałam was - powiedziała podchodząc do nich bez śladu strachu. - Najpierw myślałam, że walcycie naprawdę, ale potem zobaczyłam, że to dla zabawy.

- Najpierw walczyliśmy naprawdę - odparł Voriac. - Lecz także, zawsze, jest to

zabawa. Nazywam się Voriax z Halaruc, a to jest Valentine, mój brat.

Przyjrzała się im.

- Tak, oczywiście. Każdy dostrzeże, że jesteście braćmi. Ja mam na imię Tanuda.

Pochodzę z Ghiseldornu. Czy chcecie, bym przepowiedziała wam przyszłość?

- A więc jesteś czarownicą? - spytał Valentine. W oczach kobiety tańczyły iskiereki wesołości.

- Tak, oczywiście, czarownicą. Czym innym mogłabym być? -Więc dobrze, przepowiadaj!

- Zaraz - odezwał się Voriax. - Nie przepadam za czarami. -Jesteś o wiele za rozsądny.

Komu to może zaszkodzić? Mamy

zamiar odwiedzić Ghiseldorn, osiedle czarowników, więc czy nie powinniśmy się

dowiedzieć, co nas czeka? Czego się boisz? To tylko zabawa, zwykła zabawa. - Valentine

podszedł do czarownicy i spytał: -Czy zostaniesz z nami na kolację?

- Zaraz...

Spojrzał bratu w oczy i roześmiał się.

- Obronię cię przed czarami. Nie obawiaj się. - A potem, nieco ciszej, dodał: -Już

wystarczająco długo podróżowaliśmy sami, bracie. Mam ochotę porozmawiać z kimś obcym.

- To widać - burknął Voriax.

Lecz kobieta była ładna, Valentine nalegał i wkrótce Voriax pogodził się z jej

towarzystwem; uciął dla niej dodatkowy kawałek mięsa, a ona poszła do lasu, wróciła z

owocami pingli i pokazała im, jak je opiec, by sok przesycił mięso nadając mu przyjemny,

gorzkawy i lekko dymny posmak. Po pewnym czasie Valentine stwierdził, że trochę kręci mu

się w głowie. Wątpił, by spowodowało to kilka łyków wypitego wina, więc pewnie to skutek

zjedzenia pingli; pomyślał, że może czarownica zastawiła na nich jakąś pułapkę, ale odrzucił

tę myśl, bowiem w ogarniającym go oszołomieniu było coś przyjemnego, nawet podniecającego, przy równoczesnym braku poczucia jakiegokolwiek zagrożenia. Spojrzał na Voriaxa zastanawiając się, czy jego naturalna podejrzliwość nie dojdzie do głosu i nie popsuje im zabawy, lecz nie. Jeśli Voriax w ogóle odczuwał działanie soku, to uczynił go on tylko bardziej jowialnym - śmiał się głośno ze wszystkiego, kiwał, uderzał dłońmi po udach, pochylał się ku czarownicy wykrzykując jej w twarz dwuznaczne dowcipy. Valentine zjadł jeszcze trochę mięsa. Zapadała już noc, obóz nagle ogarnęła ciemność, na niebie, oświetlonym tylko jednym małym srebrnym księżycem, rozbłysły gwiazdy. Nagle wydało mu się, że słyszy dalekie śpiewy i jakieś okrzyki, miał jednak wrażenie, że Ghlseldorn jest zbyt daleko, by przez gęsty las mogły dobiec tu tego rodzaju odgłosy, uznał więc, że tylko mu się wydaje i że to kolejny przejaw działania oszalamiających owoców pingli.

Ognisko przygasło. Nocne powietrze było chłodne. Przytulili się do siebie we troje, Valentine, Voriax i Tanuda; ciało przy ciele, najpierw niewinnie, w poszukiwaniu ciepła, potem już nie tak niewinnie. Kiedy siedzieli tak, przytuleni, Voriax zerknął na młodszego brata i puścił do niego oko, jakby chciał powiedzieć: "Dziś w nocy obaj jesteśmy mężczyznami i będziemy się bawić jak dwaj mężczyźni, bracie". Od czasu do czasu Valentine dzielił kobietę z którymś z przyjaciół - z Elidathem, ze Stasilanem, we troje zabawiali się w łóżku dla dwojga - lecz nigdy z Voriaxem, tak świadomym swej godności, wyższości i pozycji, toteż teraz czerpał z tej gry podwójną radość. Czarownica z Ghiseldornu zrzuciła skórzany strój; jej ciało wydawało się w świetle ognia smukłe i zgrabne. Przedtem bał się trochę, że wyda mu się odpychająca - była przecież o tyle starsza od niego, starsza nawet o parę lat od Voriaxa -ale zorientował się, że strach ten wynikał z głupoty, z braku doświadczenia, bowiem teraz kobieta wydała mu się piękna. Objął ją, trafił na spoczywającą na jej biodrze dłoń Voriaxa i uderzył ją tak, jak odpędza się dokuczliwego komara; obaj

roześmiali się, a ich basowemu śmiechowi zawtórował srebrzysty śmiech Tanudy. We troje położyli się na wilgotnej od rosy trawie.

Jeszcze nigdy Valentine nie przeżył tak dzikiej nocy. Cokolwiek zawierał w sobie sok z pingli, wyzwoliło go to ze wszelkich ograniczeń, dodało sił, a z Voriaxem musiało być podobnie. Noc tę Valentine zapamiętał jako serię oderwanych obrazów, całkowicie różnych zdarzeń. Oto leży na trawie, głowa Tanudy spoczywa na jego brzuchu, Voriax kocha się z nią, a on z dziwną przyjemnością przysłuchuje się ich jękom; teraz on ją ma, a Voriax jest gdzieś blisko, choć nie wiadomo, gdzie; teraz Tanuda leży ściśnięta pomiędzy ich ciałami, co wydaje mu się dość dziwne. Nie wiedział nawet, jak dotarli do strumienia, w którym, śmiejąc się, kąpali się i ochlapywali; później pobiegli, nadzy i drżący, do niemal wygasłego ogniska i znów się kochali - Valentine i Tanuda, Voriax i Tanuda, Valentine i Tanuda i Voriax, ciało przy ciele, aż mrok rozproszyło powoli światło nadchodzącego poranka.

Żadne z nich nie spało, kiedy na niebie pojawiło się słońce. Całe długie fragmenty nocnych przeżyć znikły z pamięci Valentine'a - ciekaw był, czy może na chwilę udawało mu się zasnąć - teraz jednak umysł miał niezwykle czysty, oczy szeroko otwarte, jakby to był środek dnia. Podobnie było z Voriaxem i uśmiechniętą, spoczywającą pomiędzy nimi nagą wiedźmą.

- A teraz - powiedziała Tanuda - czas na przepowiedzenie przyszłości.

Voriax chrząknął, niepewny, lecz Valentine powiedział szybko:

- Tak! Tak! Przepowiedz nam przyszłość.

- Zbierzcie nasiona pingli.

Nasiona leżały wszędzie dokoła: okrągłe, lśniące, czarne w czerwone plamki.

Valentine zebrał ich kilkanaście, nawet Voriax przyniósł parę; dali je Tanudzie, która także znalazła kilka. Potrząsała nimi w zamkniętej dłoni i rzucała jak kośćmi. Rzuciła je pięć razy,

zbierała i rzucała znowu, potem połączyła dłonie i upuściła je tak, by ułożyły się w krąg, pozostałe wsypała do jego wnętrza. Przyglądała się im uważnie; kuciała, twarzą niemal dotykając ziemi. W końcu uniosła wzrok. Beztroska, przekorna wesołość znikła; czarownica zmieniła się nagle, była bardzo poważna i wydawała się starsza.

-Jesteście mężczyznami wysoko urodzonymi - powiedziała - ale to łatwo poznać po waszym zachowaniu. Nasiona mówią mi o wiele, wiele więcej. Widzę, co wam grozi.

Voriac odwrócił twarz, zmarszczył brwi i splunął.

- Nie wierzysz mi, wiem. Ale obydwaj będziecie musieli stawić czoła niebezpieczeństwu. Ty - wskazała palcem Voriaca - musisz strzec się lasów, a ty - spojrzała na Valentine'a - wody, oceanu - zmarszczyła brwi - i nie tylko oceanu, bowiem twe przeznaczenie jest tajemnicze i nie potrafię go do końca odczytać. Linia życia jest przerwana, nie śmiercią, lecz czymś bardzo dziwnym, zmianą, transformacją. - Potrząsnęła głową. - Nie wiem. Nie potrafię powiedzieć nic więcej.

- Mamy strzec się lasów, mamy strzec się oceanów... najlepiej zrobimy, jeżeli będziemy strzec się bzdur! - powiedział Voriac.

- Zostaniesz królem - stwierdziła Tanuda.

Voriac westchnął gwałtownie. Gapił się na nią, w oczach nie pozostał mu nawet ślad gniewu.

Valentine uśmiechnął się, klepnął brata po ramieniu. -Widzisz? Widzisz?

- Ty także będziesz królem.

- Co? - Valentine'a aż zatkało ze zdumienia. - Co to za idiotyzm? Twoje nasiona cię oszukały!

-Jeśli tak, zdarzyło się to pierwszy raz. - Tanuda zebrała nasiona, szybko wrzuciła je do strumienia i ubrała się w paski skóry. - Król i król, tej nocy miałam was obu, przyszli

władcy. Czy przybędziecie dziś do Ghiseldornu?

- Chyba nie - powiedział Voriax, nawet na nią nie patrząc.

- A więc już się nigdy nie zobaczymy. Żegnajcie.

Ruszyła szybko w kierunku lasu. Valentine wyciągnął ku niej dłoń, lecz nie powiedział nic, w drżące palce chwycił tylko powietrze. Obrócił się ku bratu, który gniewnie wpatrywał się w dogasające węgielki. Radość nocnej zabawy znikła bezpowrotnie.

- Miałaś rację - powiedział. - Nie powinniśmy jej pozwolić bawić się w proroctwa naszym kosztem. Lasy! Oceany! I ten idiotyzm, jak to obaj mamy zostać królami.

- Co mogła mieć na myśli? - spytał Voriax. - Że będziemy dzielić tron jak dzisiejszej nocy dzieliliśmy jej ciało?

- To przecież niemożliwe.

- Nigdy w historii Majipooru nie rządziło nim dwóch władców jednocześnie. To nie ma sensu! To nie do pomyślenia! Jeśli ja mam zostać królem, to jak ty możesz zostać królem?

- W ogóle mnie nie słuchasz. Mówię ci, nie zwracaj na to uwagi, bracie. Mieliśmy do czynienia z dziką kobietą, która dała nam noc szalonych rozkoszy. W jej proroctwach nie ma ani okruszka prawdy.

- Powiedziała, że mam zostać królem.

- I najprawdopodobniej nim zostaniesz. Po prostu szczęśliwy traf.

- A jeśli nie? Jeśli rzeczywiście ma talent proroczy?

- No, to z pewnością zostaniesz królem.

- A ty? Jeżeli mówiła prawdę o mnie, to ty także musisz zostać Koronalem, a jak...

- Nie - powiedział Valentine. - Prorocy często posługują się zagadkami, mówią umyślnie niejasno. Nie miała na myśli króla w dosłownym znaczeniu. Zostaniesz Koronalem, Voriaxie, wszyscy o tym wiedzą - a mnie przepowiedziała jakiś inny rodzaj królowania albo



w ogóle mówiła bez sensu.

- To mnie przeraża, Valentine.

- Masz zostać Koronalem, nie musisz się niczego bać. Dlaczego się tak krzywisz?

- Dzielić tron z bratem... -Jego myśli krążyły wokół tej zagadki jak język wciąż dotykający bolącego zęba; nie potrafił ich opanować.

- To się nie zdarzy. -Valentine podniósł z ziemi ubranie, stwierdził, że należy do Voriaxa i rzucił mu je. - Słyszałeś, co powiedziałem wczoraj. Nie mieści mi się w głowie, dlaczego ktoś miałby pożądać władzy. Z pewnością pod tym względem nie będę dla ciebie żadną konkurencją. - Złapał brata za rękę. - Voriaxie, Voriaxie, nie rób takiej ponurej miny. Czyżby słowa leśnej czarownicy dotknęły cię aż tak głęboko? Przysięgam ci, że gdy zostaniesz Koronalem, będę twym najwierniejszym sługą, nigdy rywalem. Przysięgam ci to na duszę naszej matki, która ma być Panią Wyspy. I mówię ci raz jeszcze, że tego, co zaszło tu dziś w nocy, nie można traktować poważnie.

- Być może nie - zgodził się Voriax.

- Z pewnością nie. To co, ruszamy?

- Chyba tak.

- Robiła dobry użytek ze swego ciała, prawda? Voriax roześmiał się.

- Z pewnością. Trochę żałuję, że nigdy już nie wezmę jej w ramiona. Ale nie, nie chciałbym usłyszeć już więcej jej szalonych przepowiedni, niezależnie od tego, jak wspaniale poruszała biodrami. No, chyba mam już dość jej i tego miejsca. Ominiemy Ghiseldorn?

- Chyba tak - zgodził się Valentine. -Jakie są inne najbliższe miasta nad brzegiem Glayge?

-Następne jest Jerrik, w którym osiedliło się wielu Vroonów, dalej Mitripond i miejscowość zwana Gayles. Sądzę, że powinniśmy zatrzymać się w Jerrik i zabawić się przez

kilka dni, spędzając czas na grze.

- Niech będzie Jerrick.

- Doskonale. I nie mów mi nic więcej o tym, czy mam, czy nie mam zostać władcą.

- Przysięgam, już nic nie powiem. - Valentine roześmiał się. Objął brata, przytulił go i

powiedział: - Bracie! Podczas tej wyprawy kilkakrotnie myślałem już, że oddaliliśmy się od siebie nieodwołalnie, ale widzę, że wszystko jest dobrze i że znowu się odnaleźliśmy.

- Nie oddaliliśmy się od siebie. Nawet na najkrótszą chwilkę. No, dobrze, pakujemy się i ruszamy do Jerrick.

Nigdy już nie rozmawiali o nocy spędzonej z czarownicą i o tym, co im

przepowiedziała. Pięć lat później, gdy Lord Malibor zginął polując na smoki morskie, Vori-ax

wybrany został Koronalem, co nie zdumiało nikogo, a Valentine był pierwszym, który ukląkł

i złożył mu hołd. Do tego czasu zdążył już zapomnieć o dziwnej przepowiedni Tanudy, choć

pamiętał smak jej pocałunków i gładkie ciało. Obaj królami? Jak to w ogóle możliwe, skoro

nie może być kilku Koronali na raz? Valentine cieszył się powodzeniem brata, w pełni

usatysfakcjonowany swą pozycją. A kiedy w pełni zrozumiał treść proroctwa, które nie

oznaczało, że będzie rządził wraz z Vori-axem, lecz że wstąpi na tron zaraz po nim, choć

nigdy jeszcze w historii Majipooru brat nie zastąpił u steru władzy brata, nie mógł już go

objąć i powiedzieć mu, jak bardzo go kocha, bowiem Vori-ax odszedł od niego na zawsze,

zginął od zbłąkanej strzały w lesie, podczas polowania. I oto Valentine, samotny, zdumiony i

oszołomiony, wstępował na stopnie Tronu Confalume'a.

## **CZEŚĆ JEDENASTA**

Te ostatnie kilka sekund - dopisek jakiegoś skryby dołączony do nagrania młodego

Valentine'a, wprowadziło Hissune'a w oszołomienie. Siedział nieruchomo dłuższą chwilę, potem

wstał jak we śnie i ruszył w stronę wyjścia z kabiny. W umyśle wirowały mu ciągle obrazy tej

szalonej nocy w lesie: rywalizujący ze sobą bracia, czarownica o błyszczących oczach, nagie splecione ciała, przepowiednia przyszłego panowania. Tak, dwaj królowie! A Hissune podglądał ich wówczas, gdy byli najbardziej bezbronni! Czuł się onieśmielony, a było to dla niego nowe uczucie. Być może nadszedł moment, by na jakiś czas przerwać wizyty w Rejestrze Dusz, pomyślał. To, co tu przeżywał, oddziaływało czasami na niego zbyt silnie; potrzebne chyba mu jest kilka miesięcy odpoczynku. Kiedy wychodził, trzęsły mu się ręce. Godzinę temu do kabiny wpuścił go zwykły funkcjonariusz Rejestru, tęgi mężczyzna o pozbawionych wyrazu oczach imieniem Penagorn. Nadal tkwił za swym biurkiem, lecz za nim stał ktoś jeszcze: wysoki, wyprostowany człowiek w zielono-złotym mundurze straży Koronala. Przez chwilę przyglądał się Hissune'owi zmrużonymi oczami, a potem powiedział:

- Czy mogę prosić o dowód tożsamości?

A więc nadeszła chwila, której tak bardzo się obawiał. Odkryli jego wykroczenie - korzystanie z archiwów bez upoważnienia - i zaraz zostanie aresztowany. Hissune wręczył swą kartę strażnikowi. Prawdopodobnie od dawna wiedzieli o jego nielegalnych wizytach w Rejestrze Dusz, po prostu czekali, aż popełni największą zbrodnię, odtwarzając nagrania samego Koronala. Bardzo prawdopodobne, pomyślał Hissune, że w tym momencie włącza się alarm, dyskretnie wzywający sługi władcy, a teraz...

- To właśnie ciebie szukaliśmy - powiedział mężczyzna w zielono-złotym mundurze. - Proszę ze mną.

Hissune udał się za nim w milczeniu. Wyszli z Domu Kronik, przecięli wielki plac, zmierzając ku wejściu na najniższe poziomy Labiryntu, minęli wartownię i wsiadłszy do czekającego tam ślizgacza pojechali w dół, coraz niżej, w głąb tajemniczego królestwa, którego Hissune nigdy w życiu nie oglądał. Siedział nieruchomy i otepiały. Czuł ciśnienie całego świata, który pozostał tam, w górze, odczuwał ciężar kolejnych poziomów Labiryntu.

Gdzie byli teraz? Czy to Pałac Tronów, gdzie spotykają się najwyżsi ministrowie? Hissune nie miał odwagi zapytać, a jego strażnik milczał jak zaczarowany. Mijali bramę za bramą, posuwając się raz tym, raz innym korytarzem; w końcu ślizgacz się zatrzymał. Pojawiło się kolejnych sześciu strażników w mundurach Koronala, którzy zaprowadzili go do jasno oświetlonej sali, gdzie zatrzymali się, stając z obu jego stron.

Drzwi odsunęły się, znikając w ścianie, i do sali wkroczył wysoki, dobrze zbudowany jasnowłosy mężczyzna w prostej białej szacie. Hissune aż zachłysnął się ze zdumienia.

-Jego Lordowska Mość...

- Spokojnie, spokojnie. Obejdziemy się bez tych wszystkich pokłonów, Hissune. Bo przecież ty jesteś Hissune, prawda?

- Tak, panie. Wydoroślałem.

- Minęło osiem lat, czyż nie? Tak, osiem lat. Kiedy widziałem cię po raz ostatni, byłeś... o, taki. Cóż, to głupio z mojej strony, ale spodziewałem się chłopca. Masz osiemnaście lat?

- Tak, panie.

- A ile miałeś lat, kiedy zacząłeś wtykać nos w Rejestr Dusz?

- A więc wiesz o tym, panie? - szepnął Hissune, czerwieniejąc, wpatrzony w czubki swoich butów.

- Czternaście, prawda? Tak mi chyba powiedzieli. Kazałem cię obserwować. Przed trzema, może czterema laty poinformowano mnie, że bezczelnie wdarłeś się do Rejestru. Czternastoletni chłopak udający naukowca! Mam wrażenie, że obejrzałeś sobie wiele rzeczy, których na ogół nie oglądają czternastoletni chłopcy.

Policzki Hissune'a płonęły. Przez głowę przeleciała mu myśl: "Godzinę temu, panie, widziałem jak ty i twój brat kochacie się z czarnowłosą wiedźmą z Ghiseldornu". Raczej

zapadłby się pod ziemię, niż głośno wypowiedział te słowa, lecz był całkowicie pewien, że Lord Valentine wie o tym i ta pewność była czymś miazdzącym. Nie mógł podnieść wzroku. Ten jasnowłosy Valentine nie był Valentinem z nagrania, tamten miał ciemne włosy-jak było już powszechnie wiadome, Koronala magicznymi sztuczkami pozbawiono jego ciała. Teraz Lord Valentine miał już inne ciało, ale jego osoba nie zmieniła się, a Hissune szpiegował osobę, co do tego nie było dwóch zdań.

Milczał.

Lord Valentine mówił dalej:

- Prawdopodobnie powinienem odwołać te słowa. Zawsze byłeś nad wiek rozwinięty.

W Rejestrze niewiele pewnie ujrzałeś rzeczy, których byś wcześniej nie widział.

- Widziałem Ni-moya, panie. - Hissune wyrzekł to ledwie słyszalnym, łamiącym się głosem. - Widziałem Suvrael i wszystkie miasta Zamkowej Góry, 1 dżunglę za Narabalem...

- Tak. Miejsca. Geografia. Warto jest to wszystko wiedzieć. Lecz geografia duszy...

poznałeś ją na swój własny sposób, prawda? Spójrz mi w oczy. Nie gniewam się na ciebie.

-Nie?

- To na mój rozkaz pozwolono ci na swobodny dostęp do archiwum. Nie po to, żebyś gapił się na Ni-moya, a już zwłaszcza nie po to, byś podglądał ludzi, kiedy uprawiają miłość, lecz byś zaczął rozumieć, czym właściwie jest Majipoor, byś mógł doświadczyć jednej milionowo milionowej cząstki tej całości, którą jest nasz świat. Uczyłeś się, Hissune. Czy mam rację?

- O to mi właśnie chodziło, panie. Tak. Tak wiele chciałem się dowiedzieć!

-I dowiedziałeś się wszystkiego?

- Ależ nie. Nawet nie poznałem milionowo milionowej części tego, co chciałem poznać.

- To niedobrze. Nie masz już dostępu do Rejestru.

- Panie? Czy zostanę ukarany?

Lord Valentine uśmiechnął się dziwnie.

- Ukarany? Nie, to nie jest właściwe słowo. Ale opuścisz Labirynt i to, zdaje się, na długo; nie wrócisz tu nawet wtedy, gdy zostanę Pontifexem - oby ten dzień nadszedł jak najpóźniej. Jesteś członkiem mojego najbliższego otoczenia, Hissune. Pierwsza faza nauki właśnie się skończyła. Chcę, żebyś teraz zabrał się do roboty. Moim zdaniem jesteś wystarczająco dorosły. Czy twoja rodzina nadal tu mieszka?

- Tak. Matka, dwie siostry...

- Zadbamy o nie. Otrzymają wszystko, czego im będzie potrzeba. Pożegnaj się z nimi i spakuj. Będziesz gotowy za trzy dni?

- Trzy... dni...?

-Jadę do Alaisor. Mam znów odbyć wielki objazd. Potem odwiedzę Wyspę Snu. Tym razem ominę Zimroel. Wrócę na Górę za jakieś siedem - osiem miesięcy, taką przynajmniej mam nadzieję. Dostaniesz apartament w Zamku. Nie będzie to dla ciebie przykre, prawda? Zacznieś się kosztowniej ubierać. Przewidziałeś to wszystko, czyż nie? Czy nie domyśliłeś się, że przeznaczyłem cię do wielkich spraw, kiedy byłeś tylko obdartym urwisem, kantującym turystów? - Korona! roześmiał się. -Już późno. Przyślę po ciebie z rana. Mamy wiele rzeczy do omówienia.

Dotknął jego dłoni końcami palców w drobnym dworskim geście. Hissune skłonił się, a kiedy ośmielił się podnieść wzrok, stwierdził, że Lord Valentine wyszedł. A więc tak. Jego sen, jego marzenie miało się jednak spełnić. Nie pozwolił, by radość odbiła się na jego twarzy. Sztywny i poważny odwrócił się w stronę strażników w zielono-złoty mundurach i wyszedł z nimi na korytarz. Straż towarzyszyła mu aż do granicy publicznych poziomów

Labiryntu i tam go opuściła. Lecz Hissune nie potrafił po prostu wrócić do swego mieszkania. W głowie wirowały mu gorączkowe myśli, był wręcz nieprzytomny ze zdumienia. Z głębi pamięci wypłynęły wspomnienia o dawno zmarłych ludziach, których poznał tak dobrze. Nismile i Sinnabor Lavon, Thesma, Dekkeret, Calintane, biedny, prześladowany przez Króla Snów Haligome, Eremoil, Inyanna Forlana, Vismaan, Sarise. Byli teraz jego częścią, na stałe wrosli mu w duszę. Czuł się tak, jakby wchłonął w siebie całą tę planetę. Co go teraz czeka? Obowiązki adiutanta Koronala? Wspaniałe, nowe życie na Zamkowej Górze? Wakacje w Wysokim Morpin i Stee w towarzystwie wielkich tego świata? Może pewnego dnia sam zostanie Koronatem! Lord Hissune! Śmiał się ze swych bluźnierczych marzeń. A jednak, a jednak... czemu nie? Czy Calintane spodziewał się, że kiedyś” zostanie Koronalem? A Dekkeret? A Valentine? Lecz nie wolno mi nawet o tym myśleć, skarcił się w myśli Hissune. Trzeba pracować, uczyć się, przeżywać życie chwila po chwili, pozwolić działać

przeznaczeniu.

Nagle zdał sobie sprawę, że zablądził - on, który w wieku dziesięciu lat był najlepszym przewodnikiem, jakiego kiedykolwiek znał Labirynt. Wędrował w oszołomieniu z poziomu na poziom, dochodziła północ, a on nie miał pojęcia, gdzie się właściwie znajduje. W końcu jednak zorientował się, że jest na najwyższym poziomie od strony pustyni, koło Bramy Ostrzy. Za piętnaście minut może być już poza Labiryntem. Do tej pory nie marzył o opuszczeniu go, lecz ta noc miała dla niego specjalne znaczenie, toteż nie sprzeciwił się, kiedy nogi same poniosły go do wyjścia z podziemnego miasta. Dotarł do Bramy Ostrzy, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w zardzewiałe miecze, które w pradawnych czasach ktoś” umieścił na granicy Labiryntu, a potem minął je i wyszedł na wypaloną, jałową pustynię. Niczym Dekkeret na tej innej, znacznie groźniejszej pustyni, ruszył przed siebie, odszedł spory kawałek od gwarnego mrowiska Labiryntu i stanął samotny pod jasnym, chłodnym

światłem gwiazd. Ileż ich świeciło na niebie! Jedną z nich była Stara Ziemia, z której wyroiły się kiedyś te miliardy ludzi. Hissune stał nieruchomo, jak zaczarowany. Poczł jak przepelnia go oszalamiające poczucie długiej historii Wszechświata, porywając go niczym nieokiełznana rzeka. Rejestr Dusz zawiera tyle nagrań, że mógłbym przeglądać je przez wieczność, pomyślał Hissune, a jednak to tylko drobny ułamek całego życia na wszystkich planetach, wokół wszystkich gwiazd. Chciałby objąć to życie i uczynić je częścią siebie, jak częścią siebie uczynił ludzi, których wspomnienia przejrzał. Tego, oczywiście, nie był w stanie dokonać, lecz oszołomiła go sama ta myśl. Teraz musiał odrzucić to wszystko, musiał oprzeć się pokusie Rejestru. Stał bez ruchu, aż myśli przestały wirować mu w głowie. Teraz będę całkowicie spokojny, postanowił. Odzyskam kontrolę nad uczuciami. Pozwolił sobie na ostatnie spojrzenie w gwiazdy, na próżno szukając wśród nich słońca Starej Ziemi, a potem wzruszył ramionami, odwrócił się ł powoli ruszył w stronę Bramy Ostrzy. Lord Valentine przyśle po niego rano. Koniecznie musi się przedtem przespać. Niedługo zacznie się dla niego nowe życie. Będę mieszkał na Zamkowej Górze, pomyślał, będę doradcą Koronała - a kto wie, co jeszcze mnie czeka? Lecz cokolwiek się stanie, będzie tym, co powinno się stać, tak jak było to w wypadku Dekkereta, Thesme, Sinnabora Lavona, nawet Haligome'a - tych wszystkich ludzi, których dusze są teraz częścią jego duszy.

Na chwilę zatrzymał się tuż przy Bramie Ostrzy - tylko na chwilę, lecz ta chwila przeciągnęła się, gwiazdy zaczęły blednąć, nadszedł jasny poranek, a potem władzę nad niebem przejęło ogromne słońce, zalewając świat swym blaskiem. Hissune pozostał nieruchomy. Ciepłe promienie słońca Majipooru padły mu na twarz; do tej pory zdarzało się to tak rzadko. Słońce... słońce... wspaniałe, błyszczące, gorące słońce... matka światów... Hissune wyciągnął ku niemu ramiona i wziął w objęcia. Uśmiechał się, spijając jego błogosławieństwa. A potem odwrócił się i po raz ostatni zaczął schodzić w głąb Labiryntu.



**KONIEC**